

PATRICIA CORNWELL

Z NADMIERNYM OKRUCIENSTWEM




Prószyński i S-ka

PATRICIA CORNWELL
Z NADMIERNYM
OKRUCIEŃSTWEM

(Cruel & Unusual)

Cykl o doktor KAY SCARPETCIE - tom 4

Przełożyła: Alina Siewior-Kuś

 Prószyński i S-ka

1999

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

PROLOG

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

EPILOG

*Niepowtarzalnej dr Marcelli Fierro
(Dobrze wyszkoliłaś Kay Scarpette)*

PROLOG

(Medytacje straceńca na Spring Street)

Do Bożego Narodzenia dwa tygodnie. Cztery dni do nicości. Leżę na żelaznej pryczy i wpatruję się w swoje brudne stopy, w biały sracz bez deski.

Przestałem podskakiwać na widok sunących wolno po podłodze karaluchów.

Obserwuję je w taki sam sposób jak one mnie.

Zamykam oczy i głęboko oddycham.

Pamiętam zapach siana grabionego w upalny dzień i marną zapłatę, która nijak się miała do zamożności białych. Śnię o prażonych orzeszkach i dojrzałych pomidorach, które jadło się jak jabłka. Widzę siebie, jak z twarzą zlaną potem siedzę za kierownicą pikapa i jadę przez tę zapomnianą przez Boga krainę, z której przysiągłem sobie uciec.

Cokolwiek robię - korzystam z kibla, czyszczę nos, palę - strażnicy natychmiast to notują.

Nie ma tu zegara.

Nigdy nie wiem, jaka jest pogoda.

Otwieram oczy i widzę ciągnącą się w nieskończoność pustą ścianę.

Co powinien czuć człowiek, który wie, że za chwilę go nie będzie?

To jest jak smutna, bardzo smutna piosenka. Nie znam jej słów. Nie pamiętam.

Mówią, że to się stało we wrześniu, kiedy niebo miało barwę jaja drozda, a płonące liście spadały na ziemię. Mówią, że na miasto ruszyła

wtedy bestia. I że teraz będzie o jedną mniej.

Zabicie mnie nie zabije bestii. Mrok jest jej przyjacielem, mięso i krew jej uczną. Kiedy pomyślisz, że nie musisz już uważać, lepiej obejrzyj się za siebie, bracie.

Jeden grzech prowadzi do następnego.

Ronnie Joe Waddell

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W ten poniedziałek, kiedy w torebce wiozłam medytacje Ronniego Joe Waddella, ani razu nie widziałam słońca. Do pracy wyjechałam przed świtem, wróciłam do domu o zmroku. W światłach reflektorów wirowały krople deszczu, noc była mglista i przenikliwie zimna.

Rozpalałam ogień w kominku, przed oczyma mając pola Wirginii i dojrzewające w słońcu pomidory. Wyobraziłam sobie młodego Murzyna w rozprężonej szoferce pikapa i zastanawiałam się, czy już wówczas był opętany myślą o morderstwie. Medytacje opublikowano w „Richmond Times-Dispatch”, wycięłam je, żeby włożyć do stale grubiejącej teczki Waddella, jednakże w nawale zajęć zapomniałam. Czytałam ten tekst kilka razy; zawsze intrygowało mnie, jak poezja i okrucieństwo mogą mieszkać w jednym sercu.

Przez kilka następnych godzin zajmowałam się rachunkami i wypisywaniem kartek świątecznych, od czasu do czasu zerkając w niemy telewizor.

Jak wszyscy mieszkańcy Wirginii, ze środków masowego przekazu dowadywałam się, czy apelacja została odrzucona, czy też gubernator ułaskawił skazańca. Zależnie od tego kładłam się spać lub też udawałam się do kostnicy.

Dochodziła prawie dziesiąta, gdy zadzwonił telefon. Spodziewałam się, że to mój zastępca lub ktoś z personelu.

– Halo? - rozległ się w słuchawce nieznajomy męski głos. - Czy mogę mówić z Kay Scarpettą? To znaczy, panią doktor Kay Scarpettą, głównym patologiem?

– Przy telefonie.

– Mówi detektyw Joe Trent z hrabstwa Henrico. Pani numer znalazłem w książce. Przepraszam, że zawracam głowę w domu. Potrzebujemy pani pomocy.

– W jakiej sprawie? - zapytałam, nie odrywając wzroku od ekranu. Akurat nadawali reklamę. Miałam nadzieję, że detektyw nie chce, bym do nich jechała.

– Dzisiaj wieczorem trzynastoletni chłopiec został uprowadzony po wyjściu z garmażerii na Northside. Potem strzelono mu w głowę... Nie wykluczamy motywów seksualnych.

Sięgnęłam po pióro i papier.

– Gdzie jest? - zapytałam.

– Znalaziono go na parkingu za sklepem spożywczym na Paterson Avenue.

Jeszcze żyje. Nie odzyskał przytomności, obecnie nikt nie potrafi powiedzieć, czy to kiedykolwiek nastąpi. Wiem, że to nie pani rzecz, skoro ofiara żyje, ale na jego ciele są dziwne rany. Nigdy z takimi się nie zetknąłem, a widziałem już mnóstwo różnych. Może pani będzie mogła pomóc wyjaśnić, w jaki sposób je zadano i dlaczego.

– Proszę mi je opisać - powiedziałam.

– Chodzi o dwa obszary. Jeden to wewnętrzna strona prawego uda, tuż przy pachwinie, drugi to prawe ramię. Wycięte zostały kawałki ciała, a przy brzegach ran znajdują się dziwne cięcia i zadrapania. Chłopiec jest teraz w szpitalu w Henrico.

– Znalazł pan brakujące fragmenty ciała? - zadając to pytanie, gorączkowo zastanawiałam się, czy nie miałam już do czynienia z podobnym przypadkiem.

– Na razie nie, ale ekipa dalej bada teren. Choć nie można wykluczyć, że napadu dokonano w samochodzie.

– Czyim?

– Napastnika. Parking, gdzie znaleziono chłopca, oddalony jest o dobre trzy, cztery mile od garmażerii, gdzie go po raz ostatni widziano. Myślę, że wsiadł do samochodu; może został do tego zmuszony.

– Sfotografowano rany, zanim zajęli się nim lekarze?

– Tak, ale lekarze na razie niewiele zrobili. Będą musieli dokonać przeszczepu skóry. Pełnego przeszczepu, jeśli coś to pani mówi.

Owszem, mówiło. Lekarze oczyścili rany, podali chłopcu antybiotyki i teraz czekają na odpowiedni moment, by dokonać przeszczepu skóry z pośladków.

Gdyby natomiast założyli szwy, niewiele zostałyby dla mnie do oglądania.

– Nie zszyli mu ran - rzekłam.

– Tak właśnie mi powiedziano.

– Chce pan, żebym chłopca obejrzała?

– To by było doskonale - odparł z wyraźną ulgą. - Zobaczysz pani, jak te rany naprawdę wyglądają.

– Kiedy mam przyjechać?

– Jutro.

– Świetnie. O której?

– Może o ósmej? Będę na panią czekał przy izbie przyjęć.

– W takim razie do zobaczenia.

Z ekranu ponuro spoglądał na mnie spiker. Sięgnęłam po pilot i włączyłam głos.

– ...Eugenio, możesz nam powiedzieć, czy była już wiadomość od gubernatora?

Kamera pokazała wzniesione na skalistym brzegu rzeki James stanowe więzienie w Wirginii, w którym przez dwieście lat osadzano najgorszych przestępców Wspólnoty Brytyjskiej. Młoda, ładna reporterka w czerwonym płaszczu pojawiła się na ekranie.

– Jak wiesz, Bill - zaczęła - wczoraj więzienie i gabinet gubernatora Noringa połączyła specjalna linia telefoniczna. Dotąd z niej nie skorzystano, co już samo w sobie wiele mówi. Kiedy gubernator nie zamierza interweniować, zwykle milczy.

– Jak wygląda sytuacja wokół więzienia? Czy panuje tam spokój?

– Na razie tak. Zgromadziło się tu co prawda kilkaset osób, ale samo więzienie jest prawie puste. Pozostało w nim zaledwie kilkunastu więźniów, pozostałych przewieziono do nowego ośrodka w Greensville.

Wyłączyłam telewizor i wkrótce potem jechałam na wschód. Zmęczenie ogarniało mnie niczym narkoza. Nienawidzę egzekucji. Nienawidzę oczekiwania na czyjąś śmierć, a później przecinania skalpelem ciała równie ciepłego jak moje. Jestem lekarzem i prawnikiem. Uczono mnie, skąd bierze się życie i co jest powodem śmierci, uczono, co jest dobre, a co złe. A później moim nauczycielem stało się doświadczenie. To przygnębiające, kiedy człowiek myślący musi przyznać, że tak wiele banalnych porzekadeł mówi prawdę. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Nic nigdy nie zadośćuczyni temu, co zrobił Ronnie Joe Waddell.

W celi śmierci spędził dziewięć lat. Nie zajmowałam się jego ofiarą, gdyż popełnił morderstwo, zanim dostałam nominację na głównego patologa stanu Wirginia i zanim przeprowadziłam się do Richmond. Dokładnie jednak przejrzałam akta, znałam każdy wstrząsający szczegół. Rankiem czwartego września dziesięć lat wcześniej Robyn Naismith powiadomiła stację telewizyjną *Channel 8*, gdzie pracowała jako spikerka, że jest chora.

Wyszła z domu tylko do apteki, by kupić lekarstwa na przeziębienie. Następnego dnia znaleziono jej nagie, zmasakrowane ciało, oparte o telewizor w salonie. Krwawy odcisk kciuka zdjęty z szafki z lekarstwami zidentyfikowano jako należący do Ronniego Joe Waddella.

Koło kostnicy stało zaledwie kilka samochodów; na miejsce dojechali już: mój zastępca Fielding, administrator Ben Stevens oraz Susan Story, kierowniczka kostnicy. Przez otwarte drzwi światło z wnętrza padało na asfalt. W policyjnym wozie siedział funkcjonariusz i palił papierosa. Kiedy zaparkowałam, wysiadł. Był to wysoki mężczyzna z gęstymi białymi włosami.

Choć wielokrotnie już z nim rozmawiałam, nie mogłam przypomnieć sobie jego nazwiska.

– Czy to bezpieczne, że drzwi są otwarte? - zapytałam.

– Na razie jest OK, pani doktor - odparł, zapinając przeciwdeszczową kurtkę. - Nie widziałem tu żadnych rozrabiaków. Jak tylko przyjadą z więzienia, zamknę drzwi i dopilnuję, żeby nikt ich nie otwierał.

– Dobrze. O ile oczywiście będzie pan na miejscu.

– Naturalnie, pani doktor. Może pani na mnie liczyć. Ściągniemy też więcej umundurowanych policjantów, gdyby były jakieś problemy. Wygląda na to, że protestujących jest sporo. Chyba czytała pani o petycji, którą zanieśli do gubernatora? A dzisiaj słyszałem, że jakieś czułe serduszka aż w Kalifornii podjęły strajk głodowy.

Rozejrzałam się po pustawym parkingu i przylegającej doń Main Street.

Z szelestem opon po mokrej nawierzchni przejechał samochód; światła reflektorów były w tej mgle zaledwie rozmazanymi plamami.

– Ja dla Waddella nie zrezygnowałbym nawet z przerwy na kawę, po tym, co zrobił tej Naismith. - Policjant osłonił dłonią zapalniczkę i zapalił kolejnego papierosa. - Pamiętam jej programy telewizyjne. Fakt, kawę i

kobiety lubię białe i słodkie, ale muszę przyznać, że to była najładniejsza czarna dziewczyna, jaką w życiu widziałem.

Rzuciłam palenie ledwo dwa miesiące wcześniej i do szaleństwa doprowadzał mnie widok kogoś palącego.

– Boże, to musiało być z dziesięć lat temu - ciągnął policjant. - Do końca życia nie zapomnę tego zamieszania. Jedna z najgorszych spraw w tym okręgu. Można by pomyśleć, że dziewczynę dorwał niedźwiedź grizzly...

– Poinformuje nas pan o sytuacji? - weszłam mu w słowo.

– Tak jest, pani doktor. Powiadomią mnie przez radio, a ja od razu wam przekażę.

Wrócił do samochodu.

W kostnicy unosił się zapach środka dezynfekcyjnego. Minęłam niewielkie biuro, gdzie domy pogrzebowe kwitują odbiór ciał, pomieszczenie z rentgenem i chłodnię, która jest wielkim pokojem z podwójnymi łózkami na kółkach oraz solidnymi metalowymi drzwiami. Sala sekcyjna była oświetlona, stoły z nierdzewnej stali wypolerowane na błysk. Susan ostrzyła długi nóż, Fielding oznaczał próbówki na krew. Oboje wyglądali na równie zmęczonych i przygnębionych jak ja.

– Ben jest w bibliotece i ogląda telewizję - rzekł do mnie Fielding. - Da nam znać, gdyby coś nowego zaszło.

– Czy są jakieś szanse, że facet miał AIDS? - Susan mówiła o Waddellu tak, jakby już był martwy.

– Nie wiem - odparłam. - Włożymy podwójne rękawiczki i podejmiemy zwykłe środki ostrożności.

– Mam nadzieję, że powiedzą, jeśli był chory - ciągnęła Susan. - Choć za grosz nie ufam tym z więzienia. Moim zdaniem guzik ich obchodzi, czy skazany był nosicielem HIV, bo to nie ich problem. Nie robią sekcji, nie muszą martwić się o igły.

Susan od jakiegoś czasu nabrała paranoidalnego wręcz stosunku do związanych z naszą pracą niebezpieczeństw, takich jak promieniowanie, chemikalia i choroby zakaźne. Nie mogłam jej winić, była w ciąży, aczkolwiek jej wygląd jeszcze tego nie zdradzał.

Włożyłam plastikowy fartuch i poszłam do szatni, gdzie ubrałam się w zielony kombinezon, na buty naciągnęłam ochraniacze i wzięłam dwie pary rękawiczek. Sprawdziłam wózek chirurgiczny, ustawiony koło stołu numer trzy. Wszystkie przedmioty nosiły nazwisko Waddella, datę i numer sekcji. Opisane fiolki i pudła wylądują w koszu, jeśli gubernator Noring w ostatniej chwili zmieni wyrok. Waddell zostanie usunięty z dokumentacji kostnicy, a numer sekcji przydzielony innemu denatowi.

O jedenastej wieczorem Ben Stevens zszedł na dół i pokręcił głową.

Wszyscy jednocześnie spojrzeliśmy na zegar. Nikt się nie odzywał. Mijały minuty.

W progu kostnicy pojawił się policjant z krótkofalówką w ręku. Wreszcie przypomniałam sobie, że nazywa się Rankin.

– Egzekucję wykonano o jedenastej pięć - oznajmił. - Będą tu za jakiś kwadrans.

Ambulans ostrzegawczo zatrąbił, wjeżdżając na parking, tylne drzwi otworzyły się i wyskoczyło dość więziennych strażników, by w razie potrzeby zdławić rozruchy. Czterech wyciągnęło nosze z ciałem Ronniego Waddella; przy wtórze szcękania metalu i tupotu kroków wnieśli je przez rampę do kostnicy. Bez słowa usuwaliśmy się im z drogi. Postawili nosze na kafelkach podłogi, nie zadając sobie trudu, żeby rozłożyć podstawki.

Leżące na nich ciało było okryte pokrwawionym prześcieradłem.

– Krwotok z nosa - wyjaśnił jeden ze strażników, zanim zdążyłam się odezwać.

– Kto miał krwotok? - zapytałam dostrzegając, że rękawiczki strażnika także są poplamione.

– Waddell.

– W ambulansie? - zdziwiłam się, bo przecież kiedy przenoszono go do samochodu, nie powinien mieć już ciśnienia krwi.

Strażnik, zajęty innymi sprawami, nie odpowiedział. Ta kwestia będzie musiała poczekać.

Przenieśliśmy nosze na wagę, po czym rozwiązaliśmy pasy i zdjęli przykrycie.

Drzwi do sali cicho się zamknęły za więziennymi strażnikami.

Waddell nie żył od dwudziestu dwóch minut. Czułam zapach jego potu i brudnych stóp, a także lekki odór spalonego ciała. Prawa nogawka podciągnięta była ponad kolano, kostkę otulała świeża gaza, założona po śmierci na oparzenia. Był potężnym mężczyzną. Gazety nazywały go „łagodnym olbrzymem”, „poetycznym Ronniem o rozmarzonych oczach”. A przecież te wielkie dłonie i masywne ramiona odebrały życie innej ludzkiej istocie.

Zsunęłam szelki z jasnoblękitnej džinsowej koszuli, następnie zaczęłam rozbierać zwłoki, sprawdzając kolejno kieszenie. Szukanie osobistych przedmiotów zwykle nie przynosi rezultatów, ponieważ skazańcom nie wolno nic zabierać na krzesło elektryczne. Zdziwiłam się bardzo, kiedy w tylnej kieszeni džinsów znalazłam list. Koperta nie nosiła śladów otwierania.

Napisano na niej drukowanymi literami:

NIEZWYKLE POUFNE! PROSZĘ SPALIĆ ZE MNĄ!

– Zrób odbitkę koperty i całej zawartości, a oryginał dołącz do jego rzeczy osobistych - zwróciłam się do Fieldinga.

Wsunął kopertę pod protokół sekcji, mrużąc pod nosem:

– Chryste, on jest większy ode mnie!
– Rzeczywiście niesamowite, że ktoś może być większy od ciebie - powiedziała Susan, znacząco spoglądając na mojego zastępcę.

– Dobrze, że umarł niedawno - kontynuował Fielding - bo potrzebny by nam był pneumatyczny przecinak.

Ludzie muskularni w kilka godzin po zgonie zamieniają się w marmurowe posągi. Na szczęście u Waddella stężenie pośmiertne jeszcze się nie zaczęło, ciało było równie elastyczne jak za życia.

Żeby go przenieść na stół do sekcji, musieliśmy wszyscy czworo dobrze się natężyć. Ważył dwieście pięćdziesiąt dziewięć funtów. Stół okazał się dla niego za krótki, stopy wystawały poza krawędź. Mierzyłam oparzenia na nodze, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi od strony rampy. Susan poszła otworzyć, wkrótce potem do sali wkroczył porucznik Pete Marino w rozpiętym płaszczu, z paskiem wlokącym się po podłodze.

– Oparzenie na łydce cztery cale na jeden i jedną czwartą na dwa i trzy ósme - dyktowałam Fieldingowi. - Suche, ściągnięte i pokryte pęcherzem.

Marino zapalił papierosa.

– Robią straszny harmider z powodu krwotoku - odezwał się. Sprawiał wrażenie podenerwowanego.

– Temperatura odbytu sto cztery stopnie Farenheita - rzekła Susan, wyjmując termometr.

– Godzina jedenasta czterdzieści dziewięć.

– Wiesz, czemu miał zakrwawioną twarz? - spytał Marino.

– Jeden ze strażników wspomniał o krwotoku z nosa - odparłam i dodałam:

– Teraz musimy go odwrócić.

– Zauważyła pani to na wewnętrznej stronie lewego przedramienia? - Susan wskazała na otarcie.

Przyjrzałam się dokładnie przez szkło powiększające.

– Może to od pasów.

– Na prawej ręce ma takie samo.

Marino obserwował nas i palił. Odwróciliśmy ciało, wsuwając pod ramiona podkładkę. Głowa i broda ogolone były niestarannie. Wykonałam nacięcie w kształcie litery Y.

– Tu też mogą być jakieś otarcia - odezwała się Susan, przyglądając się językowi.

– Usuń go - poleciłam i włożyłam termometr do wątroby.

– Jezu - mruknął Marino pod nosem.

– Teraz? - zapytała Susan ze skalpelem w pogotowiu.

– Nie. Najpierw sfotografuj i zmierz oparzenia na głowie.

– Cholera, kto ostatni używał aparatu? - rzuciła z pretensją Susan.

– Przepraszam - odezwał się Fielding. - Ale nie było w nim filmu.

Zapomniałem.

A przy okazji, to ty powinnaś pilnować, żeby w aparacie był film.

– A ty mogłeś mi powiedzieć, że go nie ma.

– Podobno kobiety mają intuicję. Nie sądziłem, że muszę ci o tym mówić.

– Zmierzyłam oparzenia na głowie - oznajmiła, ignorując ostatnią uwagę Fieldinga; podyktowała mu wyniki, po czym zajęła się językiem.

Marino cofnął się od stołu.

– Jezu - powtórzył. - To zawsze na mnie działa.

– Temperatura wątroby wynosi sto pięćdziesiąt stopni Farenheita - poinformowałam Fieldinga.

Spojrzałam na zegar. Waddell nie żył od godziny, lecz ciało tylko nieznacznie się oziębiło. Był wielki, prąd elektryczny dodatkowo go rozgrzał.

Temperatura mózgu mniejszych od niego mężczyzn, których sekcje przeprowadzałam, dochodziła do stu dziesięciu stopni. Prawa łydka Waddella też miała tyle, jeśli nie więcej.

– Lekkie otarcie na krawędzi. Nic wielkiego - zwróciła się do mnie Susan.

– Czy ugryzł się w język na tyle mocno, żeby tak się pokrwawić? - zapytał Marino.

– Nie - odrzekłam.

– Cholera, już zaczynają robić z tego sprawę - podniósł głos. - Myślałem, że będziesz chciała to wyjaśnić.

Znieruchomiałam ze skalpelem opartym o krawędź stołu, bo nagle to sobie uświadomiłam.

– Przecież byłeś świadkiem.

– Tak, mówiłem ci, że tam będę.

Wszyscy na niego spojrzeliśmy.

– Szykują się kłopoty - rzekł. - Nie chcę, żeby ktokolwiek wychodził stąd w pojedynkę.

– Jakiego rodzaju kłopoty? - spytała Susan.

– Na Spring Street kręci się banda religijnych świrów. Skądś dowiedzieli się o krwotoku i jak zombie ruszyli tu za ambulansem.

– Widziałeś, kiedy zaczął krwawić? - spytał Fielding.

– Jasne. Dwa razy potraktowali go prądem. Za pierwszym razem tylko głośno syknął, jak para z czajnika, i spod maski popłynęła krew. Mówią, że może krzesło źle działało.

Susan włączyła piłę Strykera i zabrała się do przecinania czaszki. Z głośnym warkotem nikt nie zamierzał konkurować, wszyscy zamilkli. Badałam kolejne organy. Serce było w porządku, naczynia wieńcowe wręcz doskonałe.

- Wysoko na lewym płacie płuca koło łuku aorty jest pojedynczy zrost. Znalazłam też cztery przytarczyce, jeśli jeszcze nie zanotowałeś.
- Zanotowałem.
- Położyłam żołądek na desce do krojenia.
- Jest niemal cylindryczny.
- Na pewno? - Fielding podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć. - To dziwne. Facet jego postury potrzebuje minimum cztery tysiące kalorii dziennie.
- Nie dostawał tyle, przynajmniej nie ostatnio - odrzekłam. - Nie ma absolutnie żadnych treści żołądkowych, żołądek jest pusty i czysty.
- Nie jadł ostatniego posiłku? - wtrącił Marino.
- Na to wygląda.
- A zwykle jedzą?
- Zwykle jedzą - odparłam.

Skończyliśmy o pierwszej w nocy, następnie odprowadziliśmy pracowników domu pogrzebowego na rampę, przy której czekał karawan. Kiedy wyszliśmy z budynku, ciemność pulsowała czerwonymi i niebieskimi światłami. W wilgotnym powietrzu strzelały elektryczne iskry, silniki warczały, za łańcuchowym ogrodzeniem, otaczającym parking, gorzał ognisty krąg. Mężczyźni, kobiety i dzieci stali w milczeniu, chybocliwe płomyki świec wydobywały z ciemności ich twarze.

Pracownicy domu pogrzebowego nie marnowali czasu. Wsunęli nosze z ciałem Waddella do karawanu, po czym zamknęli drzwi. Ktoś się odezwał, lecz nie zrozumiałam słów. Nagle nad ogrodzeniem poleciały płonące świece i miękko opadły na parking.

- Przeklęte czubki! - wrzasnął Marino.

Asfalt znaczyły pomarańczowe płomyki świec.

Karawan na pełnym gazie ruszył spod rampy. Na Main Street zauważyłam furgonetkę stacji *Channel 8*. Ktoś biegł chodnikiem.

Umundurowani policjanci szli po świecach w kierunku płotu.

– Nie chcemy tu żadnych kłopotów - usłyszałam jednego z nich. - Chyba że wolicie spędzić noc pod kluczem...

– Rzeźnicy! - krzyknęła jakaś kobieta.

Marino pociągnął mnie w kierunku samochodu.

Skandowanie przybierało na sile niczym plemienna pieśń.

– Rzeź-ni-cy, rzeź-ni-cy, rzeź-ni-cy...

Kluczyki wypadły mi z ręki, podniosłam je i jakoś udało mi się znaleźć właściwy.

– Pojadę za tobą - oznajmił Marino.

Włączyłam ogrzewanie na maksimum, mimo to trzęsłam się z zimna.

Dwukrotnie sprawdzałam, czy drzwi samochodu są dobrze zamknięte. Noc nabrała surrealistycznego charakteru przez dziwną asymetrię jasnych i mrocznych okien, przez cienie przesuwające się w kąciakach moich oczu.



Piliśmy szkocką, bo skończył mi się burbon.

– Nie wiem, jak możesz to przełknąć - mało uprzejmie stwierdził Marino.

– Weź sobie z barku, co chcesz.

– Jakoś to zniosę.

Nie wiedziałam, jak nawiązać do tematu, a nie ulegało wątpliwości, że Marino wcale nie zamierza mi pomóc. Był spięty, twarz miał zaczerwienioną.

Kosmyki siwych włosów przykleiły mu się do spoconej czaszki, odpalał jednego papierosa od drugiego.

– Byłeś już wcześniej świadkiem egzekucji?

– Jakoś nie czułem takiej potrzeby.

– Ale tym razem zgłosiłeś się na ochotnika. Czyli potrzeba musiała być całkiem silna.

– Założę się, że jak dodasz trochę cytryny i wody sodowej, to to świństwo będzie o niebo lepsze.

– Skoro chcesz, żebym zepsuła dobrą szkocką, proszę bardzo.

Wzięłam jego szklankę i podeszłam do lodówki.

– Cytryny nie mam, tylko sok.

– Może być.

Wlałam parę kropli soku i dodałam szwepsa. Sącząc tę dziwną mieszankę, rzekł:

– Może zapomniałaś, ale to ja prowadziłem sprawę Robyn Naismith. Razem z Sonnym Jonesem.

– Jeszcze mnie tu nie było.

– A, prawda. Śmieszne, mam wrażenie, że jesteś tu od zawsze. Chyba wiesz, jak to się stało?

Byłam zastępcą głównego patologa hrabstwa Dade, kiedy zamordowano Robyn Naismith. Czytałam o sprawie w gazetach, słyszałam w radiu i telewizji, na sympozjum krajowym oglądałam slajdy. Była Miss Wirginii odznaczała się oszłamiającą urodą i wspaniałym niskim głosem. Przed kamerą radziła sobie doskonale, miała charyzmę. Skończyła dwadzieścia siedem lat.

Obrona utrzymywała, że zamiarem Ronniego Waddella było tylko włamanie.

Robyn miała pecha, wracając za wcześnie z apteki. Rzekomo Waddell nie oglądał telewizji i ani nie znał jej nazwiska, ani nie orientował się w czekającej ją wspaniałej przyszłości, kiedy masakrował jej ciało. Był tak naćpany, argumentowała obrona, że nie miał zielonego pojęcia, co robi.

Ława przysięgłych odrzuciła prośbę o uznanie chwilowej niepoczytalności i zażądała kary śmierci.

– Przypuszczam, że presja, by złapać winnego, była nieprawdopodobna - rzekłam.

– Nawet sobie nie wyobrażasz. Mieliśmy ten wielki odcisk palca. Mieliśmy ślady ugryzień. Trzech ludzi przeglądało akta całymi dniami. Nie wiem, ile czasu poświęciłem temu przekłętemu śledztwu. A potem złapaliśmy drania, bo jeździł sobie po Północnej Karolinie z nieaktualnym dowodem przeglądu technicznego. - Przerwał, później surowym tonem dodał: - Jonesa już wtedy nie było na świecie. Szkoda, że nie widział, jak Waddell dostaje za swoje.

– Uważasz, że Waddell jest odpowiedzialny za to, co stało się z Sonnym Jonesem? - zapytałam.

– A ty co myślisz?

– Był twoim bliskim przyjacielem.

– Pracowaliśmy razem w wydziale zabójstw, razem chodziliśmy na ryby, razem graliśmy w kręgle.

– Wiem, że ciężko przeżyłeś jego śmierć.

– Ta sprawa go wykończyła. Praca na okrągło, w domu prawie nie bywał, co nie pomagało w stosunkach z żoną. Powtarzał mi, że dłużej już tego nie zniesie, a potem w ogóle przestał się odzywać. No i pewnej nocy postanowił strzelić sobie w łeb.

– Tak mi przykro - rzekłam łagodnie. - Ale nie jestem przekonana, że winę za to ponosi Waddell.

– Miałem rachunek do wyrównania.

– I wyrównałeś go, oglądając egzekucję?

W pierwszej chwili Marino nie odpowiedział.

Wpatrywał się przed siebie, szczęki miał zaciśnięte. Zapalił i jednym haustem dopił drinka.

– Mogę dostać jeszcze jednego?

– Jasne.

Mieszając napoje, myślałam o niesprawiedliwościach, które kształtowały osobowość Marino.

Udało mu się przetrwać biedne, pozbawione miłości dzieciństwo w niewłaściwej części New Jersey i od tamtych czasów hołubił głęboko zakorzenioną nieufność do ludzi, których los lepiej potraktował. Niedawno żona opuściła go po trzydziestu latach małżeństwa, o jego synu nikt nic nie wiedział. Mimo szacunku dla prawa i porządku oraz pracy w policji jego kod genetyczny z góry wykluczał dobre stosunki z przełożonymi. Miało się wrażenie, że jego podróż przez życie wiedzie trudną i wyboistą drogą.

Obawiałam się, że na końcu spodziewa się znaleźć nie mądrość czy spokój, lecz zadośćuczynienie. Marino zawsze z jakiegoś powodu był zły.

– Pozwól, że zadam ci pytanie, doktorco - odezwał się, kiedy wróciłam do stolika. - Jak byś się czuła, gdyby złapali tych dupków, którzy zabili Marka?

Zaskoczył mnie. Nie chciałam myśleć o tych ludziach.

– Czy jakaś częśćka ciebie nie pragnie widzieć, jak ich wieszają? - ciągnął.

– Nie chce zgłosić się na ochotnika do plutonu egzekucyjnego?

Mark zginął, ponieważ bomba umieszczona w koszu na śmieci na Victoria Station w Londynie wybuchła akurat w chwili, kiedy przechodził obok.

Szok i żal, jakie mnie ogarnęły, nie pozostawiły miejsca na pragnienie zemsty.

– Rojenia o ukaraniu grupy terrorystów to zajęcie bezprzedmiotowe - rzekłam.

Marino nie odrywał ode mnie uważnego spojrzenia.

– Oto jedna z twoich sławnych gównianych odpowiedzi. Gdybyś mogła, za darmo zrobiłabyś im sekcję, i to na żywca, a cięłabyś naprawdę powoli.

Czy ci mówiłem, co stało się z rodziną Robyn Naismith?

Sięgnęłam po drinka.

– Jej ojciec był lekarzem w północnej Wirginii, wspaniały człowiek, naprawdę.

W jakieś pół roku po procesie zachorował na raka, w kilka miesięcy później już nie żył. Robyn była jedynaczką. Matka przeprowadziła się do Teksasu, miała wypadek samochodowy i teraz spędza dni w fotelu na kółkach.

Zostały jej tylko wspomnienia. Waddell zamordował całą rodzinę Naismith. Zatrwał życie każdego człowieka, z którym się zetknął.

Pomyślałam o Waddellu dorastającym na farmie. Wyobraziłam go sobie siedzącego na ganku i jedzącego pomidora, który smakuje słońcem. Zastanawiałam się, co działo się w jego głowie w ostatniej sekundzie życia. Zastanawiałam się, czy się modlił.

Marino zgasił papierosa. Najwyraźniej zbierał się do wyjścia.

– Znasz detektywa Trenta z Henrico? - zapytałam.

– Joe Trent. Kilka miesięcy temu awansował na sierżanta i przeniesiono go do wydziału śledczego. Typ trochę nerwowy, ale w porządku gość.

– Zadzwoił do mnie w sprawie chłopca...

– Eddiego Heatha? - przerwał Marino.

– Nie znam nazwiska.

– Biały chłopiec, mniej więcej trzynastoletni. Pracujemy nad tym. *Lucky* jest w granicach miasta.

- Co to jest?
- Sklep garmazeryjny, gdzie po raz ostatni go widziano, usytuowany jest przy Northside, przecznicy Chamberlyne Avenue. Czego Trent chciał? Dowiedział się, że mały wykorkuje, i już się z tobą umawia?
- Chce, żebym obejrzała niecodzienne obrażenia.
- Chryste, nie znoszę, jak to spotyka dzieci. - Marino podniósł się z krzesła i potarł skronie. - Cholera, zawsze jak pozbędziemy się jednego gada, na jego miejsce pojawia się następny.



Po wyjściu Marino siedziałam w salonie przy kominku, obserwując żarzące się węgle. Byłam zmęczona, czułam tępy smutek, z którym nie miałam sił walczyć. Śmierć Marka zostawiła w moim sercu wielką ranę.

Uświadomiłam sobie wówczas, jak ogromna część mojej osobowości związana jest z miłością do niego.

Po raz ostatni widziałam go w dniu, kiedy leciał do Londynu. Udało nam się spotkać na szybkim lunchu na lotnisku Dulles. Najlepiej z tej naszej ostatniej wspólnie spędzonej godziny pamiętam, jak oboje spoglądaliśmy co chwila na zegarki, podczas gdy za oknami zbierało się na burzę i deszcz walił w szyby. Mark przy goleniu zaciął się w szczękę; przypominając sobie później jego twarz, zawsze widziałam to drobne skaleczenie.

Umarł w lutym, kiedy dobiegała końca wojna w Zatoce Perskiej. Pragnęłam pozbyć się bólu, sprzedałam więc dom i przeprowadziłam się w nowe miejsce, ale osiągnęłam tylko tyle, że nigdzie nie wyjeżdżając wykorzeniłam się ze znajomej gleby. Wokół nie było już moich roślin i sąsiadów, którzy dawali mi pociechę w smutku, urządzenie domu i ogrodu jedynie zwiększało stres. Nie miałam czasu na zajęcia, które sobie w ten

sposób znalazłam, i oczyma wyobraźni widziałam, jak Mark potrząsa głową.

– Osoba tak logiczna... - mówiłby z uśmiechem.

– A co ty byś zrobił? - odpowiadałam mu w myślach podczas bezsennych nocy. - Do diabła, co ty byś zrobił, gdybyś był na moim miejscu?

Umyłam szklanekę i poszłam do gabinetu przesłuchać automatyczną sekretarkę.

Dzwoniło paru dziennikarzy, matka i Lucy, moja siostrzenica.

Trzykrotnie ktoś odwiesił słuchawkę nic nie mówiąc.

Bardzo bym chciała mieć zastrzeżony numer, lecz nie wchodziło to w grę. Policja, prokuratorzy okręgowi oraz mniej więcej czterystu mianowanych patologów z całego stanu musiało mieć możliwość kontaktowania się ze mną także po godzinach pracy. Aby jakoś odbić sobie tę stratę prywatności, używałam automatycznej sekretarki do sprawdzania telefonów;

jeśli ktoś dzwonił z pogroźkami lub zostawiał obsceniczne wynurzenia, ryzykował, że zostanie namierzony dzięki programowi rejestrującemu numery, z których prowadzono rozmowy.

Nacisnęłam klawisz uruchamiający program. Kiedy doszłam do tych trzech głuchych telefonów, ogarnął mnie niepokój. Numer był zaskakująco znajomy, pojawiał się już na wąskim ekranie automatycznej sekretarki kilkakrotnie w zeszłym tygodniu i zawsze dzwoniący przerywał połączenie, nie zostawiając żadnej wiadomości. Raz zatelefonowałam, żeby się dowiedzieć, kto jest autorem tych kawałów, i usłyszałam przeraźliwy sygnał jak z faksu czy modemu komputera. Z jakiegoś powodu ów nieznany osobnik dzwonił do mnie trzy razy pomiędzy dwudziestą drugą

dwadzieścia a dwudziestą trzecią, kiedy ja w kostnicy czekałam na ciało Waddella.

To nie miało sensu. Pomyłki skomputeryzowanych telefonów nie powinny zdarzać się z taką częstotliwością, a jeśli modem omyłkowo łączył ze mną, to czy ktoś nie powinien już dojść do wniosku, że jego komputer wybiera niewłaściwy numer?



W nocy budziłam się kilka razy. Przy każdym skrzypnięciu, każdym szeleście serce zaczynało mi walić. Czerwone diody alarmu przeciwwłamaniowego mrugały złowieszczo, a kiedy zmieniałam pozycję albo otulałam się pościelą, fotokomórki, których nie włączałam, będąc w domu, spoglądały na mnie purpurowymi oczyma. Sny miałam dziwne. O wpół do szóstej zapaliłam lampy i ubrałam się.

Na drogach było ciemno i pusto, kiedy jechałam do pracy. Na parkingu nie zastałam żadnego samochodu, za to zobaczyłam mnóstwo woskowych świec, przywodzących na myśl religijne obrzędy. Te jednak posłużyły protestującym kilka godzin wcześniej. Weszłam do biura, zaparzyłam kawę i zabrałam się za papiery, które zostawił mi Fielding. Byłam ciekawa, co zawierała koperta z tylnej kieszeni Waddella. Spodziewałam się poematu, kolejnych medytacji albo listu od księdza.

Okazało się, że to, co Waddell uważał za niezwykle poufne i pragnął zabrać z e s obą d o g robu, to zwykłe rachunki. Pięć za przejazdy autostradą, trzy pozostałe za posiłki, w tym za pieczonego kurczaka, zamówionego w Shoney dwa tygodnie wcześniej.

ROZDZIAŁ DRUGI

Joe Trent wyglądałby całkiem młodo, gdyby nie broda i przerzedzone siwiejące blond włosy. Był szczupły i wysoki, płaszcz nosił mocno przewiązany w pasie, buty wypastowane na wysoki połysk. Mrugał nerwowo, kiedy się witaliśmy na chodniku przed izbą przyjęć szpitala Henrico. Widziałam, że sprawa Heatha bardzo go gnębi.

– Pozwoli pani, że chwilę tutaj porozmawiamy - rzekł, wypuszczając z ust białe obłoczki pary. - Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Drżąc z zimna przycisnęłam łokcie do boków. Niedaleko od nas helikopter z ogłuszającym warkotem startował z trawiastego zbocza. Zachodzący księżyc przypominał roztopiającą się kulę lodu, samochody na parkingu pokrywał brud od ulicznej soli i zimowych deszczy. Poranek był ponury i pozbawiony barw, wiatr ostry niczym cios. Cel mojej wizyty tutaj sprawiał, że odbierałam to tak intensywnie. Nawet gdyby temperatura nagle się podniosła i zaczęło grzać słońce, nie byłoby mi cieplej.

– Ta sprawa jest naprawdę zła, pani doktor. - Trent znowu zamrugął. - Chyba się zgadzamy, że szczegóły nie powinny zostać ujawnione.

– Co pan wie o tym chłopcu? - spytałam.

– Rozmawiałem z jego rodziną i znajomymi. Wszyscy zgodnie twierdzili, że Eddie Heath to zwykły, przeciętny dzieciak: lubi sport, rozwozi gazety, nigdy nie miał kłopotów z policją. Ojciec pracuje w firmie telefonicznej, matka szyje w domu. Poprzedniego wieczoru pani Heath potrzebowała puszki zupy grzybowej do potrawki, którą gotowała na obiad, i posłała Eddiego do sklepu.

– Jak daleko jest sklep od ich domu?

– Kilka przecznic. Eddie często tam bywał. Kasjerki go znają.
– O której widziano go po raz ostatni?
– Około siedemnastej trzydzieści. Spędził w sklepie kilka minut i wyszedł.

– Na dworze było już ciemno.
– To prawda. - Trent spoglądał na helikopter, który zmienił się już w białą ważkę, miękko prującą przez chmury. - Około dwudziestej trzydzieści funkcjonariusz z patrolu sprawdzał tyły zabudowań przy Patterson i zobaczył dziecko oparte o śmietnik.

– Ma pan fotografie?
– Nie, pani doktor. Kiedy policjant zorientował się, że chłopak żyje, zajął się sprowadzeniem pomocy. Nie mamy zdjęć, ale mamy bardzo szczegółowy opis. Chłopiec był nagi, siedział z wyprostowanymi nogami, rękoma przyciśniętymi do boków i zwieszoną głową. Ubranie leżało dość porządnie poskładane na chodniku koło niewielkiej torby z puszką zupy grzybowej i snickersem. Temperatura wynosiła dwadzieścia osiem stopni Farenheita.

Sądzymy, że posadzono go tam na kilka minut do pół godziny przed odnalezieniem.

Koło nas zahamował ambulans. Drzwi z trzaskiem się otworzyły, sanitariusze szybko wysunęli nosze na kółkach z leżącym na nich starcem i powieźli do szpitala. W milczeniu poszliśmy za nimi jasnym, aseptycznym korytarzem, po którym kręcili się pracownicy i pacjenci oszołomieni nieszczęściem, jakie ich tu sprowadziło. W windzie wiozącej nas na drugie piętro zastanawiałam się, jakie ślady zamazano i wyrzucono do kubła.

– A co z jego ubraniem? Znalaziono kulę? - zapytałam.
– Ubranie mam w samochodzie i po południu oddam do laboratorium.

Kula dalej tkwi w jego mózgu. Jeszcze się za to nie zabrali. Mam nadzieję, że uda im się go z tego wyciągnąć.

Oddział intensywnej terapii znajdował się na końcu wypastowanego korytarza.

Szklane szyby w podwójnych drewnianych drzwiach zaklejono tapetą w sympatyczne dinozaury, ściany w kolorze nieba ozdabiały tęcze, koło hydraulicznych łóżek stały fotele w kształcie zwierząt. Sal było osiem, usytuowanych półkolem wokół dyżurki pielęgniarek. Trzy młode kobiety pracowały przy komputerach, jedna pisała, inna rozmawiała przez telefon.

Szczupła brunetka w czerwonym swetrze przedstawiła się jako siostra oddziałowa, kiedy Trent wyjaśnił jej cel naszej wizyty.

– Lekarza jeszcze nie ma - rzekła przepraszająco.

– Chcemy tylko obejrzeć obrażenia Eddiego. To nie zajmie dużo czasu - wyjaśnił Trent. - Czy jego rodzina jeszcze tu jest?

– Byli przy nim całą noc.

Poszliśmy za nią, mijając zielone zbiorniki z tlenem, które nie znajdowałyby się przed pokojami małych chłopców i dziewczynek, gdyby świat był taki jak powinien. Pielęgniarka weszła do sali Eddiego i przymknęła za sobą drzwi. Usłyszałam, jak mówi:

– Tylko na kilka minut. Przeprowadzimy badanie.

– A tym razem jaki to specjalista? - drżącym głosem spytał Heath.

– Lekarz znający się na obrażeniach. To taki policyjny chirurg. - Dyplomatycznie nie nazwała mnie patologiem albo co gorsza koronerem.

Po chwili Heath cicho zapytał:

– Chodzi o dowody?

– Tak. Może napiją się państwo kawy? Coś zjedzą?

Z sali wyszli rodzice Eddiego, oboje bardzo otyli, w ubraniach wygniecionych po nocy. Na ich twarzach malowało się niedowierzanie

niewinnych prostych ludzi, którym powiedziano, że świat zaraz się skończy.

Eddie Heath leżał nieruchomo, jego głowę spowijały bandaże, maszyna tłoczyła mu powietrze do płuc, wbita w rękę kroplówka dostarczała niezbędnych do życia płynów. Cerę miał mleczną, zarost jeszcze nie zaczął mu się sypać. Cienkie powieki w przytłumionym świetle wydawały się sine.

Brwi w kolorze słomy pozwalały przypuszczać, że włosy też są tej barwy.

Nie wyszedł jeszcze z poprzedzającego dojrzewanie okresu, kiedy chłopcy mają śliczne i pełne usta, a śpiewają bardziej słodko niż ich siostry. Ciało pod pościelą wydawało się drobne, tylko nieproporcjonalnie wielkie nieruchome dłonie, pokryte siecią żyłek, pasowały do jego płci. Nie wyglądał na trzynaście lat.

– Pani doktor musi zobaczyć skaleczenia na ramieniu i nodze - zwrócił się Trent do pielęgniarki.

Założyłyśmy gumowe rękawiczki. Chłopiec pod przykryciem był nagi i brudny. Pacjentów w nieustabilizowanym stanie nie można dokładnie wykąpać.

Trent zeszywniał, kiedy pielęgniarka zdjęła z ran wilgotne opatrunki.

– Chryste - mruknął pod nosem. - To wygląda jeszcze gorzej niż wczoraj wieczorem.

Potrząsając głową cofnął się o krok.

Gdyby ktoś mi powiedział, że chłopca zaatakował rekin, uwierzyłabym, gdyby nie równe krawędzie ran, najwyraźniej zadanych ostrym narzędziem w rodzaju noża czy brzytwy. Spore kawałki ciała wycięto z prawego ramienia i wewnętrznej strony prawego uda. Wyjęłam z torby linijkę i zmierzyłam rany nie dotykając ich, następnie zrobiłam zdjęcia.

– Widzi pani te nacięcia i zadrapania przy krawędziach? - zapytał Trent.
- O tym właśnie mówiłem. Tak jakby morderca wyciął mu na skórze jakiś wzór, a potem całość usunął.

– Czy znaleziono uszkodzenia w odbycie? - zwróciłam się do pielęgniarki.

– Podczas mierzenia temperatury niczego nie zauważyłam. Przy intubowaniu nie stwierdzono też niczego w ustach czy gardle. Sprawdziłam, czy nie ma starych zadrapań albo siniaków.

– A tatuaże?

– Tatuaże? - powtórzyła, jakby nigdy w życiu nie widziała tatuażu.

– Tatuaże, znamiona, blizny. Wszystko, co ktoś mógł z jakiegoś powodu usunąć - rzekłam.

– Nie mam pojęcia - odparła z wahaniem.

– Pójdę zapytać rodziców - powiedział Trent, wycierając pot z czoła.

– Może są w kawiarni.

– Znajdę ich - zapewnił i wyszedł.

– Co mówią lekarze? - zapytałam pielęgniarki.

– Jest w stanie krytycznym, brak reakcji - odrzekła bez emocji.

– Czy mogę zobaczyć, którędy weszła kula?

Poluzowała bandażę na głowie, po czym lekko je odsunęła, tak bym mogła zobaczyć małą czarną dziurę o osmalonych krawędziach. Wlot znajdował się w prawej skroni, nieco ku przodowi.

– Kula przeszła przez przedni płąt? - spytałam.

– Tak.

– Przeprowadzono angiografię?

– W mózgu nie ma krążenia z powodu obrzęku. Nie ma żadnej aktywności elektroencefalograficznej, zimna woda w uszach nie wywołała reakcji kalorycznej.

Stała po drugiej stronie łóżka z opuszczonymi rękami i beznamiętnym głosem relacjonowała różnorodne zabiegi mające na celu zwiększenie ciśnienia wewnątrzczaszkowego. Odbyłam staże w izbie przyjęć i na oddziale intensywnej terapii i doskonale wiedziałam, o ile łatwiej traktować klinicznie pacjenta, który nigdy się nie obudzi.

A Eddie Heath do takich należy. Zniszczeniu uległa jego kora mózgowa, dzięki której mógł myśleć i odczuwać. Pozostały mu funkcje fizjologiczne, pozostał pień mózgu. Był oddychającym ciałem z bijącym sercem, utrzymywanym przy życiu przez aparaty.

Zabrałam się do oglądania obrazów. Odsuwając z pola widzenia kroplówki i kable, mimowolnie wzięłam go za rękę i aż podskoczyłam z wrażenia, kiedy poczułam uścisk jego dłoni. Tego typu odruchy zdarzają się często u ludzi z martwą korą mózgową. Identycznie zachowują się niemowlęta, kiedy chwytają palec, są to gesty, w których procesy myślowe nie biorą udziału. Łagodnie odłożyłam rękę chłopca na łóżko i wzięłam głęboki oddech.

– Znalazła coś pani? - zapytała pielęgniarka.

– Trudno cokolwiek zobaczyć w plątaninie tych wszystkich podłączeń - odrzekłam.

Założyła mi na powrót opatrunki i podciągnęła pościel pod brodę. Zdjęłam rękawiczki i wrzuciłam do kosza. W tej samej chwili wrócił wzburzony Trent.

– Żadnych tatuaży - rzekł zdyszany, jakby drogę w obie strony przebył biegiem. - Ani też znamion czy blizn.

Chwilę później zmierzaliśmy w stronę parkingu. Słońce od czasu do czasu przedzierało się przez chmury, sypał drobny śnieg. Zmrużywszy powieki przed wiatrem, patrzyłam na zatłoczoną Forest Avenue. Sporo samochodów ozdobionych było bożonarodzeniowymi wieńcami.

– Chyba lepiej będzie, jak pan się przygotuje na możliwość śmierci małego - odezwałam się.

– Gdybym tak myślał, nie ciągnąłbym pani tutaj. Cholera, ale ziąb.

– Słusznie pan postąpił. Za kilka dni te obrażenia będą wyglądać inaczej.

– Mówią, że cały grudzień ma być taki. Zimno jak na Syberii i mnóstwo śniegu. Ma pani dzieci?

– Mam siostrzenicę - odparłam.

– A ja dwóch chłopców, jeden skończył trzynaście lat.

Wyjęłam kluczyki.

– Mój samochód jest tam - powiedziałam.

Trent skinął głową i ruszył za mną. W milczeniu patrzył, jak otwieram drzwi szarego mercedesa. Dokładnie obejrzał skórzane wykończenie wnętrza, kiedy wsiadłam i zapięłam pasy. Wodził wzrokiem po samochodzie, jakby to była ponętna kobieta.

– No i co, widziała już pani takie rany? - zapytał.

– Niewykluczone, że mamy do czynienia z osobnikiem o skłonnościach kanibalistycznych - rzekłam.



Po powrocie do biura przejrzałam pocztę, podpisałam całą gromadę raportów laboratoryjnych, przelałam do kubka płynną smołę, jaka została na dnie dzbanka z kawą. Z nikim nie rozmawiałam. Rose pojawiła się tak cicho, że nie zauważyłabym jej, gdyby nie położyła na biurku stosu wycinków prasowych.

– Wygląda pani na zmęczoną - powiedziała. - Od której tu pani jest? Jak przyszłam, zobaczyłam, że kawa jest zaparzona, a pani już nie ma.

– W szpitalu Henrico mają ciężki przypadek - odparłam. - Chłopiec, który prawdopodobnie niedługo znajdzie się u nas.

- Eddie Heath.
- Tak - potwierdziłam zaskoczona. - Skąd wiesz?
- Z gazet - wyjaśniła, a ja zauważyłam, że ma nowe okulary, nadające jej patrycjuszowskiej twarzy mniej wyniosły wygląd.
- Ładne masz okulary. O niebo lepsze od tych w stylu Bena Franklina, które tkwiły na czubku nosa. Co o nim piszą?
- Niewiele, tylko tyle, że znaleziono go postrzelonego na jednej z przecznic Patterson Avenue. Gdyby mój syn miał tyle lat, nie pozwoliłabym mu za skarby świata rozwozić gazet.
- Eddie Heath nie rozwoził gazet, kiedy go napadnięto.
- Wszystko jedno. I tak bym nie pozwoliła. Boże, co za czasy. Zaraz, zastanówmy się. - Położyła palec na nosie. - Fielding na dole przeprowadza sekcję, Susan powiozła mózgi na konsultację do szpitala. Podczas pani nieobecności komputer się zepsuł, poza tym nic się nie zdarzyło.
- Dalej nie działa?
- Margaret pracuje nad tym i chyba już kończy - rzekła Rose.
- Dobrze. Jak naprawi komputer, mam dla niej robotę. Przeszukiwanie na hasła: cięcie, obrażenia, kanibalizm, ślady po ugryzieniach. Oraz przeszukiwanie na słowa: *wycięte, skóra, ciało* w różnych kombinacjach. Można też sprawdzić *rozcłonkowanie*, aczkolwiek nie sądzę, że mamy z tym do czynienia.
- Na jaki obszar i okres? - zapytała Rose, robiąc notatki.
- Cały stan przez ostatnie pięć lat. Szczególnie interesują mnie przypadki, w których ofiarami były dzieci, ale nie wyłącznie. I powiedz jej, żeby przejrzała Rejestr Urazów. Na konferencji w zeszłym miesiącu rozmawiałam z dyrektorem, sprawiał wrażenie, że chętnie udostępni nam swoje dane.
- Chce pani dotrzeć do ofiar, które przeżyły?

– Jeśli to możliwe. Musimy szukać wszędzie, żeby się przekonać, czy znajdziemy sprawy podobne do sprawy Eddiego.

– Pójdę do Margaret i zobaczę, czy może już zacząć.

Zajęłam się artykułami, które Rose wycięła z porannej prasy. Nie zdziwiło mnie, że sporo miejsca poświęcono rzekomemu krwotokowi Ronniego Waddella „z o czu, n osa i u st”. Miejscowy oddział Amnesty International utrzymywał, że ta egzekucja była równie niehumanitarna jak morderstwo.

Rzecznik Amerykańskiego Stowarzyszenia Praw Obywatelskich stwierdził, że krzesło elektryczne „być może działało nieprawidłowo, przyczyniając Waddellowi straszliwych cierpień”, po czym porównał jego egzekucję z egzekucją na Florydzie, kiedy to użyto syntetycznych gąbek, od których zapaliły się włosy skazańca.

Wkładając wycinki do teczki Waddella próbowałam przewidzieć, jakie króliki tym razem wyciągnie z kapelusza jego obrońca Nicholas Grueman.

Charakter naszych starć, acz sporadycznych, coraz łatwiej było przewidzieć.

Zaczynałam podejrzewać, że w gruncie rzeczy chodzi mu o to, by podważyć moje zawodowe kompetencje i zrobić ze mnie idiotkę. Najbardziej wszakże deprymowało mnie to, że słowem nie okazywał, czy pamięta, że byłam jego studentką w Georgetown. Przez niego pierwszy rok prawniczych studiów zamienił się w koszmar, dostałam zaledwie czwórkę i straciłam szansę dostania się do „Law Review”. Do końca życia nie zapomnę Nicholasa Gruemana, dlatego wydawało mi się niesprawiedliwością, że on mnie zapomniał.

Zadzwoił do mnie w czwartek, wkrótce po tym, jak dowiedziałam się o śmierci Eddiego Heatha.

– Kay Scarpetta? - usłyszałam w słuchawce głos Gruemana.

– Przy telefonie.

Zamknęłam oczy. Miałam wrażenie, że jakaś siła próbuje je wypchnąć z oczodołów, co było pierwszym symptomem zbliżającej się migreny.

– Mówi Nicholas Grueman. Przeglądałem wstępny raport z sekcji Waddella i mam w związku z tym kilka pytań.

Milczałam.

– Mówię o Ronniem Joe Waddellu - ciągnął Grueman.

– W czym mogę panu pomóc?

– Zaczniemy od tak zwanego niemal cylindrycznego żołądka. Swoją drogą to bardzo ciekawy opis. Zastanawiam się, czy to pani osobisty, czy też właściwy medyczny termin? Czy mam rację, wyciągając z tego wnioski, że pan Waddell nic nie jadł?

– Nie umiem powiedzieć, czy w ogóle nic nie jadł. Wiem tylko, że żołądek miał skurczony, pusty i czysty.

– Czy poinformowano panią, że podjął strajk głodowy?

– O niczym takim mnie nie informowano.

Spojrzałam na ścienny zegar. Światło ostro uraziło mnie w oczy. Skończyła mi się aspiryna, lek rozkurczowy zostawiłam w domu. Usłyszałam szelest kartek.

– W raporcie mowa o otarciach na wewnętrznych częściach obu przedramion - powiedział Grueman.

– Tak jest.

– A dokładnie co to są te wewnętrzne części?

– Okolice łokciowe przednie.

W słuchawce zapadło milczenie.

– Okolice łokciowe przednie - powtórzył ze zdziwieniem. - Zaraz, zaraz.

Odwróciłem rękę wnętrzem dłoni do góry i patrzę na miejsce, gdzie ręka się zgina. Czy słusznie wnoszę, że okolica łokciowa przednia znajduje się

ponad stawem łokciowym?

– To prawidłowe stwierdzenie.

– No to doskonale. A według pani skąd wzięły się zranienia w okolicach łokciowych przednich pana Waddella?

– Prawdopodobnie od pasów - odparłam z rozdrażnieniem.

– Pasów?

– Skórzanych pasów, którymi skazańca przypina się do krzesła elektrycznego.

– Powiedziała pani: prawdopodobnie od pasów, czy tak?

– Tak właśnie powiedziałam.

– Co oznacza, że nie może tego pani stwierdzić z całą pewnością, pani doktor?

– Mało jest rzeczy w życiu, które możemy stwierdzić z całą pewnością, panie Grueman.

– Tak więc istnieją uzasadnione powody, by przypuszczać, że te obrażenia powstały w inny sposób? Że na przykład zadał je człowiek?

– Otarcia, które zauważyłam w trakcie sekcji, nie odpowiadają zranieniom zadany przez człowieka - odrzekłam.

– Natomiast odpowiadają zranieniom zadany przez skórzane pasy połączone z krzesłem elektrycznym...

– Moim zdaniem to prawdopodobne.

– Pani zdaniem, pani doktor?

– Nie przeprowadzałam oględzin krzesła elektrycznego - odparłam ostro.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Grueman słynął ze znaczącego milczenia, którym podkreślał oczywistą niekompetencję studenta. Wyobraziłam go sobie pochylonego nade mną, z rękoma założonymi na plecach i twarzą bez wyrazu, podczas gdy zegar ścienny głośno odmierza sekundy. Kiedyś znosić musiałam przez ponad dwie minuty jego baczne spojrzenie, na

próżno wodząc wzrokiem po otwartej stronie leżącego przede mną podręcznika.

A teraz, dwadzieścia lat później, siedziałam przy swoim solidnym biurku z orzecha, główny stanowy patolog, kobieta w średnim wieku z taką liczbą stopni naukowych i świadectw, że wystarczyłoby na wytapetowanie ściany, i czułam, że twarz zaczyna mi płonąć. Jak w czasach studenckich ogarnęły mnie upokorzenie i wściekłość.

Susan weszła do mojego biura w chwili, kiedy Grueman nieoczekiwanie zakończył rozmowę.

– Dobrego dnia życzę - rzekł i odwiesił słuchawkę.

– Przywieźli ciało Eddiego Heatha - oznajmiła Susan. Świeży chirurgiczny fartuch miała rozpięty z tyłu, wyraz twarzy roztargniony. - Czy może poczekać do rana?

– Nie - odrzekłam. - Nie może.



Na zimnym stalowym stole chłopiec wydawał się mniejszy niż w jasnej pościeli szpitalnego łóżka. W tym pomieszczeniu nie było tęczy na ścianie, dinozaurów na oknach ani innych kolorowych ozdób, mogących rozweselić dziecko. Eddiego Heatha przywieziono nagiego, z igłami do kroplówek, cewnikiem i bandażami wciąż na miejscu. Sprawiały wrażenie smutnych resztek łączących go ze światem więzi, które zostały odcięte, jak sznurek ciągnący się za balonem płynącym przez puste powietrze. Opisałam skaleczenia oraz ślady po zabiegach medycznych, podczas gdy Susan robiła zdjęcia i rozmawiała przez telefon.

Salę sekcyjną zamknęłyśmy na klucz. Z korytarza dochodziły kroki i głosy ludzi wysiadających z windy i idących do domu w gwałtownie zapadającym zmierzchu. Dwukrotnie rozlegał się dzwonek do tylnych

drzwi - to pracownicy domów pogrzebowych przywozili lub odbierali ciało. Rany na udzie i ramieniu Eddiego były suche i ciemnoczerwone.

– Boże - odezwała się Susan. - Dobry Boże, kto mógł coś takiego zrobić? I jeszcze te drobne nacięcia na brzegach. Tak jakby ktoś wyciął krzyżyki, a potem usunął kawał ciała.

– Uważam, że tak właśnie się stało.

– Myśli pani, że ktoś wyciął mu na ciele jakiś wzór?

– Sądzę, że ktoś chciał coś usunąć. A ponieważ mu się nie udało, wyciął fragment skóry.

– Ale co chciał usunąć?

– Nic, co Eddie miał wcześniej - rzekłam. - Nie miał tatuaży, znamion ani blizn. Jeśli niczego tu nie było, to w takim razie coś zostało dodane, a następnie usunięte ze względu na potencjalną wartość dowodową.

– Jak na przykład ślady po ugryzieniach.

– Właśnie - potwierdziłam.

W ciele nie nastąpiło jeszcze stężenie, było wciąż ciepłe, kiedy tamponem przecierałam te fragmenty skóry, do których ściereczka mogłaby nie dotrzeć. Sprawdziłam pachy, fałdy pośladkowe, uszy wewnątrz i zewnątrz, pępek. Obciąłam paznokcie i schowałam do czystej białej koperty, po czym dokładnie przejrzałam włosy, czy nie ma w nich włókien i innych zanieczyszczeń.

Susan nie odrywała ode mnie spojrzenia. Czułam, że jest spięta. W końcu zapytała:

– Szuka pani czegoś specjalnego?

– Przede wszystkim wyschniętego nasienia - odrzekłam.

– Pod pachami?

– Tam i w każdej fałdzie skóry, w każdym otworze, wszędzie.

– Zwykle nie sprawdzamy tak dokładnie.

- Zwykle nie szukamy zebry.
- Czego?
- W akademii medycznej mieliśmy takie powiedzenie: Jeśli słyszysz tętent kopyt, szukasz koni, w takim jednak przypadku jak ten szukasz zebry - wyjaśniłam.

Wzięłam szkło powiększające i zaczęłam dokładnie oglądać każdy cal ciała. Kiedy doszłam do nadgarstków, powoli kilkakrotnie odwróciłam dłonie, przypatrując się im tak długo, że Susan przerwała swoje zajęcie.

Porównałam wykresy, na których oznaczono ślady po zabiegach, ze zranieniami znalezionymi przeze mnie.

– Gdzie są jego karty? - zapytałam.

– Tutaj - Susan podała mi stos papierów.

Głównie koncentrowałam się na zapisach izby przyjęć oraz pogotowia.

Nigdzie nie znalazłam wzmianki o tym, że Eddie Heath miał związane ręce.

Próbowałam sobie przypomnieć, jak detektyw Trent opisał mi pozycję, w której chłopca znaleziono. Czy nie mówił, że ręce Eddiego przylegały do boków?

– Odkryła coś pani? - zapytała wreszcie Susan.

– Widać to tylko przez szkło powiększające. O, tutaj. Wewnętrzna strona przegubów, na lewej ręce na lewo od kości nadgarstkowej. Widzisz te pozostałości?

Ślady po plastrze? Wyglądają jak smugi szarego kurzu.

– Ledwo, ledwo. Może przywarły do tego jakieś włókna - odparła Susan, nachylając się nad zwłokami.

– Poza tym skóra jest gładka - ciągnęłam. - Mniej włosów niż tu i tu.

– Bo kiedy odlepiono plaster, włosy zostały wyrwane.

– Właśnie. Pobierzemy próbki włosów z nadgarstków. Klej oraz włókna będzie można dopasować do plastra, jeśli oczywiście policja kiedykolwiek go znajdzie, a po plastrze dojdziemy do całej rolki.

– Nie rozumiem. - Susan wyprostowała się i spojrzała na mnie. - Przecież kroplówki przymocowano plastrem. Jest pani pewna, że to nie tłumaczy tych śladów?

– W obrębie nadgarstków nie ma śladów po igłach - odrzekłam. - Poza tym widziałas, gdzie miał kroplówki, kiedy go przywieziono. Nic nie pasuje do plastra tutaj.

– To prawda.

– Zrób zdjęcia, potem zbiorę resztki kleju i prześlę do laboratorium. Zobaczymy, co nam powiedzą.

– Znalaziono go przy śmietniku. Laboratorium będzie miało niezłą zabawę.

– Zależy od tego, czy pozostałości na nadgarstkach weszły w kontakt z chodnikiem - stwierdziłam, delikatnie zdrapując skalpelem klej.

– Nie przypuszczam, żeby tam odkurzano.

– Ja też nie, ale myślę, że jeśli ładnie poprosimy, pozamiatają i dostaniemy szufelkę. Nie zaszkodzi poprosić.

Poza tym na chudych rękach i przegubach chłopca nie znalazłam żadnych otarć czy siniaków.

– Kostki są w porządku - oznajmiła Susan z drugiego końca stołu. - Nie widzę kleju ani śladów po wyrwanych włosach. Żadnych skaleczeń. W kostkach go nie związano.

Mogłam przytoczyć ledwo kilka przypadków, kiedy ofiara, mimo iż ciasno skrępowana, nie miała na ciele żadnych śladów. Tu nie ulegało wątpliwości, że plaster znajdował się na skórze Eddiego. Być może

chłopiec próbował się uwolnić, kiedy krążenie krwi się pogorszyło i ścierpły mu ręce. Lecz się nie opierał, nie szarpał, nie uciekał.

Przypomniałam sobie strużki krwi na rękawie kurtki i smugi sadzy na kołnierzu. Jeszcze raz zbadalam wnętrze ust i język, po czym zerknęłam do kart szpitalnych. Nic nie wskazywało na to, że chłopca zakneblowano, nie było żadnych obrażeń. Wyobraziłam go sobie siedzącego nago w przenikliwym zimnie, opartego o śmietnik, z leżącą obok stertą ubrań poskładanych ani przesadnie porządnie, ani przesadnie niechlujnie, jak mi to opisano.

W emocjach towarzyszących tej zbrodni nie wyczuwałam ani gniewu, ani paniki, ani strachu.

– Najpierw strzelił do niego, tak? - Oczy Susan miały czujny wyraz, jak u ostrożnego przechodnia, którego mijasz na pustej mrocznej ulicy. - Dopiero potem związał mu ręce.

– Też mi się tak wydaje.

– Ale to niesamowite. Nie potrzeba wiązać kogoś, komu właśnie strzeliło się w głowę.

– Nie wiemy, jakie fantazje miał sprawca.

Migrena nadeszła; oczy mi łzawiły, czaszka zdawała się być o dwa numery za mała.

Susan wymieniła ostrza w skalpelach, następnie sprawdziła noże na chirurgicznym wózku. Z rentgena przyniosła klisze z prześwietleń Eddiego i przymocowała do podświetlonych szyb. Gorączkowo się krzątała i w końcu zrobiła coś, co dotąd nigdy jej się nie zdarzyło. Z rozmachem wpadła na chirurgiczny wózek, na którym wcześniej starannie ułożyła narzędzia, i w rezultacie na ziemię spadły dwa ćwierćlitrowe słoje z formaliną.

Odkoczyła i z trudem łapiąc powietrze odganiała dłonią opary od twarzy.

O mało się nie pośliznęła na odłamkach szkła, które rozprysły się po całym pomieszczeniu. Złapałam ją pod ramię i wyprowadziłam do szatni.

– Trafiło cię w twarz?

– Wydaje mi się, że nie. O Boże. Za to oblało mi nogi. I chyba rękę.

– Jesteś pewna, że nie masz formaliny w oczach ani w ustach?

– Tak.

Odkręciłam wodę w prysznicu, podczas gdy Susan zdierała z siebie ubranie.

Przez długi czas kazałam jej stać pod strumieniem letniej wody. Sama w masce na twarzy, okularach ochronnych i gumowych butach zabrałam się za porządki. Na rozlane chemikalia położyłam chłonne poduszki, które władze stanowe dostarczały nam na wypadek podobnych biochemicznych katastrof, zmiotłam szkło i razem z poduszkami umieściłam w podwójnych plastikowych workach. Następnie dokładnie umyłam podłogę wodą z węża, sama się umyłam i przebrałam w czysty fartuch. Susan wyszła spod prysznicza zaróżowiona i przerażona.

– Tak mi przykro, pani doktor - powiedziała.

– Martwię się tylko o ciebie. Nic ci nie jest?

– Jestem słaba i trochę oszołomiona. Wciąż czuję opary.

– Sama skończę sekcję - zdecydowałam. - Ty idź do domu.

– Najpierw chyba trochę odpoczne. Lepiej będzie, jak pójdę na górę.

Na krześle wisiał mój fartuch, wyjęłam z kieszeni klucze i podałam jej.

– Idź do mojego gabinetu i połóż się na sofie. Daj mi znać, gdyby zawroty głowy nie minęły i twój stan się pogorszył.

Pojawiła się w jakąś godzinę później, ubrana w płaszcz.

– Jak się czujesz? - zapytałam.

– Trochę roztrzęsiona, ale poza tym w porządku. - Przez chwilę przyglądała mi się w milczeniu, później dodała: - Coś mi przyszło do

głowy, kiedy leżałam w pani gabinecie. Chyba nie powinna wpisywać mnie pani na listę świadków w tej sprawie.

Spojrzałam na nią zaskoczona. Automatycznie każdy obecny w czasie sekcji podawany jest jako świadek w końcowym raporcie. Prośba Susan nie miała wielkiego znaczenia, lecz była dziwna.

– Nie brałam udziału w sekcji - ciągnęła. - To znaczy, pomagałam w badaniu zewnętrznym, ale nie byłam obecna w czasie samej sekcji. A sama pani wie, że to będzie poważna sprawa, jeśli naturalnie dojdzie do procesu.

Myślę sobie, że skoro w gruncie rzeczy przez większość czasu nie było mnie tutaj, lepiej nie umieszczać mojego nazwiska na liście.

– Dobrze. Nie widzę problemu - odparłam.

Położyła klucze na stole i wyszła.



Marino był w domu, kiedy zadzwoniłam do niego z samochodu mniej więcej godzinę później.

– Znasz dyrektora Spring Street? - zapytałam.

– Nazywa się Frank Donahue. Gdzie jesteś?

– W samochodzie.

– Tak myślałem. Połowa kierowców ciężarówek z całej Wirginii słucha sobie naszej rozmowy na swoich CB.

– Wiele nie usłyszą.

– Wiem o małym - rzekł Marino. - Skończyłaś z nim?

– Tak. Później do ciebie zadzwonię. Na razie mam prośbę. Muszę natychmiast sprawdzić kilka rzeczy w więzieniu.

– Problem ze sprawdzaniem w więzieniu polega na tym, że odpłacają ci się tym samym.

– Dlatego ty pojedziesz ze mną - oznajmiłam.



Jeśli owe dwa żalosne semestry z profesorem czegoś mnie nauczyły, to zasady, że zawsze trzeba być przygotowanym. Z tego też powodu w sobotnie popołudnie Marino i ja wyruszyliśmy do stanowego więzienia. Niebo miało barwę ołowiu, wiatr gwał do ziemi drzewa rosnące przy drodze, cały wszechświat zdawał się trwać w stanie zimnego podniecenia.

– Moim zdaniem, jeśli chcesz wiedzieć - odezwał się Marino - pozwalasz Gruemanowi sobą pomiatać.

– Wcale nie.

– To dlaczego przy każdej egzekucji, z którą on ma związek, tak się zachowujesz?

– A ty co byś zrobił w podobnej sytuacji?

Marino pstryknął zapalniczką.

– To samo co ty. Obejrzałbym sobie celę śmierci i krzesło elektryczne, wszystko bym udokumentował, a potem bym mu powiedział, jakie z niego gówno. Albo jeszcze lepiej, powiedziałbym to prasie.

W porannej gazecie zacytowano Gruemana, który stwierdził, że Waddella źle odżywiano, a na jego ciele są siniaki, których obecności nie potrafiłam przekonująco wyjaśnić.

– Poza tym w czym problem? - ciągnął Marino. - Bronił tych drani, kiedy studiowałaś prawo?

– Nie. Kilka lat temu zaproponowano mu prowadzenie Criminal Justice Clinic w Goergetown. To wtedy zaczął przyjmować bez honorarium sprawy grożące karą śmierci.

– Facet musi mieć luźno pod sufitem.

– Jest zagorzałym przeciwnikiem kary śmierci, a każdego, kogo broni, udaje mu się zamienić w osobistość. W szczególności Waddella.

– Jasne. Święty Mikołaj, patron bandziorów. Jakie to wzruszające - rzekł Marino. - Może pošlesz mu kolorowe zdjęcia Eddiego Heatha i poprosisz, żeby porozmawiał z rodziną małego. Ciekawe, co pomyśli o świni, która popełniła tę zbrodnię.

– Nic nie zmieni poglądów Gruemana.

– Ma dzieci? Żonę? Kogoś bliskiego?

– To bez znaczenia, Marino. Przypuszczam, że w sprawie Eddiego nie zrobiliście żadnych postępów.

– Nie, w Henrico też do niczego nie doszli. Mamy tylko jego ubranie i kulę z dwudziestki dwójki. Może laboratorium będzie miało szczęście i coś znajdzie w materiałach, które im przekazałaś.

– A co z VICAP? - zapytałam, mając na myśli zespół do ścigania przestępców, odpowiedzialny za najcięższe zbrodnie, do którego należeli także Marino i Benton Wesley, psycholog z FBI.

– Trent przygotowuje formularze, wyśle je za kilka dni - odparł Marino. - A ja wczoraj wieczorem powiadomiłem o sprawie Bentona.

– Czy Eddie należał do dzieci, które mogą wsiąść do samochodu nieznanego?

– Według jego rodziców, nie. Mamy do czynienia albo z błyskawicznym atakiem, albo z kimś, kto poświęcił czas, żeby zdobyć zaufanie małego.

– Jest jedynakiem?

– Ma siostrę i brata, oboje ponad dziesięć lat starsi od niego. Eddie chyba był wypadkiem przy pracy - rzekł Marino.

Dojeżdżaliśmy do więzienia. Lata zaniedbań nadały tynkowi odcień brudnego różu. Okna były ciemne, zaklejone grubymi plastikowymi foliami, które wiatr podarł i poszarpał. Z Belvedere skręciliśmy w lewo na Spring Street, ponurą uliczkę łączącą dwa różne światy. Ciągnęła się kilka przecznic za więzieniem, potem po prostu kończyła na Gambles Hill, gdzie

na nieskazitelnym trawniku niczym ogromna czapla wznosił się biały gmach Ethyl Corporation.

Mżawka zamieniła się w deszcz ze śniegiem, kiedy wysiadaliśmy z samochodu.

Minęliśmy śmietnik, rampę prowadzącą do magazynu, teraz zajętą przez stado kotów, w których zachowaniu nonszalancja mieszała się z czujnością dzikich zwierząt. Frontowe drzwi były ze szkła. Weszliśmy do pomieszczenia, pretendującego do szumnej nazwy holu, i stwierdziliśmy, że jesteśmy za kratkami. Nie było tu krzeseł, w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Po prawej znajdowała się wartownia z niewielkim okienkiem, które tęga kobieta w mundurze nieśpiesznie otworzyła.

– W czym mogę państwu pomóc?

Marino pokazał odznakę, po czym lakonicznie wyjaśnił, że jesteśmy umówieni z dyrektorem Frankiem Donahue. Kobieta kazała nam czekać i zamknęła okienko.

– To Helen Hun - odezwał się Marino. - Byłem tu setki razy, a ona wciąż tak się zachowuje, jakby na oczy mnie nie widziała. No, ale ja nie jestem w jej typie. Zaraz bliżej ją poznasz.

Za wrotami z kraty ciągnął się obskurny korytarz wyłożony brązowymi płytami oraz niewielkie biura przypominające klatki. Na końcu znajdował się pierwszy rząd cel, pomalowanych na przepisową zieleni; kraty tu i ówdzie znaczyła rdza. Cele były puste.

– Kiedy przewiozą resztę osadzonych? - zapytałam.

– Do końca tygodnia.

– A kto tu został?

– Kilku prawdziwych dżentelmenów z Wirginii, drani skazanych na izolatkę.

Wszyscy są pod kluczem, łańcuchami przywiązani do prycz w bloku C. To tam - ręką pokazał na zachód. - Ale my tam nie pójdziemy, więc się nie denerwuj. Nie naraziłbym cię na to. Niektórzy od lat nie widzieli kobiety, bo Helen Hun się nie liczy.

Na korytarzu pojawił się potężny młody mężczyzna w mundurze strażnika.

Przyjrzał się nam przez kraty. Twarz miał przystojną, lecz twardą, o mocnej szczęce i zimnych szarych oczach. Rude wąsy zakrywały górną wargę, która, jak podejrzewałam, umie skrzywić się w okrutnym grymasie.

Marino przedstawił nas, po czym dodał:

– Przyszliśmy obejrzeć krzesło.

– Wiem. Nazywam się Roberts i mam was oprowadzić. - Klucze szcęknięły o żelazo, kiedy otwierał ciężkie wrota. - Dyrektor Donahue został w domu, bo jest chory. - Trzask zamykanych za nami wrót odbił się echem od ścian. - Niestety, najpierw musimy was przeszukać. Proszę stanąć tam, pani doktor.

Zaczął przesuwając skanerem po Marino. Kolejne zakratowane drzwi otworzyły się i w progu stanęła Helen. Była to ponura kobieta, zbudowana niczym kościół baptystów. Lśniący pas stanowił jedyną wskazówkę, że w ogóle ma talię. Obcięte krótko włosy miała ufarbowane na czarno, oczy czujne. Nazwisko na identyfikatorze przypiętym do obfitego biustu brzmiało „Grimes”.

– Pani torba - poleciała.

Podaliśmy jej lekarską walizeczkę. Przejrzała jej zawartość, następnie bezceremonialnie zaczęła mnie odwracać raz w jedną, raz w drugą stronę, poklepując i badając skanerem. Przeszukiwanie nie trwało dłużej niż dwadzieścia sekund, a jej w tym krótkim czasie udało się poznać każdy cal mojego ciała. Przyciskała mnie przy tym do schowanego pod sztywnym

mundurem biustu niczym ogromny pajak i głośno sapała. Wreszcie skinęła głową na znak, że jestem czysta, po czym wróciła do swej kryjówki z betonu i żelaza.

Marino i ja podążyliśmy za Robertsem. Strażnik ze szczękiem otwierał i zamykał kolejne drzwi. O nic nas nie pytał, nie zrobił ani jednej wzmianki, którą choć w przybliżeniu mogłabym określić jako przyjacielską. Wydawał się bez reszty pochłonięty swoją rolą, aczkolwiek nie byłam pewna, czy tego popołudnia bardziej czuje się przewodnikiem wycieczek czy psem policyjnym.

Skręciliśmy w prawo i weszliśmy do ogromnego pomieszczenia pomalowanego na zielono, z wybitymi oknami i czterema poziomami cel. Na środku korytarza walały się wąskie materace, szczotki, szmaty, pogryzione przez szczury czerwone fotele fryzjerskie. Na wysokich parapetach piętrzyły się skórzane adidas, dzinsy i inne rzeczy osobiste; w celach dostrzegłam telewizory, książki i szafki na buty. Wyglądało na to, że więźniów ewakuowano, nie pozwalając im zabrać niczego ze sobą, co prawdopodobnie tłumaczyło wypisane mazakiem na ścianach wulgaryzmy.

Roberts otworzył kolejne drzwi i znaleźliśmy się na podwórku, kwadracie rudziejącej trawy otoczonym przez brzydkie bloki. Nie było tu drzew.

W każdym kącie wznosiła się wieża strażnicza, stojący na nich mężczyźni ubrani byli w ciężkie płaszcze i mieli broń w pogotowiu. Szliśmy szybko, bo w twarze ciął deszcz ze śniegiem. Zeszliśmy po kilku stopniach na krótki korytarz zakończony żelaznymi drzwiami, bardziej solidnymi niż wszystkie, które dotąd widziałam.

– Wschodnia piwnica - wyjaśnił Roberts, wkładając klucz do zamka.

Przed nami były cele śmierci.

Na wschodniej ścianie mieściło się pięć cel; w każdej znajdowała się żelazna prycza, zlew i sedes z białego porcelitu. Na środku korytarza stało potężne biurko i kilka krzeseł dla strażników, pełniących wartę na okrągło, kiedy w celach przebywali lokatorzy.

– Waddell był w celi numer dwa - powiedział Roberts. - Zgodnie z prawem osadzonego należy przenieść tutaj na piętnaście dni przed terminem egzekucji.

– Kto mógł tutaj wchodzić podczas pobytu Waddella? - zapytał Marino.

– Ci, co zawsze mają dostęp do celi śmierci. Prawnicy, duchowni, ludzie z oddziału śmierci.

– A co to jest? - zapytałam.

– Tworzy się go z funkcjonariuszy służby więziennej, jego skład jest tajny.

Oddział ma do czynienia z osadzonym od chwili, kiedy przewozi się go tutaj z Mecklenburga. Pilnują go, ustalają wszystko od początku do końca.

– To chyba nie jest przyjemny przydział.

– To nie przydział, to wybór - odparł Roberts z wyższością typową dla trenerów, z którymi przeprowadza się wywiad po wielkiej wygranej.

– I to panu nie przeszkadza? - zapytał Marino. - Daj pan spokój, widziałem, jak Waddella prowadzono na krzesło. To musi być męczące.

– Ani trochę. Wracam do domu, piję piwo i idę do łóżka. - Roberts wyjął z kieszeni na piersi paczkę papierosów. - Z tego, co mówił Donahue, chcecie wiedzieć, co tu się stało. Więc słuchajcie. - Usiadł na biurku i zapalił. - Trzynastego grudnia Waddellowi zezwolono na dwugodzinną wizytę członków najbliższej rodziny. W jego wypadku była to matka. Około trzynastej założyliśmy mu łańcuch w pasie, kajdanki na ręce i nogi i zaprowadziliśmy do sali widzeń. O siedemnastej zjadł ostatni posiłek. Zażądał polędwicy, sałatki, pieczonych ziemniaków oraz ciasta

orzechowego. Całość przygotowano w *Bonanza Steak House*. Waddell nie wybrał restauracji, więźniom się na to nie pozwala. Jak zwykle przygotowano dwa identyczne posiłki. Jeden zjada więzień, drugi członek zespołu śmierci. To na wypadek, gdyby jakiś nadmiernie entuzjastyczny kucharz postanowił przyspieszyć podróż więźnia na drugi świat i doprawił jedzenie czymś ekstra w rodzaju arszeniku.

– Czy Waddell zjadł ostatni posiłek? - zapytałam, myśląc o jego pustym żołądku.

– Nie był głodny. Powiedział, żebyśmy zostawili mu to na następny dzień.

– Pewnie sądził, że gubernator Norring go ułaskawi - stwierdził Marino.

– Nie mam pojęcia, o czym myślał. Powtarzam tylko, co powiedział, kiedy podano mu jedzenie. O dziewiętnastej trzydzieści do celi przyszedli funkcjonariusze dokonać inwentaryzacji jego rzeczy osobistych i ustalić, dokąd je przekazać. Mówimy o zegarku, obrączce, ubraniach, listach, książkach, wierszach. O dwudziestej zabrano go z celi. Ogolono mu twarz, głowę i prawą kostkę. Zważono go, wykąpano i ubrano w rzeczy, w których miał iść na egzekucję, i odprowadzono z powrotem do celi. O dwudziestej drugiej czterdzieści pięć odczytano mu w obecności zespołu wyrok śmierci. - Roberts wstał z biurka. - Następnie poprowadzono go do sąsiedniego pomieszczenia.

– W jakim był wtedy nastroju? - zapytał Marino.

Strażnik otworzył kolejne drzwi.

– Powiem tylko, że jedynie ze względu na przynależność rasową nie był biały jak płótno.

Pomieszczenie było mniejsze, niż się spodziewałam. Około półtora metra od tylnej ściany na lśniącej cementowej podłodze znajdowało się krzesło - ponury, twardy tron z polerowanego dębu. Wokół wysokiego

oparcia, przednich nóg oraz podłokietników owinięte były pasy z grubej skóry.

– Waddella posadzono i najpierw zapięto pasy na piersiach - ciągnął tym samym obojętnym tonem Roberts. - Następnie zapięto pasy na ramionach, brzuchu i nogach. - Wymieniając dotykał poszczególnych rzemieni. - Całość trwała minutę. Na twarz nałożono mu skórzaną maskę, zaraz wam ją pokażę, na głowę hełm i podłączono prawą nogę.

Wyjęłam aparat fotograficzny, miarkę oraz fotokopie diagramów ciała Waddella.

– Punktualnie o dwudziestej trzeciej dwie po raz pierwszy włączono prąd, dwa tysiące pięćset woltów i sześć i pół ampera. Dwa ampere zabijają człowieka.

Skaleczenia zaznaczone na diagramach dokładnie odpowiadały konstrukcji fotela i rozmieszczeniu pasów.

– Hełm połączony jest z tym - Roberts wskazał rurę biegnącą z sufitu i kończącą się miedzianą nakrętką motylkową wprost nad fotelem.

Sfotografowałam fotel pod wszelkimi możliwymi kątami.

– Obręcz na nogę połączona jest z tą nakrętką - wyjaśniał dalej Roberts.

Błyskający flesz działał mi na nerwy.

– Ten facet był jednym wielkim przerywnikiem prądu...

– Kiedy zaczął krwawić? - zapytałam.

– W tej samej chwili, kiedy włączono prąd, pani doktor. I nie przestał, aż było po wszystkim i zaciągnięto zasłony odgradzające fotel od świadków.

Trzej członkowie oddziału śmierci rozpięli mu koszulę, lekarz przystawił stetoskop do piersi, położył rękę na tętnicy szyjnej i stwierdził zgon. Następnie Waddella położono na noszach i przewieziono do chłodni, gdzie zaraz też pójdziemy.

– Co pan sądzi o opinii, że krzesło źle funkcjonowało?

– Brednie. Waddell mierzył sześć stóp cztery cale i ważył dwieście pięćdziesiąt dziewięć funtów. Gotował się na długo przed tym, zanim usiadł na krześle, a ciśnienie krwi miał na poziomie Himalajów. Po stwierdzeniu śmierci zastępca dyrektora przyszedł go obejrzyć. Gałek ocznych nie miał wysadzonych, bębenki były w całości. Waddell dostał po prostu krwotoku z nosa jak ludzie, którzy zbyt się wysilają na sedesie.

W duchu zgodziłam się z nim. Krwawienie z nosa u Waddella spowodowane było efektem Valsalvy, czyli nagłym skokiem ciśnienia w obrębie klatki piersiowej. Nicholas Grueman nie będzie zadowolony z raportu, który zamierzałam mu przesłać.

– Jakie przeprowadziliście próby, żeby się upewnić, czy krzesło działa prawidłowo? - zapytał Marino.

– Takie same jak zwykle. Po pierwsze ludzie z Virginia Power sprawdzają całe wyposażenie - pokazał wielką skrzynkę ze stalowymi drzwiczkami umieszczoną na ścianie za fotelem. - Wewnątrz znajduje się dwadzieścia dwustuwatowych żarówek, połączonych z pulpitem do przeprowadzania prób. Sprawdzamy je przez tydzień przed egzekucją trzy razy dziennie oraz dodatkowo w obecności świadków, kiedy ich skład jest ustalony.

– Tak, pamiętam - rzekł Marino, wpatrując się w oddzielone szybą miejsce dla świadków, oddalone o nie więcej niż cztery metry. Było tam dwanaście krzeseł z czarnego plastiku, ustawionych w trzy równe rzędy.

–Wszystko cudnie działało - powiedział Roberts.

– Zawsze tak było? - zapytałam.

– O ile wiem, to tak, pani doktor.

– A gdzie jest przełącznik?

Wskazał skrzynkę wiszącą na ścianie na prawo od pomieszczenia dla świadków.

– Prąd włącza się kluczem, a klawisz jest w pomieszczeniu kontrolnym. Strażnik albo wyznaczony człowiek przekręca klucz i naciska klawisz. Chce to pani zobaczyć?

– Tak.

Niewiele było do oglądania. Za tylną ścianą salki z krzesłem znajdowała się klitka, a w niej pulpit z przeróżnymi przełącznikami do regulacji napięcia, którego maksymalna wielkość wynosić mogła trzy tysiące woltów.

Rzędy lampek potwierdzały, że wszystko jest w porządku lub ostrzegały o kłopotach.

– W Greensville będziemy mieć komputer - dodał Roberts.

W drewnianej szafie leżały: hełm, obręcz na nogę oraz dwa grube kable.

– Podłącza się je do nakrętki nad i z boku krzesła z jednej strony - tłumaczył strażnik - z drugiej do nakrętek na hełmie i obręczy na nodze. - Zademonstrował nam to bez wysiłku. - To jak podłączenie wideo.

Hełm i obręcz na nogę wykonane były z miedzi. Przez wywiercone dziury przeciągnięto bawełniane sznurki, mające chronić podłoże z gąbki.

Hełm był zaskakująco lekki, na połączeniach płytek zieleniła się patyna.

Nie umiałam sobie wyobrazić, że wkładają mi go na głowę. Czarna skórzana maska była szerokim pasem zapinanym z tyłu głowy z wyciętym małym trójkątem na nos. Gdybym zobaczyła ją na wystawie w londyńskim Tower, nie miałabym wątpliwości co do jej autentyczności.

Minęliśmy transformator z kablami prowadzącymi do sufitu, po czym Roberts otworzył następne drzwi.

– To chłodnia - wyjaśnił. - Przewieźliśmy Waddella tutaj i położyliśmy na tym stole.

Stół był ze stali, lekko pordzewiały na złączeniach.

– Czekaliśmy dziesięć minut, aż ostygnie. Na nogi daliśmy mu worki z piaskiem. Leżą tam.

Worki ustawiono w nogach stołu.

– Każdy waży dziesięć funtów. Nazwijcie to reakcją kolanową, ale noga jest przygięta. Worki pomagają ją wyprostować. Jeśli oparzenia są poważne, jak w przypadku Waddella, owijamy je gazą. Kiedy wszystko zostało zrobione, położyliśmy Waddella na noszach i wynieśliśmy tą samą drogą, którą tu przyszliśmy. Tylko że nie męczyliśmy się na schodach. Jaki sens, żeby któryś z nas dostał przepukliny. Wsadziliśmy go do windy kuchennej, wynieśliśmy przez frontowe drzwi i załadowali do ambulansu. Potem zawieźliśmy go do pani, pani doktor, jak zawsze robimy, kiedy nasi ulubieńcy przejadą się na iskrzaku.

Ciężkie drzwi zatrzasnęły się z hukiem, klucze zadzwoniły, zamki szcęknęły. Roberts hałaśliwie coś opowiadał, prowadząc nas do holu. Ja ledwo go słuchałam, Marino słowem się nie odzywał. Trawa i ściany pokryły się lodem od padającego ciągle deszczu ze śniegiem. Chodniki były mokre, panował przenikliwy ziąb. Czułam zawroty głowy. Marzyłam tylko o tym, żeby wziąć długi gorący prysznic i się przebrać.

– Prostacy w rodzaju Roberta są tylko o oczko lepsi od więźniów - odezwał się Marino, uruchamiając silnik. - Prawdę mówiąc, niektórzy niczym się nie różnią od koleśków, których pilnują.

Zatrzymał się na czerwonym świetle. Krople deszczu spływały po szybie niczym krew, wycieraczki na próżno usiłowały je zmyć, z każdą bowiem chwilą było ich więcej. Drzewa stały otulone lodem niczym płaszczem.

Marino rękawem starł parę z szyby.

– Masz czas? Chciałbym ci coś pokazać.

– Zależy, jak bardzo jest to ważne - powiedziałam ostrożnie. Liczyłam, że widząc moją niechęć, raczej zawiezie mnie do domu.

– Chcę z tobą odtworzyć ostatnie kroki Eddiego Heatha. - Włączył kierunkowskaz.

– Przede wszystkim uważam, że powinnaś zobaczyć, gdzie go znaleziono.



Heathowie mieszkali na wschód od Chamberlyne Avenue lub raczej na zlej jej stronie, jak to ujął Marino. Niewielki dom z cegły oddalony był o kilka przecznic od baru z kurczakami z różną *Golden Skillet* i sklepu garmazeryjnego, do którego matka wysłała Eddiego po puszkę zupy. Przed domem parkowało kilka olbrzymich amerykańskich samochodów, z komina unosił się dym i nikał w szarym niebie. Aluminium błysnęło we mgle, kiedy otworzyły się frontowe drzwi i w progu pojawiła się stara kobieta w czarnym płaszczu. Przystanęła, by z kimś w środku zamienić słowo, potem, trzymając się kurczowo poręczy, ostrożnie zeszła ze schodów. Obojętnie spojrzała na mijającego budynek białego forda.

Gdybyśmy pojechali dwie mile dalej na wschód, wkroczylibyśmy do strefy wojennej państwowego osiedla mieszkaniowego.

– Kiedyś mieszkali tu biali - odezwał się Marino. - Pamiętam, że jak przyjechałem do Richmond, ta okolica miała dobrą opinię. Większość mieszkańców to byli uczciwi, ciężko pracujący ludzie, którzy dbali o porządek na podwórkach i w niedziele chodzili do kościoła. Czasy się zmieniają. Ja osobiście nie wypuściłbym dziecka z domu po zmroku. Ale jak ktoś mieszka w takiej dzielnicy, to się przyzwyczajają. Eddie czuł się bezpiecznie, kiedy się bawił, rozwoził gazety i załatwiał sprawunki dla matki. Tamtego wieczoru wyszedł frontowymi drzwiami z domu, poszedł skrótem do *Azalea*, potem skręcił w prawo, jak my teraz. Po lewej, koło stacji benzynowej, jest sklep garmazeryjny - machnął dłonią w kierunku

podświetlonego szyldu z zieloną podkową. - A ten zaułek to znane miejsce handlarzy narkotyków.

Sprzedają kokainę za gotówkę i znikają. Łapiemy te pluskwy, a oni za dwa dni na innym rogu robią to samo.

- Czy Eddie mógł być zamieszany w narkotyki?

Takie pytanie byłoby sporą przesadą w czasach, kiedy zaczynałam pracę, lecz nie obecnie. W Wirginii wśród aresztowanych handlarzy około dziesięciu procent stanowią nieletni.

- Na razie nic na to nie wskazuje. Instykt podpowiada mi, że nie.

Wjechał na parking przed sklepem. Siedzieliśmy w samochodzie i patrzyliśmy na ogłoszenia przyklejone do szklanej tablicy i jaskrawe światła połyskujące w mgle. Przy kasie stała długa kolejka klientów, umęczona kasjerka pracowała nie podnosząc wzroku. Młody Murzyn w skórzanym płaszczu wolno wyszedł ze sklepu z puszką piwa i wrzucił monetę do automatu przy drzwiach, nie odrywając od naszego samochodu bezczelnego spojrzenia. Mężczyzna z czerwoną twarzą, ubrany w pochłapane farbą dżinsy, zrywał celofan z paczki papierosów, kierując się do swojej ciężarówki.

- Założę się, że tutaj spotkał napastnika - powiedział Marino.

- Jak? - spytałam.

- Myślę, że to było bardzo proste. Chłopak wyszedł ze sklepu, ten drań zagadał do niego i w jakiś sposób zdobył jego zaufanie. Eddie poszedł z nim i wsiadł do samochodu.

- Wyniki badań to potwierdzają - rzekłam. - Nie miał żadnych obrażeń, żadnych śladów walki na ciele. Czy ktoś ze sklepu widział go w towarzystwie?

- Nikt z tych, z którymi do tej pory rozmawiałem. Ale sama widzisz, jaki tu tłok, a poza tym na dworze było już ciemno. Mógł coś widzieć

jedynie klient wysiadający z samochodu albo wracający z zakupami na parking.

Mam zamiar podać kilka informacji do środków masowego przekazu i zwrócić się z apelem, by zgłosili się ci, którzy byli tu między siedemnastą a osiemnastą tamtego dnia. Organizacja Zapobiegania Przystępstwom też chce się tym zająć.

– Czy Eddie był świadom zagrożeń czyhających na ulicy?

– Mamy do czynienia z draniem, który umie udawać aniołka. Nawet najbardziej rozgarnięte dziecko może się na to nabrać. W Nowym Jorku miałem sprawę dziesięcioletniej dziewczynki, która wyszła kupić cukier. W drzwiach sklepu zaczepił ją pedofil i powiedział, że przysyła go jej ojciec, bo matkę odwieziono do szpitala, i on ma ją tam zabrać. Mała wsiadła do samochodu i skończyła jako pozycja w statystyce. - Spojrzał na mnie. - No dobra, biały czy czarny?

– W której sprawie?

– Eddiego Heatha.

– Sądząc z tego, co powiedziałaś, napastnik jest biały.

Marino wycofał z parkingu i przyhamował czekając, aż będzie mógł włączyć się do ruchu.

– Nie ulega wątpliwości, że *modus operandi* pasuje do białego. Ojciec Eddiego nie lubi czarnych i Eddie też im nie ufał, więc to mało prawdopodobne, że Murzyn zdobył sobie jego zaufanie. Jeśli ludzie widzą białego chłopca idącego z białym mężczyzną, to nawet jeśli chłopak wygląda na nieszczęśliwego, biorą ich za braci albo ojca z synem. - Skręcił w prawo, na zachód. - Myśl dalej, doktoro. Co jeszcze?

Marino uwielbiał takie zabawy. Bez względu na to, czy słowo w słowo powtarzałam jego wnioski, czy też wygłaszałam opinię krańcowo przeciwną, czerpał z tego jednakową przyjemność.

– Jeśli napastnik jest biały, kolejny wniosek brzmi, że nie mieszka na tym osiedlu.

– Odłóżmy kwestię rasy na bok. Z jakiego jeszcze powodu wnioskujesz, że drań nie jest z osiedla?

– Znowu sposób działania - odpowiedziałam.

– Strzał w głowę nawet trzynastolatkowi zdarza się w trakcie ulicznych porachunków, poza tym jednak nic nie pasuje. Eddie dostał kulę z dwudziestki dwójki, a nie z dziewiątki, dziesiątki czy większego kalibru. Był nagi, okaleczony, co sugeruje motyw seksualny. Z tego, co wiemy, nie miał przy sobie żadnej wartościowej rzeczy, która mogłaby skusić złodzieja, nie był też zaplątany w niebezpieczne sprawy.

Deszcz zamienił się w ulewę, ulice zatłoczone były pędzącymi samochodami.

Pomyślałam, że ludzie jadą na zakupy, i uświadomiłam sobie, że w ogóle nie przygotowałam się do świąt.

Sklep spożywczy na Patterson Avenue był tuż przed nami. Nie mogłam sobie przypomnieć jego dawnej nazwy, a szyld zdjęto i teraz źle oświetlony budynek był tylko ceglana skorupa z zabitymi oknami. Podejrzewałam, że policja w ogóle by nie zaglądała na tyły budynku, gdyby po jego lewej stronie nie ciągnęły się pawilony z zakładami i sklepikami. Naliczyłam pięć: apteka, warsztat szewski, pralnia, sklep z artykułami żelaznymi i włoska restauracja. Wszystkie były zamknięte i puste owej nocy, kiedy przywieziono tu Eddiego Heatha i pozostawiono, by umarł.

– Pamiętasz, kiedy sklep został zamknięty? - zapytałam.

– W tym samym czasie, co sporo innych firm. Kiedy wybuchła wojna w Zatoce.

Przejechał przez aleję. Światła reflektorów lizały ceglane ściany i podskakiwały na wybojach. Za sklepem płot z łańcucha oddzielał

podwórko z popękanego asfaltu od kępy drzew poruszających się w mroku. Przez gołe konary widziałam w oddali uliczne światła i jaskrawy szyld *Burger Kinga*.

Marino zaparkował. Reflektory wydobyły z mroku brązowy kontener na śmieci, poznaczony plamami rdzy. Po jego ścianach spływały strumyki wody. Deszcz walił o szyby i dach samochodu, z radia dobiegał głos dyspozytora nieustannie wysyłającego patroli na miejsca wypadków.

Marino oparł się dłońmi o kierownicę i zgarbił plecy, potem zaczął masować sobie kark.

– Chryste, starzeję się - mruknął. - W bagażniku mam pelerynę.

– Bardziej ona potrzebna tobie niż mnie. Nie jestem z cukru - powiedziałam, otwierając drzwi.

Marino wyjął granatowy policyjny płaszcz przeciwdeszczowy, później podniósł mi kołnierz. Deszcz ciął mnie w policzki i bębnił o czubek głowy.

Niemal natychmiast zmarzły mi uszy. Kontener znajdował się blisko płotu, przy brzegu chodnika; od zaplecza sklepu dzieliło go jakieś dwadzieścia stóp. Stwierdziłam, że otwiera się go z góry, nie z boku.

– Pokrywa była zamknięta czy otwarta, kiedy policja się tu zjawiała? - spytałam.

– Zamknięta. - Kaptur płaszcza sprawiał, że nie mógł patrzeć na mnie nie wykręcając tułowia. - Sama widzisz, nie ma tu nic, w co można by wdepnąć.

Kontener też był pusty. - Zapalił latarkę i omiół snopem światła okolicę.

– W środku znaleźliśmy tylko rdzę i martwego szczura, tak wielkiego, że nadawał się pod siodło.

– Umiesz unieść pokrywę?

– Tylko na kilka cali. Większość tego typu pojemników ma zasuwę. Jeśli ktoś jest wysoki, może podnieść pokrywę, otwierając kolejno zasuwę. W

końcu da się wepchnąć do środka worek ze śmieciami. Problem polega na tym, że zasuwy tutaj nie działają. Żeby cokolwiek wrzucić do środka, trzeba po prostu pokrywę podnieść i odepchnąć, a nie można tego zrobić, jeśli stoi się na ziemi.

– Ile ty masz wzrostu? Ponad sześć stóp?

– Tak. Jeśli ja nie umiem otworzyć pojemnika, on też sobie nie poradził.

Obecnie najpopularniejsza teoria jest taka, że sprawca przyniósł tu ciało z auta i oparł o pojemnik, tak jak kładzie się śmieci, żeby mieć wolne ręce.

Kiedy mu się nie udało otworzyć pokrywy, zabrał stąd dupę, zostawiając dzieciaka i jego rzeczy na chodniku.

– Mógł go zaciągnąć do tego lasku.

– Tam jest płot.

– Ale dość niski, najwyżej pięć stóp - stwierdziłam. - Przynajmniej mógł zostawić ciało za pojemnikiem. Tak jak je zostawił, było widoczne dla każdego, kto przypadkiem tędy przejeżdżał.

Marino rozglądał się w milczeniu, oświetlając latarką płot. Krople deszczu w jej świetle zdawały się być milionem gwoździków spadających z nieba. Włosy mi przemokły, lodowata woda ciekła po karku. Wróciliśmy do samochodu. Marino podkręcił ogrzewanie.

– Trent i jego ludzie opierają się na tej całej teorii pojemnika, usytuowania pokrywy i tak dalej - powiedział. - Ja osobiście uważam, że pojemnik gra rolę jedynie sztalug, na których ten drań oparł swoje dzieło sztuki.

Wpatrywałam się w deszcz.

– Chodzi o to - mówił dalej surowym tonem - że on nie przywiózł tu ciała, żeby je ukryć, tylko żeby mieć pewność, że zostanie odnalezione. Ale faceci z Henrico tego nie widzą, w przeciwieństwie do mnie. Ja nie tylko to widzę, ja to czuję, jak czyjś oddech na karku.

Nie odrywałam wzroku od pojemnika. Obraz drobnego ciała Eddiego Heatha opartego o ścianę był tak wyraźny, jak gdybym była obecna przy jego odnalezieniu. Nagle uderzyła mnie pewna myśl.

– Kiedy po raz ostatni przeglądałeś akta sprawy Robyn Naismith? - zapytałam.

– To nieważne. Pamiętam każdy szczegół - odparł Marino, wpatrując się przed siebie. - Czekałem, czy to skojarzysz. Mnie podobieństwo uderzyło za pierwszym razem, kiedy tu przyszedłem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Tego wieczoru zapaliłam ogień w kominku i zjadłam przy nim zupełną jarzynową.

Zgasiałam lampy i odciągnęłam zasłony z drzwi balkonowych.

Trawę pokrywał szron, liście rododendronu zwinęły się od mrozu.

Dzień mnie wyczerpał, jak gdyby jakaś mroczna siła wysąsała z mego wnętrza całe światło. Czułam na sobie natrętne dłonie więziennej strażniczki, w nozdrzach miałam odór cel, w których mieszkali bezlitośni, pełni nienawiści mężczyźni. Przypomniały mi się slajdy, które oglądałam pod światło lampy w hotelowym barze w Nowym Orleanie podczas corocznej konferencji Amerykańskiej Akademii Kryminalistyki. Zabójstwo Robyn Naismith nie było jeszcze wówczas rozwiązane; dyskusowanie przy akompaniamencie śpiewu Mardi Gras o tym, co jej zrobiono, wydawało się zajęciem cokolwiek upiornym.

Z ustaleń poczynionych w trakcie śledztwa wynikało, że została pobita i zadźgana na śmierć w salonie. Jednakże ludźmi najbardziej wstrząsnął ów niezwykle i przerażający rytuał, który Waddell odprawił już po śmierci ofiary. Najpierw ją rozebrał. Nie znaleziono dowodu na to, by ją zgwałcił.

Preferował, jak się wydawało, gryzienie oraz penetrowanie miękkich partii ciała nożem. Koleżanka z pracy, która przyszła sprawdzić, jak Robyn się czuje, znalazła jej zmasakrowane zwłoki oparte o telewizor, z głową zwieszoną na piersi, rękoma przyciśniętymi do boków i wyprostowanymi nogami.

Obok leżało rzucone na stos ubranie. Robyn wyglądała jak naturalnych rozmiarów pokrwawiona lalka, odstawiona na miejsce po zabawie, która

zamieniła się w horror.

Psychiatra zeznał w sądzie, że po dokonaniu morderstwa Waddella ogarnęły wyrzuty sumienia i przez jakąś godzinę siedział i mówił do trupa.

Policyjny psycholog wysunął przeciwną teorię, mianowicie że Waddell wiedział, iż Robyn jest gwiazdą telewizyjną, i oparcie jej o odbiornik było aktem symbolicznym. Znowu oglądał ją na ekranie i snuł fantazje. Oddał ją medium, dzięki któremu ją poznał, a to naturalnie oznaczało premedytację.

Niuanse i zwroty w niekończących się analizach z czasem coraz bardziej wszystko komplikowały.

Groteskowe upozowanie ciała dwudziestosiedmioletniej spikerki było niczym podpis Waddella. A teraz, dziesięć lat później, zamordowano chłopca i sprawca podpisał się - w wigilię egzekucji Waddella - w identyczny sposób.

Zaparzyłam kawę, przelałam do termosu i zabrałam ze sobą do gabinetu.

Usiadłam przy komputerze i połączyłam się z biurem. Nie dostałam jeszcze wydruku z wynikami przeszukiwań zleconych Margaret, aczkolwiek przypuszczałam, że znajduje się on w przygnębiająco wielkim stosie papierów, jaki widziałam na moim biurku w piątek wieczorem. Jednakże zbiór powinien pozostać na twardym dysku. Wywołałam Unix, napisałam swoją nazwę i hasło. W odpowiedzi na ekranie zamigotało słowo poczta.

Margaret, mój komputerowy analizator, przesłała mi wiadomość: *Sprawdź plik z ciałem.*

– To naprawdę straszne - mruknęłam, jakby Margaret mogła mnie słyszeć, po czym przełączyłam się na kartotekę Główne, gdzie zwykle umieszczała wyniki przeszukiwań i kopiowała dane, o które prosiłam.

Plik *Ciało* był całkiem spory, Margaret bowiem wybrała różne rodzaje śmierci i połączyła z danymi z Rejestru Urazów. Nie zaskoczyło mnie, że

większość rekordów dotyczyła wypadków samochodowych i awarii urządzeń, w trakcie których ofiary traciły członki lub inne fragmenty ciała.

Cztery ofiary morderstw - mężczyzna, dwie kobiety i sześciolatka dziewczynka - nosiły ślady po ugryzieniach, przy czym dwie z nich zostały uduszone, pozostałe zginęły od ciosów ostrym narzędziem. Zanotowałam numery spraw i kody ICD-9, po czym zabrałam się za dane z Rejestru Urazów, dotyczące ofiar, które przeżyły na tyle długo, że odwiezione zostały do szpitala. Przypuszczałam, że będą się z tym wiązały spore problemy, i miałam rację. Szpitale udostępniały dane o pacjentach dopiero wówczas, kiedy były one tak sterylne i bezosobowe jak sale operacyjne. Usunięto z nich nazwiska, numery ubezpieczeń i inne informacje umożliwiające identyfikację.

Nie istniała możliwość porównania danych z pogotowia, izby przyjęć, policji i innych agend. W rezultacie informacje o jednym człowieku mogły znajdować się w zbiorach sześciu różnych instytucji i w żaden sposób nie dawało się ich połączyć. Tak więc było całkiem prawdopodobne, że trafię na interesujący mnie przypadek, aczkolwiek nie powinnam liczyć na to, że dowiem się, kim był pacjent i czy jeszcze żyje.

Zanotowałam te rekordy, które mogły okazać się interesujące, po czym zamknęłam plik i zabrałam się za przeglądanie swoich zbiorów, by stwierdzić, które stare raporty, notatki czy listy mogę usunąć z twardego dysku. I wówczas zauważyłam ten plik.

Nosił nazwę „tty07”, liczył tylko osiemnaście bajtów, widniała przy nim data 16 grudnia, czyli ostatni czwartek, oraz godzina 16.26. Plik zawierał jedno zdanie:

Nie mogę tego znaleźć.

Sięgnęłam po telefon i zaczęłam wybierać numer domowy Margaret, przerwałam jednak w połowie. Kartoteka Główna i wszystkie zawarte w

niej pliki były zabezpieczone. Chociaż każdy mógł otworzyć moje zbiory, nie zdołałby odczytać plików, potrzebna była nazwa użytkownika i hasło.

Jedynie Margaret je znała. Jeśli to ona weszła do mojej kartoteki, czego nie mogła znaleźć i kogo o tym informowała?

Margaret by tego nie zrobiła, myślałam, wpatrując się w to krótkie zdanie.

Jednak nie byłam do końca przekonana. Przyszło mi do głowy, że może Lucy, moja siedemnastoletnia siostrzenica, zna Unix. Spojrzałam na zegarek.

Sobota, ósma wieczór; w pewnym sensie bardzo by mnie zmartwiło, gdyby Lucy była w domu. Powinna pójść na randkę albo spotkanie z przyjaciółmi.

Nie poszła.

– Cześć, ciociu Kay.

Zdziwienie w jej głosie uświadomiło mi, że od dłuższego czasu się z nią nie kontaktowałam.

– Jak czuje się moja ulubiona siostrzenica?

– Twoja jedyna siostrzenica czuje się dobrze.

– Co robisz w domu w sobotni wieczór?

– Kończę pracę semestralną. A co ty robisz w domu w sobotę wieczorem?

Przez chwilę zabrakło mi słów. Lucy jak nikt inny potrafiła pokazać mi, gdzie moje miejsce.

– Męczę się nad problemem komputerowym - rzekłam wreszcie.

– W takim razie trafiłaś pod właściwy adres - odparła Lucy; nie odznaczała się nadmierną skromnością. - Poczekaj, przesunę tylko książki, żeby mieć dostęp do klawiatury.

– Nie chodzi o kłopoty z pecetem. Nie wiem, czy znasz system operacyjny o nazwie Unix.

– Nie nazwałabym go systemem operacyjnym, ciociu. To jak mówienie o pogodzie, kiedy w rzeczywistości chodzi o środowisko, które składa się z pogody, żywiołów i budynków. Korzystasz z A-TiT?

– Dobry Boże, Lucy, nie mam pojęcia.

– Jaki masz komputer?

– NCR mini.

– W takim razie to A-TiT.

– Sądzę, że ktoś złamał zabezpieczenia - powiedziałam.

– To się zdarza. Czemu tak myślisz?

– Znalazłam dziwny plik w mojej kartotece, Lucy. A i ona, i wszystkie pliki są zabezpieczone. Żeby z nich korzystać, trzeba znać hasło.

– Mylisz się. Jeśli jesteś uprzywilejowanym użytkownikiem, możesz robić, co ci się podoba.

– Mój analizator jest jedynym uprzywilejowanym użytkownikiem.

– Tak, tylko że może też istnieć spora grupa takich użytkowników, których nawet nie znasz, bo związani są z oprogramowaniem. Łatwo to sprawdzimy, ale najpierw powiedz mi o tym dziwnym pliku. Jak się nazywa i co zawiera?

– Nazywa się *tty07* i jest w nim jedno zdanie: „Nie mogę tego znaleźć”.

Usłyszałam stukot klawiszy.

– Co robisz?

– Notatki. Doskonale. Zacznijmy od spraw oczywistych. Wskazówką jest nazwa pliku, *tty07*. To numer urządzenia, innymi słowy to prawdopodobnie czyjś terminal w twoim biurze. Niewykluczone, że to drukarka, choć podejrzewam, że ten, kto włamał się do twojej kartoteki,

chciał wysłać wiadomość do tego urzędnika, tylko że spieprzył sprawę i zamiast tego założył plik.

– Przecież kiedy piszesz wiadomość, zakładasz plik, prawda? - zdziwiłam się.

– Nie, jeśli robisz to w trybie bezpośrednim, to znaczy samymi uderzeniami w klawisze.

– W jaki sposób?

– Bardzo prosty. Jesteś teraz w Uniksie?

– Tak.

– Napisz: *Cat redirect ttyq...*

– Poczekaj chwilkę.

– I nie martw się o ukośnik - *dev...*

– Lucy, zwolnij.

– Specjalnie nie wypisujemy kartoteki adresata, czyli *dev directory*, bo jestem pewna, że ten ktoś tak właśnie zrobił.

– Co jest po *cat*?

– Dobra. *Cat redirect i...*

– Proszę, nie tak szybko.

– Powinnaś mieć chipa cztery-osiemdziesiąt-sześć, ciociu. Dlaczego działa tak wolno?

– To nie ten cholerny chip działa wolno!

– Och, przepraszam - powiedziała szczerze. - Zapomniałam.

O czym niby zapomniała?

– Wracając do problemu - ciągnęła - zakładam, że ty nie masz urzędnika *ttyq*, co?

– Wciąż jestem przy *cat* - rzekłam zirytowana. - Potem ma być *redirect...*

A niech to, czy to dobrze, że wskaźnik pokazuje na prawo?

– Tak. Naciśnij *return* i kursor przesunie się do następnej pustej linii. Teraz możesz napisać wiadomość, którą chcesz przesłać na ekran *ttyq*.

Napisałam: *Patrz, jak biegnie Spot*.

– Naciśnij *return*, potem *control C* – mówiła Lucy. - Jeśli teraz napiszesz *ls* minus jeden i prześlesz do *p-g*, zobaczysz swój plik.

Napisałam tylko „*ls*” i po ekranie coś się przesunęło.

– Myślę, że to właśnie się stało - podsumowała Lucy. - Ktoś wszedł do twojej kartoteki, tym problemem zajmiemy się za chwilę. Może czegoś szukał w plikach i nie mógł znaleźć, więc przesłał wiadomość do urządzenia *tty07*. Tylko że bardzo się śpieszył i zamiast wystukać: *cat redirect/dev/tty07*, opuścił środek i wystukał *cat redirect tty07*. Na ekranie *tty07* nie pojawiła się żadna wiadomość. Innymi słowy, zamiast wysłać wiadomość, ta osoba nierozważnie założyła plik o nazwie *tty07*.

– A gdyby napisała poprawnie komendę, czy wiadomość zostałaby zachowana w moim komputerze? - zapytałam.

– Nie, pojawiłaby się na ekranie *tty07* i pozostałaby tam, dopóki użytkownik by jej nie usunął. Ty natomiast w swojej kartotece nie zobaczyłabyś żadnego dowodu jej przekazania. Nie byłoby pliku.

– Co oznacza, że nie wiemy, ile razy ktoś mógł wysłać wiadomości z mojej kartoteki, jeśli robił to prawidłowo.

– Właśnie.

– Jak to możliwe, że ktoś mógł korzystać z moich zbiorów? - wróciłam do podstawowej kwestii.

– Jesteś pewna, że nikt nie zna twojego hasła?

– Nikt poza Margaret.

– To analizator komputerowy?

– Tak.

– Może komuś je dała?

- Nie mieści mi się to w głowie - oznajmiłam.
- Dobra. Można wejść do kartoteki, jeśli się jest uprzywilejowanym użytkownikiem - stwierdziła Lucy. - I teraz to sprawdzimy. Wywołaj kartotekę *etc* i plik *Group*. Poszukaj grupy uprzywilejowanych, to znaczy *r-o-o-t-g-rp*.
- Zobacz, jacy użytkownicy są tam podani.
- Zaczęłam stukać w klawisze.
- Co masz?
- Jeszcze nie skończyłam - rzekłam, nie kryjąc zniecierpliwienia.
- Wolno powtórzyła wszystkie polecenia.
- W grupie uprzywilejowanych są trzech użytkownicy.
- Dobrze. Wypisz ich, potem wystukaj dwukropek, q, bum i jesteś poza plikiem.
- Bum? - powtórzyłam ze zdziwieniem.
- Wykrzyknik. Teraz przejdź do pliku z hasłami, to jest *p-a-s-s-w-r-d*, żeby się przekonać, czy któryś z uprzywilejowanych nie ma hasła.
- Zdjęłam dłonie z klawiatury.
- Lucy!
- Łatwo to stwierdzić, bo w drugim polu rekordu zobaczysz zaszyfrowane hasło użytkownika, jeśli je naturalnie ma. Jeśli w drugim polu będą tylko dwa dwukropki, użytkownik nie ma hasła.
- Lucy.
- Przepraszam, ciociu Kay. Czy znowu jestem za szybka?
- Nie jestem programistą. Równie dobrze mogłabyś mówić w suahili.
- A ty mogłabyś się nauczyć. UNIX to naprawdę świetna zabawa.
- Wierzę, tylko że nie mam teraz czasu się uczyć. Ktoś włamał się do mojej kartoteki, w której przechowuję poufne dokumenty oraz dane.

Chciałabym wiedzieć, po co ktoś czyta moje pliki, czego w nich szuka i z jakiego powodu?

– Sprawcę akurat łatwo odkryć, chyba że jest nim ktoś operujący na modemie z zewnątrz.

– Ale wiadomość została wysłana do kogoś w moim biurze.

– Co nie znaczy, że członek personelu nie znalazł kogoś z zewnątrz, żeby się włamał, ciociu. Może ta osoba nie ma pojęcia o Uniksie i potrzebowała pomocy, żeby wejść do twojej kartoteki, więc poszukała sobie jakiegoś programisty.

– To poważna sprawa - powiedziałam.

– Niewykluczone. Jedno mogę stwierdzić na pewno: wasz system nie ma odpowiednich zabezpieczeń.

– Kiedy masz oddać pracę? - zapytałam.

– Po feriach.

– Skończyłaś ją?

– Prawie.

– A kiedy zaczynają się ferie świąteczne?

– W poniedziałek.

– Może miałabyś ochotę przyjechać do mnie na kilka dni i pomóc mi rozwiązać ten problem?

– Chyba żartujesz.

– Mówię jak najpoważniej. Tylko z góry uprzedzam, nie spodziewaj się za wiele. Z zasady nie zawracam sobie głowy ozdobami. Kilka doniczek z gwiazdami betlejemskimi, kilka świeczek w oknach. Aha, ja gotuję.

– Choinki nie będzie?

– To cię martwi?

– Nie, chyba nie. Pada u was śnieg?

– Tak, i to spory.

– Nigdy nie widziałam śniegu, to znaczy, na własne oczy.

– Teraz lepiej daj mi mamę - poleciłam.

W głosie Dorothy, mojej jedynej siostry, brzmiała przesadna troskliwość.

– Dalej tak ciężko pracujesz? Kay, pracujesz więcej niż jakakolwiek znana mi osoba. Ludzie są pod wrażeniem, kiedy im mówię, że jesteśmy siostrami.

Jaka jest pogoda w Richmond?

– Jest nadzieja, że będziemy mieć białe Boże Narodzenie.

– Wspaniale. Lucy przynajmniej raz w życiu powinna zobaczyć białe Boże Narodzenie. Ja nigdy nie widziałam. Choć nie, wycofuję się. Raz w święta wybrałam się na zachód na narty z Bradleyem.

Nie pamiętałam Bradleya. Już wiele lat temu przestałam kibicować niekończącej się procesji narzeczonych i mężów mojej młodszej siostry.

– Chciałabym, żeby Lucy spędziła ze mną święta - powiedziałam. - Czy to możliwe?

– Więc ty nie przyjedziesz do Miami?

– Nie, Dorothy. Jestem w środku kilku bardzo poważnych spraw. Występuję w sądzie aż do samej Wigilii.

– Nie wyobrażam sobie świąt bez Lucy - stwierdziła niechętnie Dorothy.

– Spędzałaś je już bez niej. Kiedy na przykład wybrałaś się na narty z Bradleyem.

– Prawda, ale było mi ciężko - rzekła niewzruszona. - Za każdym razem, kiedy spędzamy święta osobno, przyrzekam sobie, że więcej tego nie zrobię.

– Rozumiem. W takim razie może innym razem - powiedziałam, śmiertelnie znużona gierkami Dorothy. Dobrze wiedziałam, że nie może się doczekać, kiedy Lucy zniknie za progiem.

– Szczerze mówiąc, mam termin oddania najnowszej książki i prawie całe święta i tak przesiedzę przy komputerze - zmieniła pośpiesznie zdanie.
- Może faktycznie lepiej będzie, jak Lucy pojedzie do ciebie. Ze mnie nie będzie miała żadnego pożytku. Mówiłam ci już, że mam nowego agenta w Hollywood? Jest fantastyczny, zna absolutnie wszystkich. Negocjuje dla mnie kontrakt z Disneyem.

– To wspaniale. Jestem pewna, że z twoich książek będą cudowne filmy.

Dorothy pisała bardzo dobre książki dla dzieci i zdobyła kilka prestiżowych nagród. Klęskę poniosła tylko jako człowiek.

– Mama stoi obok - powiedziała moja siostra. - Chce zamienić z tobą kilka słów. Świetnie, żeśmy pogadały. Za rzadko to robimy. Przypilnuj, żeby Lucy jadła coś poza sałatkami, poza tym ostrzegam, że ćwicz do przesady.

Martwię się, że będzie wyglądała jak mężczyzna.

Zanim zdążyłam się odezwać, słuchawkę przejęła matka.

– Dlaczego nie możesz przyjechać, Katie? Świeci słońce, powinnaś zobaczyć naszego grapefruita.

– Nie mogę, mam, naprawdę. Bardzo mi przykro.

– W dodatku słyszę, że Lucy też nie będzie, tak? A ja co mam robić, sama jeść indyka?

– Przecież będzie z tobą Dorothy.

– Chyba sobie kpisz. Dorothy będzie z Fredem, a ja go nie znoszę.

Dorothy po raz kolejny rozwiodła się poprzedniego lata. Nie zapytałam, kim jest Fred.

– To chyba Irańczyk czy ktoś w tym rodzaju. Jest obrzydliwie skąpy i ma włosy w uszach. Wiem, że nie jest katolikiem, a Dorothy ostatnio wcale nie zabiera Lucy do kościoła. To dziecko pójdzie do piekła, jak amen w pacierzu.

– Mamo, mogą cię usłyszeć.

– Nie mogą. Jestem sama w kuchni i patrzę na zlew pełny brudnych naczyń.

Wiem, że Dorothy spodziewa się, że je umyję, skoro tu jestem. Tak samo jest, kiedy ona mnie odwiedza. Palcem nie kiwnie przy gotowaniu, bo liczy, że ja się tym zajmę. Czy choć raz zaproponowała, że coś przyniesie?

Czy w ogóle przyszło jej do głowy, że jestem starą kobietą, właściwie kaleką? Może tobie uda się przemówić do rozsądku Lucy.

– A w jakich sprawach Lucy brakuje rozsądku?

– Nie ma żadnych przyjaciół poza jedną dziewczyną, dziwaczką. Powinnaś zobaczyć pokój Lucy. Wygląda jak z filmów science fiction z tymi wszystkimi komputerami, drukarkami i innymi częściami. To nie jest normalne, że nastolatka cały czas zajmuje się takimi sprawami i w ogóle nie wychodzi z rówieśnikami. Martwię się o nią, jak martwiłam się o ciebie.

– Wysłałam na ludzi - powiedziałam.

– No, za dużo czasu spędzałaś nad naukowymi książkami, Katie. Widziałas, jak to wpłynęło na twoje małżeństwo.

– Mamo, chciałabym, żeby Lucy przyleciała jutro, jeśli to możliwe. Zrobię rezerwację i kupię jej bilet. A ty przypilnuj, żeby wzięła swoje najcieplejsze ubrania. Jeśli czegoś nie ma, na przykład zimowego płaszcza, kupimy na miejscu.

– Chyba będzie mogła pożyczyć coś od ciebie. Kiedy widziałas ją ostatnio?

Rok temu na Boże Narodzenie?

– No tak.

– Więc coś ci powiem. Od tego czasu urosły jej piersi. A jak się ubiera! Czy przyszło jej do głowy, żeby poradzić się babci, zanim ścięła swoje piękne włosy? Nie. Po co ma się kłopotać mówieniem mi...

- Mamo, muszę zadzwonić do linii lotniczych.
- Szkoda, że nie przyjedziesz. Mogłybyśmy być wszystkie razem.
- Ja też żałuję - powiedziałam.



W sobotnie przedpołudnie jechałam na lotnisko czarnymi mokrymi szosami, wiodącymi przez oślepiający świat ze szkła. Z linii telefonicznych, dachów i drzew spadały rozgrzane słońcem sopte i uderzały w ziemię niczym kryształowe pociski zrzucane z nieba. Prognozy zapowiadały kolejną śnieżycę, co bardzo mnie cieszyło, choć oznaczało niewygodę. Marzyłam o spokojnym dniu przed kominkiem w towarzystwie siostrzenicy. Lucy dorastała.

Wydawało się, że urodziła się niedawno. Nigdy nie zapomnę jej szeroko otwartych oczu, które śledziły każde moje poruszenie, ani zaskakujących ataków rozdrażnienia i żalu, kiedy zawodziłam jej oczekiwania. Szczere uwielbienie, jakie mi okazywała, na równi wzruszało mnie i przerażało.

Dzięki niej doświadczyłam głębi uczuć dotąd mi nieznanych.

Udało mi się przejść przez ochronę. Czekałam przy bramie, pośród pasażerów schodzących z trapu wypatrując pulchnej nastolatki z długimi rudymi włosami i kłamrami na zębach. Tymczasem uśmiechnęła się do mnie olśniewająca młoda kobieta.

– Lucy! - wykrzyknęłam. - Dobry Boże, prawie cię nie poznałam.

Włosy, krótkie i malowniczo rozwichrzone, podkreślały zieleń oczu i delikatność kości policzkowych, których dotąd nie zauważyłam. W ustach nie błyszczał metal, grube okulary zostały zastąpione lekkimi oprawkami z szylkretu, które nadały jej wygląd uroczej uczoniej z Harvardu. Najbardziej wszakże zaskoczyła mnie zmiana w jej figurze. Od czasu, kiedy widziałam ją po raz ostatni, z przysadzistej dziewczynki przeistoczyła się w szczupłą,

wyginastykowaną kobietę. Ubrana była w obcisłe, spłowiałe i przykrótkie dzinsy, białą bluzkę, czerwony pleciony pasek ze skóry i tenisówki na gołych stopach. Przez ramię przewieszoną miała torbę z książkami, na kostce dostrzegłam błysk cienkiej złotej bransoletki. Byłam pewna, że nie ma na sobie ani stanika, ani makijażu.

– Nie wzięłaś płaszcza? - spytałam, kiedy szliśmy po bagaż.

– Było osiemdziesiąt stopni Farenheita, kiedy rano wylatywałam z Miami.

– Zmarzniesz na kość, zanim dojdiesz do auta.

– To fizycznie niemożliwe, chyba że zaparkowałaś w Chicago.

– A masz jakiś sweter w walizce?

– Zauważyłaś, że mówisz do mnie w taki sam sposób, w jaki babcia mówi do ciebie? A przy okazji, babcia uważa, że wyglądam jak punkowiec. To jej przejęzyczenie na ten miesiąc. Tak to jest, jak się myli punkt z punkiem.

– Mam sporo kurtek narciarskich, swetrów, czapek, rękawiczek. Możesz pożyczyć, co będziesz chciała.

Wsunęła mi rękę pod ramię i powąchała włosy.

– Dalej nie palisz.

– Nie palę i nie cierpię, jak ktoś mi o tym przypomina, bo zaraz zaczynam myśleć o papierosach.

– Lepiej wyglądasz i nie cuchniesz dymem. W dodatku wcale nie przytyłaś.

Ojej, co za rozkoszne lotnisko - powiedziała Lucy, a jej komputerowy umysł już wychwytywał wszystkie niekonsekwencje. - Dlaczego nazywa się Richmond International?

– Bo przylatują tu samoloty z Miami.

– Powiedz, czemu babcia nigdy cię nie odwiedza?

- Nie lubi podróżować i za skarby świata nie wsiądzie do samolotu.
- Przecież jest bezpieczniejszy niż samochód. Z jej biodrem jest coraz gorzej, ciociu.
- Wiem. Odbierz bagaż, a ja pójde po samochód. Ale najpierw sprawdzimy, na której taśmie są twoje rzeczy.
- Są tylko trzy taśmy. Chyba jakoś sobie poradzę.

Wysłałam na zimne powietrze, zadowolona, że mam chwilę do zastanowienia.

Zmiany, jakie zaszły w mojej siostrzenicy, zbiły mnie z tropu; nagle nie byłam pewna, jak powinnam ją traktować. Lucy nigdy nie była łatwa.

Od samego początku składała się z dojrzałego intelektu rządzonego dziecięcymi emocjami, a ta niebezpieczna mieszanka zyskała formę, kiedy jej matka wyszła za Armanda. Moimi jedynymi przewagami były wzrost i wiek. Teraz Lucy była tak wysoka jak ja i rozmawiała ze mną jak z równą.

Nie będzie już uciekała do swojego pokoju, trzaskając z całej siły drzwiami.

Nie będzie kończyła kłótni krzycząc, że mnie nienawidzi albo że cieszy się, że nie jestem jej matką.

W czasie drogi niewiele rozmawialiśmy, ponieważ Lucy zafascynowana była zimowym krajobrazem. Świat wokół nas roztapiał się niczym lodowa rzeźba, a na horyzoncie gromadziły się już nowe śniegowe chmury. Kiedy znalazłyśmy się w dzielnicy, w której jeszcze nie była, bo przeprowadziłam się po jej ostatniej u mnie wizycie, ciekawie przyglądała się drogim domom, bogatym ozdobom świątecznym i ceglany chodnikom. Mężczyzna opatulony niczym Eskimos szedł na spacer ze starym tłustym psem, spod kół czarnego jaguara, szarego teraz od soli, którą posypywano drogi, trysnęła woda, kiedy wolno nas wyminął.

– Jest niedziela. Gdzie są dzieci, o ile w ogóle jakieś tu są? - zapytała Lucy, jak gdyby to była moja wina.

– Jest ich niewiele.

– Żadnych rowerów na podwórkach, żadnych sanek ani domków na drzewach. Czy tutaj ludzie nie wychodzą na dwór?

– To bardzo spokojna okolica.

– Czy z tego powodu ją wybrałaś?

– Między innymi. Poza tym jest tu bezpiecznie i istnieje szansa, że kupno domu okaże się dobrą inwestycją.

– Osiedla pilnują ochroniarze?

– Tak - potwierdziłam, czując się coraz bardziej nieswojo.

Lucy nie odrywała wzroku od przesuwających się za oknem wielkich domów.

– Założę się, że po powrocie z pracy zamykasz za sobą drzwi i nikogo nie widzisz, chyba że ktoś przypadkiem wyprowadza psa. Ale ty nie masz psa. Ile dzieci odwiedziło cię w Halloween?

– Halloween minęło spokojnie - odrzekłam wymijająco.

Prawdę mówiąc, dzwonek zadzwonił tylko raz; akurat pracowałam w gabinecie. Na ekranie zobaczyłam czwórkę przebierańców. Już sięgałam po słuchawkę domofonu, żeby im powiedzieć, że zaraz tam będę, kiedy usłyszałam ich szepty: „W domu nie ma żywego ducha” - stwierdziła drobna dziewczynka w stroju członkini zespołu dopingującego koszykarzy. „Na pewno jest - sprzeciwił się Spiderman. - Ciągłe występuje w telewizji, bo tnie umarłaków na kawałki i wkłada do słoików. Tata mi mówił”.

Wprowadziłam samochód do garażu i zwróciłam się do Lucy:

– Pokażę ci twój pokój, a potem rozpalę w kominku i przygotuję dzbanek z gorącą czekoladą. O lunchu pomyślimy później.

– Nie pijam gorącej czekolady. Masz ekspres?

– Mam.

– To świetnie, zwłaszcza jeśli jeszcze masz kawę bezkofeinową. Znasz swoich sąsiadów?

– Wiem, kim są. Daj mi tę torbę, a sama weź drugą. Muszę otworzyć drzwi i wyłączyć alarm. Boże, ale to ciężkie.

– Babcia uparła się, żebym wzięła grapefruity. Są całkiem dobre, tylko mają mnóstwo pestek. - Lucy rozglądała się ciekawie po domu. - Fiu, świetliki.

Jak określasz ten styl architektoniczny poza tym, że bogaty?

Może się zmityguje, jeśli udam, że niczego nie zauważyłam.

– Pokój gościnny jest tam - powiedziałam. - Jeśli chcesz, możesz zamieszkać na piętrze, ale pomyślałam, że będziesz wolała być blisko mnie.

– Parter jest w porządku, o ile komputer mam niedaleko.

– Jest w moim gabinecie zaraz koło twojego pokoju.

– Przywiozłam notatki o Uniksie, książki i kilka innych rzeczy. - Przystanęła w rozsuwanych drzwiach balkonowych w salonie. - Ogród masz brzydszy niż w starym domu. - Powiedziała to takim tonem, jak gdybym zawiodła wszystkie znane mi osoby.

– Przynajmniej mną wiele lat pracy w ogrodzie. Dzięki temu mam na co czekać.

Lucy rozejrzała się uważnie, po czym spojrzała na mnie.

– Masz kamery, fotokomórki, płot, sztaby. I co jeszcze? Stanowiska strzelnicze?

– Tego nie mam.

– To twój Fort Apache, prawda, ciociu Kay? Wprowadziłaś się tu, bo Mark nie żyje, a świat składa się wyłącznie ze złych ludzi.

Oczy wypełniły mi się łzami. Poszłam do pokoju gościnnego i postawiłam na podłodze torbę, później w łazience sprawdziłam ręczniki,

mydło i pastę do zębów. Wróciłam do pokoju, odsunęłam zasłony, zajrzałam do komody, przestawiłam wieszaki w szafie i wyregulowałam grzejnik. Lucy siedziała na skraju łóżka i śledziła uważnie każdy mój ruch. Dopiero po kilku minutach mogłam spojrzeć jej w oczy.

– Jak się rozpakujesz, pokażę ci szafę, z której możesz wybrać sobie zimowe rzeczy - odezwałam się.

– Widziałas go zupełnie inaczej niż wszyscy, którzy go znali.

– Lucy, zmieńmy temat.

Zapaliłam lampę i upewniłam się, że telewizor jest podłączony do sieci.

– Bez niego jest ci o wiele lepiej - dodała z przekonaniem.

– Lucy...

– Nie traktował cię tak jak powinien. Nie byłby przy tobie w każdej sytuacji, bo to po prostu nie leżało w jego charakterze. Zawsze, kiedy coś szło źle, ty się dostosowywałaś.

Stałam przed oknem, wpatrzona w śpiące zimowym snem powojniki i przymarzniete do palików róże.

– Lucy, musisz nauczyć się większej delikatności i taktu. Nie możesz mówić wszystkiego, co myślisz.

– Zabawne, że słyszę to od ciebie. Zawsze powtarzałaś, że nienawidzisz nieszczerości i gierki.

– Ludzie mają uczucia.

– To prawda. Ja też.

– Czy ja w jakiś sposób twoje uczucia uraziłam? - zapytałam.

– A według ciebie jak ja się czułam?

– Chyba nie rozumiem.

– Bo w ogóle o mnie nie myślisz. I dlatego nie rozumiesz.

– Myślę o tobie cały czas.

– To tak, jakbyś twierdziła, że jesteś bogata, ale nigdy nie dałabyś mi ani centa. Co to dla mnie za różnica, skoro się przede mną ukryłaś?

Nie znalazłam żadnych słów odpowiedzi.

– Przestałaś do mnie dzwonić. Nie odwiedziłaś mnie ani razu, odkąd go zabili. - W jej głosie brzmiała skrywana od dawna uraza. - Pisałam do ciebie, a ty mi nie odpisałaś. Wczoraj zadzwoniłaś i zaprosiłaś mnie do siebie, bo czegoś ode mnie potrzebujesz.

– Nie chciałam, żebyś tak to odebrała.

– Mama robi tak samo.

Zamknęłam oczy i przytknęłam czoło do lodowatej szyby.

– Lucy, za wiele ode mnie wymagasz. Nie jestem doskonała.

–Wcale się nie spodziewałam, że będziesz ideałem, ale myślałam, że jesteś inna.

– Nie wiem, jak mam się bronić przed takimi zarzutami.

– Bo nie możesz niczego na swoją obronę znaleźć!

Po ogrodzeniu skakała wiewiórka, ptaki dziobały zeschnięte źdźbła trawy, szukając ziarenek.

– Ciociu Kay.

Odwrociłam się. Nigdy jeszcze nie widziałam w jej oczach takiego przygnębienia.

– Dlaczego mężczyźni są zawsze ważniejsi ode mnie?

– To nieprawda, Lucy - szepnęłam. - Przysięgam, że to nieprawda.



Moja siostrzenica na lunch zażyczyła sobie sałatkę z tuńczyka i kawę z mlekiem. Podczas gdy ja przy kominku redagowałam artykuł, ona buszowała po mojej szafie i komodach. Starłam się nie myśleć o obcych dłoniach dotykających moich rzeczy, składających je w sposób, w jaki ja

nigdy bym ich nie złożyła, wieszających żakiet na niewłaściwym wieszaku. Lucy miała talent do wywoływania u mnie uczucia, że jestem Żelaznym Rycerzem, rdzewiejącym w lesie. Czy naprawdę stawałam się poważną kobietą, typem, który budziłby we mnie niesmak, gdybym była w wieku Lucy?

– Co o tym sądzisz? - zapytała, kiedy o wpół do drugiej opuściła wreszcie moją sypialnię. Na sobie miała jeden z dresów.

– Strasznie dużo czasu zabrało ci wybranie tylko jednej rzeczy. Wyglądasz doskonale.

– Znalazłam jeszcze kilka ciuchów, które są w porządku, ale większość jest zbyt ozdobna. Wszystkie te prawnicze granatowe i czarne kostiumy, szare jedwabie w delikatne prążki, zielenie i kaszmiry, i białe bluzki. Musisz mieć chyba ze dwadzieścia białych bluzek i tyle samo krawatów. A przy okazji: brązów nie powinnaś nosić. Mnie nie jest dobrze w czerwieni, z kolei tobie jest świetnie. Pasuje do niebieskich oczu i siwiejących blond włosów.

– To popielaty blond - poprawiłam.

– Popioły są siwe albo białe, popatrz sobie na kominiek. Numer butów mamy inny. Poza tym trafiłam na czarną skórzaną kurtkę, naprawdę super.

W innym życiu byłaś rowerzystką czy jak?

– Kurtka jest z jagnięcej skóry. Możesz ją pożyczyć.

– A perfumy i perły? Masz przypadkiem dzinsy?

– Bierz, co chcesz. - Zaczęłam się śmiać. - Tak, mam gdzieś dzinsy, chyba w garażu.

– Zabieram cię na zakupy, ciociu Kay.

– Musiałabym chyba stracić rozum.

– Proszę!

– Zobaczymy - stwierdziłam.

– Jeśli można, chciałabym pójść do twojego klubu i trochę poćwiczyć. Po tym locie jestem cała sztywna.

– Gdybyś chciała pograć w tenisa, nie ma sprawy, muszę tylko sprawdzić, czy Ted dysponuje czasem. Rakiety są w szafie po lewej. Niedawno kupiłam nową, wilsona. Wystrzeliwuje piłkę z prędkością stu mil na godzinę.

Będzie ci się podobać.

– Nie, dzięki. Wolałabym raczej pochodzić z obciążeniem albo pobiegać. A może ty zagrasz z Tedem, kiedy ja będę ćwiczyła? Mogłybyśmy pojechać razem.

Posłusznie sięgnęłam po telefon i wykręciłam numer sali gimnastycznej w Westwood. Ted był zajęty aż do dwudziestej drugiej. Powiedziałam Lucy, jak tam dojechać, i dałam jej kluczyki od mojego samochodu. Po jej wyjściu trochę czytałam, później zmorzył mnie sen.

Kiedy się obudziłam, usłyszałam szmer węgla osypujących się w kominku i dźwięk cynowych dzwoneczków na tarasie, poruszanych przez wiatr.

Z nieba przypominającego ogromną czarną tablicę wolno padały wielkie płatki śniegu. Światła przed domem zapaliły się; w środku panowała taka cisza, że słyszałam tykanie zegara na ścianie. Było po czwartej, a Lucy nie wróciła z klubu. Wykręciłam numer telefonu w samochodzie; nikt nie odebrał.

Z niepokojem pomyślałam, że Lucy nigdy jeszcze nie prowadziła na zaśnieżonej drodze. A ja musiałam pojechać do sklepu po rybę na kolację.

Mogłabym zadzwonić do klubu i poprosić ją, lecz powiedziałam sobie, że to przecież szaleństwo. Wyjechała ledwo przed dwoma godzinami, a nie jest już dzieckiem. O wpół do piątej jeszcze raz wykręciłam numer komórki.

O piątej zadzwoniłam do klubu. Nie mogli jej znaleźć.

– Jest pani pewna, że nie ćwiczy ani nie bierze prysznicu? A może siedzi w barze? - zapytałam młodą kobietę, która odebrała telefon w klubie.

– Wywoływaliśmy ją cztery razy, pani doktor. Sama obeszłam klub.

Sprawdzę jeszcze raz, jeśli ją znajdę, poproszę, żeby natychmiast do pani zadzwoniła.

– A czy w ogóle się pojawiła? Powinna dotrzeć tam koło drugiej.

– Ojej, ja przyszłam dopiero o czwartej. Nie wiem.

Ponownie wybrałam numer telefonu komórkowego w samochodzie.

– Abonent Richmond Cellular nie odpowiada...

Marino nie było ani w domu, ani w pracy.

O szóstej stałam w kuchni i wpatrywałam się w okno. W światłach lamp ulicznych wirowały śniegowe płatki. Serce biło mi jak młotem, kiedy krążyłam z pokoju do pokoju i raz po raz wykręcałam numer komórki. O wpół do siódmej zdecydowałam, że zgłoszę jej zaginięcie na policję, i wtedy właśnie zadzwonił telefon. Pobiegłam do gabinetu. Sięgając po słuchawkę, zauważyłam na ekranie znajomy numer. Głuche telefony skończyły się w noc egzekucji Waddella, od tego czasu o nich nie myślałam. Zaskoczona, zastygłam w bezruchu, spodziewając się, że rozmówca zaraz odłoży słuchawkę.

Szokiem dla mnie był głos, który się odezwał.

– Przykro mi, że muszę to robić, doktorko...

Kurczowo ścisnęłam słuchawkę, odchrząknęłam i zapytałam z niedowierzaniem:

– Marino?

– Tak, to ja. Mam złe wieści.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– **G**dzie jesteś? - zapytałam, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Na East Endzie, śnieg pada jak diabli - odparł Marino. - Mamy denatkę, białą kobietę. Na oko wygląda to na typowe samobójstwo przez zatrucie spalinami. Samochód stoi w garażu, do rury wydechowej podłączony jest wąż. Ale okoliczności wydają się dziwne. Lepiej będzie, jak przyjedziesz.

– Skąd dokładnie dzwonisz? - zapytałam tak surowym tonem, że się zawahał.

Wyczułam, że jest zaskoczony.

– Z domu denatki. Dopiero co przyjechałem. I jeszcze jedno. Tylne drzwi nie były zamknięte na klucz.

Od strony garażu dobiegł hałas.

– Dzięki Bogu. Marino, poczekaj - powiedziałam z wielką ulgą.

Trzasnęły kuchenne drzwi, zaszeleściły papierowe torby.

Zakryłam słuchawkę dłonią i zawołałam:

– Lucy, to ty?

– Nie, królowa śniegu. Powinnaś zobaczyć, jak pada. Zachwycające!

Sięgnęłam po papier i pióro i zapytałam Marino:

– Nazwisko i adres denatki?

– Jennifer Deighton. Ewing dwa jeden siedem.

Nazwisko nic mi nie mówiło. Ewing, przecznica Williamsburg Road... To było w dzielnicy sąsiadującej z lotniskiem, zupełnie mi obcej.

Lucy weszła do gabinetu w chwili, kiedy odkładałam słuchawkę. Twarz miała zaróżowioną od mrozu, oczy błyszczące.

– Gdzieś ty, na litość boską, była? - warknęłam.

Z jej twarzy zniknął uśmiech.

– Załatwiałam sprawy.

– Porozmawiamy o tym później. Muszę jechać na miejsce zbrodni.

Wzruszyła ramionami.

– A poza tym co nowego?

– Przykro mi, nie mam wpływu na to, że ludzie umierają.

Złapałam płaszcz i rękawiczki i poszłam do garażu. Zapaliłam silnik, zapięłam pasy, wyregulowałam ogrzewanie i zajęłam się studiowaniem mapy, zapominając o otwarciu automatycznych drzwi garażu. To zdumiewające, jak szybko zamknięte pomieszczenie wypełnia się spalinami.

– Dobry Boże - mruknęłam do siebie ze zgrozą, sięgając po pilot.

Gruba warstwa śniegu rozjaśniała wieczorny mrok. W mojej dzielnicy na ulicach nie było żadnych samochodów, na autostradzie bardzo niewiele. Z radia płynęły bożonarodzeniowe piosenki, podczas gdy w głowie kotłowały mi się myśli i z wolna zaczynał ogarniać mnie strach. Jennifer Deighton dzwoniła do mnie i odkładała słuchawkę albo robił to ktoś z jej telefonu.

Teraz znaleziono ją martwą. Przynajmniej na wschodnim krańcu śródmieścia wznosiła się łukiem estakada nad torami; na tle nieba rysowała się bryła dworca przy Main Street z białymi od mrozu dachówkami.

Na Williamsburg Road zwolniłam. Minęłam zamknięte już centrum handlowe i tuż przy granicy z hrabstwem Henrico znalazłam Ewing Avenue.

Domy były tu małe, na podjazdach parkowały stare modele amerykańskich samochodów i pikapy. Przy numerze 217 stały wozy policyjne przed domem i po obu stronach ulicy. Zatrzymałam się koło forda

Marino, wzięłam lekarską torbę i niebrukowanym podjazdem poszłam do garażu, oświetlonego niczym betlejemska szopka. Drzwi były podniesione, policjanci stali wokół poobijanego beżowego chevroleta. Marino kucał przy tylnych drzwiach po stronie kierowcy i oglądał zielony wąż ogrodowy, nasunięty jednym końcem na rurę wydechową. Drugi był wetknięty przez uchyloną szybę do wnętrza auta. Tapicerkę pokrywała warstwa sadzy, a w zimnym, wilgotnym powietrzu unosił się zapach spalin.

– Kluczyk jest wciąż przekreślony - powiedział Marino. - W baku zabrakło benzyny.

Martwa kobieta wyglądała na sześćdziesiąt lat. Leżała skulona na prawym boku, za kierownicą, dłonie i odsłonięty kark miała jaskraworóżowe.

Na jasnobrązowym obiciu fotela tuż koło jej głowy ciemniały zaschnięte plamy. Z miejsca gdzie stałam, nie widziałam twarzy. Wyjęłam z torby termometr, żeby zmierzyć temperaturę w garażu, wciągnęłam chirurgiczne rękawiczki i poprosiłam młodego policjanta, żeby otworzył przednie drzwiczki samochodu.

– Facet od odcisków właśnie chciał się nim zająć - odparł.

– Nie ma sprawy, poczekam.

– Johnson, co ze zdjęciem odcisków z klamek, bo pani doktor chce zajrzeć do środka - zwrócił się do kolegi, po czym utkwiał we mnie swe smoliste latynoskie oczy. - A przy okazji, jestem Tom Lucero. W tej sprawie nic się nie klei. Po pierwsze, niepokoi mnie krew na przednim siedzeniu.

– Istnieje kilka prawdopodobnych wytłumaczeń - rzekłam. - Jednym jest pośmiertne oczyszczenie.

Zmrużył lekko oczy.

– Kiedy ciśnienie w płucach wypycha krwiste płyny przez usta i nos - wyjaśniłam.

– Aha. Ale to następuje dopiero wtedy, kiedy ciało zaczyna się rozkładać, prawda?

– Zwykle tak.

– Na podstawie tego, co wiemy, ta pani nie żyje od góra dwudziestu czterech godzin, a w garażu jest zimno jak w kostnicy.

– To prawda - zgodziłam się. - Jednakże dopóki w baku była benzyna, w samochodzie musiało być całkiem ciepło.

Marino zerknął do środka przez ciemną od sadzy szybę.

– Wygląda na to, że ogrzewanie włączone jest na maksimum.

– Poza tym - ciągnęłam - mogło być tak, że kiedy straciła przytomność, przewróciła się na bok i uderzyła twarzą o kierownicę, sprzęgło albo siedzenie.

Mogła mieć krwotok z nosa. Mogła ugryźć się w język albo wargę.

Na pewno będziemy wiedzieć, jak ją zbadam.

– Dobra, ale co z jej strojem? - powiedział Lucero. - Nie wydaje się pani dziwne, że wyszła na dwór do zimnego garażu, podłączyła wąż i wsiadła do zimnego auta w samym tylko szlafroku?

Długi jasnoniebieski szlafrok uszyty był z cienkiego syntetycznego materiału.

Nie ma żadnych reguł, jeśli chodzi o to, jak ubierają się samobójcy.

Wydawało się logiczne, że Jennifer Deighton powinna włożyć płaszcz i buty, zanim w mroźną noc wyszła z domu, z drugiej jednak strony, jeśli planowała odebrać sobie życie, to wiedziała, że nie będzie jej zimno.

Funkcjonariusz skończył posypywać proszkiem drzwi samochodu.

Sprawdziłam termometr. W garażu było dwadzieścia dziewięć stopni Fahrenheita.

– Kiedy przyjechaliście? - zwróciłam się do Lucero.

– Jakies pół godziny temu. Na pewno w garażu było cieplej, zanim otworzyliśmy drzwi, choć niewiele cieplej. Nie ma tu ogrzewania, poza tym maska samochodu była zimna. Podejrzewam, że benzyna się skończyła i akumulator przestał działać na wiele godzin przedtem, zanim nas wezwano.

Otworzyłam drzwi samochodu i zrobiłam serię zdjęć, później od strony pasażera przyjrzałam się głowie denatki, szukając jakiegoś szczegółu, który by obudził dawno zapomniane wspomnienia. Nie na wiele się to zdało.

Nie znałam Jennifer Deighton, nigdy jej nie widziałam.

Utlenione włosy z czarnymi odrostami nakręcone miała na papiloty. Była bardzo gruba, aczkolwiek rysy twarzy wskazywały, że musiała być całkiem ładna, kiedy była młodsza i szczuplejsza. Przesunęłam palcami po twarzy i szyi; nie znalazłszy żadnych uszkodzeń, z wysiłkiem odwróciłam jej głowę. Była zimna i sztywna, policzek, którym opierała się o siedzenie, pokrywały pęcherze. Nic nie wskazywało na to, że ciało przenoszono po śmierci. Nie żyła od przynajmniej dwunastu godzin.

Kiedy zajęłam się jej dłońmi, zauważyłam coś pod paznokciem prawego palca wskazującego. To był maleńki płatek w metalicznie zielonym kolorze.

Ozdoby choinkowe, pomyślałam. Znalazłam też złote włókna. Wsunęłam na dłonie denatki papierowe torby i zabezpieczyłam w nadgarstkach gumkami, po czym obeszałam samochód. Chciałam przyjrzeć się jej stopom.

W podeszwach grubych, ciemnych skarpet zauważyłam włókna podobne do tych za paznokciami, jednak nie było na nich brudu ani błota. W głowie zabrzączał mi dzwonek alarmowy.

– Znalazłaś coś interesującego? - zapytał Marino.

– Czy w pobliżu leżały papcie albo buty? - odpowiedziałam pytaniem.

– Nie - rzekł Lucero. - Jak pani mówiłem, wydało mi się dziwne, że wyszła z domu w samym...

– Mamy problem - przerwałam mu. - Skarpety są zbyt czyste.

– Cholera - mruknął Marino.

– Musimy zawieźć ją do laboratorium - stwierdziłam.

– Wezwę ambulans - zaoferował się Lucero.

– Chciałabym zobaczyć dom...

– Jasne. - Marino zdjął rękawice i chuchał w zziębnięte dłonie. - Ja też.

Czekając na ambulans, ostrożnie obeszłam garaż. Niewiele było tu do oglądania. Zauważyłam stos starych gazet, koszyki z wikliny, pokryte kurzem puszki farby i zardzewiały grill, pewnie od lat nie używany. Zwinięty byle jak, leżał w kącie, niczym bezgłowy padalec, zielony wąż ogrodowy, którego kawałek najwyraźniej posłużył jako transporter spalin do wnętrza samochodu. Plastikowa krawędź nie wyglądała na przepiłowaną, raczej na odciętą pod kątem jednym mocnym pociągnięciem noża. Na cementowej podłodze w pobliżu zauważyłam podłużną rysę. Podniosłam się i przyjrzałam wiszącym na hakach siekierze i młotkowi, zardzewiałym i pokrytym pajęczynami.

W garażu pojawiła się obsługa ambulansu.

– Znaleźliście w domu coś, czym mogła przeciąć wąż? - zapytałam Lucero.

– Nie.

Jennifer Deighton nie chciała opuścić samochodu. Śmierć opierała się ręką żywych. Poszłam im pomóc. We troje chwyciliśmy ją pod pachy i w pasie, czwarty pchał nogi. Wreszcie się udało. Sanitariusze położyli ciało na nosze, zamknęli pokrowiec i zapięli pasy, po czym ruszyli do ambulansu.

W towarzystwie Lucero dreptałam po zaśnieżonym podjeździe żałując, że nie wzięłam botków. Przez kuchenne drzwi weszliśmy do ceglanego

domu w wiejskim stylu.

W kuchni, najwyraźniej niedawno odnowionej, wszystkie urządzenia były czarne, blaty zaś i szafki białe; ściany pokrywała bladobłękitna tapeta w pastelowe kwiaty. Kierując się odgłosami rozmowy, przeszliśmy przez wąski hol z drewnianą podłogą do sypialni, gdzie Marino i specjalista od daktyloskopii zajmowali się komodą. Przez długą chwilę wpatrywałam się w zadziwiającą manifestację osobowości Jennifer Deighton. Jej sypialnia przypominała solarium, w którym zamknięto energię i zamieniono w magię.

Pomyślałam znowu o głuchych telefonach i niemal poczułam, jak zamęt w mojej głowie rośnie.

Ściany, zasłony, dywan i wiklinowe meble były białe. Na wygniecionej pościeli, tuż obok dwóch poduszek wspartych o wezgielnie łóżka, na kartce papieru maszynowego stała kryształowa piramida. Na toaletce i stolikach było więcej kryształów; najmniejsze wisiały na framudze okna. Mogłam sobie wyobrazić tańczące na ścianach tęcze i oślepiające błyski światła padające ze szkła w słoneczny dzień.

– Niesamowite, co? - odezwał się Lucero.

– Czy ona była chora psychicznie? - spytałam.

– Ujmijmy to tak: prowadziła własną firmę i większość spraw załatwiała tutaj - powiedział Lucero, stając przy automatycznej sekretarce. Migąo światelko zawiadamiające o telefonie, na ekranie lśnił czerwony numer trzydzieści osiem.

– Trzydzieści osiem telefonów od ósmej wieczorem wczoraj - ciągnął Lucero.

– Przesłuchałem kilka. Dama zajmowała się horoskopami. Wygląda na to, że ludzie dzwoniли do niej, żeby się dowiedzieć, czy czeka ich dobry

dzień, czy wygrają na loterii albo będą mogli zapłacić rachunki po Bożym Narodzeniu.

Marino podniósł pokrywę automatycznej sekretarki, za pomocą scyzoryka wyciągnął taśmę i schował do plastikowej koperty. Mnie zainteresowało kilka przedmiotów leżących na małym stoliku nocnym, podeszłam więc bliżej. Obok notatnika i pióra stała szklanka, napełniona na cał przezroczystym płynem. Pochyliłam się i powąchałam. Nic nie poczułam.

Woda, pomyślałam. Obok leżały dwie książki w miękkich okładkach: „Paryski pstrąg” Pete’a Dextera i „Mówi Seth” Jane Roberts. Więcej książek w sypialni nie było.

– Chciałabym im się przyjrzeć - powiedziałam do Marino.

– „Paryski pstrąg” - rzekł z namysłem. - To o łowieniu ryb we Francji? Wcale nie żartował.

– Może wywnioskuję z nich coś o stanie jej umysłu przed śmiercią - dodałam.

– Nie ma sprawy. Powiem chłopakom od daktyloskopii, żeby sprawdzili, czy nie ma odcisków palców, i dali je tobie. Tę kartkę też lepiej przekazać laboratorium.

Miał na myśli arkusz czystego papieru leżący na łóżku, pod piramidką.

– Racja - wtrącił Lucero kpiąco. - Może napisała list pożegnalny sympatycznym atramentem.

– Chodź - rzekł do mnie Marino. - Chcę ci coś pokazać.

Przeszliśmy do salonu, gdzie w kącie sztuczna choinka gięła się pod ciężarem ozdób. Obok leżały pudełka ze słodyczami i serami, sole do kąpieli, szklany słój z czymś, co wyglądało na ziołową herbatę, oraz gliniany jednorożec z błyszczącymi niebieskimi oczyma i połączanym

rogiem. Kudłaty złoty dywan, jak podejrzewałam, stanowił źródło włókien, które zauważyłam na skarpetach i pod paznokciami Jennifer Deighton.

Marino z kieszeni wyjął małą latarkę i przykucnął.

– Popatrz - powiedział.

Kucnęłam obok niego i w świetle latarki zobaczyłam kawałek cienkiego złotego sznurka, wijącego się w grubym dywanie u podstawy drzewka.

– Jak tu wszedłem, najpierw sprawdziłem, czy pod choinką są prezenty - rzekł, gasząc latarkę. - Nie ulega wątpliwości, że wcześniej je otworzyła.

Opakowania i karty zostały od razu spalone w kominku, bo pełno tam popiołu, a w nim tu i tam kawałki folii. Sąsiadka z naprzeciwka powiedziała, że wczoraj późnym wieczorem zauważyła dym z komina.

– To ona zawiadomiła policję? - zapytałam.

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie wiem dokładnie. Muszę z nią porozmawiać.

– Zapytaj, czy nie orientuje się w stanie zdrowia denatki; może na przykład miała problemy psychiatryczne albo co. Chciałabym też znać nazwisko jej lekarza.

– Idę tam za kilka minut. Możesz iść ze mną i sama zapytać.

Pomyślałam o Lucy, czekającej na mnie w domu. Kiedy rozglądałam się po salonie, moją uwagę zwróciły cztery kwadratowe wgłębienia na środku dywanu.

– Ja też je zauważyłem - odezwał się Marino.

– Wygląda na to, że ktoś przyniósł tu krzesło, prawdopodobnie z jadalni.

Są tam cztery krzesła przy stole. Mają kwadratowe nogi.

– Powinieneś sprawdzić - myślałam na głos - czy nie zaprogramowała na wideo nagrania jakiejś audycji. To też może nam wiele o niej powiedzieć.

– Dobry pomysł.

Z salonu przeszliśmy do małej jadalni z dębowym stołem i czterema prostymi krzesłami. Pleciony chodnik na drewnianej podłodze albo był nowy, albo rzadko po nim chodzono.

– Odnoszę wrażenie, że większość czasu spędzała tutaj - rzekł Marino, kiedy weszliśmy do pomieszczenia po drugiej stronie holu; bez wątpienia było to biuro.

Pokój zapchany był sprzętami niezbędnymi do prowadzenia małej firmy.

Najpierw dokładnie obejrzałam faks. Był wyłączony, kabel tkwił w pojedynczym gniazdku w ścianie. Rozglądałam się, coraz bardziej zdumiona.

Na stole i biurku tłoczyły się komputer, urządzenie do kopertowania, paczki formularzy. Na regałach stały książki o parapsychologii, astrologii, znakach zodiaku oraz wschodnich i zachodnich religiach. Zauważyłam kilka różnych przekładów Biblii oraz mnóstwo notatników z datami wypisanymi na grzbietach.

Ze stosu formularzy wzięłam jeden. Dowiedziałam się, że za trzysta dolarów rocznie można dzwonić raz dziennie, by usłyszeć trzyminutowy osobisty horoskop „postawiony w oparciu o szczegółowe informacje, w tym połączenie planet w chwili narodzin”. Za dodatkowe dwieście dolarów na rok klient ma prawo do „horoskopu tygodniowego”. Po uregulowaniu zapłaty otrzymuje kartę z numerem identyfikacyjnym, ważną na cały okres uiszczania opłat.

- Co za bzdury - powiedział Marino.
- Wnioskuje, że mieszkała sama.
- Na razie wszystko na to wskazuje. Samotna kobieta prowadząca taką firmę bez problemu może zwrócić na siebie uwagę niewłaściwej osoby.
- Marino, wiesz, ile tu jest linii telefonicznych?
- Nie, a dlaczego pytasz?

Opowiedziałam mu o głuchych telefonach.

Wpatrywał się we mnie, dostrzegłam, że mięśnie twarzy mu zeszywniały.

– Muszę wiedzieć, czy faks i telefon są na tej samej linii - zakończyłam.

– Jezu Chryste.

– Jeśli są i w dodatku tego wieczoru, kiedy wykręciłam numer, faks przypadkiem był włączony, to by tłumaczyło sygnał.

– Jezu Chryste - powtórzył Marino, wyciągając krótkofalówkę z kieszeni płaszcza. - Dlaczego, do cholery, wcześniej nic mi nie powiedziałaś?

– Nie chciałam o tym wspominać przy innych.

Przysunął krótkofalówkę do ust i rzekł:

– Siedem-jeden. - Następnie zwrócił się do mnie: - Skoro tak się martwiłaś głuchymi telefonami, dlaczego nie powiedziałaś wiele tygodni temu?

– Aż tak się nie martwiłam.

– Siedem-jeden, słucham - zaskrzeczała krótkofalówka głosem dyspozytora.

– Jeden-pięć do osiem-dwa-jeden.

Dyspozytor przekazał wiadomość dla funkcjonariusza oznaczonego symbolem 821.

– Podam ci numer, pod który zadzwonisz - rzekł Marino, kiedy policjant zgłosił się przez radio. - Masz pod ręką telefon komórkowy?

– Jasne.

Marino podał mi numer Jennifer Deighton, po czym włączył faks. Natychmiast rozległy się piski, buczenie i inne odgłosy.

– Czy to odpowiedź na twoje pytanie? - zapytał mnie Marino.

– Owszem, to odpowiedź na jedno z pytań, aczkolwiek nie najważniejsze.



Sąsiadka z naprzeciwka, która zawiadomiła policję, nazywała się Myra Clary. Poszłam z Marino do jej małego, obitego aluminiową blachą domku.

Na frontowym trawniku stał oświetlony Święty Mikołaj z plastiku, między gałęziami bukszpanu kryły się lampki choinkowe. Ledwo Marino nacisnął dzwonek, drzwi otworzyły się i w progu stanęła pani Clary. Zaprosiła nas do środka nie pytając nawet, kim jesteśmy. Przyszło mi do głowy, że pewnie obserwowała nasze nadejście zza firanki.

Zaprowadziła nas do ponurego saloniku, gdzie jej mąż kulił się przy elektrycznym kominku. Pajęcze nogi okryte miał szlafrokiem, pusty wzrok utkwiony w ekranie telewizora, na którym jakiś mężczyzna reklamował mydło. Pomieszczenie nosiło ślady wieloletnich zaniedbań. Obicia mebli były wytarte i brudne w miejscach, gdzie najczęściej stykały się z ludzkimi ciałami. Drewno poszarzało od licznych warstw wosku, obrazki na ścianach pożółkły za zakurzonym szkłem. W powietrzu unosił się zastarzały zapach niezliczonych posiłków gotowanych w kuchni i jedzonych na tacach przed telewizorem.

Marino wyjaśnił cel naszego przybycia; pani Clary nerwowo krążyła po pokoju, zdejmując z sofy gazety, ścisząc telewizor i wynosząc do kuchni brudne talerze. Jej mąż nie zwracał na nas uwagi, głowa trzęsła mu się nieustannie na szyi przypominającej łądygę.

– Nie, dziękujemy - rzekł Marino, kiedy pani Clary zaproponowała nam coś do picia. - Proszę usiąść i odprężyć się. Wiem, że ma pani za sobą trudny dzień.

– Mówią, że była zamknięta w samochodzie i wdychała spaliny. O mój Boże - odparła. - Widziałam to zadymione okno, jakby garaż się palił. Już wtedy domyśliłam się najgorszego.

– Kto mówi? - zapytał Marino.

– Policja. Jak zadzwoniłam, to potem wypatrywałam, kiedy przyjadą. Zobaczyłam wozy i poszłam sprawdzić, czy z Jenny wszystko w porządku.

Pani Clary wierciła się w fotelu stojącym naprzeciw sofy, na której siedzieliśmy ja i Marino. Z koka na czubku głowy wymykały się siwe kosmyki, twarz miała pomarszczoną jak suche jabłko, oczy głodne nowin.

– Wiem, że rozmawiała już pani z policją - stwierdził Marino, przysuwając bliżej popielniczkę. - Proszę jednak, żeby dokładnie wszystko nam pani powtórzyła, poczynając od dnia, kiedy widziała pani Jennifer Deighton po raz ostatni.

– Widziałam ją parę dni wcześniej...

– To znaczy?

– W piątek. Pamiętam, że zadzwonił telefon i poszłam do kuchni odebrać.

Wtedy przez okno zobaczyłam, jak wjeżdża na podjazd.

– Zawsze parkowała samochód w garażu? - zapytałam.

– Zawsze.

– A wczoraj? Czy wczoraj widziała pani ją albo samochód? - pytał dalej Marino.

– Nie, ale poszłam wyjąć pocztę ze skrzynki. Spóźniali się, jak to zwykle o tej porze roku.

Trzecia, czwarta, a poczty nie ma. Było chyba wpół do szóstej, może trochę później, kiedy sobie przypomniałam, że trzeba by sprawdzić. Ściemniało się, ale zauważyłam, że z komina Jenny leci dym.

– Jest pani pewna? - spytał Marino.

Pokiwała głową.

– Całkowicie. Pomyślałam sobie, że to dobry wieczór na rozpalenie w kominku. Ale kominkiem zawsze zajmował się Jimmy. Nie pokazał mi, jak

to robić, a naprawdę był w tym dobry, jak w mało czym. Więc zrezygnowałam z rozpalania ognia i założyłam elektryczny grzejnik.

Jimmy Clary przyglądał się żonie. Zastanawiałam się, czy wie, o czym ona mówi.

– Lubię gotować - ciągnęła. - O tej porze roku dużo piekę i częściej sąsiadów ciastem. Wczoraj chciałam wpaść do Jenny, żeby zanieść jej babkę, ale najpierw zawsze wolę zadzwonić. Trudno powiedzieć, czy ktoś jest w domu, zwłaszcza jeśli samochód trzyma w garażu. A jak zostawi się ciasto na progu, dobiera się do niego jeden z tych psów, co się tu kręcą. Więc zadzwoniłam i odpowiedział mi ten automat. Cały dzień próbowałam, ale Jenny nie odbierała i szczerze mówiąc zaczęłam się martwić.

– Dlaczego? - zapytałam. - Czy miała jakieś kłopoty ze zdrowiem? Zwierzała się pani z czegoś?

– Kiedyś mi powiedziała, że ma niedobry cholesterol. A poza tym wysokie ciśnienie; podobno w jej rodzinie wszyscy je mają.

W domu Jennifer Deighton nie zauważyłam żadnych leków na recepty.

– Wie pani, u kogo się leczyła? - zapytałam.

– Nie wiem. Tylko że Jenny wierzyła w naturalne kuracje. Mówiła, że jak źle się czuje, to medytuje.

– Wygląda na to, że były panie dość blisko - stwierdził Marino.

Pani Clary szarpała sukienkę.

– Jestem w domu cały dzień, chyba że idę na zakupy. - Spojrzała na męża, który znowu wpatrywał się w telewizor. - Czasami do niej zachodzę, ot tak, po sąsiedzku, żeby poczęstować wypiekiem albo jakimś daniem.

– Była towarzyska? - zapytał Marino. - Dużo ludzi ją odwiedzało?

– No, wiecie, że pracowała w domu. Większość spraw chyba załatwiała przez telefon. Ale czasami widziałam wchodzących ludzi.

– Znała ich pani?

– Nie.

– Zauważyła pani kogoś wchodzącego do jej domu wczoraj wieczorem?

– Nikogo nie widziałam.

– A kiedy wyszła pani po pocztę i zobaczyła dym z komina, czy odniosła pani wrażenie, że ktoś u niej może być?

– Nie widziałam samochodu. Nic nie wskazywało na to, że Jenny ma gościa.

Jimmy Clary zapadł w drzemkę. Z kącików ust ciekła mu ślina.

– Mówiła pani, że Jennifer Deighton pracowała w domu - rzekłam. - Czy wie pani, na czym ta praca polegała?

Pani Clary utkwiała we mnie wzrok, nachyliła się i cicho odparła:

– Wiem, co gadali ludzie.

– A co gadali? - spytałam.

Zacisnęła usta i potrząsnęła głową.

– Pani Clary - odezwał się Marino. - Wszystko, co pani nam powie, może okazać się pomocne. Wiem, że pani chce nam pomóc.

– Dwie przecznice dalej jest kościół metodystów. Można go stąd zobaczyć.

Wieża jest oświetlona w nocy, zawsze była, odkąd kilka lat temu zbudowali ten kościół.

– Widziałem go, jak tu jechałem - powiedział Marino. - Ale co to ma wspólnego...

– No cóż - przerwała mu - Jenny wprowadziła się tu chyba na początku września. Te światła na wieży to coś, co się w głowie nie mieści. Popatrzcie sobie, jak będziecie wracać. Tylko że... - przerwała, na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania. - Może teraz to się nie powtórzy.

– Ale co? - zniecierpliwił się Marino.

– To miganie. Najdziwniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Pali się przez minutę, a jak znowu człowiek patrzy w okno, jest ciemno, jakby kościoła wcale tam nie było. A potem znowu wieża jest oświetlona. Sprawdzałam z zegarkiem w ręku. Zapalone przez minutę, wygaszone przez dwie, znowu zapalone przez trzy. Czasami pali się przez godzinę. Nie ma żadnej reguły.

– A co to ma wspólnego z Jennifer Deighton? - zapytałam.

– To było niedługo po tym, jak tu się przeprowadziła, kilka tygodni przed atakiem Jimmy’ego. Był zimny wieczór, więc rozpałał w kominku ogień. Ja w kuchni zmywałam naczynia i przez okno widziałam oświetloną wieżę.

Kiedy Jimmy przyszedł nalać sobie drinka, powiedziałam mu: „Chyba wiesz, co Biblia mówi o pijanych duchem, nie winem”. On mi na to: „Nie piję wina, tylko bourbon. W Biblii nie ma słowa o bourbonie”.

I w tej samej chwili światło na wieży zgasło. To było tak, jakby kościół rozplynął się w powietrzu. Powiedziałam: „No i doigrałeś się. Oto słowo Pana, jego opinia o tobie i twoim bourbonie”. Wybuchnął śmiechem, jakbym zupełnie postradała zmysły, ale od tej pory nie tknął ani kropelki. Co noc stał w oknie i patrzył. Raz wieża była oświetlona, raz ciemna. Utrzymywałam go w przekonaniu, że to dzieło Boga, nie wiem, co bym zrobiła, byle nie zbliżał się do butelki. Zanim panna Deighton się tu przeprowadziła, z wieżą wszystko było w porządku.

– Czy ostatnio światło gasło i zapalało się? - zapytałam.

– Wczoraj wieczorem tak. Nie wiem jak dzisiaj, bo nie patrzyłam.

– Twierdzi pani, że panna Deighton w jakiś sposób wpływała na światła na kościelnej wieży - rzekł Marino spokojnie.

– Powtarzam tylko to, co mówi większość ludzi z naszej ulicy.

– A mianowicie?

– Że była czarownicą - wyjaśniła pani Clary.

Jej mąż zaczął okropnie chrapać, jakby się dusił. Zdawała się tego nie słyszeć.

– Wygląda na to, że pani mąż zaczął czuć się źle mniej więcej wtedy, kiedy zjawiała się tu panna Deighton i światła na wieży zwariowały - powiedział Marino.

Sprawiła wrażenie przestraszonej.

– No tak. Miał atak w końcu września.

– Czy przyszło pani do głowy, że to może mieć jakiś związek? Że Jennifer Deighton także i do tego się przyczyniła?

– Nie przypadła Jimmy’emu do gustu.

– Mówi pani, że tych dwoje się nie polubiło - powtórzył Marino.

– Jak się przeprowadziła, wpadała kilka razy prosić go o pomoc w domu, wie pan, takie męskie roboty. Pamiętam, kiedyś zaciął się jej dzwonek i w domu strasznie buczało. Przyszła do nas przerażona, że może mieć śpięcie.

Więc Jimmy poszedł z nią. A znowu innym razem przeciekała jej zmywarka do naczyń. Jimmy wiele umiał zrobić. - Zerknęła na chrapiącego męża.

– Nie wyjaśniła pani, dlaczego nie przypadła mu do gustu - przypomniał Marino.

– Powiedział, że nie lubi do niej chodzić. Nie podobał mu się jej dom z tymi wszystkimi kryształami i dzwoniącym bez przerwy telefonem. Ale najbardziej go wkurzyło, jak mu powiedziała, że wróży ludziom i jemu też postawi horoskop za darmo, jeśli będzie naprawiał jej różne rzeczy. Odpowiedział jej na to, pamiętam, jakby to było wczoraj: „Nie, dziękuję, panno Deighton. Myra zajmuje się moją przyszłością, planuje dokładnie każdą minutę”.

– Zastanawiam się, czy nie zna pani kogoś, kto do tego stopnia nie lubił Jennifer Deighton, żeby życzyć jej źle, chcieć skrzywdzić ją w jakiś sposób.

– Myśli pan, że ktoś ją zabił?

– Na tym etapie nie wiemy jeszcze wiele. Musimy sprawdzić każdą możliwość.

Skrzyżowała ręce pod obwisłym biustem.

– A co może pani powiedzieć o jej stanie emocjonalnym? - odezwałam się. - Czy kiedykolwiek wydawała się pani przygnębiona? Miała może problemy, z którymi nie umiała sobie poradzić, zwłaszcza ostatnio?

– Na tyle dobrze jej nie znałam - odparła, unikając mojego wzroku.

– Orientuje się pani, czy chodziła do lekarzy?

– Nie wiem.

– A jej najbliższa rodzina? Miała bliskich?

– Nie mam pojęcia.

– Proszę mi powiedzieć, czy kiedy była w domu, odbierała telefony czy raczej rejestrowała je na automatycznej sekretarce?

– Z mojego doświadczenia wynika, że kiedy była w domu, odbierała sama.

– I dlatego zaniepokoiła się pani, kiedy dzisiaj nikt nie odebrał - wtrącił Marino.

– Właśnie.

Myra Clary zbyt późno uświadomiła sobie, co powiedziała.

– To interesujące - skomentował Marino.

Na jej szyi pojawiły się różowe plamy, dłonie znieruchomiały.

– Skąd pani wie, że dzisiaj była w domu?

Przez chwilę milczała. Jej mąż zacharczał i zaczął kaszleć.

– Chyba tak wywnioskowałam. Bo nie widziałam, żeby wyjeżdżała samochodem...

– Nie skończyła.

– A może poszła tam pani wcześniej w ciągu dnia? - odpowiedział Marino, jak gdyby próbując jej pomóc. - Żeby zanieść ciasto albo się przywitać?

I postanowiła pani sprawdzić, czy auto jest w garażu.

Otarła łzy z oczu.

– Całe rano piekłam w kuchni i nie widziałam, żeby wychodziła po gazetę czy wyjeżdżała. Więc kiedy przed południem wyszłam z domu, poszłam do niej i zadzwoniłam do drzwi. Nie otworzyła. Zajrzałam przez okno do garażu.

– Mówi pani, że widziała pani pełno dymu i nawet przez myśl pani nie przeszło, że coś jest nie tak? - zapytał Marino.

– Nie miałam pojęcia, co to znaczy, co dalej robić - powiedziała piskliwie.

– Boże, Boże. Żałuję, że wtedy nikogo nie wezwałam. Może ona...

– Nie wiemy, czy jeszcze wtedy żyła - przerwał Marino, spoglądając na mnie znacząco.

– Czy kiedy patrzyła pani przez okno do garażu, słyszała pani pracujący silnik samochodu? - zapytałam.

Potrząsnęła przecząco głową i wytarła nos.

Marino wstał, chowając notatnik do kieszeni płaszcza. Sprawiał wrażenie zniechęconego, jak gdyby brak charakteru pani Clary oraz jej skłonność do kręctw głęboko go rozczarowały. Po tak długim okresie współpracy znałam na pamięć wszystkie jego role.

– Powinnam była zadzwonić wcześniej - zwróciła się do mnie drżącym głosem pani Clary.

Milczałam. Marino wpatrywał się w dywan.

– Nie czuję się dobrze - powiedziała. - Muszę się położyć.

Marino wyjął z portfela wizytówkę i podał jej.

– Jeśli jeszcze coś pani sobie przypomni, proszę dać mi znać.

– Tak, proszę pana - odparła słabo. - Obiecuję, że tak zrobię.

– Przeprowadzisz dzisiaj sekcję? - zapytał mnie Marino, kiedy drzwi za nami się zamknęły.

Śnieg sięgał do kostek i dalej padał.

– Nie, rano - odparłam, szukając w kieszeni kluczyków.

– Co o tym wszystkim sądzisz?

– To, że z powodu swego niecodziennego zajęcia ryzykowała, że w końcu trafi na niewłaściwą osobę. Z drugiej strony to, iż prowadziła samotne życie, jak wynika z opisu pani Clary, oraz że tak wcześnie otworzyła świąteczne prezenty, przemawiałoby za samobójstwem. Temu jednak przeczyłyby czyste skarpety.

– Masz rację - rzekł Marino.

Dom Jennifer Deighton był rzęsiście oświetlony, na podjeździe parkowała ciężarówka z łańcuchami na oponach. Głosy pracujących mężczyzn dochodziły do nas stłumione przez śnieg; każdy samochód na ulicy nosił białą czapę.

Spojrzałam ponad dachami na kościół, który kilka przecznic dalej rysował się na perłowoszarym niebie. Wieża swym kształtem przywodziła na myśl kapelusz czarownicy. Łuki arkad spoglądały na nas smutnymi pustymi oczyma. I nagle zapłonęło w nich światło. Wypełniło wieżę połyskliwą żółcią, zamieniając arkady w łagodną, choć poważną twarz płynącą przez noc.

Zerknęłam za siebie na dom państwa Clary. W oknie kuchennym poruszyła się zasłona.

– Znikam stąd.

Marino ruszył na drugą stronę ulicy.

- Mam powiedzieć Neilsowi o samochodzie? - zawołałam za nim.
- Tak - odkrzyknął. - Będę ci wdzięczny.



W moim domu paliły się światła, z kuchni dochodziły smakowite aromaty, w kominku płonął ogień, a na stoliku stały dwa nakrycia. Rzuciłam torbę na sofę i nadstawiłam uszu. Z gabinetu po drugiej stronie holu dobiegał szybki stukot klawiszy.

- Lucy! - zawołałam zdejmując rękawiczki i odpinając płaszcz.
- Tu jestem!
- Co gotujesz?
- Obiad.

Zastałam ją usadowioną za moim biurkiem i intensywnie wpatrującą się w monitor komputera. Była w Uniksie. Jakimś cudem połączyła się z komputerem w biurze.

– Jak to zrobiłaś? - zapytałam. - Nie podałam ci komendy, nazwy użytkownika, hasła ani niczego w tym rodzaju.

– I nie musiałaś. Znalazłam plik, z którego dowiedziałam się, jak brzmi komenda. Poza tym masz tu kilka programów z zakodowanymi nazwą użytkownika i hasłem. Dobra, acz ryzykowna droga na skróty. Nazwa użytkownika brzmi „Marley”, hasło „mózg”.

Przystawiłam sobie krzesło do biurka.

- Jesteś niebezpieczna.
- Kto to Marley? - zapytała, nie przestając pisać.
- W akademii medycznej mieliśmy przydzielone miejsca. Marley Scates siedział koło mnie w laboratorium przez dwa lata. Jest teraz neurochirurgiem gdzieś tam.

– Byłaś w nim zakochana?

– Nigdy nie poszliśmy na randkę.
– Czy on był w tobie zakochany?
– Zadajesz za wiele pytań, Lucy. Nie możesz pytać ludzi, o co ci się podoba.

– Mogę. Nie muszą odpowiadać.
– Ale to obraźliwe.
– Myślę, że wiem, jak ten ktoś dostał się do twojej kartoteki, ciociu. Pamiętasz, co mówiłam o użytkownikach, którzy przychodzą z programem?

– Tak.
– Jest taki jeden o nazwie demo, uprzywilejowany, ale nie ma hasła. Podejrzewam, że tej nazwy użył włamywacz, i zaraz ci pokażę, jak to zrobił. - Przez cały czas jej palce fruwały po klawiaturze. - Teraz wchodzę w menu administratora systemu, żeby sprawdzić kolejność zalogowań. Szukamy uprzywilejowanych użytkowników. Teraz stukniemy g i wykrzyknik. No i mamy. - Przesunęła palcem po ekranie. - Szesnastego grudnia o siedemnastej sześć ktoś się zalogował z urządzenia tty14. Użytkownik był uprzywilejowany i zakładamy, że to on właśnie wszedł do twoich zbiorów. Nie wiem, czego szukał. Ale dwadzieścia minut później, o siedemnastej dwadzieścia sześć, próbował wysłać wiadomość o treści „Nie mogę tego znaleźć”

do urządzenia tty07 i niechcący założył plik. Wylogował się o piątej trzydzieści dwie, czyli korzystał przez dwadzieścia sześć minut. Nawiasem mówiąc, nic nie wskazuje na to, by coś drukował, bo sprawdziłam zestaw wydruków. Nie znalazłam tam nic, co by zwróciło moją uwagę.

– Pozwól, że się upewnię, czy dobrze cię zrozumiałam - powiedziałam. - Ktoś chciał wysłać wiadomość z tty14 do tty07?

– Tak. Sprawdziłam, że oba te urządzenia to terminale.

– Jak można ustalić, gdzie stoją?

– Jestem zaskoczona, że nie ma tu nigdzie listy, w każdym razie dotąd jej nie znalazłam. Jeśli inne sposoby zawiodą, możesz sprawdzić kable od terminali. Zazwyczaj są na nich naklejki. A jeśli interesuje cię moja osobista opinia, to nie sądzę, żeby hakerem był twój analizator komputerowy.

Po pierwsze, zna twoją nazwę użytkownika i hasło, więc nie musiałaby logować się jako demo. Poza tym zakładam, że mini jest w jej pokoju oraz że używa terminalu systemowego.

– To prawda.

– Komputer systemowy to tymb.

– Tak jest.

– Innym sposobem na odkrycie sprawcy jest wejście do poszczególnych pokoi pod nieobecność pracowników, ale kiedy komputery są włączone.

Musisz tylko wywołać UNIX i zapytać: „Kim jestem”, a system ci odpowie. - Podniosła się z krzesła. - Chyba jesteś głodna. Mamy pierś kurczaka i sałatkę ryżową z orzechami nerkowca, pieprzem i olejem sezamowym. Do tego chleb. Czy twój grill działa?

– Jest po jedenastej i pada śnieg.

– Nie mówiłam, żebyśmy jadły na dworze, po prostu chcę upiec kurczaka na grillu.

– Gdzie nauczyłaś się gotować?

Poszłyśmy do kuchni.

– Nie od mamy. Jak sądzisz, czemu byłam takim grubaskiem? To przez jej dietę. Przekąski, coca-cola i pizza o smaku kartonu. Z jej powodu mam komórki tłuszczowe, których nie pozbędę się do końca życia. Nigdy jej tego nie wybaczę.

– Musimy porozmawiać o dzisiejszym popołudniu, Lucy. Gdybyś akurat nie przyszła do domu, policja zaczęłaby cię szukać.

– Ćwiczyłam przez półtorej godziny, potem wzięłam prysznic.

– Nie było cię cztery i pół godziny.

– Musiałam zrobić zakupy i załatwić kilka innych spraw.

– Dlaczego nie odebrałaś telefonu w samochodzie?

– Przypuszczałam, że to ktoś do ciebie. Poza tym nigdy nie korzystam z telefonu w samochodzie. Nie mam dwunastu lat, ciociu.

– Wiem, ale nie mieszkasz tutaj i po raz pierwszy pojechałaś samochodem.

Martwiłam się.

– Przepraszam.

Jadłyśmy przy kominku, siedząc na podłodze. Zgasiałam lampy. W mroku skakały płomienie i tańczyły cienie, jak gdyby celebrując magiczne chwile w życiu moim i mojej siostrzenicy.

– Co chcesz na Gwiazdkę? - spytałam, sięgając po wino.

– Lekcje strzelania - odparła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lucy pracowała do późna przy komputerze. Kiedy w poniedziałkowy poranek obudził mnie budzik, z jej pokoju nie dobiegał najlżejszy szmer.

Rozsunęłam story w oknie sypialni i w świetle lamp palących się na patio zobaczyłam wirujące białe płatki. Świat otulała gruba pierzyna śniegu, w sąsiedztwie panowały cisza i bezruch. Wypiłam kawę i pobieżnie przejrzałam prasę, po czym ubrałam się. Byłam już prawie w progu, kiedy zawróciłam.

Lucy nie ma dwunastu lat, lecz przecież nie mogę wyjść nie zajrzawszy do niej.

Cicho otworzyłam drzwi do jej pokoju. Spała na boku w skołtunionej pościeli, kołdra w połowie leżała na podłodze. Wzruszyło mnie, że Lucy ma na sobie jeden z moich dresów. Nigdy przedtem nie życzyłam sobie, żeby inna osoba spała w moich rzeczach. Poprawiłam pościel uważając, by jej nie obudzić.

Jazda do miasta okazała się koszmarem, zazdrościłam szczęśliwcom, których biura zamknięto z powodu śnieżycy. My, którym nie spadły z nieba nieoczekiwane wakacje, wlekliśmy się po autostradzie, ślizgając się przy najlżejszym dotknięciu hamulca i próbując coś dojrzeć przez szyby wciąż zasypane śniegiem mimo usilnej pracy wycieraczek. Będę musiała powiedzieć Margaret, że moja nastoletnia siostrzenica uważa nasz system za nieodpowiednio zabezpieczony. Po co ktoś wchodził do mojej kartoteki i dlaczego Jennifer Deighton wykręcała mój numer, po czym odkładała słuchawkę?

Do biura dotarłam dopiero po wpół do dziewiątej. Od razu poszłam do kostnicy, gdzie na korytarzu stanęłam jak wryta. Koło stalowych drzwi chłodni stało łóżko z ciałem przykrytym prześcieradłem. Zerknąwszy na kartkę przy nodze stwierdziłam, że to Jennifer Deighton, po czym zajrzałam do okolicznych pomieszczeń. W biurze ani w rentgenie nie było nikogo.

Otworzyłam drzwi do sali sekcyjnej i zobaczyłam Susan w futrze, wystukującą numer na klawiaturze telefonu. Szybko odłożyła słuchawkę i przywitała mnie nerwowym „dzień dobry”.

– Cieszę się, że udało ci się dotrzeć - powiedziałam, ciekawie jej się przyglądając.

– Ben mnie podrzucił.

Mówiła o administratorze, który miał jeepa z napędem na cztery koła.

– Na razie jesteśmy tylko w trójkę - dodała.

– Żadnego znaku od Fieldinga?

– Zadzwoił kilka minut temu, żeby przekazać, że nie może wydostać się ze swojego podjazdu. Powiedziałam mu, że mamy tylko jedną sprawę, ale gdyby coś doszło, Ben po niego pojedzie.

– Orientujesz się, że nasza sprawa stoi sobie w korytarzu?

Zawahała się i zarumieniła.

– Przewoziłam ją do rentgena, kiedy zadzwonił telefon... Przepraszam.

– Zważyłaś ją i zmierzyłaś?

– Nie.

– Więc od tego zaczniemy.

Wybiegła, zanim zdążyłam dodać komentarz. Sekretarki i naukowcy z laboratorium na piętrze często wchodzili i wychodzili z budynku przez kostnicę, ponieważ tędy było najbliżej na parking. Kręcili się też robotnicy.

Pozostawienie ciała na korytarzu było wielkim błędem, mogło nawet negatywnie zaważyć na wyniku rozprawy sądowej, gdyby przez to

zakwestionowano wiarygodność dowodów.

Susan wróciła, pchając łóżko. Zabrałyśmy się do pracy w mdlącym odorze rozkładającego się ciała. Z półki zdjęłam rękawiczki i plastikowy fartuch, następnie przygotowałam formularze. Susan była cicha i spięta. Zauważyłam, że dłonie jej drżą, kiedy wyciągnęła je ku klawiaturze komputerowej wagi.

– Wszystko w porządku? - zapytałam.

– Jestem tylko trochę zmęczona.

– Na pewno?

– Na pewno. Waży dokładnie sto osiemdziesiąt funtów.

Przebrałam się w zielony uniform. Razem z Susan przetransportowałyśmy ciało do rentgena, gdzie przeniosłyśmy je z łóżka na stół. Odsunęłam prześcieradło i wsunęłam pod kark blokadę, żeby głowa nie kiwała się na boki. Gardło miała czyste, bez śladów sadzy czy oparzeń, ponieważ podbródek ciasno przylegał do piersi, kiedy była w samochodzie. Nie zobaczyłam żadnych wyraźnych zranień, żadnych siniaków czy złamanych paznokci.

Nos nie był uszkodzony, wargi ani język nie pogryzione.

Susan zrobiła prześwietlenia i, wsunęła klisze do wywoływacza, ja tymczasem oglądałam ciało przez szkło powiększające. Zebrałam sporo ledwo widocznych białawych włókien, przypuszczalnie pochodzących z prześcieradła lub kołdry, oraz takich jak te tkwiące w skarpetach. Denatka nie miała na sobie żadnej biżuterii, pod szlafrokiem była naga. Przypomniałam sobie pogniecioną pościel na łóżku, poduszki oparte o wezgłowie i szklankę wody na stoliku. W noc śmierci Jennifer Deighton zakręciła włosy na papiloty, rozebrała się i być może czytała w łóżku.

Susan wyszła z ciemni i oparła się o ścianę, podłożywszy dłonie pod plecy.

- Co o niej wiadomo? - zapytała. - Była zamężna?
- Wygląda na to, że mieszkała sama.
- Pracowała gdzieś?
- Prowadziła w domu firmę.
- Jakiego rodzaju?
- Chyba wróżenie.

Piórko było małe i brudne od sadzy, przywarło do szlafroka w okolicy lewego biodra. Sięgając po woreczek, próbowałam sobie przypomnieć, czy zauważyłam jakieś pióra w jej domu. Może poduszki wypchane były pierzem?

- Jest jakiś dowód na to, że zajmowała się okultyzmem?
- Niektórzy sąsiedzi sądzą, że była czarownicą - wyjaśniłam.
- Na jakiej podstawie?
- Niedaleko jej domu jest kościół. Rzekomo światła na wieży zaczęły na przemian gasnąć i zapalać się, kiedy kilka miesięcy temu ona się wprowadziła.
- Chyba pani żartuje.
- Widziałam to na własne oczy, kiedy stamtąd odjeżdżałam. Wieża była kompletnie ciemna i nagle światła się zapaliły.
- Niesamowite.
- Rzeczywiście to było niesamowite.
- Może mają wyłącznik.
- Mało prawdopodobne. Światła gasnące i zapalające się przez całą noc nie oszczędzają prądu. O ile to prawda, że dzieje się tak przez całą noc. Ja widziałam to tylko raz.

Susan milczała.

- Może kable są uszkodzone - ciągnęłam. Przyszło mi do głowy, że powinnam zadzwonić do kościoła. Niewykluczone, że o niczym nie mają

pojęcia.

– A w jej domu były jakieś dziwne rzeczy?

– Kryształ. Nietypowe książki.

Po chwili milczenia Susan rzekła:

– Szkoda, że wcześniej mi pani o tym nie powiedziała.

– Słucham? - Uniosłam wzrok.

Susan niespokojnie wpatrywała się w ciało. Wyraźnie pobladła.

– Na pewno dobrze się czujesz?- zapytałam.

– Nie lubię takich spraw.

– To znaczy?

– To tak samo jak z AIDS albo innymi chorobami. Powinno się mówić o tym od razu. Zwłaszcza teraz.

– Mało prawdopodobne, że ta kobieta ma AIDS czy...

– Powinnam była wiedzieć, zanim w ogóle jej dotknęłam.

– Susan...

– Chodziłam do szkoły z dziewczyną, która była czarownicą.

Wyprostowałam się, zaskoczona. Susan stała sztywno przy ścianie, dłonie przyciskała do brzucha.

– Na imię miała Doreen. W ostatniej klasie rzuciła klątwę na moją siostrę bliźniaczkę, Judy. Dwa tygodnie po maturze Judy zginęła w wypadku samochodowym.

Wpatrywałam się w nią z niedowierzaniem.

– Pani wie, jak okultyzm mnie przeraża! Jak ten krowi język z wbitymi igłami, owinięty kartką z nazwiskami umarłych, który gliniarze przynieśli do nas kilka miesięcy temu. Znaleziono go na grobie.

– To był głupi kawał - przypomniałam jej spokojnie. - Język kupiono w sklepie, a nazwiska nic nie znaczyły, spisano je z nagrobków na cmentarzu.

– Nie należy igrać z satanizmem nawet w żartach. - Głos jej drżał. - Zło traktuję tak samo poważnie jak Boga.

Susan była córką pastora i dawno porzuciła religię. Nie słyszałam, by kiedykolwiek wspominała o Bogu czy szatanie. Nigdy nie zauważyłam, by przesady w najmniejszym stopniu wpływały na jej zachowanie. Teraz z trudem tłumiała płacz.

– Wiesz co - odezwałam się cicho. - Dzisiaj będziemy w okrojonym stanie, więc jeśli ty zajmiesz się telefonami na górze, jak zrobię wszystko tutaj.

Jej oczy wypełniły się łzami. Szybko do niej podeszłam.

– Nie ma sprawy. - Objęłam ją i wyprowadziłam z pokoju. - Uspokój się - powiedziałam łagodnie, bo oparła się o mnie i cicho płakała. - Chcesz, żeby Ben odwiózł cię do domu?

Kiwnęła głową i szepnęła:

– Przepraszam, tak mi przykro.

– Dobrze ci zrobi, jak trochę odpoczniesz.

Posadziłam ją na krześle przed biurkiem i sięgnęłam po telefon.



Jennifer Deighton nie miała w płucach tlenu węgla ani sadzy, ponieważ kiedy wepchnięto ją do samochodu, już nie oddychała. Jej śmierć była wynikiem zabójstwa, to nie ulegało wątpliwości; przez całe popołudnie niecierpliwie próbowałam skontaktować się z Marino. Kilka razy chciałam sprawdzić, jak czuje się Susan, ale nie odbierała.

– Zaczynam się martwić - powiedziałam do Bena Stevensa. - Susan nie odbiera. Kiedy pan odwoził ją do domu, wspominała, że gdzie się wybiera?

– Mówiła, że się położy do łóżka.

Siedział za biurkiem i przeglądał zwoje komputerowych wydruków. Z radia na szafie cicho płynął rock and roll, na biurku stała woda mineralna o smaku mandarynki. Stevens był młody, bystry i po chłopięcemu przystojny.

Ciężko pracował i ostro bawił się w barach; tak mi przynajmniej mówiono. Byłam przekonana, że praca na stanowisku mojego administratora okaże się krótkim etapem w jego karierze i wkrótce zmieniona zostanie na coś lepszego.

– Może wyłączyła telefon, żeby spokojnie się wyspać - rzekł, zabierając się za aktualizowanie naszego budżetu.

– Może.

Późnym popołudniem, kiedy za oknem zapadał już mrok, Stevens do mnie zadzwonił.

– Miałem telefon od Susan. Jutro nie przyjdzie do pracy. Poza tym na linii mam niejakiego Johna Deightona. Twierdzi, że jest bratem Jennifer Deighton - oznajmił i przełączył rozmowę.

– Dzień dobry - odezwał się niewyraźny męski głos. - Powiedzieli mi, że pani przeprowadza sekcję zwłok mojej siostry Jennifer Deighton.

– Z kim mam przyjemność?

– John Deighton. Mieszkam w Columbii w Południowej Karolinie.

W drzwiach biura pojawił się Marino. Gestem wskazałam mu krzesło przy biurku.

– Podobno podłączyła węża do rury wydechowej i się zabiła.

– Kto tak powiedział? - zapytałam. - Poza tym, czy mógłby pan mówić głośniej?

Zawahał się.

– Nie pamiętam nazwiska. Powinienem je zapisać, ale byłem zbyt wstrząśnięty.

Jego głos wcale na to nie wskazywał. Mówił tak cicho i niewyraźnie, że ledwo go rozumiałam.

– Bardzo mi przykro, panie Deighton. Jeśli chce pan uzyskać jakieś informacje na temat śmierci pańskiej siostry, musi pan zwrócić się do nas na piśmie. Będzie też potrzebny jakiś dowód, że rzeczywiście jest pan jej najbliższym krewnym.

Nie odpowiedział.

– Halo? Halo! - powtórzyłam. W słuchawce brzmiał sygnał. - To dziwne - zwróciłam się do Marino. - Słyszałeś o Johnie Deightonie, który utrzymuje, że jest bratem Jennifer Deighton?

– To był on? Cholera, próbujemy się z nim skontaktować.

– Oznajmił, że ktoś powiadomił go o jej śmierci.

– Wiesz, skąd dzwonił?

– Powiedział, że z Columbii w Południowej Karolinie. Rozłączył się w połowie zdania.

Marino nie wyglądał na zainteresowanego.

– Wracam od Vandera. - Miał na myśli Neil-sa Vandera, głównego specjalistę od daktyloskopii. - Sprawdził samochód Jennifer Deighton oraz książki z nocnego stolika i wiersz, który był w jedną wetknięty. Nie doszedł jeszcze do pustej kartki leżącej na łóżku.

– Co znalazł?

– Kilka odcisków. Sprawdzimy je w komputerze, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Prawdopodobnie większość należy do niej. Proszę. - Położył na moim biurku zawiniątko. - Przyjemnej lektury.

– Sądzę, że te odciski będziesz chciał sprawdzić natychmiast - rzekłam ponuro.

Oczy Marino zachmurzyły się. Pomasował palcami skronie.

– Jennifer Deighton nie popełniła samobójstwa - poinformowałam go. - Miała mniej niż siedem procent tlenu węgla we krwi, w drogach oddechowych nie było sadzy. Jasnoróżowy kolor skóry był wynikiem zmarznięcia, nie zatrucia spalinami.

– Chryste - mruknął.

Ze stosu papierów wygrzebałam diagram ciała, następnie z koperty wyjęłam zdjęcia szyi Jennifer Deighton.

– Jak widzisz - ciągnęłam - nie ma żadnych obrażeń zewnętrznych.

– A krew na siedzeniu?

– Artefakt pośmiertny, rezultat oczyszczenia organizmu. Zaczęła się już rozkładać. Nie znalazłam żadnych otarć ani śladów po uderzeniach. Za to tu - pokazałam mu zdjęcie szyi wykonane w czasie sekcji - nastąpiły nieregularne obustronne krwawienia do mięśni mostkowo-obojczykowosutkowych.

Jest też pęknięcie w prawym rogu kości gnykowej. Przyczyną śmierci było niedotlenienie wskutek nacisku na szyję...

– Chcesz powiedzieć - przerwał mi Marino - że ją uduszono?

Pokazałam mu następne zdjęcie.

– Znalazłam też punktowe krwawienia, które pasują do hipotezy duszenia.

Została zamordowana, a ja proponuję, by fakt ten trzymać w tajemnicy przed prasą tak długo, jak to możliwe.

– Wiesz, potrzebne mi to jak dziura w moście. - Spojrzał na mnie przekrwionymi oczyma. - Na moim biurku leży osiem niewyjaśnionych zabójstw.

Ludzie z Henrico nie posunęli się ani o krok w sprawie Eddiego Heatha, a jego ojciec dzwoni do mnie prawie codziennie. Nie wspominam już, że w Mosby toczy się narkotykowa wojna. Cholernie wesołe święta, nie ma co.

- Jennifer Deighton też nie chciała, żeby ją ktoś zabił.
- Mów dalej. Co jeszcze znalazłaś?
- Miała wysokie ciśnienie krwi, tak jak mówiła pani Clary.
- Ha - mruknął, odwracając ode mnie wzrok.
- Skąd wiesz?
- Miała hipertrofię, czyli przerost lewej komory serca.
- To wynik nadciśnienia?
- Tak. Powinnam również znaleźć zmiany w nerkach. Podejrzewam, że są też zmiany nadciśnieniowe w naczyniach mózgowych, ale bez badań mikroskopowych nie mogę stwierdzić tego z całą pewnością.
- To znaczy, że przy nadciśnieniu obumierają komórki nerek i mózgu?
- Można tak to ująć.
- Co jeszcze?
- Nic znaczącego.
- Treść żołądkowa? - pytał dalej Marino.
- Mięso, jarzyny... Częściowo strawione.
- Alkohol albo narkotyki?
- Alkoholu nie stwierdziłam. Próby na narkotyki jeszcze trwają.
- Ślady gwałtu?
- Żadnych obrażeń czy innych dowodów seksualnej napaści. Wyniki badań na obecność spermy dostanę niedługo. Trudno na razie cokolwiek powiedzieć.

Twarz Marino nie wyrażała żadnych uczuć.

- O czym myślisz? - zapytałam po chwili milczenia.
- No, zastanawiam się nad tym, jak całą tę sytuację zainscenizowano.

Ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, żebyśmy uwierzyli, że sama się otruła. Z drugiej strony była martwa, zanim znalazła się w samochodzie. Rozważam możliwość, że sprawca wcale nie chciał załatwić jej w domu.

Wiesz, chwycił ją za mocno, a ona umarła. Może nie wiedział, że jej stan zdrowia nie jest najlepszy.

Potrząsnęłam energicznie głową.

– Nadciśnienie nie miało z tym nic wspólnego.

– W takim razie wyjaśnij, jak umarła.

– Praworęczny napastnik stanął za jej plecami i objął ją lewą ręką za szyję, po czym prawą dłonią chwycił się za lewą i pociągnął na prawo. - Zademonstrowałam swoje słowa. - To sprawiło, że nacisk padł na szyję odśrodkowo i w rezultacie doprowadził do złamania prawego większego rogu kości gnykowej. Poza tym zamknął górne drogi oddechowe i spowodował zwiększenie ciśnienia w tętnicy szyjnej. Nastąpiło niedotlenienie, czyli po prostu ofierze zabrakło powietrza. Niekiedy ucisk na szyję powoduje arytmie serca.

– Czy na podstawie wyników sekcji umiałabyś stwierdzić, że napastnik miał zamiar tylko ją obezwładnić, ale nie docenił własnej siły i niechcący udusił?

– Nie da się tego wywnioskować z ustaleń medycznych.

– Ale to jest możliwe?

– Istnieje takie prawdopodobieństwo.

– Daj spokój, doktoro - rzucił zdesperowany Marino. - Zejdź na chwilę z miejsca dla świadków, dobra? Jest ktoś w biurze poza nami?

Nie było nikogo. Za to ja byłam podenerwowana. Większość personelu nie przyszła dzisiaj do pracy, Susan zachowywała się dziwnie. Jennifer Deighton, osoba kompletnie mi nieznana, próbowała się do mnie dodzwonić, potem została zamordowana, a mężczyzna, który twierdził, że jest jej bratem, w połowie zdania odłożył słuchawkę. Już nawet nie wspomnę, że Marino był w fatalnym nastroju. Kiedy traciłam panowanie, zwykle podchodziłam do sytuacji bardzo naukowo.

– Posłuchaj - rzekłam - rzeczywiście mógł chcieć ją obezwładnić, ale zrobił to za mocno i zabił. Posunęłabym się nawet do stwierdzenia, że myślał, że jest tylko nieprzytomna, kiedy wsadzał ją do samochodu.

– W takim razie mamy do czynienia z jakimś cholernym głupkiem.

– Na twoim miejscu nie wyciągałabym takiego wniosku. Jeśli jednak jutro rano przeczyta w gazecie, że Jennifer Deighton została zamordowana, może przeżyć największe zaskoczenie swego życia i zacznie się zastanawiać, gdzie popełnił błąd. Dlatego proponuję, żeby tej informacji nie podawać do prasy.

– Nie widzę problemu. A przy okazji, to, że ty nie znałaś Jennifer Deighton, wcale nie znaczy, że ona cię nie znała.

Czekałam, aż mi to wyjaśni.

– Myślałem o tych głuchych telefonach. Często występujesz w środkach masowego przekazu. Może wiedziała, że coś jej grozi, ale nie miała się do kogo zwrócić, więc wybrała ciebie. Kiedy odpowiadała automatyczna sekretarka, zachowywała się jak wariatka i odkładała słuchawkę, zamiast zostawić wiadomość.

– To bardzo przygnębiająca myśl.

– Niemal wszystko, o czym tu myślimy, jest przygnębiające. - Marino wstał z krzesła.

– Mam prośbę - powiedziałam. - Sprawdź dokładnie jej dom i daj mi znać, jeśli znajdziesz wypchane pierzem poduszki, puchowe kurtki, miotełki z piór, cokolwiek.

– Dlaczego?

– Na jej szlafroku znalazłam niewielkie piórko.

– Jasne, dam ci znać. Jedziesz do domu?

Z korytarza dobiegł trzask otwieranych i zamykanych drzwi windy.

– Czy to był Stevens? - zapytałam.

- Tak - odparł Marino.
- Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.



Po wyjściu Marino podeszłam do okna na końcu korytarza, z którego widać było parking na tyłach budynku. Chciałam sprawdzić, czy stoi tam jeszcze jeep Bena Stevensa. Nie stał. Patrzyłam, jak z gmachu wyłania się Marino, ostrożnie stąpając w świetle ulicznych lamp. Przy samochodzie przystanął i zanim wsiadł, energicznie strząsnął z butów śnieg, jak kot, który wdepnął w wodę. Zastanawiałam się, czy ma jakieś plany na Boże Narodzenie, i ze zgrozą uświadomiłam sobie, że nawet nie przyszło mi do głowy zaprosić go na świąteczny obiad. To miało być jego pierwsze Boże Narodzenie po rozwodzie z Doris.

Wracając do siebie, wchodziłam do każdego pokoju i sprawdzałam terminale.

Niestety, żaden nie był zalogowany, a tylko jeden kabel - w pokoju Fieldinga - miał metryczkę z numerem, aczkolwiek nie był to żaden z tych, których szukałam. Zdesperowana otworzyłam gabinet Margaret i zapaliłam światło.

Pomieszczenie wyglądało jak zawsze, czyli jak gdyby przeszedł przez nie huragan, rozrzucając papiery na biurku, przechylając książki w biblioteczkach i zrzucając niektóre na podłogę. Wydruki walały się wszędzie, do ścian i ekranów terminali przypinane były karteczki z numerami telefonów.

Komputer główny bzyczał niczym elektroniczny owad, na rzędzie modemów tańczyły światełka. Usiadłam przed terminalem systemowym i otworzyłam szufladę po prawej ręce, po czym zaczęłam sprawdzać pliki.

Znalazłam kilka, które w nazwie miały tak obiecujące elementy jak „użytkownicy”

i „sieć”, lecz niczego się z nich nie dowiedziałam. Rozglądając się wokoło, zauważyłam grubą wiązkę kabli, biegnącą po ścianie i ginącą w suficie.

Na każdym kablu znajdowała się metryczka.

Zarówno tty07, jak i tty14 podłączone były bezpośrednio do komputera.

Odłączyłam tty07, po czym ruszyłam po pokojach, żeby sprawdzić, który terminal nie działa. Znalazłam go w gabinecie Bena Stevensa. Następnie odłączyłam tty14 i ku swemu zaskoczeniu stwierdziłam, że wszystkie terminale na biurkach moich pracowników nadal pracują. Pozostało mi tylko sprawdzić znajdujący się na dole pokój Susan.

Od progu rzuciły mi się w oczy dwa szczegóły: nigdzie nie było żadnych osobistych przedmiotów, jak zdjęcia czy maskotki, a na półkach stały rzędem podręczniki do Uniksa, SQL i WordPerfecta. Przypomniałam sobie, że wiosną Susan uczestniczyła w kilku kursach komputerowych. Włączyłam terminal i zalogowałam się, po czym oszołomiona wpatrywałam się w ekran, kiedy system odpowiedział. Terminal Susan działał, to na pewno nie był tty14.1 wówczas uświadomiłam sobie coś tak oczywistego, że wybuchnęłabym śmiechem, gdybym nie była przerażona.

Wróciłam na górę i przystanąłam w drzwiach mojego gabinetu, przyglądając się wnętrzu, jakbym tu nigdy nie była. Wokół komputera na biurku leżały stosy raportów laboratoryjnych, świadectwa zgonu i szpalty podręcznika patologii kryminalnej, którego redakcję robiłam. Dostawka z mikroskopem nie wyglądała wcale lepiej. Przy jednej ścianie stały trzy wysokie kartoteki, przy przeciwległej sofa, przysunięta do regałów z książkami, żeby bez przeszkód można było sięgnąć na dolne półki. Za fotelem znajdował się wysoki dębowy kredens, który wiele lat wcześniej

znalazłam w magazynie. Miał zamknięte na klucz szuflady, doskonale do przechowywania notatek oraz materiałów, które nie powinny wpaść w niepowołane ręce. Klucz trzymałam pod telefonem. Znowu przypomniałam sobie ostatni czwartek, kiedy podczas sekcji zwłok Eddiego Heatha Susan stłukła słoje z formaliną.

Nie znałam numeru mojego komputera, bo dotąd nie było takiej potrzeby.

Usiadłam przy biurku, wysunęłam klawiaturę i chciałam wywołać system, lecz terminal nie zareagował. Odłączając tty14 unieruchomiłam mój komputer.

– Cholera! - szepnęłam, czując zimny dreszcz. - Cholera!

Nie przesyłałam żadnych wiadomości do terminala administratora. To nie ja napisałam: „Nie mogę tego znaleźć”. Kiedy plik przypadkiem założono późnym popołudniem w ostatni czwartek, byłam w kostnicy. Susan nie.

Dałam jej klucze od mojego gabinetu i kazałam położyć się na sofie, dopóki nie dojdzie do siebie po zetknięciu z formaliną. Czy to możliwe, że nie tylko włamała się do zbiorów, lecz także przejrzała dokumenty na biurku? Próbowwała wysłać wiadomość do Bena Stevensa, ponieważ nie mogła znaleźć tego, co ich interesowało?

W progu pojawił się jeden z pracowników laboratorium. Przestraszyłam się.

– Dzień dobry - powiedział, kartkując plik papierów, które trzymał w ręce.

Wreszcie wyjął spięty kilkustronicowy raport i podał mi. - Miałem zamiar zostawić go w pani skrzynce, ale skoro pani jeszcze tu jest, to proszę.

Skończyłem badanie pozostałości kleju z nadgarstka Eddiego Heatha.

– Były jakieś materiały budowlane? - zapytałam, pobieżnie czytając pierwszą stronę.

– Były. Farba, gips, drewno, cement, azbest, szkło. Zwykle tego typu mieszankę znajdujemy w sprawach o włamanie, często na ubraniu i butach podejrzanych.

– A co z ubraniem Eddiego Heatha?

– Trochę tych samych śmieci.

– Proszę powiedzieć mi dokładnie, jaką farbę znaleźliście.

– Znalazłem fragmenty farby z pięciu różnych źródeł. Trzy są warstwowe, to znaczy przedmiot malowano kilkakrotnie.

– Pochodzą z samochodów?

– Tylko jeden, lakier akrylowy stosowany do malowania karoserii w samochodach produkowanych przez General Motors.

Farba może pochodzić z pojazdu użytego do porwania Eddiego, pomyślałam.

A samochód mógł pochodzić skądkolwiek.

– Kolor? - zapytałam.

– Niebieski.

– Warstwowy?

– Nie.

– A co ze śmieciami z chodnika, gdzie znaleziono ciało? Prosiłam Marino, żeby dostarczył wam próbki. Obiecał, że to zrobi.

– Piasek, kurz, odłamki płyt chodnikowych oraz to, co zwykle jest wokół śmietnika: szkło, papier, popiół, pyłki, materiały roślinne.

– Są różne od tego, co odkrył pan na pozostałościach kleju?

– Tak. Według mnie plaster przyklejono i usunięto z nadgarstków w miejscu, gdzie były odpadki z materiałów budowlanych oraz ptaki.

– Ptaki?

– Trzecia strona raportu - rzekł. - Znalazłem mnóstwo fragmentów piór.



Lucy zastałam niespokojną i dość poirytowaną. Najwyraźniej nie miała się czym zająć w ciągu dnia, ponieważ całkowicie przemeblowała mój gabinet.

Przesunęła laserową drukarkę, modem i wszystkie komputerowe podręczniki.

– Dlaczego to zrobiłaś? - zapytałam.

Siedziała przy biurku plecami do mnie, stukając w klawisze.

– Bo tak jest sensowniej.

– Lucy, nie możesz wchodzić komuś do pokoju i przestawiać mebli. Jak byś się czuła, gdybym ja tobie tak zrobiła?

– Nie byłoby powodu czegokolwiek zmieniać u mnie. Wszystko stoi tam, gdzie trzeba. - Okręciła się na krześle. - Popatrz sama: teraz możesz sięgnąć do drukarki nie ruszając się od biurka, książki masz pod ręką, a modem zupełnie ci nie przeszkadza. Nie powinnaś stawiać na nim filiżanek z kawą.

– Byłaś w domu cały dzień? - zapytałam.

– A gdzie niby miałam być? Zabrałaś samochód. Pobiegałam trochę po okolicy. Próbowalaś kiedyś biegać po śniegu?

Przysunęłam sobie krzesło i z teczki wyjęłam papierowe zawiniątko, które dał mi Marino.

– Więc mówisz, że potrzebny ci samochód.

– Czuję się jak w klatce.

– Gdzie chciałabyś pojechać?

– Do twojego klubu, poza tym sama nie wiem. Chodzi o to, żebym miała wybór. Co masz w tej paczce?

- Książki i wiersz od Marino.
- Od kiedy to jest członkiem związku literatów? - Podniosła się i przeciągnęła.
- Idę zaparzyć ziołową herbatę. Chcesz też?
- Proszę o kawę.
- To ci szkodzi - oznajmiła, wychodząc z pokoju.
- A, do diabła - mruknęłam zła, kiedy z książek na ręce i ubranie posypał się czerwony fluoryzujący proszek.

Neils Vander jak zwykle przeprowadził bardzo dokładne badania, a ja zapomniałam o jego zamiłowaniu do nowej zabawki. Kilka miesięcy temu nabył zmienne źródło światła, laser natomiast wyrzucił do śmieci. W promieniach Luma-Lite, „supernowoczesnej trzystupięćdziesięciowatowej niebieskiej lampy łukowej do wzmacniania obrazu”, jak ją Vander z lubością opisywał, ilekroć była po temu okazja, całkowicie niewidzialne włosy lub włókna płonęły pomarańczową barwą. Plamy po spermie i pozostałości po narkotykach ujawniały się niczym słoneczne promienie, a co najważniejsze, światło lampy wydobywało odciski palców, których przedtem w żaden sposób nie można było zdjąć.

Vander zbadał książki Jennifer Deighton pod każdym możliwym kątem.

Wsadził je do szklanego zbiornika i wystawił na działanie cyjanoakrylowego esteru, który wchodzi w reakcję ze składnikami potu przeniesionego z ludzkiej skóry. Następnie posypał śliskie okładki czerwonym fluoryzującym proszkiem, który teraz w całości spadł na mnie. W końcu poddał książki obserwacji w błękitnym świetle Luma-Lite i ninhydryną zaczerwienił stronice. Miałam nadzieję, że za te wszystkie trudy spotka go nagroda. Moja nagroda polegała na tym, że musiałam pójść do łazienki i wyczyścić ubranie mokrą ścierką.

Przekartkowałam „Paryskiego pstrąga”, lecz niewiele to dało. Tematem powieści było okrutne zabójstwo młodej Murzynki, a ja nie umiałam dostrzec żadnego odniesienia do życia Jennifer Deighton. „Mówi Seth” z kolei okazało się niesamowitą historią o kimś z tamtego świata komunikującym się z autorem. Nie zaskoczyło mnie, że wróżbiarka czyta tego rodzaju lektury.

Najbardziej wszakże zainteresował mnie wiersz.

Napisano go na maszynie na kartce białego papieru, teraz upstrzonego czerwonymi smugami ninhydryny i ofoliowanego.

JENNY

Pocałunki Jenny

rozgrzany miedziany pieniążek

wisi na szyi

na bawełnianym sznurku.

Była wiosna

kiedy znalazł go

na zakurzonej drodze

i podarował jej.

Nie mówił o miłości

uczucie wyrażał czynami.

Łąka już zrudziała

zarosły ją jeżyny.

On odszedł na zawsze.

Pieniążek śpi

głęboko na dnie

leśnej studni życzeń.

Przy wierszu nie było ani nazwiska autora, ani daty. Papier nosił ślady złożenia na czworo.

Wstałam i poszłam do salonu, gdzie na stole stały już kawa i herbata, a Lucy poprawiała polana w kominku.

– Nie jesteś głodna? - spytała.

– Prawdę mówiąc bardzo - odparłam, spoglądając na kartkę z wierszem i zastanawiając się nad jego znaczeniem. Czy „Jenny” to Jennifer Deighton?
- A na co masz ochotę?

– Możesz nie wierzyć, ale na stek, pod warunkiem że krów nie karmiono samą chemią - rzekła Lucy. - Czy mogłabyś przez tydzień korzystać ze służbowego samochodu, a swój dać mnie?

– Z zasady nie wracam do domu służbowymi samochodami, chyba że jestem na służbie.

– Wczoraj w nocy, kiedy nie byłeś na służbie, pojechałeś do wypadku. Ty zawsze masz służbę, ciociu Kay.

– Dobrze - zgodziłam się. - Zrobimy tak. Pojedziemy teraz na najlepszy stek w mieście, a w drodze powrotnej zahaczmy o biuro. Ja wezmę służbowy, a ty poprowadzisz mój. Na drogach jest jeszcze trochę lodu. Obiecuj, że będziesz bardzo ostrożna.

– Nigdy nie widziałam twojego biura.

– Jeśli chcesz, to ci pokażę.

– Nie ma mowy. Wieczorem tam nie wejść.

– Umarli nie mogą cię skrzywdzić.

– Mogą - sprzeciwiła się Lucy. - Tata mnie skrzywdził, kiedy umarł, bo zostawił mnie mamie na wychowanie.

– No, ubieramy się.

– Dlaczego za każdym razem, kiedy wspominam o naszej rodzinie, ty natychmiast zmieniasz temat?

Ruszyłam do sypialni po płaszcz.

– Chcesz wziąć skórzaną kurtkę?

– Widzisz, znowu to robisz! - wrzasnęła Lucy.

Kłóciłyśmy się całą drogę do *Ruth's Chris Steak House*. Zanim dotarłyśmy na miejsce, bolała mnie głowa i czułam do siebie głęboki niesmak. Lucy sprowokowała mnie do podniesienia głosu, co do tej pory udawało się tylko mojej matce.

– Dlaczego jesteś taka nieznośna? - szepnęłam jej do ucha, kiedy szłyśmy do stolika.

– Bo chcę z tobą porozmawiać, a ty mi nie pozwalasz.

Pojawił się kelner z pytaniem, co zamawiamy do picia.

– Szkocka z wodą sodową - powiedziałam.

– Woda mineralna - rzekła Lucy. - Nie powinnaś pić i prowadzić.

– Wypiję tylko jednego drinka. Chociaż masz rację, lepiej z niego zrezygnuję.

A ty znowu mnie krytykujesz. Jak spodziewasz się zdobyć przyjaciół, skoro tak się odnosisz do ludzi?

– Mnie nie zależy na przyjaciółkach. To inni oczekują, że ich będę miała.

Może dlatego z nikim się nie przyjażnię, że większość ludzi mnie nudzi.

Poczułam przygnębienie.

– Według mnie pragniesz przyjaźni bardziej niż ktokolwiek, kogo znam, Lucy.

– Nie wątpię, że tak myślisz. Pewnie też uważasz, że za kilka lat powinnam wyjść za mąż.

– Wcale nie. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że tego nie zrobisz.

– Jak dzisiaj buszowałam w twoim komputerze, znalazłam plik o nazwie „ciało”. Po co ci on?

– Ponieważ jestem w środku bardzo trudnej sprawy.

– Chodzi o małego Eddiego Heatha? Przeczytałam o nim. Znalezione go nagiego koło śmietnika. Ktoś wyciął mu kawałki skóry.

– Lucy, nie powinnaś czytać materiałów ze śledztwa - powiedziałam. W tej chwili zabręczał pager. Odpięłam go od paska i zerknęłam na numer. - Przepraszam na chwilę.

Wstałam od stolika i poszłam poszukać automatu telefonicznego. Dochodziła ósma.

– Muszę koniecznie z tobą porozmawiać - oznajmił Neils Vander, który wciąż był w pracy. - Najlepiej będzie, jak tu przyjedziesz z odciskami palców Ronniego Waddella.

– Dlaczego?

– Mamy problem, z jakim się jeszcze nie zetknęliśmy. Zaraz dzwonię do Marino.

– Dobrze. Powiedz mu, żeby spotkał się ze mną za pół godziny w kostnicy.

Kiedy wróciłam do stolika, Lucy z wyrazu mojej twarzy domyśliła się, że kolejny wieczór mamy zepsuty.

– Tak mi przykro - powiedziałam.

– Dokąd jedziemy?

– Do mojego biura, a potem do Seaboard Building - rzekłam, wyjmując portfel.

– A co tam jest?

– Niedawno przeniesiono tam serologię, laboratoria DNA i daktyloskopię.

Marino spotka się z nami. Dawno go nie widziałas.

– Świry jego pokroju nie zmieniają się z upływem czasu ani na gorsze, ani na lepsze.

– Lucy, jesteś niemiała. Marino nie jest świrem.

– Był, jak go ostatnio widziałam.

– Ty też nie traktowałaś go zbyt uprzejmie.

– Nie nazywałam go przemądrzałym bachorem.

– Za to obrzucałaś go stekiem innych wyzwisk, o ile mnie pamięć nie myli, i bez przerwy poprawiałaś jego błędy gramatyczne.

Pół godziny później zostawiłam Lucy w biurze w kostnicy, a sama pobiegłam na górę. Z kredensu wyjęłam akta Waddella i windą wróciłam do biura. W tej samej chwili zjawił się Marino, ubrany w dżinsy i granatową kurtkę; na głowie miał czapkę baseballową.

– Pamiętajcie się, prawda? - powiedziałam. - Lucy przyjechała do mnie na święta i pomaga mi w rozwiązaniu komputerowego problemu - wyjaśniłam, kiedy wyszliśmy na mroźną noc.

Seaboard Building znajdował się naprzeciw parkingu, po drugiej stronie ulicy; frontem zwrócony był do dworca przy Main Street, gdzie przeniesiono biura Departamentu Zdrowia z poprzedniej siedziby na czas zrywania azbestu. Zegar na dworcu płynął wysoko nad nami niczym księżyc, czerwone światła na wieżowcach mrugały ostrzegawczo do nisko lecących samolotów. Gdzieś w mroku pociąg z łoskotem jechał po szynach, ziemia huczała pod jego ciężarem niczym obładowany statek na pełnym morzu.

Marino szedł przed nami, w ciemności żarzył się jego papieros. Był bardzo niezadowolony z obecności Lucy, wyczuwałam to wyraźnie. Stanęliśmy przed drzwiami Seaboard Building; nacisnęłam przycisk dzwonnka i niemal natychmiast pojawił się Vander.

Nie przywitał się z Marino, nie zapytał też, kim jest Lucy. Jeśli jakaś osoba z zewnątrz towarzyszyła komuś, komu ufał, nie zadawał żadnych pytań ani nie oczekiwał, że zostanie jej przedstawiony. Podążyliśmy za nim po schodach na piętro.

– Nad czym pracujesz do tak późna? - zapytałam.

Weszliśmy do pokoju mieszczącego AFIS, czyli zautomatyzowany system identyfikacji linii papilarnych.

– Nad sprawą Jennifer Deighton - wyjaśnił.

– Do czego w takim razie potrzebne ci odciski Waddella?

– Chcę się upewnić, że rzeczywiście przeprowadziłaś sekcję zwłok Waddella w zeszłym tygodniu - odparł.

– Do diabła, o czym ty gadasz? - Marino patrzył na niego zbity z tropu.

– Zaraz wam pokażę.

Vander usiadł za terminalem, który wyglądał jak zwykły komputer osobisty, lecz połączony był modemem z komputerem policyjnym, w którym zgromadzono ponad sześć milionów odcisków palców, i uruchomił laserową drukarkę.

– Idealne dopasowanie zdarza się rzadko, aczkolwiek tutaj właśnie takie mamy. - Postukał w klawisze i na ekranie pojawił się biały kształt. - Prawy palec wskazujący, pełna spirala. Zdjęto go w domu Jennifer Deighton.

– A dokładnie gdzie? - spytałam.

– Z krzesła w jadalni. Najpierw myślałem, że to pomyłka. Wszystko jednak wskazuje na to, że nie. - Znowu zaczął stukać w klawisze. - Odcisk należy do Ronniego Joe Waddella.

– To niemożliwe - rzekłam wstrząśnięta.

– Każdy by tak pomyślał - odparł z roztargnieniem Vander.

– Znalazłaś coś w domu Jennifer Deighton, co mogłoby sugerować, że go znała? - zwróciłam się do Marino, otwierając teczkę z dokumentacją sprawy Waddella.

– Nic.

– Daj mi odciski palców Waddella z kostnicy - rzekł Vander - i zobaczymy, czy pasują do odcisków w AFIS-ie.

Wyciągnęłam dwie szare koperty. Od razu uderzyło mnie to, że nie są ciężkie i grube. Zalała mnie fala gorąca. Otworzyłam je. Zawierały wyłącznie fotografie, nic poza tym. Nie było koperty z kompletem linii papilarnych Waddella. Kiedy uniosłam wzrok, wszyscy wpatrywali się we mnie.

– Zupełnie tego nie rozumiem - powiedziałam.

– Nie masz tych odcisków? - zapytał z niedowierzaniem Marino.

Ponownie przejrzałam zawartość teczek.

– Tu ich nie ma.

– Zwykle robi to Susan, tak? - zapytał Marino.

– Zawsze. Powinna zrobić dwa zestawy, jeden dla więzienia, drugi dla nas. Może dała je Fieldingowi.

Wyjęłam notes z adresami i sięgnęłam po telefon. Fielding był w domu i nic nie wiedział o kartach z odciskami.

– Nie widziałem, żeby zdejmowała mu odciski, ale nie widzę połowy tego, co robią ludzie - oznajmił. - Myślałem, że dała karty tobie.

– A ty widziałeś, żeby Susan zdejmowała odciski? - zapytałam Marino, wykręcając jednocześnie jej numer. Nikt nie odbierał.

– W mojej obecności tego nie robiła. Zaproponowałbym jej pomoc.

– Nikogo nie ma - stwierdziłam i odłożyłam słuchawkę.

– Waddella skremowano - odezwał się Vander.

– Tak - potwierdziłam.

Zapadło milczenie, które przerwał Marino, zwracając się do Lucy z niepotrzebną szorstkością:

– Możesz wyjść? Musimy porozmawiać.

– Poczekaj w moim gabinecie - zaproponował Vander. - Ostatnie drzwi po prawej.

Po wyjściu Lucy pierwszy odezwał się Marino:

– Waddell siedział pod kluczem przez dziesięć lat. Nie ma szans, żeby odcisk na krześle Jennifer Deighton zachował się tak długo. Poza tym wprowadziła się do domu przy Southside kilka miesięcy temu, a meble w jadalni wyglądają na nowe. Co więcej, w dywanie w salonie były wgłębienia wskazujące na to, że krzesło tam przeniesiono, być może w noc jej śmierci.

Dlatego chciałem, żeby zaczęto od krzeseł.

– Niesamowity zbieg okoliczności - rzekł Vander. - W obecnej chwili nie możemy udowodnić, że mężczyzna, którego egzekucja odbyła się w zeszłym tygodniu, to Ronnie Joe Waddell.

– Może istnieje jakieś inne wytłumaczenie - powiedziałam. - Na przykład takie, że w więzieniu jest warsztat wyrabiający meble.

– Mało prawdopodobne - stwierdził Marino. - Przede wszystkim w celach śmierci nie robi się mebli ani tablic rejestracyjnych. A gdyby nawet, to większość ludzi nie kupiłaby mebli wyprodukowanych przez skazańców.

– Mimo to - odezwał się Vander - dobrze byłoby sprawdzić, gdzie kupiła te meble.

– Jasne. To sprawa najwyższej wagi.

– Pełna dokumentacja z aresztowania Waddella, łącznie z odciskami palców, powinna znajdować się w FBI - dodał Vander. - Postaram się o kopię karty i porównam z odciskiem kciuka zdjętym w sprawie Robyn Naismith.

Gdzie jeszcze Waddella aresztowano?

– Nigdzie - odparł Marino. - Tylko w Richmond.

– Zidentyfikowaliście tylko ten jeden odcisk z krzesła? - zapytałam Vandera.

– No nie, większość należy do Jennifer Deighton - odparł. - Zwłaszcza te z książek i złożonej kartki papieru z wierszem. Poza tym kilka

niezidentyfikowanych z samochodu, może zostawionych przez pracowników stacji benzynowej albo sklepów, gdzie robiła zakupy. Na razie to wszystko.

– A w sprawie Eddiego Heatha jest jakiś postęp? - zapytałam.

– Niewiele było do badania. Papierowa torba, puszka zupy, batonik.

Sprawdziłem ubranie i buty z Luma-Lite, ale nic to nie dało.

Później poprowadził nas przez magazyn, gdzie w zamkniętych na klucz lodówkach czekała na wpisanie do ogólnokrajowego banku DNA krew pobrana od skazańców, którzy zapełniliby bez trudu małe miasto. Przed drzwiami stał zaparkowany samochód Jennifer Deighton. Wyglądał żałośniej, niż go zapamiętałam, jak gdyby od czasu tragicznej śmierci właścicielki popadł gwałtownie w ruinę. Boki były wgniecione od ciągłych uderzeń drzwi innych samochodów, lakier w wielu miejscach pstrzyła rdza, w innych został zdrapany, winylowy dach łuszczył się. Lucy przystanęła, żeby zerknąć przez pokryte sadzą okna.

– Hej, niczego nie dotykaj - warknął Marino.

W milczeniu obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. Wszyscy troje wyszliśmy na dwór.



Lucy odjechała moim samochodem, nie czekając na nas. Kiedy weszliśmy do domu, siedziała w gabinecie za zamkniętymi drzwiami.

– Widzę, że dalej z niej panna wszechwiedząca - stwierdził Marino.

– Ty też dzisiaj nie zasłużyłeś na nagrodę - powiedziałam, dorzucając drew do kominka.

– Będzie trzymać buzię na kłódkę, nie wypale tego, o czym rozmawialiśmy?

– Tak - odparłam ze znużeniem. - Naturalnie.

– Wiem, że jej ufasz, bo jesteś jej ciotką. Ale nie jestem przekonany, że dobrze się stało, że przy tym była.

– Ufam Lucy. Bardzo wiele dla mnie znaczy. Ty też dla mnie wiele znaczysz.

Mam nadzieję, że jednak się zaprzyjaźnicie. Berek jest d o t swojej dyspozycji. A może wolisz kawę?

– Wolę kawę.

Oparł się o gzyms kominka i wyjął z kieszeni szwajcarski wojskowy nóż.

Kiedy parzyłam kawę, obcinał paznokcie i wrzucał ścinki do ognia. Ponownie wykreciłam numer Susan, lecz nikt nie odbierał.

– Podejrzewam, że Susan nie zdjęła odcisków - odezwał się Marino, kiedy stawiałam na stoliku tacę z filiżankami i dzbankiem. - Zastanawiałem się nad tym, jak byłaś w kuchni. Nie zrobiła tego, kiedy ja byłem w kostnicy, a byłem prawie do końca. Tak więc o ile nie zrobiła tego zaraz po przywiezieniu ciała, nie zrobiła tego wcale.

– Nie zdjęła ich na początku - odparłam, coraz bardziej zdenerwowana. - Ludzie z więzienia szybko wyszli. Panowało zamieszanie. Susan zapomniała, a ja byłam zbyt zajęta, żeby zwrócić na to uwagę.

– Masz nadzieję, że zapomniała.

Sięgnęłam po filiżankę.

– Coś się z nią dzieje; tak wynika z tego, co mi mówiłaś. Nie ufałbym jej za grosz.

Ja też jej nie ufałam.

– Musimy porozmawiać z Bentonem - stwierdził.

– Marino, widziałeś Waddella na stole. Byłeś przy jego egzekucji. Nie wierzę, że nie możemy stwierdzić, czy to był on.

– Możemy oczywiście porównać fotki z więzienia ze zdjęciami z kostnicy, ale dalej nie będziemy mieć pewności. Nie widziałem go od skazania, czyli ponad dziesięć lat. Facet, który poszedł na krzesło, był jakieś dwadzieścia kilo cięższy. Miał zgoloną brodę, wąsy, ogoloną głowę. Pewnie, był na tyle podobny, że nie miałem żadnych wątpliwości, ale nie mogę przysiąc, że to był on.

Przypomniała mi się Lucy schodząca z trapu samolotu. Była moją siostrzenicą, nie widziałam jej raptem rok, a jednak mało brakowało, a bym jej nie poznała. Doskonale wiedziałam, jak mało wiarygodne są identyfikacje wizualne.

– Jeśli doszło do zamiany więźniów - rzekłam - w wyniku której Waddell jest wolny, a egzekucję wykonano na kimś innym, to powiedz mi, proszę, dlaczego.

Marino wsypał kolejną łyżeczkę cukru do kawy.

– Motyw, na litość boską, Marino, jaki ktoś mógłby mieć motyw?

Popatrzył na mnie.

– Nie mam pojęcia.

Otworzyły się drzwi gabinetu i do salonu weszła Lucy. Usiadła po przeciwnej stronie kominka niż Marino.

– Co możesz mi powiedzieć o AFIS-ie? - zwróciła się do mnie, jak gdyby nie było go w pokoju.

– A co chcesz wiedzieć?

– W jakim jest języku i czy mają tam jeden wielki komputer.

– Nie znam technicznych szczegółów. Dlaczego cię to interesuje?

– Mogę sprawdzić, czy ktoś zmienił rekordy.

Poczułam na sobie wzrok Marino.

– Nie możesz włamać się do komputera policji stanowej, Lucy.

– Przypuszczam, że mogę, aczkolwiek wcale się przy tym nie upieram.

Może istnieją jakieś inne drogi dostępu.

– Powiadasz - zwrócił się do niej Marino - że potrafisz stwierdzić, czy rekordy Waddella w AFIS-ie zostały zmienione?

– Tak. Chcę powiedzieć, że potrafiłabym to stwierdzić.

Marino zacisnął szczęki.

– Po mojemu, jeśli ktoś był na tyle cwany, żeby to zrobić, był też na tyle cwany, żeby się upewnić, że żaden komputerowy świr się w tym nie połapie.

– Nie jestem ani komputerowym, ani żadnym innym świrem.

Umilkli oboje.

– Nie możesz wejść do AFIS-u - powiedziałam do Lucy.

Patrzyła na mnie obojętnie.

– W każdym razie nie sama - dodałam. - I pod warunkiem, że istnieje sposób na bezpieczne wejście. A gdyby nawet taki był, wolałabym, żebyś tego nie robiła.

– Myślę, że tak naprawdę uważasz inaczej. Jeśli ktoś tam manipulował, wiesz, że to znajdzie, ciociu Kay.

Marino oderwał się od kominka.

– Ta mała ma kompleks boga.

– Trafisz w dwunastkę na ściennym zegarze? - zapytała go Lucy. - Stąd, z tego miejsca?

– Nie mam zamiaru strzelać w domu twojej ciotki, żeby ci coś udowodnić.

– Trafisz w dwunastkę? - powtórzyła.

– Masz cholerną rację.

– To znaczy trafisz.

– Tak jest.

– Porucznik ma kompleks boga - powiedziała do mnie Lucy.

Marino odwrócił się w stronę ognia, zdążyłam jednak dostrzec uśmiech na jego twarzy.

– Neils Vander ma tylko stację roboczą i drukarkę - rzekła Lucy. - Z komputerem policyjnym połączony jest modemem. Zawsze tak było?

– Nie - odparłam. - Zanim przeniósł się do nowego budynku, miał więcej sprzętu.

– Opisz mi go.

– No, było kilka elementów. A właściwy komputer przypominał ten, który ma w swoim gabinecie Margaret. - Uświadomiłam sobie, że Lucy nigdy tam nie była, więc dodałam: - Mini.

Na twarzy mojej siostrzenicy igrał odbłask płomieni z kominka.

– Założę się, że AFIS jest komputerem głównym, który nie jest jednym komputerem, ale wieloma komputerami mini połączonymi Uniksem albo innym systemem. Jeśli pozwolisz, ciociu, prawdopodobnie będę mogła to zrobić z twojego komputera w domu.

– Nie chcę, żeby jakikolwiek ślad prowadził do mnie - zaprotestowałam energicznie.

– Nie bój się, nie będzie. Połączę się z komputerem w biurze, a potem przejdę przez wiele bram. To będzie skomplikowana droga. Trudno będzie mnie wyśledzić.

Marino ruszył do łazienki.

– Zachowuj się, jakby tu mieszkał - stwierdziła Lucy.

– Niezupełnie - odpowiedziałam.

Kilka minut później odprowadzałam Marino do drzwi. Śnieg na trawniku zdawał się emanować światłem, powietrze było ostre jak przy pierwszym zaciągnięciu się mentolowym papierosem.

– Bardzo bym chciała, żebyś przyszedł do nas na świąteczny obiad - rzekłam w progu.

Zawahał się, spoglądając na swój samochód zaparkowany na ulicy.

- To miło z twojej strony, ale nie mogę, doktoroko.
- Szkoda, że trochę bardziej nie lubisz Lucy - rzekłam urażona.
- Mam po uszy traktowania mnie jak głupka, co się urodził w stodole.
- Czasami tak właśnie się zachowujesz. Poza tym wcale nie starasz się zdobyć jej szacunku.
- Jest rozpieszczonym bachorem z Miami.
- Kiedy miała dziesięć lat, była bachorem z Miami - odparłam. - Ale nigdy rozpieszczonym. W gruncie rzeczy było zupełnie na odwrót. Chcę, żebyście się oboje dogadali. To ma być mój prezent gwiazdkowy.
- A kto mówił, że dam ci prezent?
- Pewnie, że dasz, w dodatku taki, o jaki cię proszę. I nawet wiem, jak do tego dojdzie.
- Jak? - spytał podejrzliwie.
- Lucy chce się nauczyć strzelać, a ty powiedziałeś przed chwilą, że trafiłbyś w dwunastkę na zegarze. Możesz udzielić jej kilku lekcji.
- Nawet o tym nie myśl - odparł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następne trzy dni były typowe dla okresu przedświątecznego. Nikt nie przychodził ani nie dzwonił, nikt też nie odbierał telefonów. Parkingi świeciły pustkami, przerwy na lunch trwały dłużej niż zwykle. Wyjścia służbowe przeciągały się z powodu potajemnych postojów w sklepach, bankach i na poczcie. Stanowe instytucje praktycznie przestały działać, zanim jeszcze zaczęły się święta. Jednakże Neils Vander nie był typowy pod żadnym względem. Nie zwracając zupełnie uwagi na miejsce i czas, zadzwonił do mnie rankiem w Wigilię.

– Zabrałem się za tę pustą kartkę ze sprawy Jennifer Deighton - oznajmił.

– Myślę, że cię to zainteresuje.

– Już jadę - odparłam.

Na korytarzu o mało nie wpadłam na Bena Stevensa, który wyszedł z męskiej toalety.

– Mam spotkanie z Vanderem - powiedziałam. - To nie powinno długo trwać, a mam papiery dla pana.

– Właśnie szedłem do pani - odrzekł.

Niechętnie przystanęłam, żeby go wysłuchać.

Zastanawiałam się, czy wyczuł, ile mnie kosztuje, żeby zachowywać się wobec niego naturalnie. Lucy z domu sprawdzała, czy nikt nie próbuje ponownie włamać się do mojej kartoteki. Na razie nikogo nie przyłapała.

– Rozmawiałem rano z Susan - oznajmił Stevens.

– Jak się czuje?

– Nie wraca do pracy, pani doktor.

Nie zaskoczyło mnie to, aczkolwiek poczułam się urażona, że nie powiedziała mi tego osobiście. Wiele razy próbowałam dodzwonić się do niej, ale albo nikt nie odbierał, albo odbierał jej mąż i przepraszał, że Susan nie może podejść.

– I tylko tyle? - zapytałam. - Tak po prostu nie wraca? Podała jakiś powód?

– Myślę, że coraz gorzej znosi ciężę i praca to teraz dla niej zbyt wiele.

– Musi przysłać wymówienie - rzekłam, nie kryjąc gniewu. - A panu zostawiam załatwienie wszystkiego w kadrach. I natychmiast musimy zacząć szukać pracownika.

– Nie ma chętnych - przypomniał mi, kiedy odchodziłam.



Śnieg odsunięty pługami na pobocze zamarzył w kopczyki brudnego lodu, utrudniające chodzenie i parkowanie. Przez ołowiane chmury ledwo przedzierało się słońce. Ulicą przejeżdżał tramwaj z niewielką orkiestrą dętą.

Kiedy wchodziłam na granitowe schody posypane solą, słyszałam dźwięki „Joy to the World”.

Drzwi do Seaboard Building otworzył mi policjant. Vandera znalazłam na górze w pokoju jasnym od kolorowych monitorów i ultrafioletowego światła. Siedział przed komputerem do wzmacniania obrazów i wpatrując się intensywnie w ekran, manipulował myszą.

– Kartka nie jest pusta - poinformował, nawet się nie przywitawszy. - Ktoś napisał coś na papierze położonym na niej. Jeśli dobrze się przyjrzysz, to zobaczysz.

Zaczynałam rozumieć. Na podświetlonym stole leżała czysta kartka papieru.

Pochyliłam się nisko. Ślady były tak słabe, że nie byłam pewna, czy ich sobie nie wyobrażam.

– To ten papier spod kryształku na łóżku Jennifer Deighton? - zapytałam.

Kiwnął głową, regulując odcienie szarości na ekranie.

– Zachowałeś to?

– Tak. Kamera wideo sfilmowała ślady i obraz zapisany jest na twardym dysku. Ale nie dotykaj papieru, jeszcze nie sprawdziłem odcisków palców.

Dopiero zaczynam, więc trzymaj kciuki. No dalej, dalej - teraz mówił do komputera. - Wiem, że kamera wyraźnie to zobaczyła. Musisz nam pomóc.

Skomputeryzowane metody wzmacniania obrazu to ćwiczenie w kontrastach i szarościach. Kamera potrafi rozróżnić ponad dwieście ich odcieni, ludzkie oko mniej niż czterdzieści. To, że czegoś nie widać, wcale nie oznacza, że tego nie ma.

– Dzięki Bogu przy papierze nie trzeba się martwić o hałasy w tle - mówił Vander, nie przerywając pracy. - To bardzo przyśpiesza sprawę. Nieźle się namęczyłem kilka dni temu z krwawym odciskiem pozostawionym na prześcieradle. Wiesz, problem stanowił splot tkaniny. Jeszcze niedawno taki odcisk byłby kompletnie bezwartościowy. - Ekran zalał kolejny odcień szarości. - No, coś mamy. Widzisz? - wskazał na cienkie kształty na górnej połowie ekranu.

– Ledwo, ledwo.

– To, co próbujemy wydobyć, to cienie na śladach liter, które to cienie pojawiły się, kiedy ukośny strumień światła padł na papier i powstałe w nim wgłębienia; przynajmniej kamera wideo zarejestrowała to wyraźnie. My bez pomocy komputera nic nie zobaczymy. Spróbujmy wzmocnić linie pionowe. - Lekko poruszył myszą. - I ściemnić odrobinę poziome. Doskonale.

Wychodzi. Dwa-zero-dwa, kreska. To część numeru telefonicznego.

Przysunęłam sobie krzesło i usiadłam.

– Kierunkowy do Waszyngtonu - powiedziałam.

– Widzę cztery i trzy. A może to osiem?

Zmrużyłam oczy, żeby lepiej widzieć.

– Według mnie trzy.

– Tak jest lepiej. Masz rację, to na pewno trzy.

Po chwili cyfry i słowa stały się widoczne na ekranie. Vander westchnął i rzekł:

– Cholera, nie mogę wywołać ostatniej cyfry. Nie ma jej tutaj, ale popatrz na to, co jest przed kierunkowym. „Do” i dwukropek. A dokładnie pod tym jest „od”, też z dwukropkiem i kolejnym numerem. Osiem-zero-cztery. To jakiś numer miejscowy, ale bardzo niewyraźny. Pięć i chyba siedem albo dziewięć...

– Sądzę, że to numer Jennifer Deighton - powiedziałam. - Miała faks i telefon na tej samej linii. Faks na pojedyncze arkusze zwykłego papieru maszynowego.

Wygląda na to, że kartka z faksem znajdowała się na tej. Ale co wysłała? Jakiś oddzielny dokument? Nie ma tu żadnej wiadomości.

– Jeszcze nie skończyliśmy. Teraz mamy chyba datę. Jedenaście? Nie, to wygląda na siedem. Siedemnastego grudnia. Idę w dół.

Poruszył myszą i uderzył w klawisz, powiększając fragment, o który mu chodziło. Na monitorze z wolna zaczęły materializować się z nicości łuki, kropki, wyraźne poprzeczne kreski w „t”. Vander pracował w milczeniu, oboje prawie nie oddychaliśmy. Siedzieliśmy tak przez godzinę. Słowa stopniowo nabierały wyrazistości dzięki kontrastującym ze sobą odcieniom szarości. Vander rozkazywał im, przywoływał je do istnienia. To było niewiarygodne. Wszystko tu było.

Dokładnie tydzień temu, na dwa dni przed tragiczną śmiercią, Jennifer Deighton wysłała faksem następującą wiadomość do kogoś w Waszyngtonie:

„Tak, będę współpracować, ale jest za późno, za późno, za późno. Lepiej niech pan tu przyjedzie. Wszystko jest nie tak!”

Kiedy wreszcie Vander uruchomił drukarkę, w głowie mi się kręciło.

Miałam kłopoty ze wzrokiem, krew szybko krążyła mi w żyłach.

– Marino musi natychmiast to zobaczyć. Mam nadzieję, że uda nam się odkryć, czyj jest ten faks w Waszyngtonie. Brakuje nam tylko ostatniej cyfry w numerze. Ile faksów w Waszyngtonie może mieć numer taki sam jak ten, nie biorąc pod uwagę ostatniej cyfry?

– Od zera do dziewięciu - odparł Vander, podnosząc głos, żebym go słyszała w hałasie drukarki. - Czyli w najgorszym wypadku dziesięć. Dziesięć numerów faksów albo telefonów identycznych do przedostatniej cyfry. - Podał mi wydruk. - Wyczyszczę obraz i zrobię lepszą kopię. I jeszcze jedno.

Nie mam szczęścia, jeśli chodzi o te odciski palców Waddella. Za każdym razem, jak dzwonię do archiwum po fotokopię kciuka zdjętego w domu Robyn Naismith, mówią, że wciąż szukają jego teczki.

– Pamiętaj, że mamy święta. Założę się, że większość ludzi jest na urlopie - rzekłam, choć ogarnęły mnie złe przeczucia.

Po powrocie do gabinetu zadzwoniłam do Marino i opowiedziałam, co komputer odkrył na pustej kartce.

– Do diabła, a mój kontakt z telekomunikacji ma już wakacje - powiedział.

– Poza nim nikt nie będzie ze mną rozmawiał w Wigilię.

– Właściwie sami możemy sprawdzić, do kogo wysłała ten faks - odrzekłam.

– Chyba że wyślemy do niego pytanie: „Kto ty jesteś?” i będziemy liczyć na to, że odpowie: „Jestem zabójcą Jennifer Deighton, nazywam się tak i tak”.

– To zależy od tego, czy ta osoba ma w faksie zaprogramowaną etykietę.

– Etykietę?

– Bardziej wyrafinowane fakсы pozwalają na zaprogramowanie nazwiska albo nazwy firmy. Etykieta jest wtedy drukowana na każdej przesyłanej wiadomości. Co więcej, na ekraniku maszyny wysyłającej pokazuje się etykieta adresata, o ile naturalnie ją ma. Innymi słowy, jeśli ja wysyłam faks do ciebie, na ekranie zobaczę „Wydział Policji w Richmond” oraz twój numer.

– Masz dostęp do takich bajerów? Nasz faks wciąga papier.

– Mamy taki w biurze.

– Dobra, daj mi znać, jak czegoś się dowiesz. Muszę wyjść.

Zrobiłam listę dziesięciu numerów zaczynających się od sześciu cyfr, które z Vanderem odczytaliśmy z pustej kartki, a kończących kolejno od zera do dziewięciu, po czym przystąpiłam do sprawdzania. Tylko jeden odpowiedział charakterystycznym wysokim sygnałem.

Nasz faks znajdował się w gabinecie Margaret, która na szczęście wcześniej zaczęła święta. Zamknęłam drzwi i usiadłam za biurkiem. Minikomputer szumiał, światełka na modemie migały. Etykiety działają w obie strony. Jeśli rozpocznę wysyłanie, etykieta mojego biura ukaże się na ekranie nadawcy. Będę musiała szybko przerwać, zanim cały proces dobiegnie końca. Liczyłam na to, że zanim ktokolwiek podejdzie do urządzenia, słowa „Biuro Głównego Patologa” oraz nasz numer znikną już z ekranu.

Wsunęłam czystą kartkę papieru i wybrałam numer w Waszyngtonie.

Kiedy rozpoczął się przekaz, na ekranie nie pojawił się żaden napis. A niech to, faks adresata nie ma etykiety. No, to tyle. Przerwałam połączenie i pokonana wróciłam do swojego gabinetu.

Nagle zadzwonił telefon.

– Słucham - powiedziałam do słuchawki.

– Mówi Nicholas Grueman. To, co chciała mi pani przesłać, nie dotarło do mnie.

– Nie rozumiem - odrzekłam zaskoczona.

– Dostałam tylko pustą kartkę papieru z nazwą pani biura. Hmm, kod błędu zero-zero-jeden i informacja „proszę przesłać ponownie”.

– Rozumiem.

Czułam, jak włosy stają mi dęba na głowie.

– Może chciała mi pani przesłać poprawkę do raportu? Rozumiem, że obejrzała sobie pani elektryczne krzesło.

Milczałam.

– To dobrze o pani świadczy, pani doktor. Może dowiedziała się pani czegoś nowego o tych obrażeniach na okolicach przednich łokciowych pana Waddella?

– Proszę powtórzyć mi numer pańskiego faksu - odezwałam się cicho.

Numer zgadzał się z jednym z mojej listy.

– Czy ten faks jest tylko do pańskiej dyspozycji, czy może dzieli go pan z innymi prawnikami, panie Grueman?

– Stoi koło mojego biurka. Nie musi pani zaznaczać, że to do mnie. Proszę to tylko wysłać. I proszę się pośpieszyć, pani doktor. Chciałbym niedługo wyjść do domu.



Wkrótce potem opuściłam biuro, poganiana zdenerwowaniem i frustracją.

Nie mogłam nigdzie złapać Marino, a poza tym nic więcej nie pozostało mi do zrobienia. Znalazłam się w samym centrum dziwnych zbiegów okoliczności, które na oko wydawały się nie mieć ze sobą nic wspólnego.

Kierowana impulsem zatrzymałam się przy placu na West Cary, gdzie jakiś staruszek sprzedawał świąteczne wieńce i choinki. Wyglądał jak drwal z bajki, kiedy tak siedział na taborecie w środku swojego lasu, a w powietrzu unosił się zapach igliwia. Może w końcu zapragnęłam świątecznego nastroju, a może chciałam tylko oderwać uwagę od dręczących mnie myśli.

Była Wigilia, drzewka pozostały już tylko felerne. Święta w domu nie były im przeznaczone - z wyjątkiem tego, które wybrałam. Byłoby naprawdę śliczne, gdyby nie było aż tak krzywe. Ozdabianie go przypominało bardziej ortopedyczny zabieg niż świąteczny rytuał, jednakże kiedy zawiesiłam ozdoby i lampki w strategicznych miejscach, wzmocniwszy wcześniej pień drutem, rezultat był olśniewający.

– Gotowe - rzekłam do Lucy, podziwiając własne dzieło. - I co o tym sądzisz?

– Wydaje mi się dziwne, że w Wigilię nagle postanowiłaś kupić to drzewko.

Kiedy ostatnio miałaś choinkę?

– Chyba jak wyszłam za męża.

– I z tamtego okresu są te ozdoby?

– Wtedy bardzo się starałam w Boże Narodzenie.

– Teraz już tego nie robisz.

– Teraz jestem bardziej zajęta.

Lucy odsunęła zasłonę i poprawiła drwa w kominku.

- Czy ty i Mark kiedykolwiek spędziliście święta razem?
- Nie pamiętasz? Przyjechaliśmy do ciebie w zeszłym roku.
- Nieprawda. Przyjechaliście trzy dni po Bożym Narodzeniu i wróciliście do domu w Nowy Rok.
- W pierwszy dzień świąt Mark był z rodziną.
- Ciebie nie zaprosili?
- Nie.
- Dlaczego?
- Mark pochodził ze starej bostońskiej rodziny. Mieli swoje zwyczaje. A ty co zdecydowałaś w sprawie wieczoru? Czy mój żakiet z aksamitnym kołnierzem ci pasuje?
- Niczego nie przymierzałam. Dlaczego musimy iść w te miejsca? - rzekła Lucy. - Przecież ja nikogo nie znam.
- Nie będzie tak źle. Muszę tylko zawieźć prezent dla dziewczyny w ciąży, która chyba zrezygnuje z pracy. I muszę się pokazać na przyjęciu u sąsiadów.
- Zgodziłam się pójść, zanim ciebie zaprosiłam.
- Wolałabym zostać w domu - powiedziała. - Chciałabym już zacząć sprawdzać AFIS.
- Cierpliwości - poradziłam, choć sama też byłam zniecierpliwiona.
- Późnym popołudniem zostawiłam kolejną wiadomość u dyspozytora; doszłam do wniosku, że albo Marino ma zepsuty pager, albo jest zbyt zajęty, żeby poszukać automatu. U sąsiadów płonęły już świece, wysoko ponad koronami drzew świecił księżyc. Nastawiłam płytę z bożonarodzeniowymi nagraniami Pavarottiego i New York Philharmonic, żeby wprowadzić się w odpowiedni nastrój, po czym wzięłam prysznic i ubrałam się. Przyjęcie zaczynało się o siódmej, miałam dość czasu na wizytę u Susan.

Podniosła słuchawkę, czym mnie zaskoczyła. Zapytałam, czy mogę do niej wpaść; odniosłam wrażenie, że to ją zdenerwowało.

– Jasona nie ma w domu - rzekła, jak gdyby to miało jakieś znaczenie. - Poszedł do sklepu.

– Mam dla ciebie kilka rzeczy - wyjaśniłam.

– Jakich rzeczy?

– Prezent gwiazdkowy na przykład. Idę na przyjęcie, więc nie będę mogła zostać długo. Odpowiada ci ta pora?

– Chyba tak. To znaczy, chciałam powiedzieć, że to bardzo miło z pani strony.

Zapomniałam zupełnie, że Susan mieszka na Southside, gdzie rzadko bywałam i zwykle się gubiłam. Ruch na ulicach panował jeszcze większy, niż się obawiałam, Midlothian Turnpike zatłoczone było ludźmi robiącymi zakupy w ostatniej chwili i gotowymi zmieść wszystko ze swej drogi. Na parkingach nie dało się wsadzić szpilki między stojące tam samochody, światła i neony na sklepach dosłownie oślepiały. Okolica, w której mieszkała Susan, była dla odmiany bardzo ciemna. Musiałam dwa razy się zatrzymywać i czytać jej wskazówki. Wreszcie po długim błędzeniu znalazłam maleńki domek, wciśnięty między dwóch identycznych sąsiadów.

– Dzień dobry - powiedziałam, spoglądając na Susan poprzez liście gwiazdy betlejemskiej, którą trzymałam w ręku.

Wyraźnie zdenerwowana, zamknęła drzwi na klucz i wprowadziła mnie do salonu. Odsunęła książki i gazety, po czym postawiła doniczkę na stoliku do kawy.

– Jak się czujesz? - zapytałam.

– Lepiej. Napije się pani czegoś? Proszę dać mi płaszcz.

– Dziękuję, ale nic nie będę piła. Mam dosłownie minutkę. - Wręczyłam jej paczkę. - To drobiazg, który kupiłam dla ciebie, kiedy latem byłam w San Francisco - wyjaśniłam, siadając na kanapie.

– Ojej, wcześniej robi pani świąteczne zakupy. - Zwinięta w fotelu wyraźnie unikała moich oczu. - Chce pani, żebym już teraz to otworzyła?

– To zależy od ciebie.

Ostrożnie przeciąwszy taśmę paznokciem, zdjęła satynową wstążkę nienaruszoną.

Wyglądziła papier, jak gdyby zamierzała ponownie go użyć, położyła sobie na kolanach, po czym otworzyła czarne pudełko.

– Och! - westchnęła, rozwijając czerwony jedwabny szal.

– Wydaje mi się, że będzie pasował do twojego czarnego płaszcza - powiedziałam.

– Nie wiem jak ty, ale ja nie lubię dotyku wełny na skórze.

– Jest po prostu piękny. To bardzo miło z pani strony, pani doktor. Jeszcze nikt mi nic nie przywiózł z San Francisco.

Wyraz jej twarzy sprawił, że poczułam ukłucie w sercu. Nagle ostrzej zobaczyłam wszystkie szczegóły. Susan miała na sobie żółty aksamitny szlafrok z wystrzępionymi mankietami i czarne skarpety, które, jak podejrzewałam, należały do jej męża. Meble były porysowane i tanie, tapicerka wyświecona. Sztuczna choinka stojąca obok niewielkiego telewizora nie ugięła się bynajmniej od nadmiaru ozdób i brakowało jej kilku gałęzi.

Przy niej leżały dwie paczki z prezentami. Pod ścianą stało łóżeczko dziecięce, już podniszczone.

Susan przyłapała mnie na rozglądaniu się; sprawiała wrażenie zmieszanej.

– Tak tu czysto - powiedziałam.

– Zna mnie pani. Jestem obsesyjnie obowiązkowa.

– Na szczęście. Jeśli o jakiejś kostnicy można powiedzieć, że wygląda świetnie, to właśnie o naszej.

Starannie złożyła szal i schowała do pudełka. Otuliwszy się mocniej szlafrokiem, bez słowa wpatrywała się w kwiat na stole.

– Susan - odezwałam się łagodnie - chciałabyś porozmawiać o tym, co cię gnębi?

Nie spojrzała na mnie.

– To do ciebie niepodobne, tak się zdenerwować, jak wtedy rano. Tak samo nie przyjść do pracy, a potem zrezygnować i nawet do mnie nie zadzwonić.

Wzięła głęboki oddech.

– Naprawdę bardzo mi przykro. Ostatnio źle sobie z różnymi sprawami radzę, wszystko na mnie od razu działa. Jak wtedy, kiedy przypominałam sobie o Judy.

– Śmierć siostry musiała być dla ciebie strasznym przeżyciem.

– Byłyśmy bliźniaczkami, ale nie identycznymi. Judy była o wiele ode mnie ładniejsza. I na tym polegał częściowo problem, bo Doreen jej zazdrościła.

– Doreen to ta dziewczyna, która twierdziła, że jest czarownicą?

– Tak. Jeszcze raz przepraszam, ale nie chcę mieć do czynienia z takimi sprawami, zwłaszcza teraz.

– Może poczujesz się lepiej, jak ci powiem, że zadzwoniłam do tego kościoła niedaleko domu Jennifer Deighton. Dowiedziałam się, że wieża oświetlana jest lampami sodowymi, które kilka miesięcy temu zaczęły się psuć. Nikt w kościele nie orientował się, że nie naprawiono ich prawidłowo.

To tłumaczy, dlaczego gasły i zapalały się same.

– Kiedy byłam mała - rzekła Susan - w kongregacji ojca byli zielonoświątkowcy, którzy wierzyli w przemawianie obcymi językami i wypędzanie demonów. Pamiętam, jak jeden z nich przychodził do nas na obiad i opowiadał o spotkaniach z demonami, o tym, jak leży w łóżku nocą i słyszy w ciemności czyjś oddech, a z półek same spadają książki. Śmiertelnie mnie to przerażało. Nie poszłam nawet na „Egzorcystę”.

– Susan, w pracy musimy być obiektywni i nie możemy poddawać się przesądom. Nie możemy pozwolić, by przeszkadzały nam nasze wierzenia, fobie, pochodzenie.

– Nie wychowała się pani jako córka pastora.

– Wychowałam się jako katoliczka.

– Nic nie da się porównać z dorastaniem w domu fundamentalistycznego duchownego - sprzeciwiła się gwałtownie. W jej oczach zalśniły łzy.

Nie podjęłam tematu.

– Jak tylko mi się wydaje, że się uwolniłam od przeszłości, ona chwyta mnie za gardło - ciągnęła Susan, z trudem wymawiając słowa. - Jakby w środku mnie była jakaś inna osoba, która mi przeszkadza.

Czekałam, aż powie coś więcej, lecz ona milczała. Smutnym wzrokiem wpatrywała się w swoje dłonie.

– To po prostu zbyt wiele mnie kosztuje - mruknęła po chwili.

– Ale co za wiele cię kosztuje, Susan?

– Praca.

– Pod jakim względem praca jest teraz inna niż w przeszłości? - zapytałam.

Spodziewałam się, że jako powód poda ciężę.

– Jason uważa, że szkodzi mojemu zdrowiu. Zawsze tak uważał.

– Rozumiem.

– Wracam do domu i opowiadam mu, jak wyglądał dzień, a on nie może tego znieść. Mówi do mnie: „Nie widzisz, jakie to straszne? To nie może być dla ciebie dobre, nie ma siły”. I ma rację. Nie zawsze umiem zapomnieć o tym, co widziałam. Jestem już zmęczona rozkładającymi się ciałami, zgwałconymi, pociętymi, zastrzelonymi ludźmi. Jestem zmęczona martwymi dziećmi i ofiarami wypadków samochodowych. Dość już mam przemocy. - Spojrzała na mnie, dolna warga jej drżała. - Nie chcę więcej oglądać śmierci.

Pomyślałam, jak trudno będzie znaleźć kogoś na jej miejsce. A potem jeszcze nowy pracownik będzie musiał długo się uczyć, co bardzo spowolni pracę. Najgorsza zaś była perspektywa rozmów z kandydatami i wyłapywanie tych z psychicznymi zaburzeniami. Nie każdy chętny do pracy w kostnicy jest okazem normalności. Lubiłam Susan, toteż czułam się głęboko zraniona i zmartwiona. Ona nie była ze mną szczerą.

– Czy jeszcze o czymś chcesz mi powiedzieć? - zapytałam, wpatrując się w nią uważnie.

W jej oczach dostrzegłam strach.

– Nic mi nie przychodzi do głowy - odparła.

Z dworu dobiegł trzask zamykanych drzwiczek samochodu.

– Jason wrócił - stwierdziła tylko.

Nasza rozmowa dobiegła końca. Wstałam i rzekłam cicho:

– Zadzwon, jeśli czegoś będziesz potrzebowała, Susan. Albo po prostu porozmawiać. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Z jej mężem zamieniłam ledwie kilka słów. Był wysoki i dobrze zbudowany, z kręconymi brązowymi włosami i spokojnym spojrzeniem. Mimo iż odnosił się do mnie uprzejmie, wyczuwałam, że nie jest zadowolony z mojej obecności. Przejeżdżając przez most uświadomiłam sobie nagle, co ta z trudem wiążąca koniec z końcem para musi o mnie

myśleć. O szefowej, która w kostiumie od znanego projektanta mody przyjeżdża mercedesem, żeby wręczyć drobny prezent gwiazdkowy. Nielojalność Susan zachwiała moim poczuciem bezpieczeństwa. Nie wiedziałam, co sądzić o moich związkach z otoczeniem, nie byłam pewna, jak ludzie mnie postrzegają.

Miałam wrażenie, jakbym po śmierci Marka oblała jakiś ważny egzamin, jak gdyby w mojej reakcji na to tragiczne wydarzenie kryła się odpowiedź na pytanie tkwiące w otaczających mnie ludziach. W końcu powinnam radzić sobie ze śmiercią lepiej niż ktokolwiek inny. Doktor Kay Scarpetta, ekspert. Ja natomiast zamknęłam się w sobie i wiedziałam, że inni wyczuwają chłód, choćbym nie wiem jak starała się zachowywać przyjaźnie czy wyrozumiale. Moi pracownicy przestali mi się zwierzać, wszystko wskazywało na to, że ktoś buszuje po moim biurze, a teraz jeszcze Susan zrezygnowała z pracy.

Z Cary Street zjechałam w lewo, w stronę mojej dzielnicy, i skierowałam się do domu Bruce'a Cartera, sędziego sądu okręgowego. Mieszkał na Sulgrave, kilka przecznic ode mnie. Nagle poczułam się tak, jak gdybym znowu była dzieckiem, wpatrującym się w budynki, które w moich oczach wyglądały jak zamki. Przypomniałam sobie, jak w Miami chodziłam od drzwi do drzwi z wózkiem pełnym cytrusów, świadoma, że wypielegnowane dłonie wręczające mi zapłatę należą do nietykalnych ludzi, których tylko ogarnęło współczucie. Pamiętam, jak wracałam do domu z kieszenią pełną drobnych i czułam zapach choroby unoszący się z sypialni, gdzie leżał mój umierający ojciec.

W Windsor Farms panował stabilny dobrobyt, domy w stylu króla Jerzego i Tudorów stały schludnie wzdłuż uliczek o angielskich nazwach, posiadłości ocieniały wysokie drzewa i otaczały ceglane mury. Ochroniarze czujnie strzegli uprzywilejowanych, dla których alarmy

przeciwwłamaniowe były zwyczajnymi elementami wyposażenia domu, takimi samymi jak zraszacze do trawników. Rządzące tu zasady odznaczały się większą surowością niż te, które ukazują się drukiem. Nie będziesz obrażał sąsiadów, wywieszając pranie lub wpadając bez zapowiedzi. Nie musisz jeździć jaguarem, ale jeśli poruszasz się pordzewiałym pikapem albo karawanem, nie wystawiasz go na widok publiczny, tylko trzymasz w garażu.

Kwadrans po siódmej zaparkowałam na końcu długiego rzędu samochodów stojących przed pomalowanym na biało ceglanym domem ze spadzistym dachem. W bukszpanach i świerkach połyskiwały niczym gwiazdki białe lampki, na czerwonych frontowych drzwiach wisiał pachnący wieniec.

Moje pojawienie się Nancy Carter powitała olśniewającym uśmiechem.

Mówiła bez przerwy; w tle szumiały rozmowy prowadzone przez tłum gości, cekiny na jej długiej czerwonej sukni migotały w świetle. Żona sędziego, kobieta po pięćdziesiątce, dzięki pieniądzom zmieniła się w wyrafinowane dzieło sztuki. Podejrzewałam, że w młodości nie odznaczała się urodą.

– Bruce jest gdzieś wśród gości... - Rozejrzała się dokoła. - A bufet jest tam.

Skierowała mnie do salonu, gdzie odświętne stroje gości doskonale współgrały z ogromnym perskim dywanem, kosztującym chyba więcej niż domek na drugim brzegu rzeki, który właśnie odwiedziłam. Sędzia rozmawiał z nieznanym mi mężczyzną. Rozglądając się po tłumie, rozpoznałam kilku lekarzy, adwokatów i szefa kancelarii gubernatora. Stałam ze szklaneczką szkockiej z wodą sodową w ręce, kiedy nagle jakiś nieznajomy położył mi dłoń na ramieniu.

– Doktor Scarpetta? Jestem Frank Donahue - przedstawił się głośno. -
Wesołych Świąt.

– Wesołych Świąt.

Dyrektor, który rzekomo chorował owego dnia, kiedy Marino i ja poszliśmy obejrzyć więzienie, był niewysokim mężczyzną o surowych rysach i gęstych, siwiejących włosach. W jaskrawoczerwonym fraku, białej koszuli z żabotem i czerwonym krawacie, na którym połyskiwały miniaturowe lampki, wyglądał niczym parodia angielskiego mistrza ceremonii. Szklanka z czystą whisky niebezpiecznie zakołysała się w jego lewej dłoni, kiedy wyciągnął do mnie prawą.

Nachylił się do mojego ucha.

– Byłem rozczarowany, że nie mogłem oprowadzić was po więzieniu.

– Jeden ze strażników zajął się nami. Dziękuję panu.

– Przypuszczam, że to był Roberts.

– Chyba rzeczywiście tak się nazywał.

– No cóż, źle się stało, że musieliście zadać sobie tyle trudu. - Przez cały czas rozglądał się po pokoju, w pewnej chwili mrugnął do kogoś za moimi plecami. - To, co się stało, to naprawdę gówniana sprawa. Wie pani, Waddell miewał krwotoki z nosa w przeszłości, poza tym chorował na nadciśnienie.

Ciągle na coś się skarżył, na bóle głowy, bezsenność.

Schyliłam głowę, by lepiej słyszeć.

– Ci faceci z celi śmierci to skończeni oszuści. A Waddell był jednym z najgorszych.

– Nie wiedziałam - rzekłam, patrząc na niego.

– W tym cały problem, że nikt nie wie, tylko my, bo jesteśmy z nimi na co dzień.

– Niewątpliwie.

– Ta tak zwana przemiana Waddella w niewiniątko! Jeśli pani pozwoli, opowiem kiedyś, jak chwalił się przed innymi osadzonymi tym, co zrobił tej biedaczce Naismith. Uważał się za największego koguta na spacerunku, bo załatwił gwiazdę.

W pokoju było duszno i gorąco. Czułam, jak spojrzenie Donahue przesuwa się po moim ciele.

– Podejrzewam, że mało co jest w stanie panią zadziwić.

– To prawda, panie Donahue.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, jak pani radzi sobie z tym, na co musi patrzeć w pracy, zwłaszcza kiedy w okresie świątecznym ludzie zabijają siebie i innych, jak ta biedaczka, która otworzyła prezenty gwiazdkowe, a potem poszła do garażu i popełniła samobójstwo.

Jego słowa były niczym kuksaniec łokciem w żebra. W porannej prasie ukazała się zwięzła notatka o śmierci Jennifer Deighton; z policyjnego źródła zacytowano informację, że denatka wcześniej otworzyła prezenty gwiazdkowe. Można było z tego wyciągnąć wniosek, iż popełniła samobójstwo, choć w gazecie takie stwierdzenie się nie pojawiło.

– O jakiej biedaczce pan mówi? - zapytałam.

– Nie pamiętam nazwiska. - Donahue sączył whisky, nieustannie się rozglądając.

– Smutne, naprawdę smutne. No cóż, musi nas pani odwiedzić w Greenville. - Uśmiechnął się szeroko, po czym opuścił mnie dla ubranej na czarno matrony z obfitym biustem. Pocałował ją w usta, po czym oboje się roześmiali.

Wyszłam przy pierwszej nadarzającej się okazji i wróciłam do domu. W kominku płonął ogień, Lucy leżała na kanapie i czytała. Pod choinką zauważyłam kilka nowych paczek.

– Jak było? - zapytała Lucy ziewając.

– Mądrze zrobiłaś, zostając w domu - odparłam. - Marino dzwonił?

– Nie.

Wykręciłam jego numer. Po czterech sygnałach w słuchawce rozległ się jego zirytowany głos.

– Mam nadzieję, że nie dzwonię za późno... - zaczęłam.

– Ja też. Co się stało?

– Sporo. Poznałam na przyjęciu twojego przyjaciela, pana Donahue.

– Cóż za przyjemność.

– Nie dla mnie. Może ogarnia mnie paranoja, ale wydało mi się dziwne, że wspomniał o śmierci Jennifer Deighton.

Odpowiedziało mi milczenie.

– Następną dziwną sprawą - mówiłam dalej. - Otóż okazało się, że Jennifer Deighton wysłała faks do Nicholasa Gruemana na dwa dni przed śmiercią.

Z treści wynika, że była zdenerwowana, a poza tym odniosłam wrażenie, że on chce się z nią spotkać. Zaproponowała, żeby przyjechał do Richmond.

Marino wciąż się nie odzywał.

– Jesteś tam? - spytałam.

– Myślę.

– Miło mi to słyszeć. Może jednak moglibyśmy pomyśleć razem? Na pewno nie możesz przyjść jutro na obiad?

Głęboko westchnął, po czym rzekł:

– Bardzo bym chciał, doktorko, ale...

Przerwał mu stłumiony kobiecy głos pytający:

– W której szufladzie to masz?

Musiał zakryć mikrofon dłonią, bo do mnie dotarło tylko niewyraźne mamrotanie, później głośno odchrząknął.

– Przepraszam - powiedziałam. - Nie miałam pojęcia, że ktoś u Ciebie jest.

– Tak - odparł krótko.

– Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyście oboje przyszli jutro na obiad.

– W *Sheratonie* jest bufet. Wybieramy się tam.

– Pod choinką leży coś dla Ciebie. Jeśli zmienisz zdanie, uprzedź mnie rano.

– Nie sądzę, żebym zmienił. Więc się poddałaś i masz choinkę. Założę się, że to jakieś brzydactwo.

– Przedmiot zazdrości całej okolicy, jeśli chcesz wiedzieć. Przekaż swojej przyjaciółce życzenia świąteczne ode mnie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy następnego dnia się obudziłam, dzwoniły kościelne dzwony, a zasłony płonęły od słońca. Mimo iż poprzedniego wieczoru wypiałam niewiele, nie czułam się najlepiej. Ponownie zapadłam w drzemkę i we śnie zobaczyłam Marka.

Kiedy wreszcie wstałam, w kuchni unosił się aromat wanilii i pomarańczy.

Lucy męła kawę.

– Rozpieszczasz mnie. I co ja potem zrobię? Wesołych Świąt. - Pocałowałam ją w czubek głowy, dostrzegając na stole dziwną paczkę płatków. - Co to jest?

– Płatki Cheshire. Absolutny rarytas. Przywiozłam je ze sobą. Są najlepsze z c zystym j ogurtem, ale ty nie masz jogurtu, więc będziemy musiały zadowolić się chudym mlekiem i bananami. Do tego sok ze świeżych pomarańczy i bezkofeinowa francuska kawa o smaku waniliowym. Chyba powinnyśmy zadzwonić do mamy i babci.

Podczas gdy ja w kuchni wykręcałam numer mojej matki, Lucy poszła do gabinetu, gdzie stał drugi aparat. Siostra była już u mamy i wkrótce rozmawiałyśmy we czwórkę. Matka głównie narzekała na pogodę. W Miami szalała burza, ulewne deszcze i porywiste wichry zaczęły się w wigilijny wieczór, a świąteczny poranek uczciły oślepiające błyskawice.

– Nie powinnyście rozmawiać przez telefon podczas wyładowań - powiedziałam.

– Zadzwonimy do was później.

– Jesteś nienormalna, Kay - wtrąciła Dorothy. - Patrzysz na wszystko pod kątem zagrożenia życia.

– Lucy, opowiedz mi o prezentach - przerwała jej matka.

– Jeszcze ich nie otworzyliśmy, babciu.

– Hej, to było naprawdę blisko - wykrzyknęła Dorothy do wtóru trzasków w słuchawce. - Aż światła przygasły.

– Dorothy, pamiętałaś, żeby kupić masło? - spytała matka.

– Cholera, wiedziałam, że coś jeszcze miałam...

– Wczoraj wieczorem przypominałam ci o tym chyba ze trzy razy.

– Uprzedzałam, że nie zapamiętam, co do mnie mówisz, kiedy piszę, mamo.

– Możesz to sobie wyobrazić? Poszłaś ze mną na mszę w Wigilię? Nie. Zostałaś w domu, żeby pracować nad tą książką, a w dodatku zapomniałaś o maśle.

– Wyjdę i kupię.

– A według ciebie jaki sklep będzie otwarty w pierwszy dzień świąt?

– Jakiś na pewno będzie.

Do kuchni wróciła Lucy.

– Nie wierzę w to - szepnęła mi do ucha, podczas gdy moja siostra sprzeczała się dalej z matką.

Wreszcie skończyliśmy tę rozmowę. Lucy i ja poszliśmy do salonu, gdzie powitał nas spokojny zimowy poranek w Wirginii. Za oknem nagie drzewa stały bez ruchu, w cieniu leżały czyste płaty śniegu. Chyba nie mogłabym już mieszkać w Miami. Zmiana pór roku była niczym fazy księżyca.

Potrzebowałam pełni i nowiu z wszelkimi niuansami, jakie występowały pomiędzy nimi, krótkie i zimne dni pozwalały tym bardziej cieszyć się wiosną.

Lucy dostała od babci czek na pięćdziesiąt dolarów. Dorothy także dała jej pieniądze. Zrobiło mi się wstyd, kiedy otworzyła kopertę ode mnie i znalazła w niej kolejny czek.

– Pieniądze wydają się takie bezosobowe - rzekłam przeprasząc.

– Dla mnie nie są bezosobowe, bo właśnie na nich mi zależy. Dzięki nim kupię sobie następne mega pamięci do mojego komputera.

Wręczyła mi małą i ciężką paczkę owiniętą w czerwono-srebrny papier i nie mogła ukryć radości na widok mojej miny, kiedy otworzyłam pudełko i rozchyliłam bibułę.

– Możesz w niej zapisywać terminy wystąpień sądowych - powiedziała.
- Pasuje do twojej kurtki motocyklisty.

– Lucy, to po prostu wspaniałe. - Dotknęłam oprawnego w czarną jagnięcą skórę terminarza, później ostrożnie przesunęłam palcami po kremowych stronicach.

– A to kalendarz na nowy rok i notes na adresy. - Podała mi mniejsze zawiniątko.

W tej samej chwili zadzwonił telefon.

Marino życzył mi wesołych świąt, po czym oznajmił, że zaraz wpadnie, żeby wręczyć mi prezent.

– Powiedz Lucy, żeby się ciepło ubrała i nie wkładała żadnych obcisłych rzeczy - rzekł zirytowany.

– O czym ty mówisz? - spytałam zdziwiona.

– W obcisłych dzinsach nie będzie mogła wyjmować z kieszeni nabojów.

Chciałaś, żebym udzielił jej kilku lekcji strzelania, no i lekcja numer jeden jest dzisiaj przed południem. Jeśli nie przyjdzie, to jej sprawa. O której jemy?

– Koło wpół do drugiej, drugiej. Myślałam, że jesteś umówiony.

– Tak, ale się odmówiłem. Będę u was za jakieś dwadzieścia minut. Powiedz smarkuli, że na dworze jest zimno jak diabli. Idziesz z nami?

– Nie tym razem. Zostanę w domu i będę gotować.

Marino wcale nie był w lepszym nastroju, kiedy zapukał do drzwi. Urządził nam wielkie przedstawienie, sprawdzając mój zapasowy rewolwer, rugera kaliber 38. Odsunął zasuwę, otworzył cylinder i wolno nim obracał, zaglądając w każdą komorę. Pociągnął iglicę na miejsce, zajrzał do lufy i nacisnął spust. Lucy nie odrywała od niego wzroku, on tymczasem z namaszczeniem obejrzał pozostałości po smarze, po czym oznajmił, że mój ruger prawdopodobnie ma ostrogi, które należy uzupełnić. Następnie oboje z Lucy wsiedli do jego forda i odjechali.

Wrócili po kilku godzinach, zaróżowieni od mrozu. Lucy z dumą pokazała mi krwawy pęcherz na palcu, którym naciskała spust.

– Jak jej poszło? - zapytałam wycierając ręce w fartuch.

– Nie najgorzej - odparł Marino, nie patrząc mi w oczy. - Czuję pieczonego kurczaka.

– Mylisz się. - Wzięłam od nich płaszcze. - Czujesz *cotolleta di tacchino alla bolognese*.

– Poszło mi o wiele lepiej - wtrąciła Lucy. - Tylko dwa razy nie trafiłam.

– Musisz strzelać na sucho, dopóki nie przestaniesz szarpać za spust.

– Mam na sobie więcej sadzy niż Święty Mikołaj po przejściu przez komin - rzekła Lucy wesoło. - Idę wziąć prysznic.

W kuchni nalałam Marino kawy, podczas gdy on uważnie oglądał stół zastawiony ingrediencjami, które miały wejść w skład naszego posiłku. Poszliśmy do salonu, gdzie w kominku płonął ogień.

– To było bardzo miłe z twojej strony - odezwałam się. - Doceniam to bardziej, niż się domyślasz.

– Jedna lekcja to za mało. Może uda nam się jeszcze poćwiczyć, zanim mała wróci na Florydę.

– Dziękuję, Marino. Mam nadzieję, że zmiana planów nie oznaczała wielkiego poświęcenia z twojej strony.

– Żaden problem - odparł szorstko.

– Zrezygnowałaś z obiadu w *Sheratonie* – rzekłam sondująco. - Mogłaś przyprowadzić do nas znajomą.

– Coś wypadło.

– Czy ona ma imię?

– Nazywa się Tanda.

– Bardzo interesujące imię.

Marino oblał się rumieńcem.

– Jeśli chcesz wiedzieć, nie warto nawet o niej mówić. - Gwałtownie wstał i poszedł do łazienki.

Zawsze pilnowałam, żeby nie zadawać pytań na tematy osobiste, chyba że Marino sam mnie do tego zachęcał. Tym razem jednak nie mogłam się powstrzymać.

– Gdzie się poznaliście? - zapytałam go po powrocie.

– Na tańcach.

– To wspaniałe, że wychodzisz z domu i poznajesz nowych ludzi.

– To idiotyzm, skoro naprawdę chcesz wiedzieć. Od przeszło trzydziestu lat nie umawiałem się z nikim na randki. Czuję się jak Rip Van Winkle, który obudził się w następnym stuleciu. Kobiety są całkiem inne niż dawniej.

– Jak to?

– Przestały być proste.

– Proste?

– Tak jak Doris. To, co było między nami, nie było skomplikowane, ale skończyło się po trzydziestu latach i muszę zaczynać od nowa. Poszedłem na te cholerne tańce do klubu, bo namówiło mnie kilku facetów. No i zajmuję się swoimi sprawami, a tu do stolika podchodzi Tanda. Po dwóch piwach pyta mnie o mój numer telefonu, uwierzysz?

– Dałeś?

– Powiedziałem: „Jeśli chcesz się ze mną spotkać, podaj mi swój numer. Ja zadzwonię”. Na to ona zapytała, z którego ogrodu zoologicznego uciekłem, a potem zaprosiła mnie na kręgle. I tak to się zaczęło. A skończyło się, kiedy mi powiedziała, że kilka tygodni temu stuknęła kogoś w bagażnik i została oskarżona o nieostrożną jazdę. Chciała, żebym to załatwił.

– Tak mi przykro.

Wzięłam prezent dla niego spod choinki i podałam mu.

– Nie wiem, czy to pomoże ci w życiu towarzyskim.

Otworzył paczkę i wyjął czerwone szelki oraz jedwabny krawat.

– To miło z twojej strony, doktorko. Cholera. - Wstając mruknął z niesmakiem:

– Cholerne tabletki.

Znowu poszedł do łazienki. Wrócił po kilku minutach.

– Kiedy ostatnio się badałeś? - zapytałam.

– Kilka tygodni temu.

– No i?

– A według ciebie co?

– Masz wysokie ciśnienie.

– Trafiaś.

– Co powiedział ci lekarz? - zapytałam.

– Mam sto pięćdziesiąt na sto dziesięć i powiększoną prostatę. Więc biorę te cholerne tabletki i przez cały czas czuję, że muszę iść do łazienki, choć najczęściej nic z tego nie wychodzi. Jak mi się nie poprawi, będzie mnie musiał pokroić. Do tego puchną mi kostki - ciągnął. - Bolać mnie stopy i głowa. Mam rzucić palenie, przestać pić kawę, stracić czterdzieści funtów i wyeliminować stres.

– Tak, musisz to wszystko zrobić - potwierdziłam stanowczo. - Aczkolwiek wydaje mi się, że nawet nie próbujesz.

– Przecież to oznacza kompletną zmianę życia. I w dodatku ty to mówisz.

– Ja nie mam nadciśnienia, a palenie rzuciłam dokładnie dwa miesiące i pięć dni temu. Nie wspomnę nawet o tym, że gdybym schudła czterdzieści funtów, to by mnie nie było.

Milczał, wpatrzony w ogień.

– Słuchaj - powiedziałam. - A może spróbujemy zrobić to razem? Przestaniemy pić kawę i zaczniemy ćwiczyć.

– Już widzę, jak ćwiczysz aerobik - stwierdził kwaśno.

– Gram w tenisa. Ty możesz ćwiczyć aerobik.

– Jak ktoś machnie parą spodenek koło mnie, już nie żyje.

– Nie wykazujesz ochoty do współpracy, Marino.

Z irytacją zmienił temat.

– Masz kopię tego faksu, o którym mówiłaś?

Poszłam do gabinetu po teczkę. Otworzyłam ją i zaniiosłam mu wydruk notki, którą odczytał Vander.

– To było na tej pustej kartce, którą znaleźliśmy na łóżku Jennifer Deighton, tak? - zapytał Marino.

– Właśnie.

– Dalej nie rozumiem, po co trzymała na niej kryształ. Co te rzeczy tam robiły?

– Nie mam pojęcia. A powiedz, znaleźliście coś w automatycznej sekretarce?

– Dalej sprawdzamy. Mamy kupę ludzi do przesłuchania. - Wyjął z kieszeni koszuli paczkę marlboro, po czym głośno odetchnął. - Cholera. - Rzucił papierosy na stolik. - Będziesz wygłaszać mi kazania, jak sobie zapalę, co?

– Nie, będę tylko patrzeć, ale słowa nie powiem.

– Pamiętasz wywiad, jakiego kilka miesięcy temu udzieliłaś kanałowi PBS?

– Jak przez mgłę.

– Jennifer Deighton go nagrała. Kasetą była w odtwarzaczu. Jak go włączyliśmy, zobaczyliśmy ciebie na ekranie.

– Co takiego? - spytałam zaskoczona.

– Naturalnie w czasie tego programu mówiono też o innych sprawach.

Były jakieś bzdury o wykopaliskach archeologicznych i hollywoodzkim filmie, który tam kręcono.

– Dlaczego miałyby mnie nagrywać?

– To następny kawałek, który do niczego nie pasuje poza tymi głuchymi telefonami do ciebie. Wygląda na to, że Deighton myślała o tobie, zanim dorwał ją morderca.

– Czego jeszcze się dowiedzieliście?

– Muszę zapalić. Mam wyjść na dwór?

– Ależ nie.

– Cała sprawa robi się coraz bardziej niesamowita - ciągnął Marino. - W jej biurze natrafiliśmy na dokumenty rozwodowe. Okazało się, że wyszła za mąż w sześćdziesiątym pierwszym, rozwiodła się dwa lata później i wróciła

do panińskiego nazwiska. Potem z Florydy przeprowadziła się do Richmond. Jej eks nazywa się Willie Travers i jest świrem na punkcie zdrowego życia, wiesz, w każdym aspekcie. Nie pamiętam nazwy.

– Medycyna holistyczna?

– Właśnie. Mieszka na Florydzie, w Fort Meyers Beach. Dzwoniłem do niego. Trudno z niego coś wyciągnąć, choć paru rzeczy się dowiedziałem.

Oznajmił, że on i panna Deighton po rozstaniu dalej się przyjaźnili i widywali.

– On tu przyjeżdżał?

– Ona jeździła do niego na Florydę. Spotykali się ze względu na stare dobre czasy, jak stwierdził. Ostatnio była u niego w listopadzie, koło Święta Dziękczynienia. Wydusiłem też z niego informacje o rodzeństwie Deighton.

Siostra jest sporo młodsza, zamężna, mieszka na zachodzie Stanów.

Brat jest najstarszy z całej trójki, ma blisko sześćdziesiąt lat i prowadzi sklep spożywczy. Kilka lat temu miał raka gardła i wycięto mu krtań.

– Zaraz, zaraz...

– Wiem. Zorientowałabyś się, gdybyś go usłyszała. Nie ma szans, żeby facet, który dzwonił do ciebie do biura, był Johnem Deightonem. To był ktoś inny, kto miał powody, żeby interesować się wynikami sekcji zwłok Jennifer Deighton. Wiedział dość, żeby podać prawidłowo nazwisko i miejsce zamieszkania, ale nie miał pojęcia o stanie zdrowia prawdziwego Johna Deightona i o tym, jak jego głos powinien brzmieć w telefonie.

– Czy Travers wie, że jego była żona została zamordowana?

– Powiedziałem mu, że patolog nie skończył jeszcze badań.

– A on był wtedy na Florydzie?

– Rzekomo tak. Ja z kolei chciałbym wiedzieć, gdzie wtedy był twój przyjaciel Nicholas Grueman.

– Nigdy nie był moim przyjacielem - odparłam. - Zamierzasz go o to zapytać?

– Na razie nie będę z nim rozmawiał. Z ludźmi pokroju Gruemana można się strzelać tylko raz. Ile on ma lat?

– Jest po sześćdziesiątce.

– A jak jest zbudowany?

– Nie widziałam go od czasu studiów. - Wstałam, żeby poprawić polana na kominku. - Wtedy był szczupły, prawie chudy. Wzrost miał przeciętny.

Marino milczał.

– Jennifer Deighton ważyła sto osiemdziesiąt funtów - przypomniałam mu. - Wszystko wskazuje na to, że zabójca udusił ją i zaniósł ciało do samochodu.

– W porządku. Może Grueman miał pomocnika. Istnieje kilka możliwości, posłuchaj takiego scenariusza. Grueman reprezentował Waddella, który nie należał do chudzielców. A może trzeba by powiedzieć: nie należy do chudzielców. Odcisk palca Waddella znaleziono w domu Jennifer Deighton.

Może Grueman poszedł do niej z wizytą, w dodatku nie sam.

Wpatrywałam się w płomienie.

– A tak przy okazji, nie znalazłem u niej w domu żadnego przedmiotu, z którego mogłoby pochodzić to piórko - dodał Marino. - Prosiłaś, żebym sprawdził.

Zabrzączał jego pager. Odpiął go od paska i spojrzał na ekran.

– Cholera - mruknął i poszedł do kuchni, gdzie stał telefon.

– Co się stało?... Co takiego? - usłyszałam. - Chryste. Jesteście pewni? - Przez chwilę milczał, po czym rzekł: - Nie musisz zadawać sobie trudu.

Stoję kilka kroków od niej.



Marino przejechał na czerwonym świetle przez West Cary i Windsor Way, po czym skierował się na wschód. Na tablicy rozdzielczej białego forda tańczyły i migały światełka, radio trzeszczało, podczas gdy ja przed oczyma miałam Susan zwiniętą w kłębek w fotelu, otuloną po samą szyję aksamitnym szlafrokiem, który miał ją chronić przed chłodem nie mającym nic wspólnego z panującą w pokoju temperaturą. Pamiętałam nieustannie zmieniający się wyraz jej twarzy i s pojrzenie, z którego nic nie umiałam wyczytać.

Drżałam na całym ciele, serce waliło jak opętane. Policja znalazła samochód Susan w zaułku przy Strawberry Street. Siedziała za kierownicą, martwa.

Nie wiadomo co robiła w tej części miasta.

– Co jeszcze ci mówiła, kiedy byłaś u niej wczoraj wieczorem? - zapytał Marino.

Nic ważnego nie przychodziło mi do głowy.

– Była spięta - powiedziałam. - Coś ją gnębiło.

– Ale co? Masz jakieś podejrzenia?

– Nie wiem.

Ręce mi drżały, kiedy sprawdzałam zawartość swojej lekarskiej torby.

Aparat fotograficzny, rękawiczki i cała reszta, wszystko na swoim miejscu.

Przypomniałam sobie, jak kiedyś Susan powiedziała, że gdyby ktoś chciał ją zgwałcić lub porwać, najpierw musiałby ją zabić.

Wiele razy zostawałyśmy w biurze we dwie, żeby posprzątać albo uzupełnić dokumentację. Często rozmawiałyśmy przy tym o osobistych sprawach, o byciu kobietą i miłości, o macierzyństwie. Raz tematem była śmierć. Susan wyznała, że się jej boi.

„Nie mówię o ogniu piekielnym i siarce, o których mój ojciec głosi kazania, bo tego się nie boję - stwierdziła zdecydowanie. - Boję się tylko, że poza tym, co tutaj jest, nic więcej nie ma”.

„Na pewno jest coś więcej”.

„Skąd pani wie?”

„Bo czegoś brak. Wystarczy spojrzeć na ich twarze. Uleciała energia. Duch nie umiera, tylko ciało”.

„Ale skąd pani wie?” - zapytała ponownie.

Marino zwolnił i skręcił w Strawberry Street. Zerknęłam w boczne lustro.

Za nami jechał wóz policyjny, migając czerwono-niebieskim kogutem.

Minęliśmy kilka restauracji i niewielki sklep spożywczy, wszystko na głucho zamknięte. Kilka samochodów usunęło się, by zrobić nam drogę.

W pobliżu kawiarni wąska uliczka zastawiona była oznakowanymi i nieoznakowanymi wozami policyjnymi, wyjazd zaś tarasował ambulans. Trochę dalej parkowały dwie furgonetki telewizyjne. Dziennikarze dreptali nerwowo wzdłuż żółtej taśmy, oddzielającej miejsce wypadku. Marino zahamował i jednocześnie otworzyliśmy drzwi. Kamery natychmiast zwróciły się w naszą stronę.

Szczęknięty przesłony, taśmy filmowe zaczęły się z szumem przesuwają, uniesiono mikrofony. Marino szedł wielkimi krokami, nie odpowiadając na żadne pytania. Odwróciłam twarz. Okrążyliśmy ambulans i schyliliśmy się, żeby przejść pod taśmą. Stara wiśniowa toyota stała przy wąskim chodniku pokrytym brudnym śniegiem. Po obu stronach uliczki wznosiły się brzydkie ceglane budynki, które nie dopuszczały promieni zachodzącego słońca. Policjanci robili zdjęcia, rozmawiali i rozglądali się wokół siebie. Z dachów i pordzewiałych schodków przeciwpożarowych kapła woda, w powietrzu unosił się zapach gnijących śmieci.

Młodego policjanta o latynoskim wyglądzie, który rozmawiał przez krótkofalówkę, niedawno poznałam. Zobaczywszy nas, odłożył radio. Z miejsca gdzie stałam, przez otwarte drzwi od strony kierowcy dostrzec mogłam lewe biodro i ramię. Poznałam czarny wełniany płaszcz, złotą obrączkę na palcu i czarny plastikowy zegarek. Na desce rozdzielczej leżał czerwony identyfikator pracownika kryminalnych służb medycznych.

– Samochód zarejestrowano na nazwisko Jason Story. Przypuszczam, że to jej mąż - rzekł Lucero. - W torebce miała prawo jazdy na nazwisko Susan Dawson Story, lat dwadzieścia osiem.

– Miała pieniądze?

– Jedenaście dolarów w portfelu i kilka kart kredytowych. Nic nie wskazuje na motywy rabunkowe. Rozpoznajesz ją?

Marino pochylił się, żeby lepiej widzieć. Dostrzegłam, że zacisnęła szczękę.

– Rozpoznaję. Czy tak znaleziono samochód?

– Otworzyliśmy tylko drzwi od strony kierowcy - odparł Lucero, chowając krótkofalówkę do kieszeni.

– Silnik był wyłączony, drzwi nie zamknięte na klucz?

– Tak. Jak mówiłem przez telefon, podczas patrolu Fritz zauważył samochód z identyfikatorem na szybie. Było koło piętnastej. - Spojrzał na mnie.

– Jeśli zajrzy pani od strony pasażera, zobaczy pani krew w okolicy prawego ucha.

Marino cofnął się i powiódł wzrokiem po brudnym śniegu.

– Chyba nie znajdziemy żadnych odcisków butów.

– Masz rację. Topi się jak lody. Tak było, jak tu przyjechaliśmy.

– Znaleźliście łuski?

– Żadnych.

– Jej rodzina już wie?
– Nie. Pomyślałem, że sam będziesz chciał do nich pojechać.
– Dopilnuj, żeby dziennikarze nie dowiedzieli się kto to i gdzie pracowała, zanim nie porozmawiamy z rodziną. Chryste. - Marino zwrócił się do mnie: - Co chcesz, żeby tu zrobić?

– Nie chcę, żeby dotykano czegokolwiek w samochodzie - odparłam, wyjmując aparat. Myślałam jasno, lecz ręce wciąż mi drżały. - Dajcie mi chwilę na rozejrzenie się, potem przenieście ją do ambulansu.

Marino odwrócił się do Lucero.

– Twój ludzie są gotowi?
– Gotowi.

Susan ubrana była w wytarte niebieskie dżinsy i sznurowane botki, płaszcz miała zapięty pod szyję. Serce mi się ścisnęło, kiedy zobaczyłam wystający przy kołnierzu czerwony jedwabny szal. Na nosie miała okulary słoneczne i opierała się o siedzenie, jak gdyby usadowiwszy się wygodnie zapadła w drzemkę. Na jasnoszarej tapicerce koło szyi ciemniała czerwona plama. Okrążyłam samochód i zobaczyłam krew, o której wspominał Lucero.

Kiedy podczas fotografowania pochyliłam się nad jej twarzą, poczułam słaby zapach męskiej wody kolońskiej. Stwierdziłam, że pas bezpieczeństwa nie był zapięty.

Nie dotykałam jej głowy, dopóki nie pojawili się sanitariusze. Kiedy ciało znalazło się w ambulansie, wsiadłam i przyjrzałam się ranom. Jedną znalazłam w prawej skroni, drugą na karku, tuż pod linią włosów. Przesunęłam palcami w rękawiczce po jej włosach, lecz nie znalazłam więcej ran ani krwi.

Marino zajrzał do ambulansu.

– Ile razy do niej strzelano? - zapytał.

– Znalazłam dwie rany, choć kule nie wyszły. Jedną można wyczuć pod skórą przy lewej kości skroniowej.

Spojrzał na zegarek.

– Dawsonowie mieszkają niedaleko stąd, w Glenburnie.

– Dawsonowie? - powtórzyłam, ściągając rękawiczki.

– Jej rodzice. Muszę z nimi porozmawiać, i to natychmiast. Zanim jakiś drań wygada się przed dziennikarzami i skończy się na tym, że o wszystkim dowiedzą się z radia albo telewizji. Wóz policyjny odwiezie cię do domu.

– Nie - powiedziałam. - Jadę z tobą. Sądzę, że to także mój obowiązek.

Lampy uliczne zaczęły się zapalać, kiedy ruszaliśmy. Marino wpatrywał się w drogę, twarz miał niebezpiecznie purpurową.

– Cholera! - wykrzyknął, waląc pięścią w kierownicę. - Cholera! Strzelić w głowę kobiecie w ciąży!

Odchrząknęłam.

– Znaleziono już jej męża?

– W ich domu nikt nie odpowiada. Może jest u jej rodziców. Boże, nienawidzę tej roboty. Nie chcę tego robić. Wesołych świąt, cholera. Pukam do czyichś drzwi, a ten ktoś wpada w panikę, bo wie, że zaraz usłyszy ode mnie coś, co zrujnuje mu życie.

– Nikomu nie zrujnowałeś życia.

– Jasne. Przygotuj się, bo zaraz to zrobię.

Skręcił w Albemarle. Na chodnikach stały pojemniki na śmieci, wokół których walały się torby pełne świątecznych odpadków. Okna lśniły ciepłym światłem, w niektórych paliły się choinkowe lampki. Chodnikiem szedł młody ojciec, ciągnąc synka na sankach. Uśmiechnęli się do nas i pomachali. Glenburnie było dzielnicą zamieszkaną przez klasę średnią, rodziny i samotnych młodych profesjonalistów. W letnie miesiące ludzie

siedzieli na gankach i gotowali na podwórkach, urządzali przyjęcia i wzajemnie się pozdrawiali.

Skromny dom Dawsonów zbudowany był w stylu Tudorów, od frontu zdobiły go dobrze utrzymane iglaki. W oknach na parterze i piętrze paliło się światło, przy chodniku parkowała stara furgonetka.

Na dzwonek zza drzwi odpowiedział kobiecy głos:

– Kto tam?

– Czy to pani Dawson?

– Tak.

– Jestem detektyw Marino z komendy policji w Richmond. Muszę z panią porozmawiać - rzekł głośno, przysuwając odznakę do wizjera.

Szczęknęły zaniki. Poczułam, że serce znów wali mi szybciej. Jako lekarz miewałam do czynienia z pacjentami krzyczącymi z bólu i błagającymi na wszystko, bym nie pozwoliła im umrzeć. Zapewniałam obłudnie, że wszystko będzie dobrze, kiedy umierali, ściskając mnie kurczowo za rękę.

W małych dusznych pomieszczeniach, w których nawet duchowni czuli się zagubieni, musiałam składać kondolencje najbliższym. Nigdy jednak nie przynosiłam wieści o śmierci w dzień Bożego Narodzenia.

Jedyną cechą świadczącą o podobieństwie pomiędzy matką a córką była silnie zarysowana żuchwa. Pani Dawson miała ostre rysy i krótkie siwe włosy. Ważyła pewnie nie więcej niż pięćdziesiąt kilo i przypominała mi przestraszonego ptaka. Kiedy Marino mnie przedstawił, w jej oczach pojawił się wyraz przerażenia.

– Co się stało?

– Obawiam się, że mam dla pani złe wiadomości, pani Dawson - rzekł Marino. - Chodzi o pani córkę Susan. Z przykrością muszę panią poinformować, że została zamordowana.

W sąsiednim pokoju rozległ się tupot dziecięcych nóżek, zaraz potem w progu pojawiła się dziewczynka. Na nasz widok przystanęła i uważnie się nam przyjrzała szeroko otwartymi niebieskimi oczyma.

–Hailey, gdzie jest dziadzius? - Głos pani Dawson drżał, twarz przybrała barwę popiołu.

– Na górze.

Hailey była trzpiotką w niebieskich dzinsach, skórzanych półbutach, które wyglądały na nowe, nosiła okulary korygujące lewe oko. Jasne włosy połyskiwały niczym złoto. Mogła mieć najwyżej osiem lat.

– Idź i powiedz mu, żeby natychmiast tu przyszedł - poleciła pani Dawson. - A ty i Charlie zostańcie na górze, póki was nie zawołam.

Dziewczynka włożyła dwa palce do buzi; nie spuszczać ze mnie i Marino czujnego spojrzenia.

– Hailey, rusz się!

Zerwała się do biegu w nagłym przypiływie energii.

Usiedliśmy w kuchni z matką Susan. Siedziała wyprostowana, nie dotykając plecami oparcia. Rozplakała się dopiero wówczas, kiedy zobaczyła męża.

– Och, Mack - szepnęła słabo. - Och, Mack.

Objął ją i przytulił. Z pobladłą twarzą i zaciśniętymi ustami słuchał wyjaśnień Marino.

– Tak, wiem, gdzie jest Strawberry Street - rzekł. - Ale nie mam pojęcia, po co Susan miałaby tam jechać. O ile wiem, nie bywa w tamtej okolicy.

Dzisiaj przecież wszystko jest zamknięte.

– Czy wie pan, gdzie jest jej mąż, Jason Story? - zapytał Marino.

– Tutaj.

– Tutaj?

Marino rozejrzał się po kuchni.

– Śpi na górze. Nie czuje się dobrze.

– A dzieci są czyje?

– Toma i Marie. Tom to nasz syn. Poszli odwiedzić przyjaciół w Tidewater.

W każdej chwili mogą wrócić. - Ujął dłoń żony. - Millie, państwo mają do nas wiele pytań. Lepiej idź po Jasona.

– Wie pan - wtrącił Marino - wolałbym zamienić z nim parę słów sam na sam. Może mnie pani do niego zaprowadzić?

Pani Dawson skinęła głową.

– Sprawdź, co robią Charlie i Hailey - zwrócił się do niej mąż. - I zadzwoń do twojej siostry. Może będzie mogła do nas przyjść.

Spojrzeniem odprowadził do drzwi żonę i Marino. Ojciec Susan był wysoki, dobrze zbudowany, miał gęste ciemnobrązowe włosy, lekko przyprószone siwizną. Gestykulował oszczędnie i starannie ukrywał uczucia. Susan odziedziczyła po nim wygląd i prawdopodobnie usposobienie.

– Jej samochód jest stary, ona nie ma żadnej rzeczy, którą warto by ukraść, i wiem, że nie była w nic wmieszana, ani w narkotyki, ani w inne sprawy.

– Nie wiemy, dlaczego to się stało.

– Była w ciąży - rzekł przez ściśnięte gardło. - Jak ktokolwiek mógł?...

– Nie wiem - rzekłam.

Zakaszła, po czym powiedział:

– Nie miała broni.

Przez chwilę nie rozumiałam, o co mu chodzi, później sens jego słów do mnie dotarł i pośpiesznie go zapewniłam:

– Policja nie znalazła broni. Nie ma żadnego dowodu, że zrobiła to sama.

- Policja? Więc pani nie jest z policji?
- Nie, jestem patologiem. Nazywam się Kay Scarpetta.
Najwyraźniej moje nazwisko nic mu nie mówiło.
- Pańska córka pracowała u mnie.
- Och, naturalnie, przepraszam.
- Nie wiem, jak pana pocieszyć. Chcę jednak pana zapewnić, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by wyjaśnić okoliczności tej zbrodni.
- Susan mówiła o pani. Zawsze chciała być lekarzem.
- Widziałam ją wczoraj wieczorem. Wpadłam do niej do domu. - Zawahałam się, nie chcąc wstępować na delikatny grunt rodzinnych kłopotów. - Odniosłam wrażenie, że Susan czymś się dręczy. I ostatnio nie przychodziła do pracy.

Przełknął głośno ślinę.

- Musimy się modlić. Pomodli się pani ze mną, pani doktor? - Wyciągnął do mnie rękę. - Bardzo proszę.

Kiedy jego palce zacisnęły się na moich, nie mogłam się powstrzymać od myśli o oczywistym braku szacunku Susan względem ojca i nieufności do wszystkiego, co sobą reprezentował. Mnie też przerażają fundamentaliści.

Ogarnięta niepokojem zamknęłam oczy, podczas gdy wielebny Mack Dawson dziękował Bogu za litość, której żadnego śladu nie dostrzegałam, i przywoływał obietnice, których Bóg nie mógł już dotrzymać, gdyż było na to za późno. Wreszcie uwolniłam dłoń z jego uścisku. Przez chwilę obawiałam się, że ojciec Susan wyczuł mój sceptycyzm. Jednakże los mojej duszy w tej akurat chwili niewiele go obchodził.

Z góry dobiegł podniesiony głos, protestujący przeciw czemuś, lecz nie zrozumiałam słów. Po podłodze z trzaskiem przesunęło się krzesło.

Dawson zamknął oczy. Mruknął coś pod nosem. Chyba powiedział: „Idź do swojego pokoju”.

– Jason jest u nas cały czas - rzekł. - Naturalnie, może mówić sam za siebie.

Ja jednak chcę, żeby dowiedziała się pani o tym ode mnie.

– Wspomniał pan, że zięć nie czuje się dobrze.

– Obudził się z katarem. Po obiedzie Susan zmierzyła mu temperaturę i poradziła, żeby został w łóżku. On nigdy by jej nie skrzywdził... No cóż. - Ponownie odkaszlnął. - Zdaję sobie sprawę, że policja musi o to pytać, musi wziąć pod uwagę naszą sytuację domową. Ale nie to jest powodem.

– O której Susan wyszła dzisiaj z domu i dokąd się wybierała?

– Wyszła po obiedzie, jak Jason już się położył. Myślę, że koło drugiej. Powiedziała, że idzie z wizytą do przyjaciółki.

– Jakiej przyjaciółki?

Nie patrzył na mnie, lecz w przestrzeń obok mnie.

– Koleżanki z liceum. Nazywa się Dianne Lee.

– Gdzie ona mieszka?

– Na Northside, niedaleko seminarium.

– Samochód Susan znaleziono przy Strawberry Street, nie na Northside.

– Jeśli ktoś... W takim razie mogła wylądować gdziekolwiek.

– Bardzo by nam pomogło, gdybyśmy wiedzieli, czy dojechała do domu Dianne i która z nich wpadła na pomysł tej wizyty - powiedziałam.

Wstał i zaczął otwierać szuflady. Dopiero w trzeciej znalazł książkę telefoniczną.

Ręce mu się trzęsły, kiedy przerzucał kartki i wybierał numer.

Kilkakrotnie odchrząknawszy zapytał, czy może rozmawiać z Dianne Lee.

– Rozumiem. Co to było? - Przez chwilę słuchał. - Nie, nie - zaprzeczył drżącym głosem. - Nie wszystko jest w porządku.

Siedziałam w milczeniu, słuchając jego wyjaśnień. Wyobrażałam sobie, jak w przeszłości, po śmierci Judy, modlił się i rozmawiał przez telefon.

Kiedy skończył, potwierdził moje najgorsze obawy. Susan tego popołudnia nie odwiedziła przyjaciółki ani się jej tam nie spodziewano. Dianne Lee w ogóle nie było w mieście.

– Jest u rodziny męża, w Północnej Karolinie - rzekł ojciec Susan. - Wyjechali kilka dni temu. Dlaczego Susan skłamała? Przecież nie musiała. Zawsze jej powtarzałem, że bez względu na okoliczności nigdy nie powinna kłamać.

– Wygląda na to, że nie chciała, by ktokolwiek wiedział, dokąd się wybiera i z kim ma się spotkać. Rozumiem, że wynikają z tego nieprzyjemne wnioski, ale musimy stawić czoło faktom - powiedziałam łagodnie.

Dawson wpatrywał się w swoje dłonie.

– Czy między Susan a Jasonem dobrze się układało?

– Nie wiem. - Z wysiłkiem próbował odzyskać panowanie nad sobą. - Dobry Boże, tylko znowu nie to. - I raz jeszcze szepnął to zadziwiające zdanie:

– Idź do swojego pokoju, proszę. - Podniósł na mnie spojrzenie przekrwionych oczu. - Miała siostrę bliźniaczkę. Judy umarła, kiedy chodziły do liceum.

– Wiem. Susan mówiła mi o tym. Tak mi przykro.

– Nigdy się z tym nie pogodziła. Obwiniła Boga, obwiniła mnie.

– Odniosłam inne wrażenie - rzekłam. - Jeśli kogokolwiek obwiniła, to dziewczynę o imieniu Doreen.

Dawson wyjął chusteczkę i cicho wytarł nos.

– Kogo? - zapytał.

– Koleżankę ze szkoły, która rzekomo była czarownicą.

Potrząsnął przecząco głową.

– Podobno rzuciła klątwę na Judy.

Dalsza rozmowa na ten temat była bezcelowa. Widziałam wyraźnie, że Dawson nie ma pojęcia, o kim mówię. Oboje odwróciliśmy się, kiedy do kuchni weszła Hailey, tuląc do piersi rękawicę baseballową.

– Co tam masz, kochanie? - zapytałam starając się uśmiechnąć.

Podeszła do mnie. W nozdrza uderzył mnie zapach świeżej skóry. Rękawica związana była sznurkiem, wewnątrz niczym wielka perła w ostrydze połyskiwała piłeczka.

– Dała mi to ciocia Susan - rzekła cicho. - Trzeba się do niej przyzwyczaić.

Muszę włożyć ją pod materac. Ciocia powiedziała, że mam ją tam trzymać przez tydzień.

Dziadek posadził ją sobie na kolanach i mocno przytulił, chowając twarz w jej włosach.

– Musisz jeszcze na trochę iść do swojego pokoju, cukiereczku. Zrobisz to dla mnie, żebym mógł pozałatwić sprawy?

Skinęła głową, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Co robią babcia i Charlie?

– Nie wiem - odparła. Zsunęła się z jego kolan i z ociąganiem wyszła.

– Powiedział pan to przedtem - odezwałam się.

Sprawa miała wrażenie zdezorientowanego.

– Kazał pan iść wnuczce do swojego pokoju - wyjaśniłam. - Słyszałam, jak wcześniej pan to mówił, kiedy jej tu nie było. Do kogo się pan zwracał?

Spuścił wzrok.

– Dziecko jest jaźnią. Jaźń intensywnie odczuwa, płacze, nie umie panować nad emocjami. Niekiedy lepiej odesłać jaźń do swojego pokoju, tak jak teraz odesłałem Hailey. Chodzi o to, żeby się nie załamać. Nauczyłem się tej sztuczki, kiedy byłem chłopcem. Musiałem się nauczyć. Ojciec źle reagował, jak płakałem.

– W płaczu nie ma nic złego.

Jego oczy wypełniły się łzami. Na schodach zadudniły kroki Marino.

Wszedł do kuchni, a Dawson znowu z udręką powtórzył to zdanie.

Marino spoglądał na niego zaskoczony.

– Wydaje mi się, że wrócił pana syn - powiedział.

Ojciec Susan wybuchnął niepowstrzymanym szlochem. Na dworze trzasnęły drzwiczki od samochodu, z ganku dobiegł śmiech.



Świąteczny obiad wylądował w koszu, cały wieczór spędziliśmy krążąc nerwowo po domu i rozmawiając przez telefon. Lucy siedziała zamknięta w moim gabinecie. Należało poczynić pewne ustalenia. Zabójstwo Susan doprowadziło naszą instytucję do stanu kryzysu. Wszystkie dokumenty ze śledztwa trzeba będzie zabezpieczyć, nie dopuścić, by ci, co ją znali, zobaczyli fotografie. Policja musi przejrzeć dokładnie jej pokój i szafkę w szatni oraz przesłuchać personel.

– Nie mogę przyjechać - powiedział przez telefon Fielding, mój zastępca.

– Wiem - odrzekłam przez ściśnięte gardło. - Ani nie oczekuję, ani nie chcę, by ktoś przyjeżdżał.

– A ty?

– Ja muszę.

– Chryste, w głowie mi się nie mieści, że to się stało. Nie mogę w to uwierzyć.

Doktor Wright, mój zastępca w Norfolk, był tak uprzejmy, że zgodził się przyjechać do Richmond następnego dnia rano. Ponieważ była niedziela, w budynku poza Vanderem, mającym sprawdzać ślady za pomocą Luma-Lite, nie było nikogo. Gdyby nawet mój stan emocjonalny pozwalał na przeprowadzenie sekcji zwłok i tak bym odmówiła. W przeciwnym razie umożliwiłabym obronie kwestionowanie obiektywizmu osądów biegłego - byłam wszak szefem zamordowanej. Tak więc siedziałam za biurkiem, podczas gdy Wright pracował. Od czasu do czasu rzucał jakieś komentarze przy akompaniamencie szczęku instrumentów chirurgicznych. Nie wypełniłam żadnego formularza, nie opisałam ani jednej próbówki. Nawet się nie odwracałam, żeby popatrzeć.

Raz zapytałam:

– Wyczuł pan coś na jej ubraniu lub skórze? Jakąś wodę kolońską?

Przerwał swoje zajęcie.

– Tak, na kołnierzu płaszcza i szalu.

– Czy to według pana męska woda?

– Hmm, tak mi się wydaje. Może jej mąż używa tej wody?

Wright, łysiejący, z wydatnym brzuchem, zbliżał się do wieku emerytalnego.

Mówił z wyraźnym akcentem z zachodniej Wirginii. Był doskonałym patologiem i natychmiast zrozumiał, nad czym się zastanawiam.

– Dobre pytanie - rzekłam. - Powiem Marino, żeby to sprawdził. Tylko że jej mąż był wczoraj chory i położył się do łóżka zaraz po lunchu. Co oczywiście nie oznacza, że nie używał wody kolońskiej. Co nie oznacza, że brat albo ojciec nie byli skropieni wodą, kiedy ją przytulali.

– Broń wygląda na mały kaliber. Nie ma ran wyjściowych.

Słuchałam go z zamkniętymi oczyma.

– Rana w prawej skroni ma średnicę trzy szesnaste cala i jest osmalona na pół cala, wzór niekompletny. Widać trochę punkcików prochu, aczkolwiek większość pewnie znajduje się we włosach. Jest też trochę w mięśni skroniowym. Nic w kości ani oponie twardej.

– Trajektoria?

– Kula weszła przez tylny aspekt prawego płatu czołowego, przeszła przez płat przedni oraz zwoje podstawowe i uderzyła w lewą kość skroniową, po czym utkwiała w mięśni tuż pod skórą. Mówimy o zwykłym ołowianym pocisku, oblanym miedzią, ale bez osłonki.

– I nie ma żadnych odłamków? - zapytałam.

– Nie. Teraz zajmiemy się raną na karku. Czarna spalona krawędź z odciskiem lufy, lekkie rozdarcia skóry wielkości mniej więcej jednej szesnastej cala. Mnóstwo prochu w mięśniach potylicznych.

– Strzelano z bliska?

– Tak. Według mnie mocno przycisnął jej lufę do karku. Pocisk wszedł przez połączenie otworu wielkiego i pierwszego kręgu szyjnego, a następnie przez połączenie karkowo-szpikowe trafił do mostu śródmózgowia.

– Pod jakim kątem? - spytałam.

– Niewielkim. Według mnie, jeśli siedziała w samochodzie, kiedy dostała tę kulę, była albo pochylona do przodu, albo miała zwieszoną głowę.

– Nie znaleziono jej w takiej pozycji - rzekłam. - Była oparta o siedzenie.

– W takim razie przypuszczam, że sprawca ją tak posadził - skomentował Wright. - Po tym, jak ją zastrzelił. Powiedziałbym też, że

pocisk, który przeszedł przez most, był ostatni. Niewykluczone, że już straciła przytomność i siedziała zgarbiona, kiedy go dostała.

Czasami potrafiłam o tym rozmawiać, jakby sprawa nie dotyczyła znajomej mi osoby. Później jednak zaczynało ogarniać mnie drżenie i nie mogłam opanować łez. Dwa razy musiałam wyjść na dwór i długo stałam na mrozie. Kiedy Wright dotarł do dziesięcioletniego embriona w jej macicy, dziewczynki, uciekłam do swojego gabinetu. Zgodnie z prawem obowiązującym w Wirginii nienarodzone dziecko nie było osobą, w związku z czym nie mogło zostać zamordowane.

– Dwa w cenie jednego - rzekł gorzko Marino, kiedy później rozmawialiśmy przez telefon.

– Wiem - odparłam, wyjmując fiolkę z aspiryną z torebki.

– W sądzie ci cholerni ławnicy nawet się nie dowiedzą, że była w ciąży.

Nie zezwalają na to przepisy, nie ma znaczenia, że zamordował ciężarną kobietę.

– Wiem - powtórzyłam. - Wright już prawie kończy. W trakcie badań zewnętrznych nie wyszło nic istotnego. Żadnych śladów, żadnych nieoczekiwanych odkryć. A co u ciebie?

– Susan niewątpliwie przechodziła trudny okres - odrzekł Marino.

– Miała problemy z mężem?

– Według niego miała problem z tobą. Twierdzi, że traktowałaś ją okropnie, nachodziłaś w domu, urządzałaś awantury. Czasami Susan po powrocie z pracy zachowywała się jak wariatka, jak gdyby śmiertelnie była czymś przerażona.

– Między Susan a mną nigdy nie było nieporozumień.

– Powtarzam tylko, co facet mówi. Jeszcze jedno, sądzę, że cię to zainteresuje:

mamy następne piórko. Nie mówię, że to ogniwo łączące tę sprawę ze sprawą Deighton, doktorko, albo że ja koniecznie tak uważam. Z drugiej strony, niech to cholera. Może mamy do czynienia z jakimś świrem w puchowych rękawiczkach czy kurtce. Sam nie wiem, ale to nie jest typowe.

Dotąd tylko raz znalazłem pióra, kiedy jeden kretyn włamał się do domu przez okno i przeciął puchową kurtkę na sztucznej szybie.

Głowa tak mnie bolała, że zbierało mi się na wymioty.

– W samochodzie Susan znaleźliśmy kłaczek białego kaczego puchu - ciągnął Marino. - Przywierał do tapicerki na drzwiach od strony pasażera, tuż nad podłogą, kilka cali pod oparciem na łokcie.

– Możesz mi to dostarczyć? - spytałam.

– Jasne. Co chcesz zrobić?

– Zadzwoń do Bentona.

– Cholera, nie mogę go złapać. Chyba wyjechali z żoną z miasta.

– Muszę go spytać, czy Minor Downey może nam pomóc.

– Mówisz o człowieku czy płynie zmiękczającym do tkanin?

– Minor Downey pracuje w laboratorium FBI. Specjalizuje się w analizie piór.

– I naprawdę nazywa się Downey¹? - nie mógł nadziwić się Marino.

– Naprawdę.

¹ Gra słów - *down* po angielsku znaczy „puch, pierze”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Telefon długo dzwonił w Wydziale Nauk Behawioralnych FBI, usytuowanym w podziemiach akademii w Quantico. Oczyma wyobraźni widziałam ponure korytarze i biura wypełnione dowodami działalności wytrawnych wojowników w rodzaju Bentona Wesleya, który - jak mi powiedziano - wyjechał na narty.

– Prawdę mówiąc, jestem tu teraz sam - rzekł uprzejmy agent, który odebrał telefon.

– Mówi doktor Kay Scarpetta. To bardzo pilna sprawa, muszę się z nim skontaktować.

Benton Wesley zadzwonił bardzo szybko.

– Gdzie jesteś? - zapytałam podniesionym głosem, bo w słuchawce strasznie trzeszczało.

–W samochodzie - wyjaśnił. - Connie i ja spędziliśmy święta u jej rodziny w Charlottesville. Teraz jedziemy do Hot Springs. Słyszałem o Susan Story.

Boże, bardzo mi przykro. Miałem zamiar zadzwonić do ciebie wieczorem.

– Prawie cię nie słyszę.

– Poczekaj.

Czekałam niecierpliwie przez dobrą minutę.

–Tak jest lepiej - powiedział wreszcie. - Przejeżdżaliśmy przez obniżenie terenu. Jaką masz do mnie sprawę?

– Potrzebuję pomocy przy analizie piór.

– Nie ma problemu. Zadzwonię do Downeya.

– Muszę z tobą porozmawiać - rzekłam z wahaniem, wiedziałam bowiem, że stawiam go w trudnej sytuacji. - Mam wrażenie, że to nie może czekać.

– Poczekaj.

Tym razem powodem ciszy w słuchawce nie były problemy z połączeniem.

Benton konferował z żoną.

– Jeździsz na nartach? - zapytał wreszcie.

– Zależy, kogo pytasz.

– Connie i ja planujemy spędzić parę dni w ośrodku Homestead. Możemy tam porozmawiać. Dasz radę przyjechać?

– Poruszę niebo i ziemię. Przywiozę Lucy.

– Świetnie. Dotrzyma towarzystwa Connie, kiedy my będziemy rozmawiać.

Załatwimy dla was pokój. Możesz przywieźć jakieś dokumenty?

– Tak.

– Włącznie ze wszystkim, co masz o sprawie Robyn Naismith. Żebyśmy mieli pewność, że bierzemy pod uwagę wszelkie możliwe aspekty, nawet te wyimaginowane.

– Dziękuję ci, Benton - rzekłam z wdzięcznością. - I proszę, podziękuj Connie.

Zdecydowałam, że pojedę natychmiast. Nie tłumaczyłam się wiele.

– Dobrze to pani robi - rzekła Rose, zapisując numer Homestead.

Nie domyślała się, że nie chodzi mi o to, by poszaleć w pięciogwiazdkowym hotelu. Na ułamek sekundy oczy zalśniły jej od łez, kiedy poprosiłam, żeby powiadomiła Marino o moim miejscu pobytu, tak by mógł natychmiast się ze mną skontaktować, gdyby w sprawie Susan nastąpił jakiś postęp.

– Tylko proszę, poza nim nikomu o tym nie mów - dodałam.

– W ciągu ostatnich dwudziestu minut dzwoniło trzech dziennikarzy - powiedziała.

– Mów im to co zwykle, że czekamy na wyniki badań laboratoryjnych, a ja wyjechałam i jestem nieosiągalna.

Kiedy jechałam w stronę gór, prześladowały mnie obrazy Susan w futerku, twarze jej rodziców, gdy usłyszeli od Marino, że ich córka nie żyje.

– Dobrze się czujesz? - spytała Lucy. Odkąd wyszliśmy z domu, ciągle mi się przyglądała.

– Myślę - odparłam, koncentrując się na drodze. - Narty bardzo ci się spodobają. Mam przeczucie, że okażesz się świetną narciarką.

Niebo miało barwę spłowiałych dżinsów, na horyzoncie rosły pokryte śniegiem szczyty.

– Przykro mi - dodałam. - Wygląda na to, że za każdym razem, kiedy mnie odwiedzasz, coś się dzieje i nie mogę poświęcić ci całego czasu.

– Nie potrzebuję aż takiej uwagi.

– Pewnego dnia zrozumiesz.

– Może jestem taka jak ty, jeśli chodzi o pracę. Niewykluczone, że w gruncie rzeczy od ciebie takiego stosunku się nauczyłam. Chyba osiągnę sukces, tak samo jak ty.

W piersiach czułam ołowiany ciężar. Cieszyłam się, że mam okulary słoneczne, bo nie chciałam, żeby Lucy zobaczyła moje oczy.

– Wiem, że mnie kochasz - powiedziała. - A tylko to się liczy. Mama mnie nie kocha.

– Dorothy kocha cię tak mocno, jak tylko potrafi.

– Masz rację. Jak tylko potrafi, czyli niewiele, ponieważ nie jestem mężczyzną.

Ona kocha tylko mężczyzn.

– Nie, Lucy, mylisz się. Twoja matka w rzeczywistości wcale nie kocha mężczyzn. Ona tylko wręcz obsesyjnie poszukuje kogoś, dzięki komu mogłaby się poczuć kompletna. Nie rozumie, że jedynie sama może to uczynić.

– W tym równaniu „kompletny” oznacza tylko tyle, że za każdym razem wybiera kompletnego dupka.

– Zgadza się, że średnia jej wyborów nie jest imponująca.

– Ja nigdy nie będę tak żyć. Nie chcę być ani trochę podobna do matki.

– Nie jesteś - rzekłam.

– Przeczytałam w folderze, że jest tam strzelnica z ruchomymi tarczami.

– W Homestead można robić wszystko.

– Zabrałaś jeden ze swoich rewolwerów?

– Nikt nie strzela do ruchomych celów z rewolwera, Lucy.

– Owszem, jeśli pochodzi z Miami - odparowała ziewając.

– Lucy, jeśli nie przestaniesz ziewać, będziesz musiała mnie budzić.

– Dlaczego nie wzięłaś broni? - nie ustępowała.

W walizce miałam rugera, ale nie zamierzałam wspominać o tym Lucy.

– Czemu tak cię to interesuje?

– Bo chcę być w tym dobra. Tak dobra, żeby za każdym razem trafić w dwunastkę na zegarze.

Homestead zajmowało piętnaście tysięcy akrów lasów poprzecinanych górskimi strumieniami Allegheny. Główny hotel był budynkiem z ciemnoczerwonej cegły, ozdobionym białymi kolumnadami. Na wszystkich czterech ścianach znajdowały się widoczne z daleka zegary wskazujące - o dziwo - tę samą godzinę. Korty tenisowe i pola golfowe pokrywała gruba warstwa śniegu.

– Masz szczęście - zwróciłam się do Lucy, gdy podeszli do nas mężczyźni w szarych uniformach. - Warunki narciarskie są rewelacyjne.

Benton Wesley dotrzymał słowa i zarezerwował dla nas dwuosobowy pokój z przeszklonymi drzwiami wychodzącymi na balkon, z którego rozciągał się widok na kasyno. Na stoliku stały kwiaty od niego i Connie. *Spotkacie nas na stoku* – głosiła dołączona do nich kartka. - *Lucy ma lekcję o wpół do czwartej.*

– Musimy się pośpieszyć - powiedziałam, otwierając walizkę. - Pierwszą lekcję masz dokładnie za czterdzieści minut. Przymierz to. - Przez pokój pofrunęły na jej łóżko czerwone spodnie narciarskie, kurtka, skarpety, rękawiczki i bluza. - Nie zapomnij o ochraniaczu na pupę. Jeśli coś jeszcze będzie ci potrzebne, kupimy później.

– Nie mam okularów - rzekła, wciągając przez głowę sweter. - Dostanę kurzej ślepoty.

– Możesz wziąć moje. Słońce i tak niedługo zajdzie.

Kiedy wreszcie złapałyśmy kolejkę na stok, wynajęłyśmy sprzęt dla Lucy i dotarłyśmy do instruktora przy wyciągu, była trzecia dwadzieścia dziewięć.

Wbiłam narty w śnieg i osłoniwszy oczy, przyglądałam się ludziom przy wyciągach. Słońce opierało się niemal o korony drzew, cienie zaczynały się już wydłużać i temperatura spadała.

Dostrzegłam tę parę tylko dlatego, że zjeżdżali z niespotykaną gracją. Potem rozpoznałam srebrne włosy Bentona Wesleya; pomachałam do niego.

Odwrócił się do Connie i krzyknął coś, czego nie zrozumiałam, po czym odepchnął się mocno i poszusował w dół zbocza.

Kiedy zatrzymał się przede mną w tumanie śniegu i zsunął gogle na czoło, nieoczekiwanie uświadomiłam sobie, że gdybym go nawet nie znała i tak zwróciłabym na niego uwagę. Jego twarz i oczy jaśniały od mrozu, który sprawił, że ostre rysy stały się bardziej atrakcyjne niż szlachetne.

– Świetnie, że jesteś - rzekł Wesley.

Kiedy go spotykałam lub słyszałam, nieodmiennie przed oczyma stawał mi Mark. Byli kolegami i najbliższymi przyjaciółmi.

– Gdzie jest Lucy? - zapytała Connie.

– Oblega wyciąg.

– Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że zapisałem ją na lekcję.

– Za złe? Słów mi brak, żeby ci za to podziękować. Lucy świetnie się bawi.

–Postoję tu trochę i popatrzę, jak sobie radzi - rzekła Connie. - Potem z chęcią napiję się czegoś gorącego; przypuszczam, że Lucy też. Ben, sprawiasz wrażenie, jakbyś jeszcze nie miał dość.

– Masz ochotę na kilka rundek? - zwrócił się do mnie Wesley.

W kolejce do wyciągu wymieniliśmy kilka nieistotnych uwag, później w milczeniu posuwaliśmy się w kierunku szczytu. Powietrze było ostre i zachwycająco czyste, ciszę przerywał tylko szmer nart sunących po mocno zbitym śniegu i terkot armatek zasypujących stoki śniegiem.

– Rozmawiałem z Downeyem - odezwał się nagle Benton. - Spotka się z tobą w kwaterze głównej w każdym wybranym przez ciebie terminie.

– To dobra wiadomość. Co dokładnie wiesz?

– Kilka razy rozmawiałem z Marino. Wygląda na to, że prowadzicie śledztwo w kilku sprawach, których nie łączą żadne dowody, ale dziwne zbiegi okoliczności.

– Według mnie nie tylko. Słyszałeś o odcisku palca Ronniego Waddella, znalezionym w domu Jennifer Deighton?

– Tak. Mam nadzieję, że istnieje logiczne wytłumaczenie tego faktu.

– Tym logicznym wyjaśnieniem może być to, że Waddell był w jej domu.

– W takim razie mamy do czynienia z sytuacją tak nieprawdopodobną i niesamowitą, że trudno ją opisać, Kay. Więzień z celi śmierci grasuje po mieście i morduje ludzi. Nasuwa się wniosek, że ktoś inny zajął jego miejsce na krześle elektrycznym wieczorem trzynastego grudnia. Wątpię, by było wielu ochotników.

– Masz rację.

– Co wiesz o kryminalnej przeszłości Waddella?

– Bardzo mało.

– Przesłuchiwałem go wiele lat temu w Mecklenburgu.

Spojrzałam na Bentona z zainteresowaniem.

– Nie wykazywał wielkiej ochoty do współpracy i niewiele mówił o zamordowaniu Robyn Naismith. Utrzymywał, że jeśli nawet ją zabił, to tego nie pamięta. Taka postawa nie jest niczym niezwykłym. Wielu przestępców, których przesłuchiwałem, albo powoływało się na słabą pamięć, albo nie przyznawało się do popełnienia zbrodni. Przed twoim przyjazdem dostałem faksem ocenę Waddella. Przejrzemy ją po obiedzie.

– Już jestem zadowolona, Bentonie, że tu przyjechałam.

Unieśliśmy czubki nart i pochyliliśmy się do przodu, kiedy wyciąg wyrzucił nas na szczyt niczym pisklęta z gniazda. Nogi miałam sztywne i zziębnięte. W cieniu trasę pokrywał zdradziecki lód. Białe narty Wesleya zniknęły w śniegu; popędził stokiem, wzniecając oślepiające tumany brylantowego pyłu. Co chwila przystawał i oglądał się na mnie. Uniosłam kijek, po czym ruszyłam wolno w dół.

Wróciłam do hotelu w zapadającym zmroku i zastałam wiadomość od Marino. Miał być w pracy do wpół do szóstej i prosił, bym do niego zadzwoniła.

– Co się dzieje? - spytałam, kiedy podniósł słuchawkę.

– Nie będziesz po tym spała lepiej, niestety. Na przekąskę powiem, że Jason Story opowiada o tobie straszne rzeczy każdemu, kto tylko wykazuje ochotę, by go posłuchać, w tym i reporterom.

– Musi gdzieś wyładować złość - odparłam.

– Ale to nie nasz największy problem. Nie możemy znaleźć karty z liniami papilarnymi Waddella.

– Nigdzie ich nie ma?

– Właśnie. Sprawdziliśmy jego akta w policji w Richmond, w policji stanowej i FBI, czyli we wszystkich instytucjach, których jurysdykcji podlegał.

Nigdzie nie ma kart. Skontaktowałem się z Donahue, żeby sprawdzić, czy nie mają osobistych rzeczy Waddella, książek, listów, szczotki do włosów czy do zębów, czegokolwiek, na czym mogły pozostać jego odciski. I zgadnij, czego się dowiedziałem? Że matka Waddella chciała tylko zegarek i obrączkę. Całą resztę zniszczono.

Usiadłam ciężko na skraju łóżka.

– A najlepsze zachowałem na koniec, doktorco. Nie uwierzysz, ale pociski wyjęte z ciał Eddiego Heatha i Susan Story wystrzelono z tej samej broni kaliber dwadzieścia dwa.

– Dobry Boże - szepnęłam.



W Homestead Club występował zespół jazzowy, lecz ani widownia nie była liczna, ani muzyka nie przeszkadzała w rozmowie. Connie zabrała Lucy na film, zostawiając Wesleya i mnie przy stoliku koło pustawego parkietu tanecznego. Oboje sączyliśmy koniak. Benton nie wydawał się tak zmęczony jak ja, lecz na jego twarz powrócił wyraz napięcia.

Z wolnego stolika za nami wziął dodatkową świecę i ustawił obok dwóch, które na jego żądanie przyniósł kelner. Goście co prawda nie wpatrywali się w nas ze zdumieniem, jednak od czasu do czasu ciekawie zerkali.

Fakt, było to dziwne miejsce pracy, jednakże w holu i jadalni kręciło się za wielu ludzi, a Wesley był zbyt przezorny, by zaproponować spotkanie w moim lub swoim pokoju.

– Wydaje się, iż jest tu sporo sprzeczności - rzekł. - Jednakże ludzkie zachowanie nie jest czymś stałym. Waddell spędził w więzieniu dziesięć lat, nie wiemy, do jakiego stopnia się zmienił. Zabójstwo Eddiego Heatha zakwalifikowałbym do morderstw na tle seksualnym, zabójstwo zaś Susan Story zdaje się być egzekucją.

– Jak gdyby każdą z tych zbrodni popełnił inny sprawca - powiedziałam, bawiąc się kieliszkiem.

Benton pochylił się nad materiałami z teczki Robyn Naismith.

– To ciekawe - stwierdził, nie podnosząc na mnie wzroku. - Tyle się słyszy o *modus operandi*, o tak zwanym podpisie sprawcy. Zawsze rzekomo wybiera jeden rodzaj ofiar czy miejsca, woli noże i tak dalej. W rzeczywistości jednak to się nie sprawdza. Nie zawsze też da się określić emocje towarzyszące zbrodni. Powiedziałem, że na pierwszy rzut oka wydaje się, iż zabójstwo Susan Story nie ma tła seksualnego, ale im więcej nad tym się zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że element seksualny jednak tu występuje. Sądzę, że zabójca jest nakłuwaczem.

– Robyn Naismith otrzymała wiele ciosów - rzekłam.

– Tak. Powiedziałbym, że to, co jej zrobiono, to przykład podręcznikowy.

Nie było dowodu na gwałt, ale to wcale nie znaczy, że go nie popełniono.

Uderzenia nożem w brzuch, pośladki i piersi stanowiły substytut penetracji genitalnej. Oczywiste zachowanie nakłuwacza. Ugryzienia są mniej oczywiste; moim zdaniem nie da się ich połączyć z oralnymi komponentami aktu seksualnego, aczkolwiek także są substytutem penetracji. Zęby zagłębiające się w ciele, kanibalizm, jak w przypadku Johna Jouberta, który mordował chłopców rozwożących prasę w Nebrasce. Ale tu mamy też pociski.

Na oko wydaje się, że strzelanie nie ma nic wspólnego z nakłuwaniem, choć jeśli się nad tym zastanowisz, zmienisz zdanie. Dynamika procesu, w niektórych przypadkach, staje się jasna. Coś penetruje ciało.

– W morderstwie Jennifer Deighton nie ma żadnego z tych elementów.

– To prawda. Wracamy do tego, co powiedziałem wcześniej: że nie ma wzorca sposobu postępowania, aczkolwiek jest coś, co łączy śmierci Eddiego Heatha, Jennifer Deighton i Susan Story. Określiłbym mianowicie te morderstwa jako przestępstwa zorganizowane, zbrodnie z premedytacją.

– W wypadku Jennifer Deighton ta organizacja zawiodła - zauważyłam. - Wygląda na to, że zabójca próbował upozorować samobójstwo, ale mu się nie udało. A może wcale nie zamierzał jej zabić, tylko za mocno chwycił za gardło.

–To, że umarła, zanim wsadził ją do samochodu, prawdopodobnie nie zostało zaplanowane - zgodził się Wesley. - Mimo to plan był. Wąż ogrodowy został odcięty ostrym narzędziem, którego nigdzie nie znaleziono. Albo zabójca przyniósł własne, albo wyrzucił to, które znalazł w jej domu i wykorzystał.

To premedytacja. Zanim jednak posuniemy się tak daleko, pozwól przypomnieć sobie, że nie mamy ani pocisku kaliber dwadzieścia dwa, ani innego dowodu, który pozwoliłby połączyć zabójstwo Jennifer Deighton z zabójstwami Heatha i Susan.

– Według mnie mamy, Bentonie. Z krzesła z jadalni Jennifer Deighton zdjęto odcisk palca Ronniego Waddella.

– Nie mamy dowodu, że to właśnie Ronnie Waddell zastrzelił tamtych dwoje.

– Ciało Eddiego Heatha upozowano podobnie jak Robyn Naismith.

Chłopca zaatakowano w wieczór, kiedy miała odbyć się egzekucja Waddella.

Nie uważasz, że te sprawy łączy niesamowita więź?

– Ujmijmy to tak: Ja nie chcę tak myśleć - odrzekł Wesley.

– Żadne z nas nie chce. Powiedz, Bentonie, co podpowiada ci twój instynkt?

Gestem poprosił o następne lampki koniaku.

– Mój instynkt? Podpowiada mi same niedobre rzeczy - zaczął. - Jestem przekonany, że Ronnie Waddell popełnił wszystkie te zbrodnie, aczkolwiek nie wiem, jak to wytłumaczyć. Odcisk palca znaleziony na miejscu zbrodni należy do niego, nie umiemy jednak zlokalizować karty z jego liniami papilarnymi ani też żadnego przedmiotu, który pozwoliłby na jednoznaczną identyfikację. Nie zdjęto mu odcisków palców w kostnicy, a osoba, która rzekomo zapomniała to zrobić, została zastrzelona z tej samej broni co Eddie Heath. Obrońca Waddella, Nicolas Grueman, najwyraźniej znał Jennifer Deighton, stwierdziliśmy bowiem, że na kilka dni przed śmiercią wysłała do niego faks. Wreszcie rzeczywiście istnieje podobieństwo między śmierciami Eddiego Heatha i Robyn Naismith. Szczerze mówiąc, narzuca się pytanie, czy atak na chłopca nie był czynem symbolicznym.

Począł, aż kelnerka postawi lampki na stole, następnie otworzył szarą kopertę z teczki Robyn Naismith. Ten jego gest sprawił, że do głowy przyszła mi pewna myśl.

– Musiałam wyciągnąć jej fotografie z archiwum.

Wesley spojrział na mnie, wkładając okulary.

– W sprawach tak starych - kontynuowałam - wszelkie dokumenty sporządzone na papierze są zamieniane na mikrofilmy, z których odbitki trzymasz teraz w ręku, a oryginały są niszczone. Przechowujemy jednak fotografie, właśnie w archiwum.

– Gdzie ono się mieści? W tym samym budynku co twoje biuro?

– Nie. W magazynie niedaleko biblioteki stanowej, gdzie także Wydział Kryminalistyki przechowuje dowody z dawnych śledztw.

– Vander nie znalazł jeszcze fotografii odcisku kciuka, który Waddell zostawił w domu Robyn Naismith?

– Nie - odparłam.

Spojrzeliśmy sobie w oczy. Oboje dobrze wiedzieliśmy, że Vander nigdy go nie znajdzie.

– Chryste - westchnął Benton. - Kto przyniósł z archiwum zdjęcia Robyn Naismith?

– Mój administrator - odparłam. - Ben Stevens. Wybrał się do archiwum na jakiś tydzień przed egzekucją Waddella.

– Dlaczego?

– Podczas ostatniego etapu procesu apelacyjnego zawsze pada wiele pytań i wolę mieć pod ręką wszelkie związane ze sprawą dokumenty. Tak więc wizyta w archiwum jest rutynowa. W wypadku, o którym mówimy, występuje jednak drobna różnica. Nie musiałam prosić Stevensa, żeby poszedł po zdjęcia. Zrobił to na ochotnika.

– I to jest niezwykle?

– Po zastanowieniu się muszę stwierdzić, że tak.

– Nasuwa się wniosek - rzekł Wesley - że twój administrator interesował się aktami Waddella, czy ściśle mówiąc, fotografią odcisku krwawego kciuka, która powinna się tam znajdować.

– Jedno nie ulega wątpliwości: jeśli Stevens chciał pomyszkować w aktach, nie mógł tego zrobić nie mając prawdopodobnego pretekstu do wizyty w archiwum. Gdybym, dla przykładu, dowiedziała się, że poszedł tam, choć żaden z patologów go o to nie prosił, mogłabym nabrać podejrzeń.

Wesley nie zrozumiał, opowiedziałam mu więc o złamaniu zabezpieczeń w moim biurowym komputerze i wyjaśniłam, że dokonano tego na terminalach należących do mnie i Stevensa. Kiedy skończyłam, spojrział na mnie uważnie i rzekł:

– Z twoich słów wynika, że nie znaleźli tego, czego szukali.

– Tak przypuszczam.

– Należy teraz zadać pytanie, czego szukali?

Poruszyłam kieliszkiem, koniak zawirował.

W świetle świec wyglądał jak płynny bursztyn.

– Może czegoś związanego ze śmiercią Eddiego Heatha. Interesowałam się sprawami, w których ofiary nosiły ślady ugryzień lub innych kanibalistycznych zranień, i miałam plik na ten temat w swojej kartotece. Poza tym nic mi nie przychodzi do głowy.

– Zawsze przechowujesz wewnątrzwydziałowe notatki w swojej kartotece?

– Tak, w podkartotece edytora.

– Zabezpieczasz je hasłem?

– Tak.

– I zwykle w edytorze tekstów przechowujesz raporty z sekcji oraz inne dokumenty związane z daną sprawą?

– No tak, choć w okresie, kiedy nastąpiło włamanie, nie miałam żadnych tajnych informacji.

– Ten, kto się włamał, nie musiał o tym wiedzieć.

– Najwyraźniej nie.

– A raport z sekcji Ronniego Waddella, Kay? Czy w czasie włamania był już w komputerze?

– Tak sędzę. Egzekucja odbyła się w poniedziałek trzynastego grudnia, włamanie miało miejsce późnym popołudniem w czwartek szesnastego grudnia, kiedy ja na dole przeprowadzałam sekcję zwłok Eddiego Heatha, a Susan odpoczywała na sofie w moim gabinecie, po wypadku z formaliną.

– Zdziwiałam. Załóżmy, że to Susan włamała się do twojej kartoteki...

Dlaczego jednak miałyby ją interesować raport z sekcji Waddella, jeśli o niego właśnie chodziło? Przecież Susan była przy sekcji obecna. Cóż takiego mogłaby przeczytać w raporcie, czego wcześniej nie wiedziała?

– Nie mam pojęcia.

– No cóż, spróbujmy inaczej. Jakiej ważnej informacji związanej z sekcją Waddella nie zdobyłaby, będąc obecną tego wieczoru, kiedy jego ciało przywieziono do kostnicy?

– Nie znałaby wyników badań laboratoryjnych - rzekłam. - Ale i tak by ich nie było w czasie włamania do kartoteki. Próby toksykologiczne i testy na HIV, dla przykładu, trwają wiele tygodni.

– I Susan o tym wiedziała.

– Oczywiście.

– Podobnie jak Stevens.

– Naturalnie.

– W takim razie musiało chodzić o coś innego - stwierdził Benton.

Było coś jeszcze.

– Waddell czy ktoś, kim był ten więzień - zaczęłam z namysłem - miał w tylnej kieszeni dzinsów kopertę, z którą życzył sobie być pochowany. Fielding nie otworzył jej w kostnicy, a dopiero na górze, kiedy poszedł do siebie z dokumentami dotyczącymi sekcji.

– Czyli Susan nie poznała zawartości koperty tego wieczoru w kostnicy?
- zapytał Wesley z zainteresowaniem.

– Właśnie.

– A czy w kopercie było coś ważnego?

– Tylko rachunki za autostrady i jedzenie.

Wesley zmarszczył czoło.

– Rachunki - powtórzył. - Masz je tutaj?

– Są w jego teczce. - Wyjęłam fotokopie. - Na wszystkich jest ta sama data:

trzydziesty listopada.

–W tym mniej więcej czasie Waddella przewieziono z Mecklenburga do Richmond.

–Tak. Przewieziono go na piętnaście dni przed egzekucją - rzekłam.

– Musimy sprawdzić te rachunki, spróbować dowiedzieć się, kto je wystawił.

To może być ważne, bardzo ważne, biorąc pod uwagę nasze przypuszczenie...

– Że Waddell żyje?

– Właśnie. Że dokonano zamiany. Może człowiek, który zginął na krześle, chciał mieć te rachunki w kieszeni, może w ten sposób próbował nam coś powiedzieć.

– A skąd by je wziął?

– Niewykluczone, że w czasie drogi z Mecklenburga do Richmond, co było zresztą idealną porą na dokonanie zamiany - odrzekł Wesley. - Może przewożono dwóch mężczyzn. Waddella i kogoś jeszcze.

– Sugerujesz, że zatrzymali się w jakimś barze, żeby coś zjeść?

– Strażnikom nie wolno nigdzie się zatrzymywać w trakcie eskortowania więźnia skazanego na śmierć. Jeśli jednak był jakiś spisek, wszystko mogło

się zdarzyć. Może zatrzymali się, żeby kupić jedzenie na wynos, i podczas tego postoju Waddell został uwolniony. Drugiego więźnia przywieziono do Richmond i zamknięto w celi Waddella. Zastanów się nad tym. Skąd ktokolwiek z personelu na Spring Street miałby wiedzieć, że przywieziony więzień nie jest Waddellem?

– Mógłby coś powiedzieć, co wcale nie znaczy, że ktokolwiek by go wysłuchał.

– Podejrzewam, że nikt nawet by nie chciał.

– A matka Waddella? - zapytałam. - Miała pozwolenie na wizytę i spotkanie w cztery oczy na kilka godzin przed egzekucją. Zorientowałyby się, że człowiek, którego ma przed sobą, nie jest jej synem.

– Należy się upewnić, czy ta wizyta rzeczywiście miała miejsce. To jednak bez większego znaczenia. Pani Waddell chyba zgodziłaby się na każdy plan. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby pragnęła śmierci syna.

– Więc jesteś przekonany, że na krześle elektrycznym posadzono niewłaściwego człowieka - rzekłam z niechęcią; niewiele było teorii, które z większą ochotą bym odrzuciła.

W odpowiedzi otworzył kopertę z dokumentacją zabójstwa Robyn Naismith, wyjął gruby plik kolorowych zdjęć i zaczął je wolno przekładać.

– Waddell jednak nie pasuje mi do tych trzech morderstw - powiedział w końcu. - Słyszałem o dobrze zorganizowanych mordercach, którzy z czasem zaczynają się sypać, popełniać pomyłki, świrować. Na przykład Bundy pod koniec wpadał w szal. Nigdy natomiast nie zetknąłem się z sytuacją odwrotną, to znaczy, żeby niezorganizowany, psychopatyczny osobnik stał się metodyczny i zaczął działać racjonalnie.

Wesley, wspominając o typach pokroju Bundy'ego, czynił to tak beznamiętnie i bezosobowo, jak gdyby swoje opinie opierał na informacjach pochodzących z innych źródeł. Świadomie wprowadzał tym

rozmówców w błąd. W rzeczywistości bowiem spędził wiele godzin sam na sam z ludźmi w rodzaju Theodore'a Bundy'ego, Davida Berkovitza, Sirhana Sirhana, Richarda Specka czy Charlesa Mansona. Marino kiedyś mi opowiadał, że po powrotach ze swych pielgrzymek do więzień o najostrzejszym rygorze Wesley był blady i wyczerpany. Wchłonięcie trucizny tych ludzi oraz znoszenie przywiązania, jakim zwykle go obdarzali, sprawiało, że był niemal fizycznie chory. Niektórzy z nich przysyłali mu później listy i bożonarodzeniowe kartki, pytali o jego rodzinę. Nic dziwnego, że Wesley sprawiał wrażenie człowieka obciążonego brzemieniem ponad miarę i często milczał.

W zamian za informacje czynił bowiem coś, czego nikt z nas nie chciałby uczynić: pozwalał, żeby potwór się z nim związał.

– Czy ustalono bez cienia wątpliwości, że Waddell miał zaburzenia psychiczne?

– zapytałam.

– Ustalono, że był zdrowy na umyśle, kiedy mordował Robyn Naismith.

- Wesley wyciągnął jedno ze zdjęć i przesunął w moją stronę. - Szczerze mówiąc, nie wierzę w to.

To zdjęcie pamiętałam najwyraźniej.

W salonie Robyn Naismith nie było wiele mebli; tylko kilka foteli z ciemnozielonymi poduchami, skórzana sofa w kolorze czekolady, na środku mały dywan z Buchary. Naprzeciw wejściowych drzwi stał telewizor.

Przyjaciółka Robyn otworzyła drzwi i zawołała gospodynię po imieniu.

W tej chwili jej wzrok padł na nagie ciało siedzące na podłodze i oparte plecami o ekran telewizora, wymazane zaschniętą krwią. Na fotografii krew wyglądała jak czerwona smoła, obok leżały porzucone zakrwawione ręczniki. Narzędzia zbrodni nigdy nie znaleziono, ustalono jedynie, że w

niemieckim komplecie z nierdzewnej stali wiszącym w kuchni brakuje noża do mięsa.

Wesley otworzył teczkę Eddiego Heatha i wyjął rysunek wykonany przez funkcjonariusza policji z hrabstwa Henrico, który znalazł rannego chłopca na zapleczu nieczynnego sklepu spożywczego. Położył rysunek obok zdjęcia Robyn Naismith. Przez chwilę porównywaliśmy je w milczeniu.

Podobieństwa były wyraźniejsze, niż mi się wcześniej wydawało, pozycje ciał niemal identyczne, począwszy od rąk ułożonych wzdłuż tułowia do stosu ubrań leżących obok gołych stóp.

– Muszę przyznać, że to rzeczywiście niesamowite - zauważył Wesley. - To prawie tak, jak gdyby zabójstwo Eddiego Heatha było lustrzanym odbiciem tego - wskazał zdjęcie Robyn. - Ciała upozowane jak szmaciane lalki, oparte o przedmioty w kształcie skrzynki. Wielki telewizor, brązowy kontener na śmieci.

Rozsypawszy na blacie pozostałe fotografie, jedną przyciągnął ku sobie.

Było to zbliżenie Robyn w kostnicy. Na lewej piersi i lewym udzie widniały poszarpane ślady po ugryzieniach.

– Uderzające podobieństwo - stwierdził. - Ślady po ugryzieniach odpowiadają miejscom na ciele Eddiego Heatha, gdzie wycięto kawałki skóry.

Zatem - zsunął okulary i spojrzał na mnie - prawdopodobnie Eddie Heath został pogryziony, a następnie sprawca wyciął tego ślady.

– W takim razie musi mieć niejakie pojęcie o kryminalistyce - odezwałam się.

– Prawie każdy, kto spędził kilka lat w więzieniu, ma niejakie pojęcie o kryminalistyce. Nawet jeśli Waddell dziesięć lat temu nic nie wiedział o identyfikacji na podstawie śladów po ugryzieniach, teraz na pewno już wie.

– Znowu zakładasz, że to on był zabójcą - rzekłam - a przed chwilą twierdziłeś co innego. Masz jego charakterystykę psychologiczną. Możemy do niej sięgnąć?

– Naturalnie.

Charakterystyka była czterdziestostronicową ankietą, wypełnianą w trakcie prowadzonych w więzieniu rozmów.

– Przejrzyj ją sama - powiedział Wesley, popychając ku mnie gruby plik. - Chciałbym dowiedzieć się, co myślisz bez komentarzy z mojej strony.

Przesłuchiwał Waddell a sześć lat wcześniej w celi śmierci w Mecklenburgu.

Charakterystykę otwierały zwykłe dane opisowe. Zachowanie, stan emocjonalny, typowe gesty i sposób prowadzenia rozmowy wskazujący na to, że był poruszony i zmieszany. Kiedy Wesley pozwolił mu zadawać pytania, Waddell zapytał tylko o jedno: „Jak przechodziliśmy koło okna, widziałem małe białe płatki. Pada śnieg czy to są popioły z krematorium?”.

Charakterystyka nosiła datę sierpniową.

Pytania dotyczące tego, czy do morderstwa mogło nie dojść, nie przyniosły żadnych rezultatów. Czy zamordowałby swoją ofiarę na terenie, gdzie mieszka wielu ludzi? Czy zabiłby w obecności świadka? Czy cokolwiek mogłoby powstrzymać go od morderstwa? Czy kara śmierci może odstraszyć od zbrodni? Waddell odpowiedział, że nie pamięta, jak zabijał „panią z telewizji”. Nie miał pojęcia, co mogłoby go powstrzymać od czynu, którego nie mógł sobie przypomnieć. Pamiętał jedynie, że był lepki. Stwierdził, że to było jak przebudzenie po erotycznym śnie. Tylko że lepkość, której doświadczył, nie była spermą, lecz krwią Robyn Naismith.

– Niewiele to nam pomoże - rozmyślałam na głos. - Bóle głowy, chorobliwa nieśmiałość, sny na jawie, opuszczenie domu w wieku

dziewiętnastu lat. Nie widzę tu niczego, co można by uznać za typowe znaki ostrzegawcze.

Nie przejawiał okrucieństwa wobec zwierząt, nie podpalał, nie napadał i tak dalej.

– Mów dalej - rzekł Wesley.

Przejrzałam kilka następnych stronic.

– Narkotyki i alkohol - powiedziałam.

– Gdyby nie trafił do więzienia, umarłby jako narkoman albo by go zastrzelono w jakiejś ulicznej burdzie - stwierdził Wesley. - Co ciekawe, nadużywać zaczął już jako człowiek dorosły. Powiedział mi, że po raz pierwszy wziął alkohol do ust, kiedy miał dwadzieścia lat i nie mieszkał już w domu.

– Wychował się na farmie?

– W Suffolk. Całkiem spora farma, na której uprawiano orzeszki ziemne, kukurydzę, soję. Cała jego rodzina tam mieszkała i pracowała. Miał troje rodzeństwa, był najmłodszy. Matka odznaczała się wielką religijnością i co niedziela prowadziła dzieci do kościoła. W domu nie było alkoholu, papierosów, przekleństw. Całe dzieciństwo i młodość praktycznie spędził na farmie, wyjechał z niej po raz pierwszy dopiero po śmierci ojca. Wsiadł do autobusu do Richmond. Tam ze względu na swoją siłę fizyczną bez kłopotu znalazł pracę. Rozbijał asfalt młotem, nosił ciężary. Według mnie nie potrafił poradzić sobie z pokusami, kiedy w końcu się pojawiły. Zaczął od piwa i wina, potem była marihuana. Nie minął rok, a on zażywał już heroinę i kokainę, kupując, sprzedając i kradnąc wszystko, co wpadło mu w ręce.

Kiedy go spytałem, ile przestępstw popełnił, za które nigdy go nie aresztowano, odpowiedział, że nie da rady policzyć. Miał na koncie

włamania do domów i samochodów. Później włamał się do domu Robyn Naismith, a ona na nieszczęście wróciła, kiedy tam jeszcze był.

– Nie scharakteryzowano go jako gwałtownego, Benton - rzekłam.

– To prawda, jego profil psychologiczny nie odpowiadał profilowi typowego okrutnego przestępcy. Obrona utrzymywała, że pod wpływem alkoholu i narkotyków chwilowo był niespełna rozumu. Szczerze mówiąc, też tak uważam. Krótco przed zabójstwem Robyn Naismith Waddell zaczął zażywać PCP. Niewykluczone, że był kompletnie oszołomiony i później rzeczywiście niewiele lub nic nie pamiętał.

– Ukradł coś? - zapytałam. - Zastanawiam się, czy był wyraźny dowód na to, że włamał się do jej domu wyłącznie z zamiarem kradzieży.

– Mieszkanie zostało splądrowane. Wiemy, że zniknęła biżuteria. Zabrano wszystko z apteczki oraz portfela. Trudno powiedzieć, co jeszcze zginęło, ponieważ mieszkała sama.

– Żadnych informacji o związkach?

– Fascynujący punkt. - Wesley zapatrzył się na parę staruszków, tańczącą sennie przy akompaniamencie saksofonu. - Na kołdrze i prześcieradle odkryto plamy nasienia. Musiały być świeże, chyba że Robyn Naismith rzadko zmieniała pościel. Nasienie nie pochodziło od Waddella, nie odpowiadało jego grupie krwi.

– Nikt nigdy nie słyszał o jakimś kochanku?

– Nikt i nigdy. Jak się domyślasz, jego osoba wzbudziła wielkie zainteresowanie prowadzących śledztwo. Ponieważ nie skontaktował się z nimi, wysnuto wniosek, że miała romans z jakimś żonatym kolegą z pracy lub swoim informatorem.

– Może i tak - powiedziałam. - Ale on jej nie zabił.

– Nie. Zabił ją Ronnie Joe Waddell. Zajmijmy się teraz nim.

Otworzyłam teczkę Waddella i podałam Wesleyowi fotografie więźnia, którego egzekucja odbyła się trzynastego grudnia i którego sekcję zwłok zaraz potem przeprowadziłam.

– Czy możesz powiedzieć, że jest to człowiek, którego przesłuchiwałeś sześć lat temu?

Wesley dokładnie studiował zdjęcie po zdjęciu. Patrzył na zbliżenia twarzy i tyłu głowy, zerknął na zdjęcia torsu i rąk. Z charakterystyki Waddella odpiął fotografię i zaczął porównywać.

– Widzę podobieństwo - odezwałam się.

– I to mniej więcej tyle, ile możemy powiedzieć - odrzekł. - To zdjęcie zrobiono przed dziesięciu laty. Waddell miał wówczas wąsy i brodę, był bardzo muskularny, ale szczupły, twarz miał szczupłą. Ten facet - wskazał fotografię z kostnicy - jest ogolony i grubszy. Twarz ma pełniejszą. Na podstawie tylko tych zdjęć nie umiem powiedzieć, czy to na pewno jest ten sam człowiek.

Ja też nie umiałam. Co więcej, przed oczyma stanęło mi kilka własnych zdjęć, na których nikt by mnie nie poznał.

– Masz jakiś pomysł na rozwiązanie tego problemu? - zapytałam.

– Chciałbym kilka rzeczy ci powiedzieć - odparł, składając zdjęcia w równy stos na blacie. - Twój stary przyjaciel Nick Grueman jest w to wplątany;

zastanawiałem się, jak go podejść, żeby się nie umoczyć. Gdybym to ja albo Marino z nim rozmawiał, od razu by się domyślił, że coś się dzieje.

Wiedziałam, do czego zmierza, i chciałam zaprotestować, lecz nie dopuścił mnie do głosu.

– Marino mówił mi o twoich kłopotach z Gruemanem... - ciągnął. - Że telefonuje i źle cię traktuje. Ale przecież jest też i przeszłość, twoje studia w Georgetown. Może powinnaś z nim porozmawiać.

- Nie chcę z nim rozmawiać, Bentonie.
- Może ma fotografie Waddella, listy, inne dokumenty, coś, na czym są odciski palców. Może też w czasie rozmowy coś mu się wymknie. Chodzi o to, że ty możesz się z nim kontaktować bez wzbudzania podejrzeń, a my nie. Poza tym i tak jedziesz do Waszyngtonu spotkać się z Downeyem.
- Nie - powtórzyłam.
- To tylko pomysł. - Rozejrzał się po sali, a dostrzegłszy kelnerkę skinął na nią, żeby przyniosła rachunek. - Jak długo Lucy będzie u ciebie?
- Szkoła zaczyna się siódmego stycznia.
- Pamiętam, że jest całkiem dobra w komputerach.
- Więcej niż całkiem dobra.
- Wesley lekko się uśmiechnął.
- Tak mówił Marino. Sądzi, że Lucy może nam pomóc przy AFIS-ie.
- Na pewno chciałyby spróbować.
- Nagle ogarnęły mnie sprzeczne uczucia: wiedziałam, że muszę ją chronić, a równocześnie nie chciałam, żeby wracała do Miami.
- Może nie pamiętasz, ale Michele pracuje w Departamencie Służb Kryminalnych, który pomaga policji stanowej obsługiwać AFIS - rzekł.
- To chyba cię trochę martwi.
- Nie ma dnia w moim życiu, żebym się nie martwił.
- Następnego dnia rano zaczął padać śnieg. Ubrałyśmy się w kombinezony narciarskie tak kolorowe, że widać je było chyba na wiele mil.
- Wyglądam jak robotnik drogowy - stwierdziła Lucy, przyglądając się swemu jaskrawopomarańczowemu odbiciu w lustrze.
- I o to chodzi. Gdybyś zgubiła się na szlaku, łatwo będzie cię znaleźć.
- Siostrzenica zmierzyła wzrokiem mój strój, niemal równie jaskrawy jak jej, i potrząsnęła głową.

– Dziwne, że osoba tak konserwatywna jak ty może ubrać się jak paw, kiedy jest na wakacjach.

– Staram się nie być cały czas nudna. Jesteś głodna?

– Umieram z głodu.

– Mamy spotkać się z Bentonem w jadalni o wpół do dziewiątej, ale możemy już iść, jeśli nie chcesz czekać.

– To chodźmy. Connie z nami nie je?

– Spotkamy się z nią na stoku. Benton najpierw chce porozmawiać o pracy.

– Chyba nie bardzo jej to odpowiada, że ciągle musi być sama - rzekła Lucy.

– On nigdy, kiedy z kimś rozmawia, jej nie zaprasza.

Zamknęłam pokój i ruszyliśmy pustym korytarzem.

– Podejrzewam, że Connie sama tego nie chce - powiedziałam cicho. - Znajomość szczegółów pracy męża byłaby dla niej ciężarem.

– Więc on rozmawia z tobą.

– O śledztwach tak, rozmawia.

– O pracy. A praca dla was obojga wydaje się najważniejsza.

– Niewątpliwie dominuje w naszym życiu.

– Będziesz miała romans z panem Wesleyem?

– Będziemy razem jeść śniadanie - odrzekłam z uśmiechem.

Bufet w Homestead jak zwykle był bardzo bogaty. Długie stoły przykryte obrusami uginały się od bekonu i szynki, pasty, chleba, naleśników i wszelkich możliwych potraw z jaj. Lucy, odporna na pokusy, skierowała się wprost ku płatkom i świeżym owocom. Zmuszona do dobrego zachowania jej przykładem oraz mową na temat zdrowia, jaką ostatnio wygłosiłam Marino, pominęłam dania, na które miałam ochotę, w tym i kawę.

– Ludzie patrzają na ciebie - szepnęła do mnie Lucy.

Przypuszczałam, że powodem tego zainteresowania jest mój barwny kombinezon, prawdziwą przyczynę odkryłam dopiero wtedy, gdy wzięłam poranne wydanie „Washington Post” i zobaczyłam na pierwszej stronie swoje zdjęcie. Nagłówek głosił: „Morderstwo w kostnicy”, autor zaś artykułu szczegółowo opisywał śmierć Susan. Obok umieszczono fotografię, przedstawiającą mój przyjazd na miejsce zbrodni; wyglądałam na bardzo spiętą. Nie miałam wątpliwości, że głównym źródłem informacji dziennikarza jest mąż Susan, Jason. Z jego wypowiedzi wyłaniał się obraz zony rezygnującej z pracy w co najmniej dziwnych, jeśli nie podejrzanych okolicznościach na kilka dni przed gwałtowną śmiercią.

Podano na przykład, że Susan sprzeciwiła mi się, kiedy chciałam wpisać ją na listę świadków w sprawie morderstwa małego chłopca, mimo że nie była obecna przy sekcji zwłok. Kiedy Susan zachorowała i nie przyszła do pracy po zatruciu formaliną, dzwoniłam do niej tak często, że bała się odbierać telefon, a wreszcie „w wieczór poprzedzający morderstwo stanęłam w progu jej domu” z gwiazdą betlejemską oraz mglistymi obietnicami.

Wróciłem do domu ze świątecznych zakupów i w salonie zastałem główną patolog - cytowano męża Susan. - Zaraz potem [doktor Scarpetta] wyszła.

Jak tylko zamknęły się za nią drzwi, Susan wybuchnęła płaczem. Była przerażona, ale nie chciała mi powiedzieć, o co chodzi.

Równie niepokojące i pod pewnymi względami gorsze były informacje o finansowych transakcjach Susan. Jak twierdził autor, na dwa tygodnie przed śmiercią uregulowała ona rachunki wynoszące w sumie ponad trzy tysiące dolarów, wpłaciwszy na konto trzy tysiące pięćset dolarów. Trudno było znaleźć wytłumaczenie tego nagłego przypływu gotówki. Jesienią jej mąż

stracił pracę sprzedawcy, a Susan zarabiała mniej niż dwadzieścia tysięcy rocznie.

– Pan Wesley przyszedł - rzekła Lucy, zabierając mi gazetę.

Wesley ubrany był w czarne spodnie narciarskie i sweter, pod pachą niósł czerwoną kurtkę. Z wyrazu jego twarzy domyśliłam się, że już wie.

– Czy redakcja kontaktowała się z tobą? - zapytał, przysuwając sobie krzesło. - Wierzyć mi się nie chce, że opublikowali ten cholerny artykuł, nie dając ci szansy na komentarz.

– Dzwonił dziennikarz od nich, kiedy wyjeżdżałam wczoraj z biura - odparłam.

– Chciał zadać mi parę pytań na temat morderstwa Susan, ale nie chciałam z nim rozmawiać. Przypuszczam, że to była moja szansa.

– Więc o niczym nie wiedziałaś, nikt cię nie ostrzegł, jaki to artykuł?

– Nie miałam o niczym pojęcia, dopóki nie przeczytałam gazety.

– Wszystkie media o tym trąbią, Kay. - Spojrzał mi w oczy. - Słyszałem rano w telewizji. Dzwonił Marino. Gazety w Richmond mają swój dzień.

Sugerują, że morderstwo Susan może mieć jakiś związek z biurem patologa, że ty brałaś w nim udział i nagle wyjechałaś z miasta.

– To jest chore.

– Ile z tego artykułu jest prawdą? - zapytał.

– Wszystkie fakty zostały zniekształcone. Dzwoniłam do Susan, kiedy nie przyszła do pracy, żeby zapytać, czy dobrze się czuje. Później musiałam się upewnić, czy pamiętała o zdjęciu w kostnicy odcisków palców Waddella.

Poszłam do niej w Wigilię z prezentem i gwiazdą betlejemską. Co do tych obietnic, to chodzi pewnie o to, że kiedy oznajmiła, że rezygnuje z pracy, powiedziałam, żeby dała mi znać, jeśli będzie potrzebowała referencji albo pomocy.

– A co z odmową wpisania na listę świadków w sprawie Eddiego Heatha?

– To było tego popołudnia, kiedy rozbiła słoje z formaliną i poszła na górę do mojego gabinetu. Zwykle wpisuje się na listę świadków asystentów i techników biorących udział w sekcji. W tym wypadku Susan była obecna tylko przy badaniu zewnętrznym. Nie chciała, by jej nazwisko widniało na raporcie z sekcji. Jej prośba i zachowanie wydały mi się dziwne, ale nie doszło do sprzeczki.

– Z artykułu wynika, że jej za coś płaciłaś - odezwała się Lucy. - Ta kwestia by mnie najbardziej zaintrygowała, gdybym cię nie znała.

– Ja jej nie płaciłam, aczkolwiek wszystko wskazuje na to, że ktoś inny to robił - rzekłam.

– Sprawa nabiera sensu - powiedział Wesley.

– Jeśli ten fragment o jej finansach odpowiada prawdzie, to oznacza, że oddała komuś przysługę. Mniej więcej w tym czasie włamano się do twoich zbiorów, a Susan wyraźnie się zmieniła. Stała się nerwowa i nie można było na niej polegać. Jeśli tylko mogła, unikała cię. Sądzę, że nie potrafiła patrzeć ci w oczy, bo cię oszukiwała.

Skinęłam głową. Susan zaplątała się w coś i nie wiedziała, jak się z tego wyplątać. Pomyślałam, że to może być prawdziwe wytłumaczenie jej ucieczek z kostnicy podczas sekcji Eddiego Heatha i Jennifer Deighton. Jej wybuchy nie miały nic wspólnego z czarną magią czy zatruciem oparami formaliny - po prostu nie chciała być świadkiem w żadnej z tych spraw.

– Interesujące - uznał Wesley, kiedy mu o tym powiedziałam. - Na pytanie, co Susan Story mogła komuś sprzedać, odpowiedź brzmi: informacje.

Jeśli nie brała udziału w sekcjach, nie miała żadnych informacji. A ten, kto je od niej kupował, najprawdopodobniej był tym, z kim się spotkała w

pierwszy dzień Bożego Narodzenia.

– Jakie informacje mogłyby być na tyle istotne, że ktoś gotów był zapłacić za nie kilka tysięcy dolarów, a potem zamordować ciężarną kobietę? - zapytała bez ogródek Lucy.

Nie wiedzieliśmy, aczkolwiek mieliśmy podejrzenia. Raz jeszcze wspólnym mianownikiem wydawał się być Ronnie Joe Waddell.

– Susan nie zapomniała zdjąć odcisków palców Waddella czy jak się nazywał ten skazaniec - powiedziałam. - Ona celowo ich nie zdjęła.

– Na to wygląda - zgodził się Wesley. - Ktoś ją poprosił, żeby tego nie zrobiła, a gdybyś ty czy inny członek personelu jednak zdjął odciski, przypuszczalnie miała usunąć kartę.

Pomyślałam o Benie Stevensie. Drań.

– I tu wracamy do wniosku, do jakiego doszliśmy wczoraj, Kay - ciągnął Wesley. - Musimy ustalić, kogo posadzono na krześle, kiedy odbyła się egzekucja rzekomego Waddella. Zacząć należy od AFIS-u. Musimy się dowiedzieć, czy i które rekordy zostały zmienione. Jeśli masz ochotę - zwrócił się do Lucy - możesz przejrzeć dyski z zapisem dziennych operacji.

– Mam - odparła Lucy. - Kiedy mogę zacząć?

– To już zależy od ciebie, ponieważ na pierwszym etapie potrzebny ci będzie tylko telefon, żeby zadzwonić do Michele. Jest analitykiem systemowym w Departamencie Służb Kryminalnych i pracuje w komendzie głównej policji stanowej przy obsłudze AFIS-u. Wprowadzi cię w szczegóły działania systemu i udostępni ci dyski z zapisem operacji.

– Nie będzie mieć nic przeciwko temu, że się tym zajmę? - zapytała Lucy.

– Wręcz przeciwnie, nie może się doczekać. Dyski z zapisem operacji to po prostu rejestracja zmian dokonanych w bazie danych. Nie da się ich

odczytać; zdaje się, że Michele nazwała je *hex dumps*, jeśli cokolwiek ci to mówi.

– Są w systemie heksadecymalnym, to jest szesnastkowym. Innymi słowy, to hieroglify - odparła Lucy. - Co oznacza, że muszę odkodować dane i napisać program, który wyszuka wszystko, co jest niezgodne z numerem identyfikacyjnym interesujących was rekordów.

– Umiesz to zrobić? - zapytał Wesley.

– Jeśli dotrę do kodu i układu rekordów. Dlaczego nie zrobi tego sama Michele?

– Musimy zachować jak najdalej posuniętą dyskrecję. Gdyby Michele nagle porzuciła swoje zwykłe zajęcia i dziesięć godzin dziennie przeglądała te dyski, zwróciłoby to uwagę jej współpracowników. Ty natomiast możesz pracować przez nikogo nie dostrzeżona z domu twojej ciotki.

– Pod warunkiem, że nikt nie będzie mógł wyśledzić, z jakiego komputera Lucy się włącza - wtrąciłam.

– Nie dojdzie do tego - zapewnił Wesley.

– I nikt nie zauważy, że ktoś z zewnątrz buszuje po zbiorach komputera policji stanowej? - zapytałam.

– Michele mówi, że to załatwi. - Odpiął kieszeń kurtki, wyjął wizytówkę i wręczył Lucy. - To są jej numery telefonów w domu i w pracy.

– Można jej ufać? - spytała Lucy. - Jeśli ktoś zmienia dane, to skąd pan wie, że ona nie bierze w tym udziału?

– Michele nigdy nie umiała dobrze kłamać. Kiedy była małą dziewczynką, zawsze wpatrywała się wtedy w swoje stopy i rumieniła jak burak.

Lucy sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Znał ją pan, jak była mała?

– Nawet wcześniej - rzekł Wesley. - To moja najstarsza córka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po długich naradach ułożyliśmy plan, który wydał nam się rozsądny, Lucy miała zostać z Wesleyami w Homestead do środy, dzięki czemu zyskiwałam czas na uporanie się ze swoimi problemami bez zamartwiania się o jej bezpieczeństwo.

Po śniadaniu wyruszyłam w drogę. Na początku towarzyszył mi śnieg, który zmienił się w deszcz, kiedy dotarłam do Richmond.

Późnym popołudniem byłam już w biurze i laboratoriach. Odbyłam konferencję z Fieldingiem i innymi kryminologami, starannie jednak unikałam Bena Stevensa. Nie odpowiedziałam na telefon żadnego dziennikarza i nie sprawdziłam poczty elektronicznej; nie byłam ciekawa, co ewentualnie mógł do mnie napisać minister zdrowia...

O wpół do piątej tankowałam samochód na stacji *Exxon* przy Grove Avenue, kiedy za mną zahamował biały ford. Patrzyłam, jak Marino wysiada, podciąga spodnie i kieruje się do męskiej toalety. Wracając po kilku minutach ukradkiem się rozejrzał, jak gdyby się martwił, że ktoś widział, gdzie był. Następnie wolno podszedł do mnie.

– Zobaczyłem twój samochód, jak przejeżdżałem - powiedział, wsadzając ręce do kieszeni niebieskiego swetra.

– Gdzie masz płaszcz? - zapytałam, zabierając się do czyszczenia przedniej szyby.

– W aucie. Przeszkadza mi w prowadzeniu. - Zgarbił się z zimna. - Jeśli jeszcze się nie zastanowiłaś, jak położyć kres tym plotkom, lepiej od razu zacznij.

Z irytacją wrzuciłam gąbkę do pojemnika z płynem.

– Co właściwie mam według ciebie zrobić, Marino? Zadzwoń do Jasona i powiedz, że bardzo mi przykro z powodu śmierci jego żony i nienarodzonego dziecka, ale byłabym mu bardzo wdzięczna, gdyby swój żal i gniew skierował na kogo innego?

– On cię obwinia, doktorko.

– Podejrzewam, że po tym artykule nie on jeden. Udało mu się przedstawić mnie jako makiaweliczną sukę.

– Jesteś głodna?

– Nie.

– Wyglądasz na głodną.

Patrzyłam na niego, jakby stracił rozum.

– A jeśli coś mi się wydaje, moim obowiązkiem jest to sprawdzić. Daję ci wybór, doktorko. Albo z automatu przyniosę napoje i kanapki, po czym będziemy tu stać, aż tyłki zmarzną nam na kość, wdychać spaliny i nie dopuszczać innych nieboraków do samoobsługowych pomp z benzyną, albo pójdziemy do Phila. W obu wypadkach ja stawiam.

Dziesięć minut później siedzieliśmy w kącie, przeglądając ilustrowane karty dań, oferujące wszystko, od spaghetti począwszy, a na smażonej rybie skończywszy. Ja miałam doskonały widok na toalety, Marino mógł podziwiać ciemne drzwi wejściowe. Palił, podobnie jak większość gości, a ja znowu myślałam, jak piekielnie ciężko jest zerwać z nałogiem. Właściwie nie mógł wybrać lepszej restauracji. Stali bywalcy *Philip's Continental Lounge* dobrze się znali, bo całe życie spotykali się tu przy obficie zastawionym stole i piwie. Generalnie byli to dobrodusznicy i towarzyscy ludzie, którzy rozpoznaliby mnie dopiero wówczas, gdyby moje zdjęcie ukazywało się regularnie w dziale sportowym dziennika.

– To jest tak - rzekł Marino, odłożywszy kartę. - Jason Story jest przekonany, że Susan dalej by żyła, gdyby pracowała gdzie indziej.

Prawdopodobnie ma rację. Poza tym to nieudacznik, jeden z tych egocentrycznych dupków, według których winę zawsze ponoszą inni. Prawda natomiast jest taka, że bardziej niż ktokolwiek inny odpowiada za jej śmierć.

– Chyba nie sugerujesz, że to on ją zabił?

Przy naszym stoliku stanęła kelnerka. Marino zamówił kurczaka z rusztu i ryż, ja kosztownego hot-doga. Do picia wzięliśmy dietetyczne wody sodowe.

– Wcale tego nie sugeruję - odparł cicho. - Ale to z jego powodu wplątała się w to, co doprowadziło do jej śmierci. Płacenie rachunków spadło na jej barki, była pod wielką finansową presją.

– Nic dziwnego. Jej mąż stracił pracę.

– Szkoda, że nie stracił swojego wyrafinowanego gustu. Mówię o koszulkach polo, markowych spodniach i jedwabnych krawatach. Kilka tygodni po wylaniu z pracy ten świr idzie i kupuje sprzęt narciarski wart siedemset dolarów, po czym wyjeżdża na weekend do Wintergreen. Wcześniej była skórzana kurtka za dwie setki i rower za cztery. A Susan haruje w kostnicy, skąd wraca do domu, gdzie czekają na nią rachunki przekraczające jej zarobki.

– Nie miałam o tym zielonego pojęcia - rzekłam, z bólem przypominając sobie Susan siedzącą za biurkiem. Z zasady spędzała przerwę na lunch w swoim pokoju; czasami zachodziłam tam, żeby pogadać. Przed oczyma stanęły mi zwykłe płatki kukurydziane i metki na wodach sodowych. Zawsze chyba jadła i piła wyłącznie to, co przyniosła z domu.

– Skłonność Jasona do wydawania pieniędzy - ciągnął Marino - prowadzi prosto do tych cholernych bzdur, jakie o tobie wygaduje. Obmawia cię przed każdym, kto chce słuchać, bo jesteś lekarzem, prawnikiem i szefem, jeździsz mercedesem i mieszkasz w wielkim domu w

Windsor Farms. Moim zdaniem ten idiota uważa, że jeśli jakimś cudem uda mu się na ciebie zwalić winę, jemu skapnie mała rekompensata.

– Może próbować, aż pęknie.

– I będzie.

Na stole pojawiły się napoje.

– Rano spotykam się z Downeyem - zmieniałam temat.

Marino wpatrywał się w telewizor nad barem.

– Lucy zaczyna sprawdzać AFIS. A ja muszę coś zrobić z Benem Stevenssem.

– Powinnaś się go pozbyć.

– Masz pojęcie, jak trudno wyrzucić z pracy osobę zatrudnioną przez stan?

– Mówią, że łatwiej wyrzucić Jezusa - odparł Marino. - Chyba że jest się mianowanym, jak ty. Mimo to musisz znaleźć jakiś sposób.

– Rozmawiałeś z nim?

– Jasne. Według niego jesteś arogancka, ambitna i dziwna. Okropnie trudno z tobą pracować.

– Rzeczywiście coś takiego powiedział?

– Taki był sens.

– Mam nadzieję, że ktoś sprawdzi jego finanse. Ciekawa jestem, czy ostatnio nie dokonał większych wpłat. Susan nie wpadła w kłopoty sama.

– Zgadza się z tobą. Uważam, że Stevens sporo wie i jak szalony zaciera teraz ślady. A przy okazji, sprawdziłem w banku Susan. Jedna z kasjerek pamięta, że wpłacała trzy tysiące pięćset dolarów gotówką. Przyniosła w torebce banknoty dwudziesto-, pięćdziesięcio- i studolarowe.

– A co Stevens mówił o Susan?

– Stwierdził, że właściwie nie znał jej dobrze, ale odnosił wrażenie, że między tobą a nią były jakieś problemy. Innymi słowy potwierdza to, co

podały media.

Kelnerka przyniosła nam jedzenie, ja jednak zdołałam przełknąć ledwo kęs, taki gniew mnie ogarnął.

– A Fielding? - zapytałam. - Czy on też uważa, że jestem strasznym przełożonym?

Marino odwrócił wzrok.

– Powiedział, że jesteś bardzo wymagająca, a on nie umie cię rozgryźć.

– Nie zatrudniłam go, żeby mnie rozgryzł, a w porównaniu z nim niewątpliwie jestem wymagająca. Fieldinga już wiele lat temu medycyna sądowa przestała pociągać. Większość swojej energii zużywa w siłowni.

– Doktorko - Marino spojrzał mi wreszcie prosto w oczy - jesteś wymagająca bardziej niż ktokolwiek, a większość ludzi nie umie cię rozgryźć.

Prawdę mówiąc, nie chadzasz z sercem na dłoni, wręcz przeciwnie, można cię wziąć za osobę w ogóle pozbawioną uczuć. Ci, co cię nie znają, nie mają pojęcia, co o tobie sądzić, czasami wydaje się, że nic nie może cię dotknąć.

Policjanci i prawnicy wypytyują mnie na twój temat. Chcą wiedzieć, jaka naprawdę jesteś, jak możesz robić to, co robisz, o co tu naprawdę chodzi.

W ich oczach jesteś osobą, która z nikim nie utrzymuje bliskich stosunków.

– I co im odpowiadasz?

– Cholera, nic.

– Skończyłeś już tę psychoanalizę, Marino?

Zapalił papierosa.

– Posłuchaj, teraz powiem coś, co na pewno ci się nie spodoba. Zawsze byłaś zamkniętą w sobie profesjonalistką, która potrzebuje wiele czasu, żeby się z kimś zaprzyjaźnić, ale jak już do tego dochodzi, to na zawsze.

Człowiek zyskuje przyjaciela na całe życie, gotowa jesteś zrobić dla niego wszystko. Tylko że zmieniłaś się w ciągu ostatniego roku. Odkąd zabito Marka, otoczyłaś się setką murów. Dla nas to tak, jak gdybyśmy przebywali w pokoju, w którym kiedyś było ciepło, a teraz zrobiło się zimno. Myślę, że nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Obecnie nikt z twojego otoczenia nie czuje się z tobą związany. Może nawet mają do ciebie pretensje, ponieważ czują się przez ciebie ignorowani lub traktowani z góry. Może nigdy naprawdę cię nie lubili. Może to tylko obojętność. Problem w tym, że ludzie zawsze, bez względu na to, czy siedzisz na tronie czy na krześle elektrycznym, będą próbowali z twojej pozycji wyciągnąć korzyści dla siebie. A ponieważ między nimi a tobą nie ma żadnej więzi, tym lżej przychodzi im wydrzeć od ciebie to, na czym im zależy, i nawet się nie zastanawiają, ile może cię to kosztować. Ty właśnie jesteś w takiej sytuacji. Sporo jest takich, co od lat czekają, żeby zobaczyć, jak krwawisz.

Odepchnęłam talerz od siebie.

– Nie zamierzam krwawić.

– Doktoro - Marino wydmuchał kłęb dymu - ty już krwawisz. A jeśli ktoś krwawi i pływa z rekinami, powinien natychmiast wyjść z wody.

– Moglibyśmy choć przez minutę porozmawiać nie używając banałów?

– Nawet gdybym powiedział to po portugalsku albo chińsku i tak byś mnie nie słuchała.

– Jeśli zaczniesz mówić w którymś z tych języków, przyrzekam, że uważnie cię wysłucham. Prawdę mówiąc, chętnie cię wysłucham, jeśli w końcu zaczniesz mówić po angielsku.

– Komentarze tego rodzaju nie przysparzają ci sympatyków. Właśnie o tym mówiłem.

– Powiedziałam to z uśmiechem.

– Widywałem, jak rozcinałaś nieboszczyków z uśmiechem.

- Nigdy. Zawsze używam do tego celu skalpela.
- Czasami między nimi nie ma różnicy. Nieraz byłem świadkiem, jak twój uśmiech wykańczał obrońców.
- Skoro jestem taka okropna, dlaczego się ze mną przyjaźnisz?
- Bo zbudowałem wokół siebie więcej murów niż ty. Na każdym drzewie siedzi sęp, woda jest pełna rekinów i wszyscy chcą przynajmniej po kawałeczku mnie i ciebie.
- Marino, to paranoja.
- Masz cholerną rację, i dlatego na jakiś czas musisz się wycofać, doktorko.
- Nie mogę.
- Przecież sama dobrze wiesz, że jeśli będziesz miała cokolwiek do czynienia z tymi sprawami, to będzie wyglądało jak konflikt interesów. Twoja sytuacja tylko się pogorszy.
- Susan nie żyje, Eddie Heath nie żyje, Jennifer Deighton nie żyje - rzekłam.
- W moim biurze zapanowała korupcja, nie mamy pojęcia, kto naprawdę poszedł na krzesło parę tygodni temu. A ty sugerujesz, że mam odejść i poczekać, aż wszystko w jakiś magiczny sposób samo się naprawi?
- Marino sięgnął po sól, ale go uprzedziłam.
- Nic z tego. Za to możesz wziąć tyle pieprzu, ile zechcesz - powiedziałam, przesuwając ku niemu pieprzniczkę.
- Te bzdury o zdrowiu mnie zabijają - westchnął. - Pewnego dnia tak się wkurzę, że zrobię wszystko naraz. Pięć papierosów w gębie, w jednej ręce bourbon, w drugiej kawa, stek, pieczone ziemniaki z gorą masła, śmietany i soli. A potem eksploduję.
- Nie zrobisz tego - odparłam. - Będziesz dla siebie dobry i pożyjesz przynajmniej tak długo jak ja.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu.

– Nie gniewaj się, doktorko, ale czego właściwie spodziewasz się dowiedzieć o tych strzępkach piór?

– Skąd pochodzą, mam nadzieję.

– Mogę oszczędzić ci kłopotu. Pochodzą od ptaków - rzekł.



Rozstałam się z Marino koło siódmej i wróciłam do centrum. Temperatura podniosła się znacznie, zmierzch i gwałtowny deszcz wystarczyły, by ruch na ulicy niemal zupełnie ustał. Parking przed kostnicą był kompletnie pusty, drzwi zamknięte. Weszłam do budynku i jasno oświetlonym korytarzem skierowałam się do niewielkiego pokoju Susan, sąsiadującego z salą sekcyjną.

Otwierając drzwi nie miałam pojęcia, co spodziewam się znaleźć. Coś jednak ciągnęło mnie do kartoteki i biurka, do książek i starych wiadomości telefonicznych. Pomieszczenie wyglądało tak samo jak za jej życia.

Marino, rewidując cudze pokoje, nie naruszał naturalnego bałaganu, jaki w nich panował. Telefon dalej stał ukośnie w prawym rogu biurka, na zielonym blacie leżały nożyczki i dwa ołówki ze złamanym grafitem, na oparciu krzesła wisiał laboratoryjny fartuch. Do monitora przyklejona była kartka przypominająca o wizycie u lekarza. Patrząc na łuki lekko pochyłego pisma czułam, że cała drzę. Kiedy Susan zboczyła na złą drogę? Czy wówczas, gdy wyszła za Jasona Story'ego? A może zaczęło się to o wiele wcześniej, kiedy była nastoletnią córką fanatycznego pastora, której bliźniacza siostra zginęła w wypadku?

Usiadłam na krześle przy kartotece i zaczęłam przeglądać jej zawartość.

Stanowiły ją w większości broszury reklamowe narzędzi i środków chirurgicznych oraz innych przedmiotów używanych w kostnicach. Nic nie

wydawało mi się dziwne, aż odkryłam, że Susan zachowała dosłownie wszystkie notatki od Fieldinga, natomiast ani jednej od Bena Stevensa czy ode mnie. A było ich mnóstwo. Dalsze przeszukiwanie szuflad i półek nie przyniosło żadnych rezultatów. Wówczas doszłam do wniosku, że ktoś je pewnie zabrał.

Najpierw pomyślałam, że może wziął je Marino. Zaraz potem zaświtał mi pomysł, który przyprawił mnie o wstrząs. Pognałam na górę. W gabinecie skierowałam się prosto do szuflady, w której przechowywałam dokumenty związane z prowadzeniem biura: wydruki rozmów telefonicznych, notatki od i do personelu, wydruki poczty elektronicznej, brudnopisy proponowanych budżetów i długoterminowe plany. Gorączkowo przeglądałam papiery, szukając grubej teczki, w której trzymałam kopie każdego listu do członków personelu własnego oraz innych instytucji z ostatnich kilku lat.

Sprawdziłam dokładnie pokój Rose i ponownie własny gabinet. Teczki nie było.

– Ty skurwysynu - mruczałam do siebie, biegnąc rozwścieczona korytarzem.

– Ty cholerny skurwysynu.

Gabinet Bena Stevensa z powodu panującego w nim nieskazitelnego porządku i starannego rozplanowania, przypominał sklep z meblami. Biurko miało mosiężne uchwyty. Stojące - też mosiężne - lampy ocieniały ciemnozielone abażury. Na podłodze leżał maszynowy „perski” dywan, na ścianach wisiały wielkie plakaty z narciarzami, graczami w polo i żeglarzami płynącymi po wzburzonym morzu. Wyjęłam teczkę Susan. W środku znalazłam zakres obowiązków, życiorys i inne dokumenty, nie było natomiast kilku pisemnych pochwał, które ode mnie otrzymała, a które sama wpięłam do teczki. Przejrzałam szuflady biurka. W jednej znalazłam

brązową winylową kosmetyczkę z pastą i szczotką do zębów, brzytwą, kremem do golenia i małą buteleczką wody kolońskiej *Red*.

Może był to nieznaczny ruch powietrza, spowodowany przez bezszelestnie otwarte drzwi, a może niczym zwierzę instynktownie wyczułam jego obecność. W każdym razie, kiedy uniosłam wzrok znad buteleczki, którą na powrót zakręcałam, w progu stał Ben Stevens. Przez długą chwilę bez słowa patrzyliśmy na siebie. Nie bałam się, nie miałam wyrzutów sumienia z powodu czynności, na jakiej mnie przyłapał. Czułam jedynie furię.

– Pracujesz niezwykle długo, Ben. - Zamknęłam kosmetyczkę i włożyłam z powrotem do szuflady, po czym splotłam palce na blacie. Świadomie mówiłam i gestykulowałam powoli. - Najbardziej w pracach po godzinach lubię to, że nikogo już nie ma. Nikt ci nie przeszkadza. Żadnego ryzyka, że ktoś wejdzie i przerwie ci to, co właśnie robisz. Żadnych oczu czy uszu, żadnych dźwięków poza tymi rzadkimi chwilami, kiedy strażnik obchodzi budynek. A wszyscy dobrze wiemy, że to nie zdarza się często, bo nie cierpi przychodzić do kostnicy. Jeszcze nie spotkałam strażnika, który by to lubił. To samo dotyczy sprzątaczek. Nigdy nie schodzą na dół, a na górze sprzątają po łebkach. Ale to i tak nieistotne, prawda? Sprzątaczek zwykle o wpół do ósmej już nie ma. Najbardziej w tym wszystkim intryguje mnie to, czemu wcześniej się nie domyśliłam. Nigdy nawet przez głowę mi to nie przeszło. Może to smutny komentarz do tego, jak bardzo byłam zajęta.

Powiedziałeś policji, że niezbyt dobrze znałeś Susan, a przecież często podwoziłeś ją z pracy i z domu, jak na przykład wtedy, kiedy ja przeprowadzałam sekcję zwłok Jennifer Deighton i szalała zadymka. Pamiętam, że Susan była wtedy bardzo roztargniona. Zostawiła ciało na środku korytarza i chciała do kogoś zadzwonić, ale szybko odłożyła

słuchawkę, kiedy pojawiłam się w progu. Wątpię, żeby dzwoniła w jakiejś służbowej sprawie o wpół do ósmej rano, i to w dzień, kiedy większość ludzi i tak nie zamierzała ze względu na pogodę wychodzić z domu. W biurze poza tobą nie było nikogo. Jeśli wykręcała twój numer, dlaczego chciała to przede mną ukryć? Chyba że byłeś więcej niż jej bezpośrednim przełożonym. No i naturalnie twój stosunek do mnie jest równie intrygujący. Wydaje się, że wszystko między nami w porządku, aż tu nagle zaczynasz twierdzić, że jestem najgorszym szefem pod słońcem. To sprawia, że zadaję sobie pytanie, czy Jason Story jako jedyny zwierza się dziennikarzom. Zadziwiająca jest ta moja nowa osobowość. Tyran, neurotyczka, osoba odpowiedzialna za śmierć pracownika kostnicy. Susan i mnie łączyły kordialne stosunki, podobnie jak do niedawna nas, Ben. Ale to tylko moje słowo przeciwko twojemu, zwłaszcza że każdy skrawek papieru świadczący na moją korzyść jakimś cudem rozpułynał się w powietrzu. Mam przecucie, że już komuś powiedziałeś, że wszystkie ważne dokumenty personalne oraz korespondencja zniknęły z biura, i sprytnie zasugerowałeś, że to ja je wzięłam.

Skoro teczki i korespondencja zginęły, możesz na temat ich zawartości mówić, co ci się podoba, prawda?

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi - rzekł Ben Stevens. Wszedł do pokoju, ale nie zbliżył się do biurka ani też nie przysunął sobie krzesła.

Twarz miał zaczerwienioną, jego oczy błyszczały nienawiścią. - Nic nie wiem o zaginionych teczkach i korespondencji, jeśli jednak to prawda, nie mogę zataić tego faktu przed władzami, podobnie jak tego, że przypadkiem wpadłem dziś wieczorem do biura, żeby coś zabrać, i przyłapałem panią na myszowaniu w moim biurku.

– Co chciałeś zabrać?

– Nie muszę odpowiadać na pani pytania.

– Niestety, musisz. Pracujesz dla mnie, a jeśli przychodzisz do biura tak późno wieczorem i ja się o tym dowiaduję, mam prawo zadawać ci pytania.

– No dalej, niech mnie pani wyrzuci z pracy. Rzeczywiście, świetnie to będzie wyglądać.

– Drań z ciebie, Ben.

Oblizął wargi.

– Twoje wysiłki mające na celu zdyskredytowanie mojej osoby, to próby zacierania śladów. Panikujesz i chcesz odwrócić uwagę od siebie. To ty zabiłeś Susan?

– Cholera, chyba pani postradała zmysły - odparł drżącym głosem.

– Wyszła z domu wczesnym popołudniem w pierwszy dzień świąt, rzekomo, żeby spotkać się z przyjaciółką. W rzeczywistości była umówiona z tobą, prawda? Wiesz, że jej kołnierzyk i szal pachniały męską wodą kolońską, wodą *Red*, którą trzymasz w biurku, żeby się odświeżać przed wyruszeniem do barów?

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Kto jej płacił?

– Może pani.

– To idiotyczne - powiedziałam spokojnie. - Ty i Susan zaplątaliście się w jakąś dochodową awanturę. Przypuszczam, że to ty ją namówiłeś, bo znałeś jej słabe strony. Pewnie ci się zwierzała. Wiedziałaś, jak ją przekonać.

Zresztą, tobie też potrzebne były pieniądze. Same rachunki z barów przekraczają z nawiązką twoje dochody. Taki tryb życia jest kosztowny, a ja wiem, ile ci płacą.

– Nic pani nie wie.

– Ben - zniżyłam głos - wypłacz się z tego, zrezygnuj, póki jeszcze czas. Powiedz mi, kto za tym stoi.

Unikał mego wzroku.

– Stawka staje się za wysoka, kiedy zaczynają ginąć ludzie. Jeśli zabiłeś Susan, wydaje ci się, że ujdzie ci to płazem?

Nic nie powiedział.

– A jeśli zrobił to ktoś inny, sądzisz, że ciebie nie może to spotkać?

– Pani mi grozi?

– Bzdura.

– Nie może pani udowodnić, że woda kolońska, której zapach pani czuła od ubrania Susan, należy do mnie. Zapachu nie da się zamknąć w probówce, nie da się go przechować - powiedział.

– Proszę, żebyś już poszedł, Ben.

Odwrócił się i wyszedł. Kiedy usłyszałam trzask zamykanych drzwi windy, poszłam korytarzem do okna, z którego widać było parking. Nie odważyłam się wsiąść do samochodu, póki Stevens nie odjechał.



Gmach FBI jest betonową fortyfikacją na skrzyżowaniu 9th Street i Pennsylvania Avenue w samym sercu Waszyngtonu.

Szłam szybko i bez wahania, byłam tu bowiem wystarczająco wiele razy, by dobrze znać drogę. Minęłam dziedziniec, parking i strażnika stojącego przed szklanymi drzwiami. Za nimi znajdował się hol z ciemnymi meblami, lustrami i flagami. Z jednej ściany uśmiechał się ze zdjęcia prezydent, na innej wisiały w rzędzie fotografie dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców w kraju.

Przy biurku z przepustkami okazałam swoje prawo jazdy młodemu agentowi w nastroju równie ponurym jak jego szary garnitur.

– Doktor Kay Scarpetta, główny patolog stanu Wirginia.

– Z kim jest pani umówiona?

Wyjaśniłam.

Porównał moją twarz z fotografią, upewnił się, że nie jestem uzbrojona, wykonał jeden krótki telefon i bez słowa wręczył mi identyfikator.

Nigdy wcześniej nie spotkałam agenta specjalnego Minora Downeya, ale samo jego nazwisko narzucało pewne skojarzenia. Powinien to być stary i kruchy mężczyzna z jasnymi włosami pokrywającymi każdy cal jego ciała z wyjątkiem głowy, o słabym wzroku, skórze nietkniętej przez słońce; ktoś, kto wchodzi i wychodzi z pomieszczeń nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Naturalnie myliłam się. W progu stanął wysportowany mężczyzna w koszuli. Podniosłam się z krzesła.

– Pan Downey, jak przypuszczam - rzekłam.

– Pani doktor - uścisnął moją dłoń. - Proszę mówić do mnie Minor.

Miał najwyżej czterdziestkę; okulary bez oprawek, starannie przycięte ciemne włosy oraz krawat w beżowe i granatowe paski nadawały mu wygląd uczonego.

– Dlaczego pióra? - zapytałam, kiedy wsiedliśmy do windy.

– Mam przyjaciółkę ornitologa w Smithsonian's Museum of Natural History - wyjaśnił. - Kiedy władze lotnicze zwróciły się do niej o pomoc, bardzo mnie to zainteresowało. Widzi pani, ptaki wpadają w silniki samolotów.

W trakcie badania wraków zwykle znajduje się strzępki piór i chodzi o to, by na ich podstawie stwierdzić, jaki gatunek stał się przyczyną katastrofy, bo cała reszta, wszystko, cokolwiek silnik wciągnął do środka, zostaje zmielone na miazgę. Mewa potrafi rozwalić bombowiec B-1. Albo niech pani weźmie tego nura, który przebił się przez szybę w odrzutowcu i uciał pilotowi głowę. Tym właśnie się zajmuję: pracuję nad szczątkami ptaków. Testujemy turbiny i łopatki śmigieł, wrzucając w nie kury. Wie pani, sprawdzamy, czy samolot wyjdzie obronną ręką ze spotkania z

jednym czy dwoma kurczakami. Ale nie tylko to. Puch gołębi na podszwach butów podejrzanego; był w zaułku, gdzie znaleziono ciało, czy nie? Albo ten facet, co ukradł cenną papugę podczas włamania. W jego samochodzie znajdujemy fragmenty puchu, które identyfikujemy jako należące do tego gatunku. Albo piórko puchu zdjęte z ciała kobiety, którą zgwałcono i zamordowano.

Znaleziono ją w pudle po stereofonicznym głośniku w pojemniku na śmieci. Puch wyglądał mi na biały puch kaczki krzyżówki, taki sam znaleziono w puchowej kołdrze na łóżku podejrzanego. Oskarżenie sformułowano na podstawie piórka i dwóch włosów.

Na drugim piętrze mieściły się laboratoria, w których badano materiały wybuchowe, odpryski farby, pyłki kwiatów, narzędzia, opony i śmieci zebrane w trakcie oględzin miejsca przestępstwa. Chromatografy gazowe, mikrospektrometry i komputery pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę, pomieszczenia pełne były próbek lakierów samochodowych, taśm i plastiku. Minęliśmy laboratoria analizujące DNA i weszliśmy do laboratorium włosów i włókien, w którym pracował Downey. W jego gabinecie oprócz mebli i regałów na książki znajdowały się także mikroskopy i stoły.

Wykonane kredką rysunki przypięte do tablicy ogłoszeniowej zdradziły mi, że ten cieszący się międzynarodową renomą ekspert od piór jest ojcem.

Z szarej koperty wyjęłam trzy plastikowe woreczki. W dwóch znajdowały się pióra znalezione przy Jennifer Deighton i Susan Story, w trzecim preparat z pozostałościami kleju z nadgarstków Eddiego Heatha.

– Wydaje się, że ten jest najlepszy - wskazałam na pióro zdjęte ze szlafroka Jennifer Deighton.

Wyjął je z koperty i rzekł:

– To puch z piersi lub pleców. Spora kępka, to dobrze. Im większy fragment, tym lepiej.

Pęsetą odciął kilka przypominających wąsy nitek z obu stron stosiny, po czym usiadł przy mikroskopie stereoskopowym i umieścił je na szkiełku pokrytym cienką warstwą ksylenu. Najpierw należało oddzielić od siebie miniaturowe struktury. Kiedy się upewnił, że wszystko jest jak należy, przyłożył zieloną bibułkę, by wchłonęła ksylen. Następnie dodał środek mocujący, przykrył szkiełkiem i umieścił pod mikroskopem porównawczym, podłączonym do kamery wideo.

– Zacznę od wyjaśnienia, że pióra wszystkich ptaków zasadniczo zbudowane są tak samo - rzekł. - Jest centralna stosina, następnie chorągiewki, które dzielą się na promienie i podobne do włosów promyki, oraz poszerzona dutka, na szczycie której znajduje się otwór zwany wyższym zagłębieniem pępkowatym. Chorągiewki to włókienka, dzięki którym pióro ma pierzasty wygląd. Jeśli je powiększyć, widać, że to właściwie minipiórka wyrastające ze stosiny. - Odwrócił się do monitora. - To jest chorągiewka.

– Przypomina paproć - stwierdziłam.

– W wielu wypadkach rzeczywiście. Teraz powiększymy to jeszcze bardziej, żeby dokładnie przyjrzeć się promykom, ponieważ właśnie cechy promyków umożliwiają identyfikację. Szczególnie interesują nas kolanka...

– Pozwoli pan, że sprawdzę, czy wszystko dobrze zrozumiałam - rzekłam.

– Kolanka charakteryzują promyki, promyki charakteryzują chorągiewki, chorągiewki charakteryzują pióra, a pióra charakteryzują ptaki.

– Racja. I każda rodzina ptaków ma swoją własną strukturę piór.

To, co zobaczyłam na ekranie, przypominało rysunek ziela lub nogi owada. Linie połączone były w segmenty przez trójwymiarowe trójkątne elementy. Downey wyjaśnił, że to właśnie są kolanka.

– Rozmiar, kształt, liczba i zabarwienie kolanek oraz ich usytuowanie stanowi klucz - tłumaczył cierpliwie. - Na przykład kolanka w kształcie gwiazdy mają gołębie, podobne do pierścieni - kury i indyki, powiększone kryzy z obrzękiem przedkolankowym - kukułki. Te tutaj - wskazał na ekran - są wyraźnie trójkątne, a więc od razu mogę pani powiedzieć, że to pióro jest gęsie albo kacze. Co wcale nie powinno nas zaskoczyć. Zwykle pióra zebrane w miejscu włamania, gwałtu czy zabójstwa pochodzą z poduszek, kołder, kamizelek, kurtek, rękawiczek. Zasadniczo też tego typu przedmioty wypełnione są piórami i puchem gęsim i kaczym, a w wypadku rzeczy tanich - kurzem. Tutaj jednak kury możemy definitywnie wykluczyć, zaczynam się też skłaniać ku opinii, że to pióro nie jest gęsie.

– Dlaczego? - zapytałam.

– No cóż, odpowiedź byłaby łatwa, gdybyśmy mieli całe pióro, gorzej jest z puchem. Ale na podstawie tego, co widzimy na ekranie, mogę stwierdzić, że kolanek nie jest tu za wiele, poza tym nie są rozmieszczone wzdłuż całego promyka, tylko obwodowo, bliżej jego końca. To cecha charakterystyczna upierzenia kaczek.

Otworzył kilka szuflad z próbkami.

– Popatrzmy. Mam tu około sześćdziesięciu próbek kaczych piór. Żeby nie było żadnych wątpliwości, zaraz je kolejno porównam z naszym piórkiem.

Jedną po drugiej wkładał próbki pod mikroskop porównawczy. Na ekranie monitora pojawił się krąg światła, podzielony przez środek wyraźną linią. Po jednej stronie ukazywały się próbki kolejnych gatunków, po drugiej pióro, które chcieliśmy zidentyfikować. I tak sprawdziliśmy

krzyżówkę, kaczkę piżmową, kaczkę wzorzystą, kaczkę czarną, kaczkę północnoamerykańską, świstuna oraz wiele, wiele innych. Downey nie musiał długo się im przypatrywać, by wiedzieć, że to nie nasze piórko.

– Czy tylko mi się wydaje, czy też to nasze jest delikatniejsze od innych?
- zapytałam.

– Nie wydaje się pani. Jest delikatniejsze, bardziej opływowe. Widzi pani, że te trójkątne elementy nie są zbyt rozprzestrzenione?

– Tak, kiedy pan zwrócił na to moją uwagę.

– I to daje nam interesującą odpowiedź na temat gatunku ptaka. To właśnie jest fascynujące. Natura nie robi niczego bez powodu, a ja podejrzewam, że w tym przypadku chodzi o izolację. Zadaniem puchu jest zatrzymać powietrze, a im delikatniejsze są promyki, im bardziej opływowe lub stożkowate kolanka, a ich lokalizacja obwodowa, tym skuteczniej spełni on swoje zadanie. To jak przebywanie w małym izolowanym pomieszczeniu bez wentylacji. Jest w nim ciepło.

Umieścił kolejną próbkę pod mikroskopem i tym razem nawet ja dostrzegłam, że jesteśmy blisko. Promyki były delikatne, kolanka stożkowate i rozmieszczone na obwodzie.

– Co to jest? - zapytałam.

– Głównych podejrzanych zachowałem na koniec. - Downey wyraźnie był zadowolony. - Kaczki morskie. A na szczycie listy jest edredon. Powiększmy obraz czterysta razy. - Wyregulował ostrość; na ekranie pojawiły się kolejne próbki. - Nie jest to kaczka lodówka ani też brunatna, ponieważ u podstawy kolanka pigmentacja ma barwę brązową. W pani piórze tego nie ma, widzi pani?

– Widzę.

– Weźmy więc pospolitą kaczkę edredonową. Dobra. Pigmentacja się zgadza - mówił, wpatrując się w ekran. - Średnio dwa kolanka umieszczone

obwodowo na promykach, do tego opływowość zapewniająca szczególnie dobrą izolację... To ważne, jeśli się pływa w Morzu Arktycznym.

Sądzę, że to *Somateria mollissima*, występująca w Islandii, Norwegii, na Alasce i wybrzeżu syberyjskim. Przeprowadzę jeszcze badanie przy użyciu elektronowego mikroskopu skaningowego.

– A czego pan chce szukać?

– Kryształków soli.

– Naturalnie - rzekłam zafascynowana. - Edredony to ptaki słonowodne.

– Właśnie. Co więcej, stanowią godny wzmianki przykład wykorzystania natury przez ludzi. W Islandii i Norwegii ich tereny lęgowe chronione są przed drapieżnikami oraz innymi zagrożeniami, tak by można było bez przeszkód zebrać puch, którym samice wykładają gniazda i okrywają jaja.

Puch następnie jest czyszczony i sprzedawany producentom...

– Producentom czego?

– Głównie śpiworów i kołder.

Podczas rozmowy Downey przygotowywał preparat z chorągiewek odciętych z pióra znalezionego w samochodzie Susan Story.

– Jennifer Deighton niczego takiego nie miała w domu - powiedziałam. - Żadnego przedmiotu wypchanego piórami.

– W takim razie mamy do czynienia z transferem wtórnym lub trzeciorzędnym.

W tym drugim wypadku pióro najpierw jest przeniesione na zabójcę, który dopiero przenosi je na ofiarę...

Na ekranie pojawiła się nowa próbka.

– Znowu edredon - stwierdziłam.

– Też tak myślę - zgodził się Downey. - Sprawdźmy ostatnią próbkę. To od chłopca, tak?

– Tak, z resztek kleju zdjętych z nadgarstków Eddiego Heatha.

– A niech to.

Na ekranie brud zamienił się w fascynujące różnorodnością barwy, kształty, włókna oraz znajome promyki i trójkątne kolanka.

– No cóż, to poważnie podważa moją prywatną teorię - rzekł Downey. - Jeśli oczywiście mówimy o trzech zabójstwach, do których doszło w trzech różnych miejscach i o różnych porach.

– Właśnie o nich mówimy.

– Gdyby tylko jedno z tych piór należało do edredona, uznałbym, iż trzeba rozważyć możliwość, że było tylko zanieczyszczeniem. Wie pani: metka mówi, że dany produkt to sto procent akrylu, a po dokładnym zbadaniu okazuje się, że akrylu jest dziewięćdziesiąt procent, a dziesięć to nylon.

Metki kłamią. Jeśli na przykład na maszynach znajdowały się kurtki nylonowe, to pierwsze swetry z akrylu produkowane zaraz potem zawierać będą zanieczyszczenia. Im więcej swetrów, tym procent zanieczyszczenia mniejszy.

– Innymi słowy - odezwałam się - jeśli ktoś nosi kurtkę albo ma kołdrę, do których w trakcie wytwarzania dostały się strzępki puchu edredona, prawdopodobieństwo, że ta kurtka lub kołdra przepuszcza jedynie puch edredona, jest bliskie zeru.

– Ma pani rację. Należy więc założyć, że przedmiot, o którym mowa, zawiera wyłącznie czysty puch edredona, co jest niezwykle dziwne. Zwykle w trakcie badań okazuje się, że puch pochodzi z kurtek, rękawiczek i kołder wypchanych piórami kurzymi, czasami gęsimi. Puch edredona to towar luksusowy. Produkty nim wypchane są zwykle bardzo szczelne i doskonale zrobione, a także niezwykle drogie.

– Czy kiedykolwiek przedtem miał pan do czynienia z puchem edredona w śledztwie?

– Nigdy.

– Dlaczego ten puch jest taki drogi?

– Po pierwsze, ze względu na właściwości izolacyjne, po drugie, ze względów estetycznych. Puch edredona jest śnieżnobiały, puch innych ptaków zwykle brzydy.

– Czy kupując będę wiedziała, że dany produkt wypchany jest puchem edredona, czy też na metce przeczytam raczej informację: „puch kaczy”?

– Jestem przekonany, że na metce przeczyta pani „sto procent puchu edredona”. Musi być coś, co usprawiedliwi cenę.

– Może pan sprawdzić dystrybutorów puchu?

– Jasne. Muszę jednak uprzedzić, że żaden dystrybutor nie zdoła stwierdzić, czy puch, który pani zebrała, pochodzi z ich oferty, jeśli nie dostarczy pani przedmiotu nim wypchanego. Niestety, samo pióro to za mało.

– Sama nie wiem - rzekłam. - Może jednak wystarczy.



W południe poszłam pieszo do miejsca, gdzie zaparkowałam samochód.

Wsiadłam i nastawiłam ogrzewanie na maksimum. Byłam blisko New Jersey Avenue... Zapięłam pasy, pobawiłam się radiem i sięgnęłam po telefon.

W ostatniej chwili zmieniłam zdanie. Szaleństwem było w ogóle myśleć o skontaktowaniu się z Gruemanem.

I tak go nie będzie, myślałam, biorąc wreszcie telefon do ręki.

– Grueman, słucham.

– Mówi doktor Scarpetta - rzekłam głośno, bo ogrzewanie szumiało.

– Witam. Właśnie o pani czytałem. Mam wrażenie, że dzwoni pani z samochodu.

– I nie myli się pan. Tak się składa, że jestem w Waszyngtonie.

– Pochlebia mi, że pomyślała pani o mnie, przejeżdżając przez moje skromne miasto.

– W pańskim mieście nie ma nic skromnego, panie Grueman, a ja nie dzwonię w celach towarzyskich. Wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać o Ronniem Joe Waddellu.

– Jak daleko jest pani od Law Center?

– Dziesięć minut drogi.

– Nie jadłem jeszcze lunchu, pani, jak przypuszczam, również. Czy odpowiadałoby pani, gdybym zamówił kanapki do biura?

– Jak najbardziej - odparłam.

Law Center usytuowany był o jakieś trzydzieści pięć przecznic od głównego campusu uniwersyteckiego. Pamiętałam swój zawód sprzed wielu lat, kiedy sobie uświadomiłam, że program zajęć nie przewiduje spacerów starymi ocienionymi uliczkami i wykładów w osiemnastowiecznych ceglanych budynkach. Zamiast tego miałam spędzić trzy długie lata w kompletnie pozbawionym uroku gmachu w najbardziej zatłoczonej dzielnicy Waszyngtonu.

Moje rozczarowanie wszakże nie trwało długo. Studiowanie prawa w cieniu Kapitolu było ekscytujące, nie wspominając już o wygodzie.

Ważniejsze chyba jednak było to, że wkrótce po rozpoczęciu studiów poznałam Marka.

Z pierwszych spotkań z Markiem Jamesem najlepiej pamiętam fizyczny wpływ, jaki miał na mnie. Na początku sam jego widok budził we mnie niepokój, aczkolwiek nie miałam pojęcia dlaczego. A kiedy już się poznaliśmy, w jego obecności moja krew szybciej płynęła, serce waliło i ku

swemu zaskoczeniu każdy jego gest, najbardziej nawet zwykły, odbierałam z niezwykłą ostrością. Prowadziliśmy jak w transie rozmowy, a nasze słowa były nie tyle częściami mowy, co nutami koncertu, który pewnej nocy doszedł do finału z oszałamiającą nieprzewidywalnością i siłą przypadku.

Od tamtych czasów Law Center rozrósł się i zmienił. Criminal Justice Clinic znajdowała się na trzecim piętrze. Kiedy wysiadłam z windy, w polu widzenia nie dostrzegłam żywego ducha, biura sprawiały wrażenie wymarłych.

W końcu trwał jeszcze okres świąteczny. Pokój 418 zastałam otwarty, za biurkiem sekretarki nikt nie siedział, drzwi do gabinetu Gruemana były uchylone.

Nie chciałam go wystraszyć, uprzedziłam więc o swoim nadejściu, wołając jego nazwisko. Nie odpowiedział.

– Panie Grueman, jest pan tu? - powtórzyłam, otwierając na oścież drzwi do gabinetu.

Na biurku wokół komputera panował straszliwy bałagan, na podłodze przy regałach z książkami wznosiły się stosy teczek i maszynopisów z procesów.

Na lewo od biurka stał stolik z drukarką i faksem, który właśnie wysyłał do kogoś wiadomość. Telefon zadzwonił trzy razy i umilkł. Okno za biurkiem było zasłonięte, prawdopodobnie po to, by osłabić padający na ekran blask; na parapecie leżała popękana i zniszczona aktówka z brązowej skóry.

– Przepraszam. - Głos za plecami sprawił, że o mało nie podskoczyłam. - Wyszedłem tylko na chwilę i miałem nadzieję, że uda mi się wrócić, zanim się pani pojawi.

Nicholas Grueman nie podał mi ręki ani nie przywitał się ze mną w żaden inny sposób. Zdawał się być bez reszty pochłonięty powrotem za

biurko, co czynił niezwykle wolno, podpierając się laską ze srebrną rączką.

– Zaproponowałbym pani kawę, tylko że nie ma Evelyn, więc nikt jej nie zaparzył - rzekł, sadowiac się w fotelu. - Ale zaraz przyniosą mi lunch, tam na pewno będzie coś do picia. Mam nadzieję, że cierpliwie pani poczeka.

Proszę usiąść, pani doktor. Denerwuję się, kiedy kobieta patrzy na mnie z góry.

Przysunęłam sobie krzesło, konstatuując ze zdumieniem, że Grueman w gruncie rzeczy wcale nie jest potworem, którego pamiętałam ze studiów.

Przede wszystkim wydawał mi się mniejszy, aczkolwiek przypuszczałam, że bardziej prawdopodobne jest to, że nabrał wymiarów góry Rushmore w mojej wyobraźni. Teraz widziałam przed sobą drobnego siwowłosego mężczyznę, którego twarz z upływem lat nabrała karykaturalnych rysów.

Nadal nosił muszki i kamizelki i palił fajkę, spojrzenie zaś miał ostre niczym skalpel. Jednakże nie wydało mi się zimne. Po prostu nic z jego oczu nie można było odczytać, tak samo jak z moich przez większość czasu.

– Dlaczego pan kuleje? - spytałam wprost.

– Podagra, choroba despotów - odrzekł bez uśmiechu. - Miewam ataki, ale proszę oszczędzić mi dobrych rad. Wy, lekarze, doprowadzacie mnie do szału wygłaszaniem opinii na każdy temat, od źle funkcjonującego krzesła elektrycznego do potraw i napojów, które powinienem wyłączyć ze swego mizernego jadłospisu.

– Krzesło elektryczne nie funkcjonowało źle- stwierdziłam. - W każdym razie nie w wypadku, do którego niewątpliwie robi pan aluzję.

– Nie może pani wiedzieć, na jaki temat robię aluzję. Wydaje mi się, że podczas jej krótkiego pobytu w tym miejscu musiałem nieraz zwracać pani uwagę z powodu niezwyklej skłonności do pochopnego przyjmowania

założeń. Szkoda, że pani mnie nie posłuchała. Inna sprawa, że w tym wypadku ma pani rację.

– Panie Grueman, pochlebia mi, że pamięta mnie pan ze studiów, ale nie przyszedłem tutaj, żeby wspominać ponure godziny spędzone na pańskich zajęciach. Nie jestem też tu, żeby bawić się w umysłowe gry wojenne, które najwyraźniej sprawiają panu szaloną przyjemność. A przy okazji, pozwól pan, że coś powiem. Jest pan najbardziej mizoginicznym i aroganckim profesorem, z jakim miałam do czynienia przez ponad trzydzieści lat spędzonych w szkołach różnego typu. I muszę panu podziękować za trening w sztuce radzenia sobie z draniami, ponieważ świat jest ich pełny, a ja stykam się z nimi codziennie.

– Nie wątpię, aczkolwiek jeszcze nie wiem, czy jest pani w tym dobra.

– Nie interesują mnie pańskie opinie na ten temat. Wolałabym, żeby opowiedział mi pan o Ronniem Joe Waddellu.

– Co chce pani wiedzieć poza oczywistym faktem, że ostateczny rezultat był nieprawidłowy? Czy odpowiadałoby pani, pani doktor, gdyby to od polityki zależało, czy zostanie pani skazana na śmierć? Proszę tylko spojrzeć na swoją obecną sytuację. Czyż ostatnie nieprzychylne pani artykuły przynajmniej w części nie są motywowane politycznie? Każda z zaangażowanych stron ma własne cele do osiągnięcia i korzyści do uzyskania z publicznego zdyskredytowania pani osoby. To nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością czy prawdą. Niech sobie pani wyobrazi, jak by to było, gdyby te same osoby posiadały moc pozbawienia pani wolności, a nawet życia. Wie pani, Ronnie został rozdarty na strzępy przez system tyleż nieracjonalny, co niesprawiedliwy. Nie robiło żadnej różnicy, na jakie precedensy się powoływałem, jakich praw żądałem w czasie procesu i apelacji.

Nie miało znaczenia, co mówiłem, ponieważ w tym wypadku w pani ukochanym stanie nakaz doprowadzenia aresztowanego do sądu nie służył jako środek zapobiegawczy, mający na celu zapewnienie, że sędziowie kolejnych instancji dołożą wszelkich starań, by rozprawy odbyły się w sposób zgodny z konstytucją. Boże broń, żeby w ewolucji naszego myślenia o pewnych obszarach prawa doszło do najmniejszego pogwałcenia konstytucji.

Przez te trzy lata, kiedy walczyłem o Ronniego, równie dobrze mogłem tańczyć jiga.

– O jakich pogwałceniach konstytucji pan mówi? - zapytałam.

– Zacznijmy od sprawy oczywistej, czyli od wykorzystania przez prokuratora prawa do powołania ławników w sposób wyraźnie rasowo dyskryminujący.

Pogwałcona została ustawa o równości, prokurator rażąco naruszył wynikające z Szóstej Poprawki prawo Ronniego do ławy przysięgłych, w skład której weszliby przedstawiciele wszystkich warstw społeczeństwa.

Nie przypuszczam, żeby była pani na procesie Ronniego, chyba też niewiele pani o nim wie, bo odbył się przed ponad dziewięćmiu laty, kiedy pani nie było w Wirginii. Miejscowa prasa aż huczała, lecz nie spowodowało to zmiany miejsca procesu. Ława przysięgłych składała się z ośmiu kobiet i czterech mężczyzn. Sześć kobiet i dwóch mężczyzn było białych.

Czworo czarnych to: sprzedawca samochodów, kasjerka bankowa, pielęgniarka i profesor w college'u. Z kolei wśród białych był emeryt, który Murzynów dalej nazywał czarnuchami, oraz bogata gospodyni domowa, która stykała się z nimi tylko wtedy, kiedy w dzienniku słyszała o kolejnym czarnym mordercy jakiegoś sąsiada. Skład ławy przysięgłych z góry wykluczał sprawiedliwy wyrok.

– Chce pan powiedzieć, że te czy inne nieprawidłowości w sprawie Waddella wynikają z polityki? Z jakich politycznych przyczyn komuś mogło zależeć na śmierci Waddella?

Grueman zerknął w stronę drzwi.

– O ile słuch mnie nie myli, nadchodzi nasz lunch.

Z korytarza dobiegły pośpieszne kroki i szelest papieru, później ktoś zawołał:

– Hej, Nick, jesteś tam?

– Wejdz, Joe - odparł Grueman nie podnosząc się z miejsca.

W drzwiach pojawił się młody, energiczny Murzyn z dwiema torbami.

– W tej są napoje, w tej dwie kanapki z rybą, sałatka ziemniaczana i pikle - oznajmił, kładąc je na biurku przed Gruemanem. - W sumie piętnaście czterdzieści.

– Reszta dla ciebie. Słuchaj, Joe, nigdy nie masz wakacji?

– Wiesz, jak to jest, człowieku. Ludzie nie przestają jeść. Muszę lecieć.

Grueman rozdzielił jedzenie i serwetki. Tymczasem ja rozpaczliwie próbowałam się zdecydować, co dalej robić. Jego zachowanie i słowa zbiły mnie z tropu. Nie znalazłam w nich nic podejrzanego, nic, co uderzyłoby mnie jako protekcjonalne lub nieszczerze.

– Jakie motywy polityczne? - zapytałam, odwijając kanapkę.

Otworzył piwo imbirowe i zdjął pokrywkę z pojemnika z sałatką.

– Kilka tygodni temu wydawało mi się, że być może uzyskam odpowiedź na to pytanie - rzekł. - Jednakże osobę, która mogła mi w tej kwestii pomóc, niespodziewanie znaleziono martwą w samochodzie. Jestem pewny, że wie pani, o kim mówię, pani doktor. Jennifer Deighton to jedna z pani spraw. Chociaż nie zostało to jeszcze formalnie potwierdzone, zasugerowano, że było to samobójstwo. Dla mnie data jej śmierci wydaje się godna uwagi, o ile nie przerażająca.

– Mam przez to rozumieć, że znał pan Jennifer Deighton? - zapytałam tak uprzejmie, jak tylko potrafiłam.

– I tak, i nie. Nigdy jej nie spotkałem, a nasze nieliczne rozmowy telefoniczne były krótkie. Skontaktowałem się z nią dopiero po śmierci Ronniego.

– Wnoszę z tego, że ona znała Waddella.

Grueman ugryzł kanapkę i sięgnął po piwo.

– Niewątpliwie się znali - rzekł. - Jak pewnie pani wie, panna Deighton prowadziła usługi horoskopowe, zajmowała się parapsychologią i temu podobnymi sprawami. Jakies osiem lat temu, kiedy Ronnie siedział w celi śmierci w Mecklenburgu, przypadkiem przeczytał jej ogłoszenie w gazecie.

Napisał do niej, początkowo w nadziei, że panna Deighton spojrzy w szklaną kulę, że tak to ujmę, i przepowie mu przyszłość. Sądzę, że chciał przede wszystkim się dowiedzieć, czy umrze na krześle elektrycznym. To częste zjawisko; więźniowie piszą do wróżbitów, chiromantów i pytają o przyszłość albo też zwracają się do duchownych z prośbą o modlitwy. Niezwykłe natomiast w wypadku Ronniego było to, że rozpoczął z panną Deighton intymną korespondencję, którą prowadzili nieprzerwanie, aż na kilka miesięcy przed jego śmiercią listy od niej nagle się urwały.

– Sądzi pan, że jej listy ktoś przechwytywał?

– Nie mam co do tego cienia wątpliwości. Kiedy rozmawiałem z nią przez telefon, stwierdziła, że nie przestała do niego pisać. Powiedziała też, że nie otrzymała od niego żadnego listu przez kilka ostatnich miesięcy. Podejrzewam, że jego listy także zostały przechwycone.

– Dlaczego skontaktował się pan z nią dopiero po egzekucji? - zapytałam zdziwiona.

– Wcześniej nie miałem pojęcia o jej istnieniu. Ronnie powiedział mi o niej dopiero w czasie naszej ostatniej rozmowy, która była chyba

najdziwniejszą rozmową, jaką kiedykolwiek przeprowadziłem z więźniem.
- Grueman odsunął kanapkę i wziął fajkę. - Nie wiem, czy jest pani tego świadoma, pani doktor, ale Ronnie ze mnie zrezygnował.

- Nie rozumiem.

- Ostatni raz rozmawiałem z nim na tydzień przed przewiezieniem go z Mecklenburga do Richmond. Oznajmił mi, że wie, iż wyrok śmierci zostanie wykonany, i żadne moje posunięcie nie jest w stanie tego zmienić. Powiedział, że sprawa toczy się tym torem od samego początku, a on pogodził się z nieuchronną śmiercią i woli, bym zaprzestał wszelkich działań.

Następnie zażądał, żebym więcej do niego nie dzwonił ani go nie odwiedzał.

- Ale nie zwolnił pana.

Grueman zapalił ubity w fajce tytoń i pociągnął.

- Nie, nie zwolnił, tylko nie chciał więcej mnie widzieć ani słyszeć.

- Już samo to powinno dać podstawę do zawieszenia egzekucji ze względu na wygaśnięcie kompetencji - powiedziałam.

- Próbowałem tego. Próbowałem wszystkiego od sprawy Hays przeciw Murphy'emu do Ojciec Nasz. Sąd wydał błyskotliwą decyzję, że Ronnie nie prosił o to, by egzekucja się odbyła. Stwierdził tylko, że czeka na śmierć.

Apelację oddalono.

- Jeśli nie miał pan kontaktu z Waddellem w trakcie kilku tygodni przed śmiercią, to skąd dowiedział się pan o Jennifer Deighton?

- Podczas tej ostatniej rozmowy Ronnie zwrócił się do mnie z trzema prośbami. Po pierwsze chciał, żebym doprowadził do opublikowania w prasie jego medytacji na kilka dni przed egzekucją. Dał mi rękopis, a ja załatwiłem sprawę z „Richmond Times-Dispatch”.

- Czytałam.

– Druga prośba brzmiała, cytuję: „Niech pan nie pozwoli, żeby coś stało się mojej przyjaciółce”. Zapytałem, kogo ma na myśli. Odpowiedział: „Jeśli jest pan dobrym człowiekiem, to się pan nią zaopiekuje. Ona nigdy nikogo nie skrzywdziła”. Podał mi jej nazwisko i zażądał, żebym skontaktowałem się z nią dopiero po jego śmierci. Miałem wtedy do niej zadzwonić i powiedzieć, jak wiele dla niego znaczyła. Naturalnie nie zastosowałem się do tej prośby. Próbowałem się z nią skontaktować natychmiast, ponieważ wiedziałem, że tracę Ronniego, a równocześnie czułem, że coś jest straszliwie nie w porządku. Liczyłem, że ona będzie mogła mi pomóc. Jeśli ze sobą korespondowali, może zdoła mnie oświecić.

– I udało się panu z nią skontaktować? - zapytałam; pamiętałam, że Marino mówił mi, iż Jennifer Deighton spędziła dwa tygodnie na Florydzie w okolicach święta Dziękczynienia.

– Nikt nie odbierał telefonu - odrzekł Grueman. - Próbowałem dość długo, potem jednak, szczerze mówiąc, ze względu na zbieżność w czasie sprawy sądowej, strasznego ataku podagry i świąt, zająłem się czymś innym.

Przypomniałem sobie o niej, kiedy Ronnie już nie żył, a mnie pozostało spełnić jego życzenie, by przekazać jej, jak wiele dla niego znaczyła i tak dalej.

– A podczas tych wcześniejszych prób - spytałam - nie zostawiał pan wiadomości w automatycznej sekretarce?

– Nie była włączona, co obecnie wydaje się zrozumiałe. Nie chciała wracać z wakacji i wysłuchiwać setek wiadomości od ludzi, którzy nie potrafią podjąć żadnej decyzji, dopóki nie poznają swego horoskopu. A gdyby zostawiła na sekretarce wiadomość, że wyjechała z miasta na dwa tygodnie, zaprosiłaby włamywaczy.

– Co się stało, kiedy w końcu pan ją złapał?

– Wyznała mi, że korespondowali przez osiem lat i że się kochali. Utrzymywała, że „prawda nigdy nie wyjdzie na jaw”. Spytałem ją, co to znaczy, ale nie chciała mi powiedzieć i po prostu odłożyła słuchawkę. Napisałem więc do niej list z prośbą o rozmowę.

– Kiedy pan napisał ten list?

– Zaraz, zaraz... Dzień po egzekucji, czyli czternastego grudnia.

– Odpowiedziała?

– Tak, i co ciekawe, faksem. Nie wiedziałem, że miała faks. Mój numer znajdował się na papierze listowym. Mam kopię jej faksu, jeśli chce go pani zobaczyć.

Pogrzebał w stosie grubych teczek na biurku, wyciągnął jedną, otworzył i podał mi kartkę papieru. Natychmiast go rozpoznałam. „Tak, będę współpracować - przeczytałam - ale jest za późno, za późno, za późno. Lepiej niech pan tu przyjedzie. Wszystko jest nie tak!”. Zastanawiałam się, jak Grueman by zareagował, gdyby wiedział, że treść wiadomości Jennifer Deighton odkrył już Neils Vanders dzięki wzmacniaczowi obrazu.

– Wie pan, o co jej chodziło? Na co było za późno i co było nie tak? - zapytałam.

– Bez wątplenia było za późno, by powstrzymać egzekucję Ronniego, skoro miała ona miejsce cztery dni wcześniej. Nie jestem pewny, co według niej było nie tak, pani doktor. Widzi pani, już od dłuższego czasu wyczuwałem, że w sprawie Ronniego jest jakiś zły aspekt. Nie zbliżyliśmy się nadmiernie do siebie i już samo to jest dziwne. Zwykle bywa odwrotnie.

Jestem jedynym sprzymierzeńcem w systemie, który pragnie ich śmierci, jedynym, który pracuje dla nich w systemie absolutnie im wrogim. Ale Ronnie był taki zamknięty wobec swego pierwszego obrońcy, że ten doszedł do wniosku, iż sprawa jest beznadziejna, i zrezygnował. Później, kiedy ja przejąłem sprawę, Ronnie już się nie zmienił. To było niezwykle

przygnębiające. Kiedy tylko zaczynało mi się wydawać, że zaczyna mi ufać, nagle wznosił się między nami mur. Ronnie milkł i dosłownie oblewał się potem.

– Sprawiał wrażenie przestraszonego?

– Przerażonego, zdesperowanego, niekiedy rozgniewanego.

– Sugeruje pan, że w jego sprawie mógł istnieć jakiś spisek, na temat którego zwierzył się przyjaciółce, może w jednym z listów?

– Nie mam pojęcia, co wiedziała Jennifer Deighton, podejrzewam wszakże, że coś wiedziała.

– Czy Ronnie nazywał ją „Jenny”?

Grueman sięgnął po zapalniczkę.

– Tak.

– Czy kiedykolwiek wspominał przy panu powieść zatytułowaną „Paryski pstrąg”?

– To ciekawe - na jego twarzy malowało się zaskoczenie. - Od dawna o tym nie myślałem, ale rzeczywiście, podczas jednej z moich wczesnych sesji z Ronniem przed kilku laty rozmawialiśmy o książkach i jego poezji.

Lubił czytać i powiedział, że powinienem przeczytać „Paryskiego pstrąga”.

Odparłem, że już to czytałem, chciałem jednak wiedzieć, dlaczego mi poleca tę powieść. „Bo w ten właśnie sposób to działa” - powiedział bardzo cicho. „A panu w żadnym razie nie uda się nic zmienić”. Wówczas odczytałem sens jego słów następująco: że jest Murzynem z południa, który ma przeciwko sobie system ustalony przez białego, żadne precedensy sądowe lub inne magiczne sztuczki zastosowane przeze mnie w trakcie procesu rewizyjnego nie zdołają odmienić jego losu.

– Dalej pan tak to interpretuje?

Wpatrywał się z namysłem w obłok pachnącego dymu.

– Tak. Dlaczego interesuje panią lista lektur Ronniego?

– Jennifer Deighton miała tę powieść na stoliku przy łóżku. W środku był wiersz, który jak przypuszczam, napisał dla niej Waddell. To nic ważnego.

Byłam tylko ciekawa.

– Ależ to jest ważne, inaczej by pani o to nie pytała. Przypuszcza pani, że Ronnie może polecił tę powieść pannie Deighton z tych samych powodów, z jakich polecił ją mnie. Według niego była to w jakimś sensie historia jego życia. A to prowadzi nas z powrotem do pytania, na ile zwierzył się swej przyjaciółce. Innymi słowy, jakie jego sekrety zabrała ze sobą do grobu?

– A według pana co to było, panie Grueman?

– Jestem przekonany, że zatajono jakąś nieprzyjemną sprawę i że jakimś cudem Ronnie o tym wiedział. Może jest to związane z tym, co dzieje się za kratkami, z korupcją w systemie więziennym. Nie wiem, choć bardzo chciałbym wiedzieć.

– Czemu jednak ukrywać cokolwiek, skoro stoi się w obliczu śmierci?

Dlaczego nie skorzystać z szansy i o wszystkim głośno nie powiedzieć?

– Niewątpliwie byłoby to zachowanie jak najbardziej racjonalne, prawda?

Teraz, kiedy cierpliwie i obszernie odpowiedziałem na wszystkie pani pytania, może lepiej pani rozumie, dlaczego niepokoiłem się możliwością, czy Ronnie przed egzekucją nie doznał jakichś obrażeń. Lepiej pani zrozumie, dlaczego z taką pasją sprzeciwiam się karze śmierci, która jest nad miarę okrutna. Nie trzeba mieć siniaków, otarć czy krwotoków z nosa, by ją taką uczynić.

– Nie było dowodów przemocy fizycznej - rzekłam. - Nie znaleźliśmy także śladów narkotyków. Musiał pan dostać mój raport.

– Unika pani istoty rzeczy - stwierdził Grueman, opróżniając fajkę. - Jest pani tutaj dzisiaj, ponieważ czegoś pani ode mnie chce. Wiele już pani powiedziałem w trakcie naszej rozmowy, na którą wcale nie musiałem przystać.

Uczyniłem to jednak chętnie, bowiem zawsze dążę do sprawiedliwości i prawdy, wbrew temu, co może pani o mnie sądzić. Jest jeszcze jeden powód: moja była studentka ma kłopoty.

– Jeśli mówi pan o mnie, to pozwoli pan, że przypomnę jego własne słowa:

„Proszę nie czynić pochopnych założeń”.

– Nie sądzę, żeby tak było.

– W takim razie muszę stwierdzić, iż pańska rzekoma dobroczynność względem dawnej studentki obudziła we mnie palącą ciekawość. Prawdę mówiąc, słowo „dobroczynność” nigdy nie kojarzyło mi się z panem.

– Może dlatego, że nie zna pani jego prawdziwego znaczenia. To uczynek motywowany uczuciem lub dobrą wolą, rozdawanie jałmużny ubogim.

Dobroczynność to dawanie innym tego, czego potrzebują. Ja zawsze dawałem pani to, co było pani potrzebne, zarówno kiedyś, jak i teraz, jedynie w innej formie, ale też i potrzeby się zmieniły. Jestem stary, prawdopodobnie sądzi pani, że nie pamiętam jej z czasów studiów w Georgetown. Byłaby jednak pani zaskoczona, jak dokładnie wszystko pamiętam, a to dlatego, że należała pani do moich najbardziej obiecujących studentów. Nie potrzebowała pani ode mnie pochwał i pieśczoł. Niebezpieczeństwo nie polegało na tym, że straci pani wiarę w siebie i swój wspaniały umysł, lecz że straci siebie. Sądzi pani, że kiedy na moich zajęciach wyglądała na wyczerpaną i roztargnioną, nie orientowałem się, jaka jest tego przyczyna? Sądzi pani, że nie zdawałem sobie sprawy z pani

oczarowania osobą Marka Jamesa, w porównaniu z panią przeciętniaka? A jeśli sprawiałem wrażenie rozgniewanego na panią i źle ją traktowałem, to chodziło mi tylko o to, by zwrócić na siebie pani uwagę. Chciałem, żeby pani wpadła w złość. Chciałem, żeby żyła pani prawem, zamiast oddawać się miłości. Obawiałem się, że może pani stracić niezwykłą szansę, ponieważ władzę nad nią zyskają hormony i uczucia. A jest tak, że pewnego dnia żałujemy takich decyzji.

Budzimy się w pustym łóżku u progu pustego dnia, nic nas już nie czeka poza pustymi tygodniami, miesiącami i latami, z których składa się cała nasza przyszłość. Byłem gotów zrobić wszystko, żeby pani nie zmarnowała talentu i swojej siły.

Wpatrywałam się w niego zaskoczona. Czułam, że twarz mi płonie.

– Moje obelgi i brak rycerskości względem pani nigdy nie były szczerze - ciągnął z tym samym spokojem i precyzją, które sprawiały, że na sali sądowej budził przerażenie. - To była taktyka. My, prawnicy, znani jesteśmy z tego właśnie. To jak zmiany kierunku i prędkości toru w rzutach piłką;

stosujemy je, żeby osiągnąć zamierzony rezultat. U podstawy wszystkiego, czym jestem, leży szczerze pragnienie, by uczynić moich studentów twardymi i odpornymi na ciosy, by mogli odmienić ten spartaczony świat. Pani nie przyniosła mi rozczarowania. Jest pani jedną z moich najjaśniejszych gwiazd.

– Dlaczego pan mi to wszystko mówi? - zapytałam.

– Ponieważ w okresie, jaki pani teraz przeżywa, jest to pani potrzebne.

Ma pani kłopoty, jak już mówiłem, tylko duma nie pozwala się pani do tego przyznać.

Milczałam.

– Pomogę pani, jeśli pani mi pozwoli.

Jeśli mówi prawdę, powinnam zrewanżować się mu tym samym. Zerknęłam na otwarte drzwi i wyobraziłam sobie, z jaką łatwością każdy mógłby tu wejść, jak prosto i szybko poradziłby sobie z kulejącym starcem na parkingu.

– Gdyby te obraźliwe artykuły nadal ukazywały się w prasie, powinna pani opracować kilka strategii...

– Panie Grueman - przerwałam - kiedy po raz ostatni widział pan Ronniego Joe Waddella?

Zamyślił się, wpatrzony w sufit.

– Po raz ostatni spotkałem się z nim twarzą w twarz co najmniej rok temu.

Rozmawialiśmy zwykle przez telefon. Byłbym mu towarzyszył do końca, gdyby mi pozwolił, jak już wspominałem.

– Czyli nie widział go pan ani z nim nie rozmawiał, kiedy przypuszczalnie oczekiwał na Spring Street na egzekucję?

– Przypuszczalnie?

– Nie mamy pewności, że to Waddella stracono wieczorem trzynastego grudnia.

Spojrzał na mnie, zdziwiony.

– Nie mówi pani poważnie.

Wyjaśniłam mu wszystko, łącznie z tym, że Jennifer Deighton została zamordowana i że z krzesła w jej jadalni zdjęto odcisk palca Waddella.

Opowiedziałam o Eddiem Heasie i Susan Story oraz dowodach wskazujących na to, że ktoś dokonał zmian w AFIS-ie.

– Mój Boże - mruknął, kiedy skończyłam.

– Nie znaleziono pańskiego listu do Jennifer Deighton - podjęłam. - Podczas przeszukania w jej domu policja nie trafiła też na faks, który do pana wysłała. Być może ktoś je zabrał. Może zabójca spalił je w kominku w

noc zabójstwa. A może panna Deighton dała je komuś na przechowanie, ponieważ się bała. Jestem przekonana, że zginęła, ponieważ coś wiedziała.

– I dlatego też zamordowano Susan Story? Ponieważ ona także coś wiedziała?

– Nie można tego wykluczyć - odparłam. - Chodzi mi o to, że na razie dwoje ludzi związanych w taki czy inny sposób z Ronniem Waddellem zostało zamordowanych. Jako ktoś, kto wiele może wiedzieć o Waddellu, pan na tej liście zajmuje wysoką pozycję.

– Uważa pani, że mogę być następny - rzekł z ironicznym uśmiechem. - Wie pani, chyba największą pretensją do Wszchemogącego mam o to, że różnica między życiem a śmiercią tak często zależy od czasu. Dziękuję za ostrzeżenie, pani doktor, aczkolwiek nie jestem taki głupi, żeby sądzić, że jeśli ktoś naprawdę zechce mnie zastrzelić, uda mi się wymknąć.

– Przynajmniej niech pan spróbuje - powiedziałam. - Może pan przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

– To na pewno uczynię.

– Może mógłby pan wyjechać z żoną na wakacje, na jakiś czas opuścić miasto.

– Beverly umarła trzy lata temu.

– Tak mi przykro, panie Grueman.

– Nie czuła się dobrze od wielu lat, w gruncie rzeczy chorowała przez większość czasu, jaki spędziliśmy wspólnie. Nie mam już nikogo, kim mógłbym się opiekować, folguję więc bez umiaru swoim skłonnościom.

Jestem nieuleczalnym pracoholikiem, który chce zmienić świat.

– Podejrzewam, że jeśli komuś może się to choć w części udać, to właśnie panu.

– Jest to opinia nie poparta żadnymi faktami, ale i tak za nią dziękuję.

Pragnę też wyrazić swój głęboki smutek z powodu śmierci Marka. Nie znałem go zbyt dobrze, ale wydawał się porządnym człowiekiem.

– Dziękuję panu.

Wstałam i włożyłam płaszcz. Chwilę zajęło mi odszukanie kluczyków.

Grueman także się podniósł.

– Co dalej robimy, pani doktor?

– Nie sądzę, by miał pan jakieś listy lub inne przedmioty należące do Ronniego Waddella, na których warto by sprawdzić odciski palców?

– Listów nie mam, a wszelkie dokumenty, które podpisywał, przeszły przez wiele rąk. Ale może pani spróbować.

– Dam panu znać, jeśli nie znajdziemy innego tropu. Chcę jeszcze o jedno pana zapytać. - Staliśmy w progu, Grueman opierał się na lasce.

– Wspomniał pan, że podczas ostatniej rozmowy Waddell miał do pana trzy prośby. Jedna dotyczyła opublikowania jego medytacji, druga rozmowy z Jennifer Deighton. A trzecia?

– Chciał, żebym na egzekucję zaprosił gubernatora Norringa.

– I zaprosił pan?

– Naturalnie - rzekł Grueman. - A pani szanowny gubernator nie okazał się grzeczny choćby na tyle, by odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Było późne popołudnie, kiedy zadzwoniłam do Rose.

– Pani doktor, gdzie pani jest? - W głosie sekretarki brzmiało rozgorączkowanie.

– W samochodzie?

– Tak. Od centrum dzieli mnie jakieś pięć minut.

– Proszę jechać dalej, w żadnym razie niech pani nie zjawia się w biurze.

– Co takiego?

– Porucznik Marino próbuje panią złapać. Powiedział, że jeśli będę z panią rozmawiała, mam pani przekazać, że zanim pani cokolwiek zrobi, niech się pani najpierw z nim skontaktuje. To niezwykle pilne.

– Na litość boską, Rose, o czym ty mówisz?

– Słuchała pani wiadomości? Czytała popołudniową prasę?

– Cały dzień byłam w Waszyngtonie. Co się stało?

– Dzisiaj po południu znaleziono martwego Franka Donahue.

– Dyrektora więzienia?

– Tak.

Zacisnęłam palce na kierownicy.

– Jak to się stało?

– Został zastrzelony. Kilka godzin temu znaleziono go w samochodzie.

Tak samo jak Susan.

– Jadę - rzekłam, skręcając na lewy pas i przyśpieszając.

– Naprawdę nie powinna pani. Fielding już się nim zajął. Proszę zadzwonić do Marino. Powinna też pani przeczytać wieczorną prasę. Wiedzą o pociskach.

– Wiedzą? Kto?

– Dziennikarze. Wiedzą o pociskach łączących sprawy Eddiego Heatha i Susan Story.

Zadzwoiłam na pager Marino i powiedziałam, że jestem w drodze do domu. Zaparkowawszy w garażu, poszłam prosto na ganek po wieczorną prasę.

Na pierwszej stronie uśmiechał się z fotografii Frank Donahue. Nagłówek głosił: **Dyrektor więzienia stanowego zamordowany**. Na dole umieszczono artykuł poświęcony innemu pracownikowi stanowemu:

mnie. Z artykułu wynikało, że pociski wyjęte z ciał Heatha i Susan wystrzelono z tej samej broni, a wiele śladów wskazywało na związek tych morderstw z moją osobą.

Oszołomiona, czytałam, że moje odciski palców zdjęto z koperty zawierającej gotówkę, którą policja znalazła w domu Susan Story. Że wykazałam niezwykle zainteresowanie sprawą Eddiego Heatha, pojawiając się w szpitalu Henrico, by jeszcze przed śmiercią chłopca zbadać jego rany; później przeprowadziłam sekcję zwłok. To wtedy Susan sprzeciwiła się wpisaniu swego nazwiska na listę świadków i przypuszczalnie uciekła z kostnicy.

Kiedy w niecałe dwa tygodnie później została zamordowana, zjawiłam się na miejscu zbrodni, skąd bez uprzedzenia udałam się do domu jej rodziców, by ich przesłuchać, po czym nalegałam na swoją obecność przy sekcji.

Nie oskarżano mnie wprost o nic, ale sugestie były jednoznaczne. Prawdopodobnie popełniałam poważne błędy w pracy. Zaniedbałam zdjęcia odcisków palców Ronniego Joe Waddella, kiedy jego ciało przywieziono po egzekucji do kostnicy. Niedawno zostawiłam ciało ofiary zabójstwa przed windą używaną przez wielu ludzi pracujących w budynku, tym samym

podważając wiarygodność dowodów. Scharakteryzowano mnie jako osobę zamkniętą i nieprzewidywalną; koledzy twierdzili, że zaczęłam się zmieniać po śmierci mojego ukochanego Marka Jamesa. Być może Susan, która blisko ze mną współpracowała, wiedziała coś, co mogło zrujnować moją karierę. Być może płaciłam za jej milczenie.

– Moje odciski palców? - zapytałam Marino, kiedy tylko stanął w progu.

- Cóż to za idiotyzmy z moimi odciskami palców?

– Spokojnie, doktorko.

– Niewykluczone, że tym razem oddam sprawę do sądu. To już zaszło za daleko.

– Nie sądzę, żebyś kogokolwiek podała do sądu.

Wyjął z kieszeni papierosy i poszedł za mną do kuchni, gdzie na stole leżała rozłożona wieczorna gazeta.

– Za tym wszystkim stoi Ben Stevens...

– Duktorko, chyba powinnaś mnie wysłuchać...

– ...on jest źródłem przecieku o pociskach i...

– Cholera, doktorko, zamknij się.

Usiadłam na krześle.

– Mój tyłek też jest w ogniu - powiedział Marino. - Od lat pracuję z tobą, a tu nagle okazuje się, że jesteś zamieszana. Tak, znaleźliśmy w domu Susan kopertę. Leżała w szufladzie komody, pod ubraniami. W środku były trzy studolarowe banknoty. Vander sprawdził kopertę i znalazł kilka odcisków.

Dwa z nich należą do ciebie. Twoje odciski, tak samo jak moje oraz innych oficerów dochodzeniowych, znajdują się w AFIS-ie. Chodzi o to, żeby można było nas wykluczyć, gdybyśmy przypadkiem z głupoty dotknęli czegoś na miejscu zbrodni.

– Nie dotykam niczego na miejscu zbrodni. Musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie, po prostu musi. Może miałam tę kopertę w ręku w biurze albo w kostnicy, a Susan wzięła ją sobie do domu.

– To nie jest koperta biurowa, co do tego nie ma wątpliwości - rzekł Marino.

– Jest ponad dwa razy większa i zrobiona z czarnego błyszczącego papieru. Nie ma na niej żadnego nadruku.

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– Szal, który jej dałam.

– Jaki szal?

– Na Boże Narodzenie dałam jej w prezencie czerwony jedwabny szal, który kupiłam w San Francisco. Opisałeś właśnie kopertę, w której się znajdował. Zamykała się na mały złoty zamek. Sama pakowałam prezent, więc nic dziwnego, że są na nim moje odciski.

– A te trzysta dolarów? - zapytał unikając mojego wzroku.

– Nic nie wiem o żadnych pieniądzach.

– Chodzi o to, czemu były w kopercie, którą jej dałaś?

– Może chciała je ukryć, a koperta do tego celu doskonale się nadawała.

Może nie chciała jej wyrzucać. Nie wiem. Nie miałam wpływu na to, co zrobiła z rzeczą, którą ode mnie dostała.

– Czy ktoś widział, jak dawałaś jej szal?

– Nie, jej męża nie było wtedy w domu.

– No cóż, najwyraźniej wszyscy wiedzą tylko o gwiazdce betlejemskiej.

Wygląda na to, że Susan nikomu nie wspomniała o szalu.

– Na litość boską, miała go na sobie, kiedy ją zastrzelono, Marino.

– To nie mówi nam nic o jego pochodzeniu.

– Za chwilę zaczniesz mnie oskarżać - warknęłam.

– O nic cię nie oskarżam. Nie rozumiesz? Ale tak to się układa, cholera jasna.

Mam cię przytulić i pogłaskać? Wolisz, żeby inny gliniarz cię przesłuchiwał?

Wstał i zaczął krążyć po kuchni. Ręce trzymał w kieszeni, wzrok miał utkwiony w podłogę.

– Opowiedz mi o Donahue - powiedziałam cicho.

– Zastrzelono go w samochodzie, prawdopodobnie dzisiaj wczesnym rankiem. Jego żona twierdzi, że wyszedł z domu około szóstej piętnaście.

Po wpół do drugiej po południu znaleziono jego thunderbirda, z nim w środku, zaparkowanego przy Deep Water Terminal.

– Tyle przeczytałam w gazecie.

– Im mniej będziemy o tym rozmawiać, tym lepiej.

– Dlaczego? Czyżby dziennikarze zamierzali oskarżyć mnie o to morderstwo?

– Gdzie byłaś o szóstej piętnaście rano, doktorko?

– Wychodziłam z domu, żeby jechać do Waszyngtonu.

– Masz świadka, kogoś, kto potwierdzi, że nie mogłaś w tym czasie być koło Deep Water Terminal? To całkiem blisko twojego biura. Jakies dwie minuty samochodem.

– Cóż za absurd!

– Lepiej zacznij się przyzwyczajać. To tylko początek. Poczekaj, jak Patterson weźmie cię na kiel.

Zanim Roy Patterson wysunął swoją kandydaturę na prokuratora okręgowego, był jednym z bardziej walecznych i egotycznych adwokatów kryminalnych w mieście. W tamtych czasach moje wystąpienia w sądzie nigdy nie przypadły mu do gustu, w większości spraw bowiem zeznania

patologa nie uosabiają przychylniej ławy przysięgłych względem oskarżonego.

– Mówiłem ci już, jak bardzo Patterson cię nienawidzi? - ciągnął Marino. - Wprawiałaś go w zakłopotanie, kiedy był obrońcą. Siedziałaś spokojna jak kot w tych swoich eleganckich kostiumach i robiłaś z niego idiotę.

– Sam z siebie robił idiotę. Ja tylko odpowiadałam na jego pytania.

– Nie wspomnę już nawet, że twój stary przyjaciel Bill Boltz to jeden z jego najbliższych kumpli. Nie muszę chyba wchodzić w szczegóły.

– Lepiej tego nie rób.

– Wiem, że Patterson ostrzy na ciebie zęby. Założę się, że jest teraz szczęśliwy.

– Marino, jesteś czerwony jak burak. Na litość boską, wolałabym, żebyś nie miał wylewu u mnie w domu.

– Wróćmy do szala, który, jak powiedziałaś, dałaś Susan.

– Jak powiedziałaś?

– Jak nazywał się sklep w San Francisco, w którym go kupiłaś?

– To nie był sklep.

Spojrzał na mnie z ukosa, nie przerywając swej wędrówki.

– To był uliczny targ. Mnóstwo straganów i kramów z ręcznymi wyrobami i przedmiotami artystycznymi. Jak Covent Garden - wyjaśniłam.

– Dostałaś paragon?

– Nie miałabym żadnego powodu, by go zachować.

– Więc nie znasz nazwy kramu czy co to tam było. Nie udowodnisz, że kupiłaś szal od jakiegoś artysty, który używa błyszczących czarnych kopert.

– Nie.

Zatrzymał się przy oknie. Tarczę księżyca przysłoniły chmury; ciemne sylwetki drzew kołysały się na wietrze. Wstałam, żeby opuścić rolety.

– Doktorko, muszę sprawdzić stan twoich finansów.

Nic nie powiedziałam.

– Muszę się przekonać, czy ostatnio nie dokonywałaś żadnych wysokich wypłat.

Milczałam.

– Nie dokonywałaś, prawda, doktorko?

Czułam, jak serce mi wali.

– Musisz zwrócić się do mojego adwokata - rzekłam.

Po wyjściu Marino poszłam na górę, gdzie w cedrowej szafie trzymałam prywatne dokumenty, i zaczęłam układać w stos wydruki z banku, dokumenty podatkowe i inne finansowe papiery. Myślałam o wszystkich adwokatach w Richmond, którym prawdopodobnie wielką radość sprawi moje aresztowanie lub odsunięcie od pracy.

Siedziałam w kuchni i robiłam notatki, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Byli to Benton i Lucy. Z ich milczenia natychmiast wywnioskowałam, że nie muszę o niczym mówić.

– Gdzie jest Connie? - zapytałam z niepokojem.

– Spędzi Nowy Rok u swojej rodziny w Charlottesville.

– Idę do twojego gabinetu, ciociu - oznajmiła Lucy, nie przytulając się do mnie ani uśmiechając. Wyszła z walizką w rękę.

– Marino chce sprawdzić stan moich finansów - rzekłam do Wesleya, prowadząc go do salonu. - Ben Stevens to wszystko zaplanował. Z biura zniknęły dokumenty osobowe i kopie korespondencji i on ma nadzieję, że wszyscy uznają, że to ja je wzięłam. A Roy Patterson, według Marino, jest obecnie szczęśliwym człowiekiem. Takie są najnowsze wiadomości.

– Gdzie trzymasz szkocką?

– Dobre alkohole trzymam w tamtej szafce. Szklanki są w barku - odparłam i zabrałam się do rozpalania ognia w kominku.

– Po drodze zadzwoniłem do twojego zastępcy. Balistycy już zajęli się kulami z głowy Donahue. Pocisk ołowiany, bez osłonki, kaliber dwadzieścia dwa. Jeden pocisk przeszedł przez policzek do czaszki, drugi trafił w potylicę.

– Wystrzelone z tej samej broni co w poprzednich dwóch morderstwach?

– Tak. Chcesz lodu?

– Proszę. - Zasunęłam ekran kominka i wstawiłam pogrzebacz do stojaka.

– Nie przypuszczam, żeby na miejscu zbrodni lub zwłokach Donahue znaleziono jakieś pióra.

– Nic o tym nie wiem. Nie ulega wątpliwości, że napastnik stał koło samochodu i zastrzelił Donahue przez otwarte okno po stronie kierowcy. Co wcale nie znaczy, że wcześniej nie siedział z nim w samochodzie, choć nie przypuszczam. Według mnie Donahue miał się z kimś spotkać na parkingu przy Deep Water Terminal. Kiedy ta osoba się pojawiła, Donahue otworzył okno i dostał w głowę. - Podał mi szklaneczkę i usadowił się na sofie. - Jak ci się powiodło z Downeyem?

– Pióra i ich części znalezione w tych trzech sprawach pochodzą od edredona.

– Kaczki morskiej? - Wesley zmarszczył brwi. - Puchu używa się do czego?

Kurtek narciarskich, rękawic?

– Rzadko. Puch edredona jest niezwykle kosztowny. Przeciętny człowiek raczej nie ma żadnej rzeczy z takim puchem.

Opowiedziałam dokładnie, co robiłam tego dnia, nie szczędząc szczegółów z godzin spędzonych z Nicholasem Gruemanem. Stwierdziłam, że nie wierzę, by wplątany był w jakieś złe sprawy.

– Cieszę się, że się z nim spotkałaś - rzekł Wesley. - Miałem nadzieję, że się zdecydujesz.

– Jesteś zaskoczony tym, co mi powiedział?

– Nie, to logiczne. Kłopotliwa sytuacja Gruemana w pewnym sensie przypomina twoją. Dostaje faks od Jennifer Deighton, który wydaje mu się podejrzany, tak jak podejrzane jest to, że twoje odciski palców znaleziono na kopercie w komodzie Susan. Kiedy przemoc uderza blisko ciebie, zostajesz ochlapana.

– W moim przypadku to więcej niż ochłapanie. Mam wrażenie, że tonę.

– Obecnie rzeczywiście tak to wygląda. Może powinnaś porozmawiać o tym z Gruemanem.

Nie odpowiedziałam.

– Chcę go mieć po naszej stronie.

– Nie wiedziałam, że go znasz.

Mosiężna krata kominka połyskiwała w świetle płomieni. Polana podskakiwała, strzelając kłębami iskier.

– Wiem sporo o Gruemanie - rzekł Wesley. - Skończył prawo w Harvardzie z pierwszą lokatą, był wydawcą „Law Review”; zaproponowano mu pozostanie na uczelni, lecz odrzucił tę propozycję. Jego żona, Beverly, nie chciała wyprowadzać się z Waszyngtonu. Niewątpliwie miała sporo problemów, z których wcale nie najmniejszy dotyczył jej córki z pierwszego małżeństwa. Dziewczyna była w szpitalu dla psychicznie chorych w czasie, kiedy Grueman i Beverly się poznali. Tak więc on przeprowadził się do Waszyngtonu. Córka kilka lat później zmarła.

– Widzę, że zrobiłaś dokładny wywiad środowiskowy na jego temat - stwierdziłam.

– Można tak to ująć.

– Kiedy?

– Kiedy się dowiedziałem, że dostał faks od Jennifer Deighton. Wszystko wskazuje na to, że jest czysty, ale ktoś musiał z nim porozmawiać.

– Ale to nie jedyny powód, dla którego mi to sugerowałeś, prawda?

– Bardzo ważny powód, aczkolwiek rzeczywiście nie jedyny. Uważałem, że powinnaś wyjaśnić sobie z nim pewne sprawy z przeszłości.

Wzięłam głęboki oddech.

– Dziękuję, Bentonie. Jesteś dobrym człowiekiem.

Uniósł szklankę do ust, wpatrzony w ogień.

– Tylko proszę, nie wtrącaj się - dodałam.

– To nie w moim stylu.

– Ależ tak. Jesteś w tym doskonały. Jeśli chcesz zza kulis cicho kimś sterować, wiesz, jak to zrobić. Wiesz, jak rzucić pod nogi tyle kłód, jak wysadzić tyle mostów, że osoba taka jak ja będzie miała szczęście, jeśli znajdzie drogę do domu.

– Marino i ja bierzemy w tym udział, Kay. Wydział Policji w Richmond jest w to wmieszany, tak samo FBI. Albo po mieście grasuje psychopata, który powinien być zostać stracony na krześle elektrycznym, albo też mamy kogoś, kto chce, byśmy w to uwierzyli.

– Marino nie chce, bym brała udział w śledztwie.

– Znalazł się w trudnym położeniu. Jest szefem wydziału zabójstw i członkiem specjalnego zespołu FBI, a równocześnie twoim współpracownikiem i przyjacielem. Powinien wygrzebać wszelkie możliwe informacje na temat twego życia osobistego i zawodowego, a równocześnie instynktownie pragnie cię chronić. Spróbuj postawić się w jego sytuacji.

– Na pewno to zrobię, ale on też musi postawić się w mojej.

– To zasadne żądanie.

– Z jego słów wynika, że połowa świata prowadzi przeciwko mnie wendetę i z wielką przyjemnością zobaczy, jak płonę.

– Może nie połowa świata, aczkolwiek są ludzie poza Benem Stevenssem, którzy ustawią się wokół z benzyną i zapalkami.

– Kto mianowicie?

– Nie podam ci nazwisk, bo ich nie znam. Nie zamierzam twierdzić, że zrujnowanie twojej kariery jest głównym celem osobnika, który w tej sprawie pociąga za sznurki, ale podejrzewam, że to jeden z istotnych elementów gry; w końcu wszelkie dowody zebrane w tych sprawach okażą się niepewne, jeśli uda się stworzyć wrażenie, że twoje biuro nie działało jak należy. Nie wspomnę już o tym, że stan straci jednego z najlepszych biegłych sądowych. - Spojrzał mi w oczy. - Zastanów się, ile obecnie warte by były twoje zeznania w sądzie. Gdybyś w tej chwili stanęła na sali sądowej, pomogłabyś czy raczej zaszkodziła Eddiemu Heathowi?

Ta uwaga dotknęła mnie do żywego.

– W tej chwili niewiele bym mu pomogła. Ale czy bardzo pomogę jemu lub komukolwiek innemu, jeśli w ogóle nie pojawię się w sądzie?

– To dobre pytanie. Marino chce oszczędzić ci przykrości, Kay.

– W takim razie możesz go przekonać, że jedyna logiczna reakcja na tę nielogiczną sytuację to pozwolić mi zająć się moją pracą, podczas gdy on zajmie się swoją.

– Mogę jeszcze?

Wesley wstał i poszedł po butelkę. Tym razem nie zawracaliśmy sobie głowy lodem.

– Bentonie, porozmawiajmy o zabójcy. W kontekście tego, co zdarzyło się z Donahue, co teraz myślisz?

Odstawił butelkę i podszedł do kominka. Przez chwilę stał przy ogniu plecami do mnie, ręce trzymał w kieszeniach. Później usiadł na skraju

paleniska, łokcie opierając na kolanach. Tak niespokojnego nie widziałam go od dawna.

– Jeśli chcesz znać prawdę, Kay, to to zwierzę budzi we mnie śmiertelny strach.

– Czym różni się od innych morderców, których ścigałeś?

– Sądzę, że zaczął z jednym zestawem zasad, a potem je zmienił.

– Sam je ustalał czy ktoś inny?

– Wydaje mi się, że na początku ktoś inny. Ten, kto stał za spiskiem mającym na celu uwolnienie Waddella, podejmował decyzje. Teraz jednak nasz sprawca ma swoje własne zasady, choć chyba powinienem powiedzieć, że nie ma ich wcale. Jest sprytny i ostrożny.

– Co sądzisz o motywach? - spytałam.

– Trudne pytanie. Może raczej należałoby to ujmować w kategoriach misji lub zlecenia. Podejrzewam, że w jego szaleństwie jest metoda, ale to szaleństwo wyraźnie go podnieca. Ekscytuje go zabawa z ludzkimi umysłami.

Waddell siedział w więzieniu przez ponad dziesięć lat, aż tu nagle koszmar jego zbrodni powraca. W wieczór jego egzekucji zamordowany zostaje chłopiec, i to w sposób, który przypomina morderstwo popełnione na Robyn Naismith. Giną kolejni ludzie związani z Waddellem. Jennifer Deighton to jego przyjaciółka. Susan, jak się wydaje, uczestniczyła w tym spisku. Frank Donahue był dyrektorem więzienia i nadzorował egzekucję, która odbyła się trzynastego grudnia. Co to oznacza dla pozostałych graczy?

– Według mnie każdy, kto miał styczność z Ronniem Waddellem, jest poważnie zagrożony - odrzekłam.

– Racja. Jeśli na wolności jest zabójca policjantów, a ty jesteś policjantem, wiesz, że możesz być następny. Dziś wieczorem za progiem

twojego domu ten facet może czekać na mnie. Może jedzie samochodem, wypatrując Marino lub szukając mojego domu. Może snuje fantazje na temat zabicia Gruemana.

– Albo mnie.

Wesley wstał i znowu zaczął grzebać w ogniu.

– Jak sądzisz, powinnam odesłać Lucy do Miami? - zapytałam.

– Chryste, Kay, nie wiem, co ci powiedzieć. Ona nie chce wracać do domu, nie musi nawet tego mówić. Pewnie poczułabyś się lepiej, gdyby dziś wieczorem wsiadła do samolotu na Florydę. Skoro już o tym mowa, ja poczułbym się lepiej, gdybyś ty z nią poleciała. Po prawdzie wszyscy - ty, Marino, Grueman, Vander, Connie, Michele, ja - poczulibyśmy się lepiej, gdybyśmy wyjechali z miasta. Ale kto by został?

– On - rzekłam. - Kimkolwiek jest.

Wesley zerknął na zegarek i odstawił szklankę na stół.

– Nikt z nas nie powinien przeszkadzać pozostałym - powiedział. - Nie możemy sobie na to pozwolić.

– Benton, muszę oczyścić swoje imię.

– Ja zrobiłbym to samo. Od czego chcesz zacząć?

– Od piór.

– Wyjaśnij, proszę.

– Możliwe, że morderca kupił sobie jakąś rzecz wypchaną puchem edredona, aczkolwiek jeszcze bardziej prawdopodobne jest to, że ją ukradł.

– To teoria do przyjęcia.

– Nie możemy stwierdzić, skąd ten przedmiot pochodzi, dopóki nie mamy metki albo innego fragmentu, który umożliwi identyfikację producenta.

Pomyślałam sobie jednak, że chyba są inne drogi. Na przykład artykuł w gazecie.

– Nie chcemy przecież, żeby morderca się dowiedział, że na lewo i prawo sieje piórami. Od razu się tej rzeczy pozbędzie.

– Zgadzam się, ale chodzi mi o coś innego. Poproś jednego ze swoich zaufanych dziennikarzy, żeby napisał krótką notkę o puchu edredona i jego wysokiej cenie, która sprawia, że przedmioty nim wypchane stały się niezwykle popularne wśród złodziei. Można to połączyć z sezonem narciarskim.

– I co? Liczysz, że ktoś zadzwoni i oznajmi, że włamano mu się do samochodu i ukradziono puchową kurtkę?

– Właśnie. Gdyby dziennikarz zacytował policjantów zajmujących się rzekomo tymi kradzieżami, czytelnicy mieliby do kogo zadzwonić. Wiesz, ludzie czytają artykuł i mówią: „To samo zdarzyło się mnie”. Czują impuls, by pomóc. Chcą poczuć się ważni, więc sięgają po telefon.

– Zastanowię się nad tym.

Ruszyliśmy w stronę drzwi.

– Przed wyjazdem z Homestead rozmawiałem krótko z Michele - rzekł Wesley. - Zaczęły już konferować z Lucy. Michele powiada, że twoja siostrzenica jest przerażająca.

– Od dnia narodzin wszystkich terroryzowała.

Uśmiechnął się.

– Michele nie o to chodziło. Według niej intelekt Lucy budzi przerażenie.

– Czasami martwię się, że to zbyt wielki potencjał jak na tak kruche naczynie.

– Wcale nie jestem przekonany, że Lucy jest krucha. W końcu spędziłem w jej towarzystwie prawie dwa dni. Pod wieloma względami zrobiła na mnie duże wrażenie.

– Nie próbuj rekrutować jej do FBI.

– Poczekam, aż skończy college. Ile jej to zajmie? Rok?

Lucy wyszła z mojego gabinetu dopiero wtedy, gdy Wesley odjechał. Ja opłukiwałam szklanki w kuchni.

– Dobrze się bawiłaś? - zapytałam.

– Jasne.

Zakręciłam wodę i usiadłam przy stole, na którym zostawiłam notatnik.

– Słyszałam, że Wesleyom bardzo się spodobałaś.

– To mili ludzie.

– Wieść niesie, że oni też tak o tobie sądzą.

Otworzyła lodówkę i bezmyślnie gapiła się na jej zawartość.

– Czego chciał Pete?

Dziwnie było usłyszeć, jak mówi o Marino po imieniu. Podejrzewałam, że stosunki między nimi przeszły z etapu zimnej wojny do zawieszenia broni podczas lekcji strzelania.

– A dlaczego sądzisz, że on tu był? - zapytałam.

– Wyczułam papierosy, jak weszłam do domu. Pomyślałam, że to on, chyba że ty zaczęłaś znowu palić. - Zamknęła lodówkę i podeszła do stołu.

– Ja nie palę, a Marino wpadł na krótko.

– Czego chciał?

– Zadać mi wiele pytań - odrzekłam.

– Na jaki temat?

– Dlaczego chcesz znać szczegóły?

Powiodła wzrokiem od stosu dokumentów finansowych do notatnika wypełnionego moim nieczytelnym pismem.

– To bez znaczenia, skoro i tak mi nie powiesz.

– To bardzo skomplikowane, Lucy.

– Zawsze mówisz, że coś jest skomplikowane, kiedy nie chcesz, żebym o czymś wiedziała - rzekła i wyszła z kuchni.

Znalazłam ją w gabinecie. Siedziała przed komputerem, na ekranie wyświetlone były kolumny liczb i liter. Lucy dokonywała jakichś obliczeń ołówkiem na papierze i nie poruszyła się nawet, kiedy do niej podeszłam.

– Lucy, w domu twojej matki kręci się wielu mężczyzn, a ja zdaję sobie sprawę, jak ty to odbierasz. Ale ja nie jestem twoją matką. Nie ma potrzeby, żebyś czuła się zagrożona przez moich współpracowników czy przyjaciół.

Nie ma powodu, żebyś nieustannie szukała dowodów na obecność jakiegoś mężczyzny w domu i podejrzliwie traktowała moje stosunki z Marino, Wesleyem czy kimkolwiek innym.

Milczała.

Położyłam dłoń na jej ramieniu.

– Może nie jestem stale obecna w twoim życiu, choć bardzo bym chciała, ale jesteś dla mnie bardzo ważna.

Starła gumką jakąś liczbę i zapytała:

– Oskarżają cię?

– Ależ nie. Nie popełniłam żadnego przestępstwa - odparłam lekko i pochyliłam się nad ekranem.

– To, na co patrzysz, to właśnie *hex dumps* – wyjaśniła.

– Miałaś rację. Wyglądają jak hieroglify.

Lucy przesunęła kursor.

– Usiłuję dowiedzieć się, jaka jest dokładna pozycja numeru SID, czyli stanowego numeru identyfikacyjnego. Każda osoba w systemie ma numer SID, także ty, skoro twoje odciski palców znajdują się w AFIS-ie. W języku czwartej generacji, jak SQL, poszukiwałabym według nazwy kolumny. Ale w systemie heksadecymalnym używa się języka technicznego i matematycznego, nie ma tu nazw kolumn, tylko pozycje w rozkładzie rekordu. Innymi słowy, gdybym chciała pojechać do Miami, w SQL powiedziałabym tylko komputerowi, że chcę jechać do Miami. W systemie

heksadecymalnym natomiast musiałabym podać współrzędne geograficzne miejsca, do którego chcę się dostać. I właśnie ustalam długość i szerokość numeru SID i numeru, który określa typ rekordu. Jak skończę, napiszę program, który wyszuka wszystkie numery SID w rekordach typu drugiego, czyli rekordach przeznaczonych do usunięcia, oraz trzeciego, czyli rekordach uaktualnionych.

Za pomocą tego programu sprawdzę wszystkie dyski z zapisami operacji dziennych.

– Zakładasz więc, że jeśli w rekordzie dokonano jakichś zmian, to dotyczyły one numeru SID?

– Powiedzmy, że byłoby to o wiele łatwiejsze niż bawienie się w zmianę linii papilarnych na dysku optycznym. A AFIS w gruncie rzeczy składa się właśnie z numerów i odpowiadających im odcisków. Informacje o poszczególnych osobach znajdują się w CCH, skomputeryzowanej bazie danych o przestępcach, która z kolei mieści się w CCRE, bazie ogólnokrajowej.

– Jak rozumiem, rekordy z CCRE łączą się z odciskami w AFIS-ie przez numer SID - powiedziałam.

– Właśnie.

Lucy wciąż pracowała, kiedy kładłam się do łóżka. Zasnęłam od razu, lecz obudziłam się o drugiej i dopiero o piątej znowu zmorzył mnie sen. Po godzinie zadzwonił budzik. W ciemności pojechałam do centrum, po drodze słuchając najnowszych wiadomości w radiu. Dowiedziałam się, że policja mnie przesłuchiwała i że odmówiłam ujawnienia informacji dotyczących stanu moich finansów. Następnie spiker przypomniał, że na kilka tygodni przed tragiczną śmiercią Susan Story wpłaciła na konto trzy tysiące pięćset dolarów.

Ledwie zdążyłam zdjąć płaszcz po przyjściu do biura, kiedy zadzwonił Marino.

- Przeklęty major nie umie trzymać buzi na kłódkę - rzekł bez wstępów.
- Jak widać.
- Cholera, tak mi przykro.
- To nie twoja wina. Wiem, że musiałeś złożyć mu raport.

Marino wyraźnie się zawahał.

– Muszę zapytać cię o broń. Nie masz żadnego rewolweru kaliber dwadzieścia dwa, prawda?

– Przecież doskonale się orientujesz, co mam. Rugera i smith and wesson.

A jeśli powtórzysz to majorowi Cunninghamowi, bez wątpienia usłyszę o tym w radiu w ciągu godziny.

– Doktorko, on chce, żebyś przekazała je do laboratorium balistycznego. Przez chwilę myślałam, że Marino żartuje.

– Uważa, że chętnie się na to zgodzisz - dodał. - Według niego to dobry pomysł, by natychmiast udowodnić, że pociski wyjęte z ciał Susan, małego Heatha i Donahue nie mogły zostać wystrzelone z twojej broni.

– Czy powiedziałaś majorowi, że oba moje rewolwery mają kaliber trzydzieści osiem? - spytałam rozgniewana.

– Tak.

– I on wie, że z ofiar wyjęto pociski kaliber dwadzieścia dwa?

– Tak. Ciągłe mu to powtarzałem.

– To nic tylko polityka, gazetowa intryga. W całej tej sprawie nie ma za grosz rozsądku.

Marino milczał.

– Słuchaj - powiedziałam spokojnie - nie złamałam żadnego prawa. Nie zamierzam przekazywać informacji o moich finansach, broni ani niczego

innego, dopóki nie zasięgnę porady prawnika. Rozumiem, że musisz wykonywać swoje obowiązki, i chcę, żebyś je wykonywał. Żądam tylko, żeby pozwolono mi wykonywać moje. Na dole mam trzy sprawy, a Fielding jest akurat w sądzie.

Jednakże nie dane mi było pracować w spokoju. Kiedy skończyłam rozmowę z Marino, w progu gabinetu stanęła Rose. Była blada i przestraszona.

– Gubernator chce się z panią widzieć - rzekła.

– Kiedy?

– O dziewiątej.

Była ósma czterdzieści.

– Rose, o co mu chodzi?

– Człowiek, który dzwonił, nie powiedział.

Wzięłam płaszcz i parasol, po czym wyszłam na zimowy deszcz. Śpiesząc 14th Street próbowałam przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni rozmawiałam z gubernatorem Joe Norringiem. Doszłam do wniosku, że miało to miejsce niemal rok wcześniej na uroczystym przyjęciu w Virginia Museum.

Norring był republikaninem, wiernym synem Kościoła episkopalnego i absolwentem prawa na stanowym uniwersytecie. Ja byłam Włoszką, katoliczką, urodziłam się w Miami i kształciłam na północy. Sympatyzowałam z demokratami.

Kapitol usytuowany był na Shockhoe Hill i otoczony ozdobnym żelaznym płotem, który wzniesiono na początku dziewiętnastego wieku dla ochrony przed pasącym się w okolicy bydłem. Biały ceglany gmach, zaprojektowany przez Jeffersona, typowy przykład jego stylu, charakteryzującego się sztywną symetrią gzymsów i prostych kolumn z jońskimi kapitelami.

Wzdłuż granitowych stopni wiodących w górę zbocza ciągnęły się rzędy ławek. W bezlitośnie zacinającym marznącym deszczu przypomniałam sobie swoje wiosenne postanowienie, żeby przerwę na lunch spędzać tutaj, siedząc na słońcu. Wciąż jednak to postanowienie czekało na realizację.

Niezliczoną liczbę dni zmarnowałam w sztucznym świetle i zamkniętych pomieszczeniach bez okien.

Wszedłszy do Kapitolu, poszukałam damskiej toalety i spróbowałam dodać sobie pewności za pomocą szminki i szczotki do włosów. Mimo wysiłków odbicie w lustrze nie podniosło mnie na duchu. Niespokojna i przemoczona, pojechałam windą do rotundy, gdzie poprzedni gubernatorzy spoglądali surowo z olejnych portretów na stojącą na dole marmurową statwę George'a Washingtona dłuta Houdona. Wzdłuż południowej ściany tłoczyli się dziennikarze z notatnikami, kamerami i mikrofonami. Nie przyszło mi do głowy, że to ja jestem ich celem, dopóki się nie zbliżyłam.

Wówczas kamery powędrowały na ramiona, mikrofony przeszyły powietrze niczym miecze, przesłony zaczęły trzaskać z szybkością karabinu maszynowego.

– Dlaczego nie chce pani ujawnić stanu swoich finansów?

– Pani doktor...

– Dała pani pieniądze Susan Story?

– Jaką broń ma pani u siebie?

– Pani doktor...

– Czy to prawda, że dokumenty personalne zniknęły z pani biura?

Ze wszystkich stron płynęły ku mnie oskarżenia i pytania. Szłam ze wzrokiem utkwionym wprost przed siebie i sparaliżowanym umysłem.

Mikrofony trącały mnie w brodę, ciała ocierały się o mnie, światła aparatów oślepiały. Wydawało mi się, że minęła wieczność, nim wreszcie

dotarłam do mahoniowych drzwi, za którymi czekała na mnie łagodna cisza.

– Dzień dobry - powitała mnie recepcjonistka zza swej drewnianej forticy pod portretem Johna Tylera.

Po drugiej stronie pokoju, przy biurku pod oknem, siedział ubrany po cywilnemu funkcjonariusz ochrony. Spojrzał na mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Skąd prasa dowiedziała się o spotkaniu? - zapytałam recepcjonistkę.

– Słucham?

– Skąd dziennikarze wiedzieli, że dzisiaj rano mam spotkanie z gubernatorem?

– Bardzo mi przykro, ale nie mam pojęcia.

Usiadłam na jasnoniebieskiej ławie pod oknem. Tapety na ścianach miały ten sam odcień, meble były antyczne, na obiciach foteli widniał herb stanu. Dziesięć minut ciągnęło się niczym wieczność. Wreszcie otworzyły się drzwi i podszedł do mnie uśmiechnięty blondyn, w którym rozpoznałam sekretarza prasowego Norringa.

– Pani doktor, gubernator teraz panią przyjmie. Przepraszam, że musiała pani czekać. Cóż za nieprawdopodobną mamy pogodę. Słyszałem, że w nocy temperatura ma bardzo spaść. Rano na ulicach będzie szklanka.

Prowadził mnie przez jedno doskonale urządzone biuro po drugim, gdzie sekretarki w skupieniu wpatrywały się w ekrany komputerów, a gońcy poruszali się bezszelestnie i zdecydowanie. Zapukał lekko w rzeźbione drzwi, przekręcił mosiężną gałkę i cofnął się, bym pierwsza mogła wkroczyć w świat najpotężniejszego człowieka w Wirginii. Gubernator Norring nie podniósł się ze skózanego fotela stojącego za orzechowym biurkiem, na którym panował idealny porządek, nie oderwał nawet wzroku

od leżącego przed nim dokumentu. Sekretarz wskazał mi jedno z dwóch krzeseł stojących przed biurkiem i zapytał:

– Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję.

Wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Gubernator odsunął dokument i rozparł się wygodnie w fotelu. Był to dystyngowany mężczyzna; w każdym towarzystwie oczy obecnych natychmiast zwracały się na niego. Podobnie jak George Washington, przewyższał wzrostem większość mężczyzn, a włosy miał ciemne i gęste, choć jego rówieśnicy łysieli już i siwieli.

– Pani doktor, zastanawiam się, czy istnieje sposób na zgaszenie tego ognia, zanim wymknie się kompletnie spod kontroli.

– Mam nadzieję, że tak, panie gubernatorze.

– Wobec tego proszę mi wytłumaczyć, dlaczego nie chce pani współpracować z policją.

– Wolałabym wpięrow zasięgnąć porady adwokata, a nie dano mi na to czasu. Nie uważam tego za niechęć do współpracy.

– Oczywiście ma pani prawo nie obciążać siebie - rzekł wolno. - Jednakże sama wzmianka o ewentualnym powołaniu się na Piątą Poprawkę tylko zaciemni obłok podejrzliwości, jaki panią otacza. Chyba jest tego pani świadoma.

– Jestem świadoma tego, że będą mnie krytykować bez względu na to, co zrobię. Ochrona własnej osoby jest z mojej strony postępowaniem rozsądnym i rozważnym.

– Czy dokonywała pani jakichś płatności względem Susan Story?

– Nie, panie gubernatorze. Nie zrobiłam nic złego.

– Pani doktor - pochylił się i splótł ręce na blacie biurka - widzę, że nie chce pani współpracować i odmawia okazania dokumentów, które mogłyby

poprzeć pani słowa.

– Nie poinformowano mnie, że jestem podejrzana o popełnienie przestępstwa ani też nie otrzymałam stosownych ostrzeżeń. Nie złamałam prawa. Nie dano mi szansy na zwrócenie się o poradę prawną. W obecnej chwili nie zamierzam udostępniać moich akt personalnych i zawodowych ani policji, ani nikomu innemu.

– Czyli jednym słowem odmawia pani ich ujawnienia - stwierdził.

Kiedy osoba pełniąca funkcję państwową oskarżona jest o nieetyczne zachowanie, ma do wyboru tylko dwie drogi: pełne ujawnienie lub rezygnację.

Ta druga możliwość otwierała się przede mną niczym przepaść.

Nie miałam wątpliwości, iż gubernator zamierza wymanewrować mnie wprost na jej krawędź.

– Jest pani kryminologiem znanym w całym państwie i głównym patologiem naszego stanu - ciągnął. - Pani kariera to pasmo zawodowych sukcesów, cieszy się pani nieskazitelną opinią w środowiskach prawniczych.

Jednakże w obecnej sprawie wykazuje pani złą wolę. Nie robi pani wszystkiego, co należy, by uniknąć podejrzeń o niestosowne zachowanie.

– Zawsze robię wszystko, co należy, panie gubernatorze, i nic złego - powtórzyłam.

– Fakty potwierdzą moje słowa, nie zamierzam wszakże dyskutować o tym, dopóki nie porozmawiam z adwokatem. Wyrażę zgodę na pełne ujawnienie, jeśli on mnie do tego przekona, ale tylko na zamkniętym przesłuchaniu.

– Zamknięte przesłuchanie?

– Pewne szczegóły mojego życia osobistego dotyczą innych ludzi.

– Kogo? Męża, dzieci, kochanka? Wiem, że ich pani nie ma, że żyje pani samotnie i, jak to się mówi, jest pani zaślubiona swojej pracy. Kogo chce pani w takim razie chronić?

– Panie gubernatorze, pan mnie dręczy.

– Nie, proszę pani, po prostu próbuję znaleźć jakieś uzasadnienie dla pani twierdzeń. Mówi pani, że chce chronić innych, więc pytam, kim oni są. Z pewnością nie są to pani pacjenci. Oni już nie żyją.

– Nie wydaje mi się, by był pan sprawiedliwy lub obiektywny - stwierdziłam świadoma, że mój głos brzmi chłodno. - Całe to spotkanie od samego początku jest nie w porządku. Poinformowano mnie o nim na dwadzieścia minut wcześniej, nie podając tematu...

– Ależ, sądziłbym, że tematu pani się domyśli.

– Podobnie jak się domyślę, że nasze spotkanie jest wydarzeniem publicznym?

– Rozumiem, że dziennikarze zjawili się tłumnie.

– Chciałabym wiedzieć, jak do tego doszło - rzekłam.

– Jeśli pyta mnie pani, czy moi pracownicy powiadomili prasę, odpowiedź brzmi: nie.

Milczałam.

– Pani doktor, nie wątpię, iż pani pojmuję, że jako ludzie służący społeczeństwu musimy w naszym postępowaniu stosować inne reguły. W pewnym sensie nie mamy prawa do życia prywatnego. Może raczej powinienem powiedzieć, że jeśli nasza moralność czy zdolność osądu są kwestionowane, opinia publiczna ma prawo do zbadania najbardziej intymnych aspektów naszego życia. Zawsze, kiedy podejmuję jakieś działania, nawet jeśli jest to tylko wypisanie czeku, muszę zadać sobie pytanie, czy to, co robię, wyjdzie zwycięsko z najbardziej dokładnego badania.

Wiedziałam już, że nic, co mogę zrobić lub powiedzieć, już mnie nie uratuje.

Mimo że mianowana byłam przez ministra zdrowia, nie dostałabym tej pracy ani też długo bym jej nie utrzymała bez poparcia gubernatora.

Najszybszym sposobem utracenia posady było wprowadzić go w zakłopotanie lub wejść z nim w otwarty konflikt, co już mi się zresztą udało. Posiadał władzę, by zmusić mnie do rezygnacji. Ja mogłam co najwyżej kupić sobie trochę czasu groźbą, iż wprowadzę go w jeszcze większe zakłopotanie.

– Może mi pani powie, jak postąpiłaby na moim miejscu?

Za oknem padał deszcz ze śniegiem, gmachy w dzielnicy bankowej wydawały się ponure na tle ołowianego nieba. Przez chwilę w milczeniu przypatrywałam się Norringowi, po czym cicho powiedziałam:

– Panie gubernatorze, nie wezwałabym do swego gabinetu głównego patologa, by go bez powodu obrazić, a następnie zażądać, by zrezygnował z praw gwarantowanych każdemu człowiekowi przez konstytucję. Co więcej, sądzę, że uznawałabym tę osobę za niewinną, dopóki nie udowodnią jej winy, i nie wywierałabym nacisku, by postąpiła wbrew etyce i przysiędze Hipokratesa, którą złożyła, żądając ujawnienia dokumentów osobistych, skoro publiczne ich badanie może skrzywdzić ją i ludzi z jej otoczenia.

Sądzę, panie gubernatorze, że osoby, która wiernie służyła stanowi, nie postawiłabym w sytuacji, w której nie pozostaje jej nic innego jak podać się do dymisji z przyczyn etycznych.

Gubernator bawił się srebrnym piórem, rozważając moje słowa. Podanie się do dymisji bezpośrednio po spotkaniu z nim byłoby z mojej strony zasugerowaniem czekającym przed drzwiami dziennikarzom, że

zrezygnowałam, ponieważ Norring prosił mnie o coś, co uznałam za niewłaściwe.

– Nie chodzi mi o to, by pani podała się do dymisji - rzekł chłodno. - W gruncie rzeczy nie przyjąłbym jej, pani doktor. Jestem porządnym człowiekiem i - mam taką nadzieję - mądrym. A mądrość dyktuje, że nie mogę się zgodzić na to, by sekcje zwłok ofiar morderstw przeprowadzała osoba uwikłana w morderstwo. W związku z tym uważam, że najlepiej będzie, jeśli wyślę panią na płatny urlop, dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana. - Sięgnął po telefon. - John, możesz odprowadzić panią doktor?

Niemal natychmiast w drzwiach pojawił się uśmiechnięty sekretarz prasowy.

Kiedy wyszłam z gabinetu gubernatora, ze wszystkich stron otoczyli mnie dziennikarze. Oślepiły mnie flesze, ogłuszyły krzyki. Najważniejszą wiadomością do końca dnia i następnego ranka było to, że gubernator czasowo zwolnił mnie z obowiązków, dopóki moje imię nie zostanie oczyszczone.

Redakcje sugerowały, że Norring okazał się dżentelmenem, a ja, gdybym była damą, sama bym ustąpiła.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W piątek siedziałam przed kominkiem, zajęta żmudnymi i frustrującymi próbami udokumentowania każdego mojego ruchu w ciągu kilku ostatnich tygodni. Niestety, w czasie, kiedy według ustaleń policji porwano Eddiego Heatha sprzed sklepu, ja wracałam samochodem z pracy. Kiedy zamordowano Susan, byłam w domu sama, ponieważ Marino wziął Lucy na strzelnicę.

Sama byłam również wczesnym rankiem, kiedy zastrzelono Franka Donahue. Nie miałam ani jednego świadka, który by mógł potwierdzić, co robiłam w czasie tych trzech zabójstw.

O wiele trudniej byłoby jednak ustalić motyw i *modus operandi*. Kobiety niezwykle rzadko zabijają w stylu egzekucyjnym, a w wypadku Eddiego Heatha nie miałam żadnego motywu, o ile nie byłam ukrytą seksualną sadystką.

Z głębokiego zamyślenia wyrwało mnie wołanie Lucy:

– Coś mam!

Siedziała przed komputerem, ze stopami opartymi na otomanie. Na kolanach trzymała stos arkuszy papieru, na prawo od klawiatury leżał mój smith and wesson.

– Po co go tu masz? - spytałam z niepokojem.

– Pete kazał mi strzelać na sucho w każdej wolnej chwili. Więc ćwiczę, kiedy program sprawdza dyski z operacjami dziennymi.

Wzięłam rewolwer i na wszelki wypadek sprawdziłam magazynek.

– Zostało jeszcze kilka dysków do sprawdzenia, ale chyba już mam to, o co nam chodzi - oznajmiła.

Przystawiłam sobie krzesło.

– Zapis operacji dziennych z dziewiątego grudnia pokazuje trzy interesujące TU.

– A co to takiego? - spytałam.

– Uaktualnienia - wyjaśniła Lucy. - Mowa o trzech rekordach. Jeden został usunięty, numer SID drugiego - zmieniony. Trzeci, to nowy wpis, dokonany mniej więcej w tym samym czasie. Zalogowałam się do CCRE i sprawdziłam numery SID rekordu zmienionego i tego nowego. Zmieniony rekord dotyczy Ronniego Joe Waddella.

– A ten nowy? - spytałam.

– Dość upiorna sprawa. Nie ma żadnych informacji o osobie. Wprowadzałam numer SID pięciokrotnie i za każdym razem dostawałam wiadomość:

„Rekordu nie znaleziono”. Rozumiesz, co to znaczy?

– Jeśli nie ma danych w CCRE, w żaden sposób nie poznamy tożsamości tego osobnika.

Lucy skinęła głową.

– Właśnie. W AFIS-ie są czyjeś odciski palców i numer SID, ale brak danych o ich posiadaczu. Według mnie ktoś usunął rekord tej osoby z CCRE.

Czyli że w tamtej bazie też ktoś buszował.

– Wróćmy do Ronniego Waddella - powiedziałam. - Czy możesz sprawdzić, co zrobiono z jego rekordem?

– Mam teorię. Musisz wiedzieć, że numer SID to wyłączny wyróżnik, który posiada wyłączny indeks. Oznacza to, że system nie pozwala na zdublowanie tej wartości. Gdybym więc dla przykładu chciała zamienić się numerami SID z tobą, najpierw musiałabym usunąć twój rekord, następnie

twój numer nadać sobie, a pod mój dawny numer na nowo wprowadzić twoje dane.

– I sądzisz, że tak właśnie się stało?

– Tego rodzaju transakcja wyjaśniałaby zmiany zapisane na dysku dziewiątego grudnia.

Cztery dni przed egzekucją Waddella, pomyślałam.

– Jest jeszcze coś - mówiła dalej Lucy. - Szesnastego grudnia usunięto rekord Waddella z AFIS-u.

– Jakże to? - zapytałam oszołomiona. - Przecież nie dalej jak tydzień temu Vander sprawdzał odcisk zdjęty w domu Jennifer Deighton i okazało się, że należy on do Waddella.

– AFIS padł szesnastego grudnia o dziesiątej pięćdziesiąt sześć rano, dokładnie dziewięćdziesiąt osiem minut po usunięciu rekordu Waddella - odparła Lucy. - Bazę danych odtworzono na podstawie dysków z zapisem operacji dziennych, ale musisz pamiętać, że backupu dokonuje się raz dziennie, późnym popołudniem. Tak więc wszelkie zmiany dokonane w bazie rankiem szesnastego grudnia nie zostały zapisane na twardym dysku, kiedy doszło do awarii. Przy odtwarzaniu bazy danych odtworzono i rekord Waddella.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś manipulował przy numerze SID Waddella na cztery dni przed jego egzekucją, a trzy dni po niej ktoś usunął jego rekord z AFIS-u?

– Tak mi to wygląda. Nie rozumiem tylko, dlaczego ten ktoś od razu nie usunął całego rekordu? Po co się męczył i zmieniał numer, skoro kilka dni później usunął cały rekord?



Neils Vander miał na to pytanie prostą odpowiedź.

– To normalna procedura, że usuwa się z AFIS-u odciski palców zmarłych więźniów - wyjaśnił. - Jedyne powód, dla którego przechowuje się dane takich osób, to możliwość, że odciski mogą pojawić się w jakichś dotąd nierozwiązanych sprawach. Ale Waddell spędził w więzieniu prawie dziesięć lat, wszelkie jego ewentualne występki i tak uległy przedawnieniu, więc przechowywanie jego danych nie miało sensu.

– Czyli usunięcie jego rekordu szesnastego grudnia było działaniem rutynowym - rzekłam.

– Jak najbardziej. Nie byłoby natomiast działaniem rutynowym usunięcie rekordu dziewiątego grudnia, kiedy to zdaniem Lucy zmieniono jego numer SID, bo wtedy Waddell jeszcze żył.

– Neils, co ty o tym wszystkim myślisz?

– Kay, kiedy zmieniasz czyjś numer SID, w rezultacie zmieniasz jego tożsamość.

Mogę mieć jego odciski, ale kiedy szukam w CCRE rekordu z takim samym numerem, nie jego dane dostaję. Albo są to informacje o kimś innym, albo nic.

– Znalazłeś odcisk z domu Jennifer Deighton w AFIS-ie - powiedziałam. - Wpisałeś numer SID do bazy CCRE i okazało się, że należy on do Waddella.

Teraz jednak mamy powody podejrzewać, że jego numer SID został zmieniony.

Oznacza to, że tak naprawdę nie wiemy, kto zostawił odcisk palca na krześle z jadalni.

– Właśnie. I staje się coraz bardziej jasne, że ktoś zadał sobie sporo trudu, żebyśmy nie mogli ustalić, kim ta osoba jest. Nie umiem dowieść, że to był Waddell. Nie umiem dowieść, że to nie był Waddell.

Słuchając go, gorączkowo się zastanawiałam.

– Żeby udowodnić, że Waddell nie zostawił odcisku na krześle Jennifer Deighton - ciągnął Neils - muszę mieć odcisk jego palca, w którego autentyczność nikt nie będzie wątpił, odcisk, z którym nikt nie próbował się bawić.

Nie wiem tylko, skąd go wziąć.

Przed oczyma stanęła mi ciemna boazeria i drewniane podłogi, zaschnięta krew barwy granatu.

– Z jej domu - mruknąłam.

– Czyjego domu? - zdziwił się Vander.

– Robyn Naismith.

Kiedy dziesięć lat wcześniej policja szukała śladów w domu Robyn Naismith, nie używano jeszcze lasera ani Luma-Lite, nie robiono badań DNA, nie było skomputeryzowanej bazy danych z liniami papilarnymi w Wirginii, urządzeń umożliwiających zidentyfikowanie częściowych odcisków pozostawionych na ścianie czy gdziekolwiek indziej. Mimo że nowe technologie zasadniczo nie znajdują zastosowania w sprawach dawno zamkniętych, bywają wyjątki od tej zasady. Moim zdaniem morderstwo Robyn Naismith do nich należało.

Gdybyśmy spryskali jej dom chemikaliami, istniała możliwość, że dosłownie wskrzesimy scenę zbrodni. Krew krzepnie, ścieka strumykami i kroplami, rozbryzguje się, plami. Sączy się do szczelin i szpar, wcieka pod podłogi. A choć można ją umyć, choć z upływem lat blaknie, nigdy całkowicie nie znika. Podobnie jak pismo, którego nie dostrzegliśmy na kartce papieru znalezionej na łóżku Jennifer Deighton, w pokojach, w których napadnięto i zamordowano Robyn Naismith, znajdowała się krew niewidoczna gołym okiem. Policja, nie mając do pomocy nowoczesnego sprzętu, podczas przeszukania znalazła tylko jeden krwawy odcisk palca. Może Waddell zostawił ich więcej. Może wciąż tam są.

We trójkę - Neils Vander, Benton Wesley i ja - pojechaliśmy na zachód w kierunku uniwersytetu w Richmond, wspaniałego kompleksu budynków w stylu króla Jerzego nad brzegiem jeziora pomiędzy drogami Three Chopt i River. To tutaj wiele lat temu Robyn dostała dyplom z wyróżnieniem. Tak kochała to miejsce, że kupiła dom oddalony o dwie przecznice od kampusu.

Mały ceglany dom z mansardowym dachem stał na półakrowej działce.

Nie zdziwiło mnie, że włamywacz uznał to miejsce za wprost wymarzone do realizacji swych celów. Na podwórku rosły drzewa, na tyłach wznosiły się trzy gigantyczne magnolie, które całkowicie zasłaniały słońce. Wątpiłam, by sąsiedzi z obu stron mogli zobaczyć coś lub usłyszeć, nawet gdyby byli w domu. Tego poranka, kiedy Robyn zginęła, sąsiedzi byli w pracy.

Z powodu okoliczności, w jakich dom znalazł się na rynku nieruchomości przed dziesięciu laty, cena jak na tę okolicę była niska. Dowiedzieliśmy się, że w końcu kupił go uniwersytet i że większość mebli pozostała na miejscu. Robyn nie miała męża ani rodzeństwa, a jej rodzice, mieszkający w północnej Wirginii, nie chcieli przedmiotów, które do niej należały.

Przypuszczam, że nie umieliby znieść ich widoku. Dom wynajmował samotny wykładowca niemieckiego, profesor Sam Potter.

Wyjmowaliśmy z furgonetki sprzęt filmowy i pojemniki z chemikaliami, kiedy otworzyły się kuchenne drzwi i Sam Potter zszedł po schodach, odgarniając długie i rzadkie włosy z oczu. Palił papierosa. Niski i pulchny, miał szerokie, kobiece biodra.

– Pomóc wam?

– Gdyby pan mógł wziąć tę skrzynkę - rzekł Vander.

Potter rzucił papierosa na ziemię, nie zadając sobie trudu, by go przydeptać.

Podążyliśmy za nim po schodach do małej kuchni ze starymi urządzeniami w kolorze awokado i stosami brudnych naczyń. Poprowadził nas przez jadalnię, gdzie na stole leżało pranie, do salonu we frontowej części domu. Staralam się nie okazać szoku na widok telewizora podłączonego do gniazdka w ścianie, draperii, brązowej skórzanej sofy, parkietu, obecnie porysowanego i w kolorze błota. Wszędzie leżały rozrzucone papiery i książki. Potter zaczął je zbierać.

– Jak widzicie, nie mam skłonności do udomowienia - odezwał się z wyraźnym niemieckim akcentem. - Przenieść to wszystko do jadalni.

– Gotowe - rzekł po powrocie. - Jeszcze coś mam przesunąć?

Z kieszeni białej koszuli wyjął paczkę cameli, ze spłóviałych dzinsów wygrzebał zapalniczki.

Przy pasku spodni wisiał na skórzanej pętli kieszonkowy zegarek. Kiedy go podniósł i otworzył kopertę, a potem zapalił papierosa, zauważyłam, że dłonie mu się trzęsą, palce są opuchnięte, a policzki i nos pokrywa siateczka pękniętych naczyń krwionośnych. Nie opróżnił popielniczek, za to starannie pozbierał butelki i szklanki oraz wyniósł śmieci.

– Tak jest dobrze - odparł Wesley. - Nie musi pan nic więcej robić. Jeśli będziemy coś przesuwać, ustawimy to potem z powrotem na miejsce.

– I mówicie, że te chemikalia niczego nie uszkodzą i nie są toksyczne dla człowieka?

– Nie są niebezpieczne. Pozostawią ziarnisty osad, podobny do tego, jaki pozostawia wysychająca morska woda - wyjaśniłam. - Postaramy się wszystko posprzątać.

– Naprawdę nie mam ochoty oglądać tego, co będziecie robić - rzekł Potter, nerwowo zaciągając się papierosem. - Ile mniej więcej czasu wam to zajmie?

– Mamy nadzieję, że koło dwóch godzin - odparł Wesley, rozglądając się po pokoju; choć jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, mogłam sobie wyobrazić, co działo się w jego głowie.

Zdjęłam płaszcz i rozejrzałam się bezradnie; nie wiedziałam, gdzie go położyć. Vander tymczasem otworzył kasetę z filmem.

– Gdybyście skończyli przed moim powrotem, zamknijcie drzwi na klucz.

Nie mam alarmu, tak więc nie musicie się martwić - powiedział Potter i wyszedł przez kuchnię. Kiedy uruchomił samochód, miałam wrażenie, że to autobus z silnikiem diesla.

– To naprawdę wstyd - stwierdził Vander, wyjmując dwie butelki z pudła.

– Ten dom mógłby być bardzo ładny, a wygląda niewiele lepiej niż slumsy. Zauważyliście jajecznicę na patelni na kuchence? Co jeszcze chcecie tu zrobić? - Przykucnął. - Nie zacznę mieszać, dopóki nie będziemy gotowi.

– Według mnie trzeba usunąć jak najwięcej rzeczy z pokoju. Masz zdjęcia, Kay? - spytał Wesley.

Wyjęłam fotografie zrobione przez policję.

– Chyba zauważyliście, że nasz profesor korzysta z jej mebli - powiedziałam.

– W takim razie je tu zostawimy - stwierdził Vander, jak gdyby było rzeczą zwykłą, że miejsce zbrodni nie uległo zmianie mimo upływu dziesięciu lat. - Ale dywan trzeba wynieść. Widać wyraźnie, że jest tu od niedawna.

Wesley spojrzał nieufnie na czerwono-niebieski pleciony chodnik, brudny i zawinięty na brzegach.

– Jeśli zajrzesz pod spód, przekonasz się, że parkiet jest tam tak samo porysowany i matowy jak gdzie indziej, co oznacza, że chodnik nie leży tu długo - dodał Neils. - Poza tym nie jest zbyt solidnie zrobiony. Wątpię, czy wytrzymałby tyle czasu.

Rozłożyłam fotografie na podłodze i tak długo je odwracałam, aż kierunki zgodziły się z rzeczywistymi i można było stwierdzić, co w pokoju zostało zmienione, po czym zaczęliśmy odtwarzać scenerię śmierci Robyn Naismith.

– Dobra, fikus postawcie tam - poleciłam niczym reżyser w teatrze. - Właśnie tak, tylko sofę trzeba trochę cofnąć. Fikus ma stać w odległości jakichś czterech cali od lewej poręczy. Jeszcze bliżej. Tak jest świetnie.

– Wcale nie. Gałęzie zwieszają się nad sofę.

– Drzewko urosło od tamtego czasu.

– Aż dziw, że nie uszło. Wierzyć mi się nie chce, że cokolwiek mogło przeżyć w towarzystwie profesora Pottera, z wyjątkiem może bakterii i grzybów.

Wesley zdjął marynarkę.

– Dywan wyrzucamy?

– Tak. Miała tylko chodnik przed wejściowymi drzwiami i wschodni dywanik pod stolikiem. Poza tym podłoga była odkryta.

Wesley ukląkł i zaczął zwijać dywan.

Podeszłam do telewizora i przyjrzałam się leżącemu na nim odtwarzaczowi.

– Czy któryś z was jest dobry w kwestii podłączenia wideo?

– Nie - odrzekli jednocześnie.

– W takim razie zdana jestem na siebie. Już mam.

Odłączyłam kabel odtwarzacza, wyłączyłam telewizor z sieci i ostrożnie przesunęłam go po brudnej podłodze. Przyjrzałam się ponownie fotografii,

po czym ustawiłam go tak, by znajdował się dokładnie na wprost drzwi.

Następnie zajęłam się ścianami. Potter zbierał obrazy i najwyraźniej bardzo sobie cenił artystę, którego nazwiska nie umiałam sobie przypomnieć, a którego dzieła sprawiały wrażenie francuskich. Szkice węglem przedstawiały kobiece akty z mnóstwem krągłości, różowych plam i trójkątów.

Wszystkie zdjęłam i zaniósłam do jadalni.

Wesley otarł czoło przedramieniem.

– Jesteśmy już gotowi? - spytał.

– Chyba tak. Naturalnie brakuje tu mebli. Tam stały trzy fotele - wskazałam miejsce.

– Są w sypialniach - rzekł Vander. - Dwa w jednej, trzeci w drugiej. Mam je przynieść?

– Dobrze by było.

Vander i Wesley przynieśli fotele.

– Miała jeszcze obrazy na ścianach, jeden na prawo od drzwi prowadzących do jadalni. Martwa natura i angielski pejzaż. Potter nie polubił jej obrazów, choć cała reszta widać mu nie przeszkadzała.

– Trzeba obejść dom i dokładnie zaciągnąć wszystkie zasłony, żaluzje, story - powiedział Vander. - Jeśli wciąż będzie przeświecało światło, zaklejcie szczeliny tą taśmą - wskazał rolkę grubego brązowego papieru, leżącą na podłodze.

Przez następny kwadrans w domu rozlegały się kroki, trzask żaluzji i szcęk nożyc tnących taśmę. Od czasu do czasu któreś z nas głośno klęło, kiedy odcięty fragment okazywał się za mały albo sklejał się we dwoje. Ja zostałam w salonie, pokrywając papierem szyby w drzwiach frontowych i w oknach wychodzących na ulicę. Kiedy wreszcie zgasiliśmy światło, by

sprawdzić rezultat naszych wysiłków, w domu zapanowały egipskie ciemności.

Nie widziałam nawet własnej dłoni.

– Doskonale - oznajmił Vander, zapalając główną lampę. Założył rękawice.

Butelki z wodą destylowaną i chemikaliami oraz dwa spraye postawił na stoliku. - Zrobimy tak. Pani doktor będzie przyskała sprayem, a ja będę filmował kamerą wideo. Jeśli jakiś obszar zareaguje, przyskaj, póki nie powiem, że idziemy dalej.

– Co to jest? - zapytał Wesley, kiedy Vander otworzył pojemniki z suchymi chemikaliami.

– Tak naprawdę wcale nie chcesz wiedzieć - odrzekłam.

– Jestem już dużym chłopcem. Możesz mówić.

– Nadtlenoboran sodowy, który Neils zmiesza z wodą destylowaną, trójaminoftalohydraziną i węglanem sodowym - wyjaśniłam, wyciągając gumowe rękawiczki.

– Jesteś pewna, że to zadziała na tak stare plamy krwi?

– W gruncie rzeczy krew, która uległa już rozkładowi, lepiej reaguje na luminol niż świeża, ponieważ im bardziej jest utleniona, tym lepiej. A krew wraz z upływem czasu ulega silnemu utlenieniu.

Vander przyglądał się boazerii.

– Sądzę, że drewno nie zostało poddane obróbce solnej, a ty?

– Chyba nie - odparłam, po czym zwróciłam się do Wesleya: - Największym problemem przy luminolu są fałszywe reakcje pozytywne. Wiele składników reaguje na luminol, na przykład miedź, nikiel oraz sole miedzi w drewnie poddanym obróbce solnej.

– Lubi też rdzę, wybielacze, jodynę i formalinę - dodał Vander. - Oraz nadtlenki występujące w bananach, arbuzach, cytrusach i wielu warzywach,

także w chrzanie.

Wesley spojrział na mnie z uśmiechem.

Vander otworzył kopertę i wyjął dwa kwadraciki papieru filtracyjnego z plamami suchej krwi. Następnie zmieszał ciecz A z cieczą B i kazał Wesleyowi zgasić światło. Kilka strumieni ze sprayu i na blacie stolika pojawił się neonowy poblask, który zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Zaczynamy - rzekł Vander.

Na kamerze wideo zapaliło się maleńkie czerwone światełko, lampa rozjarzyła się na biało i niczym luminescencyjne oko patrzyła tam, gdzie skierował ją Vander.

– Gdzie jesteś?

– W środku pokoju, nogą czuję krawędź stolika - odparłam, jak gdybyśmy byli dziećmi bawiącymi się w ciemnościach.

– To ja rzeczywiście nie wchodzę wam w drogę - rzekł Wesley.

Odniosłam wrażenie, że jest w progu jadalni.

Białe światło kamery zbliżyło się ku mnie. Dotknęłam ramienia Vandera.

– Gotowy? - spytałam.

– Filmuję. Rób swoje, póki nie powiem, że masz przestać.

Zaczęłam przyskać podłogę dookoła naszych stóp, nie odrywając palca od czubka pojemnika. Mgła spadała na ziemię, wydobywając z nicości kształty i geometryczne figury. Przez krótką chwilę miałam wrażenie, że pędzę w ciemności ku jarzącemu się światłami miastu w oddali. Stara krew, która ściekła w szpary parkietu, emitowała niebieskobiały poblask. Pryskałam i pryskałam, nie myśląc o tym, gdzie jestem, aż wreszcie zobaczyłam, że całą podłogę pokrywają ślady butów. Wpadłam na fikus; na doniczce pojawiły się białe smugi. Po mojej prawej ręce na ścianie błyszczał rozmazany odcisk ręki.

– Światła - poleciał krótko Vander.

Wesley zapalił lampę pod sufitem, Vander zaś umocował kamerę na statywie.

Jedynym światłem będzie fluorescencja emitowana przez luminol, a film wymaga długiego naświetlania, by zarejestrować ślady. Wzięłam nową butlę i kiedy w pokoju znowu zapanowała ciemność, skierowałam strumień na odciski dłoni, podczas gdy kamera zapisywała te niesamowite obrazy. Wreszcie ruszyliśmy dalej. Na parkiecie i boazerii odkryliśmy szerokie smugi, szwy na skórzanej kanapie świeciły mocno, odwzorowując nieco rozmyte kształty poduch.

– Możesz je usunąć? - poprosił Vander.

Po kolei zsunęłam poduchy na podłogę i spryskałam kanapę. Miejsca pomiędzy poduchami błyszcząły, na oparciu pokazało się więcej smug i plam, a na suficie zajaśniała konstelacja małych gwiazd. Telewizor jako pierwszy sprzęt w pokoju dał fałszywą reakcję pozytywną, metal przy regulatorach i kablach zajaśniał na białoniebiesko. Odbiornik niczym nie zwrócił naszej uwagi, odkryliśmy tylko kilka smug, które mogły być krwią, za to podłoga przed nim, gdzie znaleziono ciało Robyn Naismith, dosłownie oszalała. Krwi było tam tak dużo, że widziałam krawędzie klepek i kierunek włókien tworzących słoje. Kilka stóp od największego skupiska zobaczyliśmy pierzasty ślad po wleczeniu, niedaleko zaś dziwny wzór stycznych kółek, wykonany jakimś przedmiotem o obwodzie niewiele mniejszym niż piłka do koszykówki.

Badanie nie ograniczyło się do salonu, podążyliśmy bowiem za odciskami stóp. Co pewien czas zmuszeni byliśmy do zapalenia światła, sporządzenia nowych porcji luminalu i usuwania bałaganu, zwłaszcza na terytorium niegdyś będącym sypialnią Robyn Naismith. Podłoga zasypana tu była stosami niemieckich, francuskich i włoskich książek, referatów, artykułów prasowych, prac egzaminacyjnych. Ubrania leżały rozrzucone

lub zwieszały się z mebli w tak dziwaczny sposób, i że miało się wrażenie, że przez pokój przeszło tornado. Pozbieraliśmy, ile się dało, i ułożyliśmy na niepościelonym podwójnym łóżku.

Krwawy trop zaprowadził nas do łazienki. Na podłodze pełno było odcisków butów i smug, koło wanny luminol ujawnił takie same kolist ewzory jak w salonie. Kiedy zaczęłam spryskiwać ściany, nad toaletą po obu jej stronach pokazały się nagle dwa ogromne odciski dłoni.

Światło kamery przypląnęło bliżej, rozległ się podniecony głos Vandera:
– Włączcie lampę.

Łazienka Pottera była, najłagodniej mówiąc, utrzymana równie fatalnie jak reszta domu. Vander z nosem niemal przy ścianie przypatrywał się miejscu, gdzie były odciski.

– Widzisz je?

– Ledwo, ledwo. - Przechylił głowę na jeden bok, potem na drugi. - To naprawdę fantastyczne. Gołym okiem nic się nie zobaczy, bo tapeta jest ciemnoniebieska, ale dzięki domieszce plastiku albo winylu stanowi doskonałą powierzchnię na wszelkiego typu odciski.

– Jezu - westchnął Wesley, który stał w progu. - Ta cholerna ubikacja wygląda, jakby nie była czyszczona, odkąd Potter się tu wprowadził. Do diabła, chyba nawet nie spuszcza wody.

– Nawet gdyby mył albo odkurzał ściany od czasu do czasu, nie pozbyłby się śladów krwi - rzekłam. - Na takiej wykładzinie z linoleum jak ta osad wchodzi w nierówną nawierzchnię, a luminol go ujawni.

– Chcesz powiedzieć, że gdybyśmy za następane dziesięć lat przyszli tu ze sprayem, krew ciągle byłaby widoczna? - spytał zdziwiony Wesley.

– Można pomalować i wytapetować na nowo ściany, odnowić podłogi, zmienić meble, a i tak jakieś ślady pozostaną - powiedział Vander. -

Jedynym sposobem na ich całkowite pozbycie się jest zburzenie domu i budowa nowego.

Wesley spojrział na zegarek.

- Jesteśmy tu trzy i pół godziny.
- Proponuję, żebyś pomógł mi przywrócić pokoje do stanu normalnego chaosu - odezwałam się - a Neils niech dalej robi swoje.
- Świetnie. Przyniosę tu zaraz Luma-Lite, a wy trzymajcie kciuki, żeby udało się powiększyć obraz.

Wróciliśmy do salonu, a Vander z całym sprzętem zniknął w łazience.

Oboje nieco oszołomieni patrzyliśmy na kanapę, stary telewizor i zakurzony, porysowany parkiet. Przy zapalonych lampach zniknął straszliwy widok, tak wyraźny w ciemnościach.

Wesley stał nieruchomo obok zaklejonego papierem okna.

- Boję się gdziekolwiek usiąść czy się oprzeć. Chryste, w tym domu jest pełno krwi.

Poduchy z kanapy dalej leżały na podłodze, pochyliłam się więc, by je podnieść. Krew, która wsiąkła w brunatne szwy, nie była teraz widoczna, podobnie jak smugi na oparciu. Bacznie się przyjrzawszy, zobaczyłam natomiast coś innego, ważnego, acz nie budzącego zaskoczenia. Z boku jednego z siedzeń, nad którym na oparciu znajdowała się plama krwi, znalazłam podłużne przecięcie, długie na trzy czwarte cala.

- Bentonie, czy Waddell przypadkiem nie był leworęczny?
- Wydaje mi się, że był.
- Myśleli, że poranił ją i pobił na podłodze koło telewizora, ponieważ wokół niej pełno było krwi - powiedziałam - ale to nieprawda. Zabił ją na kanapie. Muszę wyjść na dwór. Gdyby to miejsce nie było takim chlewem, chyba bym zwędziła profesorowi papierosa.

– Za długo już nie palisz. Camel zwaliłby cię z nóg. Idź i odetchnij świeżym powietrzem. Zacznę sprzątać.

Wysłałam z domu przy akompaniamencie szelestu zrywanego z okien papieru.



Ten sylwester okazał się najdziwniejszym w życiu moim, Wesleya i Lucy.

Nie posunęłabym się do twierdzenia, że taki sposób spędzania świąt był czymś niezwykłym dla Neilsa Vandera. Rozmawiałam z nim o siódmej wieczorem, kiedy to wciąż siedział w laboratorium. Cóż, to całkiem normalne zachowanie dla człowieka, który straciłby sens życia w chwili, kiedy okazałoby się, że linie papilarne dwóch osobników są identyczne.

Vander zmontował taśmy z domu Robyn Naismith i przesłał mi kasetę po południu. Aż do wieczoru siedzieliśmy z Wesleyem jak przymurowani przed moim telewizorem i robiliśmy notatki oraz kreślili wykresy. Lucy w kuchni przygotowywała kolację i od czasu do czasu wpadała sprawdzić, jak nam idzie. Błyszczące obrazy na ciemnym ekranie nie wydawały się jej niepokoić.

O wpół do dziewiątej skończyliśmy oglądać taśmy i uzupełniliśmy notatki.

Byliśmy pewni, że odtworzyliśmy wszystkie poruszenia Waddella od chwili, kiedy Robyn Naismith zaskoczyła go, wracając do domu, do chwili, kiedy wyszedł przez kuchenne drzwi. Po raz pierwszy w mojej zawodowej karierze zajmowałam się odtwarzaniem zbrodni, która dawno temu została rozwiązana. Jednakże scenariusz, do jakiego doszliśmy, był ważny z jednego powodu. Ukazywał, przynajmniej my w to nie wątpiliśmy, że to, co Wesley powiedział mi w Homestead, było słuszne. Ronnie Joe Waddell nie

pasował do portretu psychologicznego potwora, którego obecnie szukaliśmy.

Ukryte smugi, mazy, plamy i chlapnięcia, których śladem podążaliśmy, pozwoliły na dokładne odtworzenie zbrodni. Mimo iż sąd większość naszych ustaleń uznałby za opinie, nie to było istotne. Ważna była osobowość Waddella, do której - byliśmy o tym przekonani - udało nam się dotrzeć.

Ponieważ krew znaleziona w innych częściach domu bez wątplenia została tam przeniesiona przez Waddella, z dużą dozą prawdopodobieństwa można było stwierdzić, że Robyn Naismith została napadnięta i zamordowana w salonie. Drzwi kuchenne i frontowe zaopatrzone były w zamki zapadkowe, których nie dało się otworzyć bez klucza. Waddell wszedł do domu przez okno, wyszedł zaś kuchennymi drzwiami, tak więc przyjęto w śledztwie, że Robyn po powrocie z apteki weszła kuchennymi drzwiami.

Może zapomniała je zamknąć, a może - i to wydawało się bardziej prawdopodobne - nie miała na to czasu. Przypuszczano, że kiedy Waddell plądrował mieszkanie, usłyszał warkot parkującego za domem samochodu.

Poszedł do kuchni i z wiszącego na ścianie kompletu z nierdzewnej stali wziął nóż do mięsa. Kiedy Robyn odemknęła drzwi, już na nią czekał. Niewykluczone, że po prostu złapał ją i powlókł do salonu. Może z nią rozmawiał.

Może żądał pieniędzy. A może od razu rzucił się na nią z nożem.

Robyn była ubrana i siedziała lub leżała na kanapie koło fikusa, kiedy Waddell wymierzył jej pierwszy cios. Bryzgi krwi na oparciu kanapy, doniczce oraz boazerii odpowiadały wytryskowi krwi z przeciętej tętnicy.

Wzór, w jakim krew tryska, przypomina wykres elektrokardiogramu, odwzorowujący ciśnienie krwi w tętnicy. Człowiek ma ciśnienie tylko za

życia.

Tak więc wiedzieliśmy, że Robyn była żywa i znajdowała się na kanapie, kiedy nastąpił atak. Mało jednak prawdopodobne, by wciąż oddychała, kiedy Waddell zdjął z niej ubranie. Późniejsze badania ujawniły pojedyncze rozcięcie o długości trzech czwartych cała na pokrwawionej bluzce; w tym miejscu zabójca wbił nóż w ciało i kilkakrotnie nim poruszył, w rezultacie przecinając aortę. Ponieważ ran było więcej, nasuwał się wniosek, iż motywowane lubieżnością ciosy nożem i ugryzienia nastąpiły już po śmierci ofiary.

Później ten mężczyzna, który w czasie śledztwa utrzymywał, że nie pamięta, jak zabił „panią z telewizji”, nagle się obudził, wróciła mu świadomość i zaczął się zastanawiać nad swym uczynkiem. Brak śladów wleczenia w okolicy kanapy świadczył o tym, iż Waddell przeniósł ciało na drugi koniec pokoju, gdzie położył je na podłodze, po czym osadził i oparł o telewizor. Owe dziwne koliste wzory moim zdaniem pozostawiło wiadro, z którym chodził do łazienki, by zmienić wodę. Za każdym razem, kiedy wracał, by zetrzeć krew lub może spojrzeć na ofiarę podczas plądrowania jej rzeczy i popijania znalezionych w szafce alkoholi, od nowa brudził sobie buty. To wyjaśniało mnogość śladów obecnych w całym domu, czynności zaś, które ślady owe dokumentowały, świadczyły jasno, że zachowanie Waddella po dokonaniu zbrodni nie pasowało do obrazu sprawcy nie odczuwającego żadnych wyrzutów sumienia.

– Oto on, niewykształcony wiejski chłopak, który mieszka w wielkim mieście - tłumaczył Wesley. - Kradnie, by zdobyć pieniądze na narkotyki niszczące mu mózg. Najpierw marihuana, potem heroina, kokaina i wreszcie PCP. I pewnego ranka przytomnieje i stwierdza, że zmasakrował ciało nieznanym kobiecie.

W kominku z szelestem osunęły się polana, my nie odrywaliśmy wzroku od ogromnych dłoni świecących biało na czarnym telewizyjnym ekranie.

– Policja nie znalazła wymiocin ani w toalecie, ani wokół niej - powiedziałam.

– Pewnie je również sprzątnął. Dzięki Bogu nie wytarł ściany nad sedesem.

Nikt nie opiera się w taki sposób o ścianę, jeśli nie targają nim torsje.

– Ślady są dość wysoko - zauważyłam. - Według mnie zwymiotował, a kiedy się wyprostował, poczuł zawroty i wtedy oparł się, by nie uderzyć się głową w ścianę. Co o tym sądzisz? Wyrzuty sumienia czy naćpany do nieprzytomności?

Wesley spojrział na mnie.

– Rozważmy, co zrobił z ciałem. Posadził je, próbował oczyścić ręcznikami, a ubranie zostawił w umiarkowanym porządku na podłodze niedaleko stóp. Można zinterpretować to na dwa sposoby: albo lubieżnie wystawiał ciało na pokaz, a tym samym okazywał pogardę, albo demonstrował to, co uważał za troskę. Osobiście uważam, że to drugie.

– A sposób, w jaki ułożono ciało Eddiego Heatha?

– To coś zupełnie innego. Upozowanie chłopca odzwierciedla upozowanie kobiety, ale czegoś tu brakuje.

Jeszcze nie skończył, kiedy uświadomiłam sobie, czego.

– Lustrzane odbicie - rzekłam zdziwiona. - Lustro odbija przedmioty na odwrót.

Patrzył na mnie z zainteresowaniem.

– Pamiętasz, jak pierwszy raz porównywaliśmy zdjęcia ciała Robyn Naismith ze szkicem ciała Eddiego Heatha?

– Bardzo dobrze.

– Powiedziałaś wtedy, że wszystko, co zrobiono chłopcu, od ugryzień przez sposób, w jaki oparto go o śmietnik, do stosu ubrań pozostawionych w pobliżu, stanowi lustrzane odbicie tego, co zrobiono Robyn. Ale ślady ugryzień na wewnętrznej stronie uda i powyżej piersi w wypadku Robyn znajdowały się na lewej stronie ciała, podczas gdy rany Eddiego, które według nas były spowodowane próbą usunięcia śladów po ugryzieniach, znajdowały się na prawym ramieniu i wewnętrznej stronie prawego uda.

– No tak...

– Pozycja, w jakiej znaleziono Eddiego, bardzo przypomina ułożenie nagiego ciała Robyn, opartego o telewizor.

– To prawda.

– Niewykluczone więc, że zabójca chłopca widział tę fotografię, jednakże nie wziął pod uwagę zmiany stron. Zapamiętał zranienia ze swojej perspektywy, a przecież jego lewa strona to jej prawa. Na fotografii martwa Robyn siedzi twarzą do obiektywu.

– Niezbyt przyjemna myśl - stwierdził Wesley przy akompaniamencie dzwonka telefonu.

– Ciociu Kay! - zawołała Lucy z kuchni. - Dzwoni pan Vander.

– Mamy potwierdzenie - oznajmił Neils.

– Czy Waddell zostawił odcisk palca w domu Jennifer Deighton? - zapytałam.

– Odpowiedź brzmi: nie. Nie ma co do tego wątpliwości.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W ciągu następnych kilku dni wynajęłam Nicholasa Gruemana i dostarczyłam mu dokumenty finansowe oraz udzieliłam wszelkich informacji, jakich zażądał, zostałam wezwana przez ministra zdrowia, który zasugerował, że powinnam podać się do dymisji, i dalej stanowiłam temat numer jeden w środkach masowego przekazu. Jednakże wiedziałam teraz o wiele więcej niż przed tygodniem.

Ronnie Joe Waddell zginął na krześle elektrycznym trzynastego grudnia, lecz jego tożsamość pozostała przy życiu i siała grozę w mieście. Na kilka dni przed śmiercią Waddella zamieniono jego numer SID w AFIS-ie z numerem innej osoby, której dane następnie usunięto z CCRE. Znaczyło to, że na wolności przebywa przestępca, który nie musi wkładać rękawiczek przy popełnianiu kolejnych zbrodni. Kiedy bowiem sprawdzano w AFIS-ie pozostawione przez niego odciski palców, okazywało się, iż należą one do nieboszczyka. Ów osobnik pozostawiał za sobą ślady w postaci piór i odprysków farby, poza tym jednak nic o nim nie wiedzieliśmy - aż do trzeciego stycznia.

Tego poranka w „Richmond Times-Dispatch” ukazał się artykuł o kosztownym puchu edredona, który niczym magnes przyciąga złodziei. O trzynastej czternaście Tom Lucero, szef fikcyjnego zespołu śledczego, odebrał trzeci tego dnia telefon.

– Cześć, nazywam się Hilton Sullivan - rzekł rozmówca donośnym głosem.

– W czym mogę panu pomóc? - zapytał Lucero.

– Ja w sprawie prowadzonego przez pana śledztwa. Te puchowe rzeczy, na które rzucają się złodzieje. Rano w gazecie był artykuł. Pisali, że pan się tym zajmuje.

– To prawda.

– Do szau mnie doprowadza, że gliniarze są tacy głupi. - Podniósł głos. - W gazecie piszą, że od Święta Dziękczynienia ze sklepów, samochodów i domów w Richmond złodzieje skradli kołdry, śpiwór, trzy kurtki narciarskie itd. Dziennikarz zacytował kilka osób.

– O co panu chodzi, panie Sullivan?

– Nie ulega wątpliwości, że dziennikarz dostał nazwiska ofiar od gliniarzy.

Czyli od pana.

– To nie są tajne dane.

– To mnie akurat nic nie obchodzi. Chcę tylko wiedzieć, jak to się stało, że nie wspomniał pan o tej ofierze, pańskim unizonym śludze? Założę się, że nawet nie pamięta pan mojego nazwiska, co?

– Bardzo mi przykro, proszę pana, ale rzeczywiście nic mi ono nie mówi.

– Jakiś trzepnięty głupek włamuje się do mojego mieszkania i obrabia je do czysta, a potem następny sypie wszystko czarnym proszkiem, w dodatku w dniu, kiedy mam na sobie biały kaszmirowy sweter. A policja nawet nie umie dodać dwa do dwóch. Jestem jedną z waszych cholernych spraw.

– Kiedy włamano się do pańskiego mieszkania?

– Nie pamięta pan?! To ja zrobiłem takie piekło o puchową kamizelkę.

Gdyby nie ja, w życiu byście nie słyszeli o puchu edredona! Kiedy powiedziałem gliniarzowi, że oprócz innych rzeczy zabrano także kamizelkę, za którą zapłaciłem pięćset dolców, wie pan, co odpowiedział?

– Nie mam pojęcia.

– Powiedział: „Co, była wypchana kokainą?”. A ja mu na to: „Nie, Sherlocku.

Pierzem edredona!”. A ten ćwok rozejrzał się nerwowo i położył rękę na spluwie, bo myślał, że daję ukrytemu w szafie kumplowi sygnał do ataku.

Wtedy po prostu wyszedłem...



Wesley wyłączył magnetofon. Siedzieliśmy u mnie w kuchni, Lucy nie było - pojechała poćwiczyć do klubu.

– Włamanie, o którym mówi ten Hilton Sullivan, rzeczywiście zostało zgłoszone przez niego w sobotę jedenastego grudnia. Wrócił z jakiegoś wyjazdu poza miasto i zastał mieszkanie splądrowane - wyjaśnił Wesley.

– Gdzie to mieszkanie jest? - zapytałam.

– W centrum, na West Franklin. To stara ceglana kamienica z mieszkaniami własnościowymi od stu tysięcy dolarów w górę. Sullivan mieszka na parterze. Włamywacz wszedł przez uchylone okno.

– Nie miał systemu alarmowego?

– Nie.

– A co zginęło?

– Biżuteria, pieniądze, rewolwer kaliber dwadzieścia dwa. Naturalnie nie musi to oznaczać, że rewolwer Sullivana został użyty do zamordowania Eddiego Heatha, Susan i Donahue, aczkolwiek ja osobiście jestem o tym przekonany. Nie ma wątpliwości, że włamania dokonał nasz człowiek.

– Znaleziono odciski?

– Całe mnóstwo. Były w policji miejskiej, a sama wiesz, jak to wygląda.

Przy tej liczbie morderstw włamania schodzą na drugi plan. W tym wypadku odciski opracowano i zostawiono w kartotece. Pete wziął je

natychmiast po telefonie do Lucero. Vander już zdążył je sprawdzić w AFISie.

Odpowiedź dostał dokładnie po trzech sekundach.

– Znowu Waddell.

Wesley skinął głową.

– Jak daleko mieszkanie Sullivana jest od Spring Street?

– Można dojść na piechotę. Chyba wiemy, skąd nasz człowiek uciekł.

– Sprawdzasz ostatnio zwolnionych?

– Jasne, ale nie znajdziemy go w stosie papierów na czyimś biurku. Dyrektor więzienia był na to zbyt ostrożny. Niestety, on także nie żyje. Sądzę, że to on uwolnił więźnia, a ten zaczął od włamania i prawdopodobnie kradzieży jakiegoś samochodu.

– Z jakiego powodu Donahue miałby uwolnić więźnia?

– Moja teoria jest taka, że dyrektor potrzebował kogoś do odwalenia brudnej roboty. Wybrał więc sobie więźnia na pomocnika. Tylko że Donahue popełnił błąd. Trafił na niewłaściwego człowieka, ponieważ osobnik, który dokonał tych zbrodni, nie zamierza poddać się niczyjej władzy.

Podejrzewam, Kay, że Donahue śmierci nie miał w planach, kiedy więc odkryto zwłoki Jennifer Deighton, przestraszył się.

– Prawdopodobnie to on zadzwonił do mnie do pracy i przedstawił się jako John Deighton.

– Niewykluczone. Chodzi o to, że Donahue zlecił mu przeszukanie domu Jennifer Deighton, bo komuś na czymś zależało, być może na liście od Waddella. Ale zwykłe włamanie to żadna frajda. Pupilek dyrektora lubi krzywdzić ludzi.

Pomyślałam o wgnieceniach w dywanie, sińcach na szyi Jennifer Deighton, odcisku palca zdjętym z krzesła w jadalni.

– Pewnie kazał jej usiąść na środku salonu, po czym stanął za nią i trzymając za gardło, zadawał pytania - rzekłam.

– Mógł to zrobić, żeby zmusić ją do powiedzenia, gdzie są przedmioty, o które mu chodzi. Ale jest sadystą. Prawdopodobnie zmusił ją do otwarcia prezentów, to także było sadystyczne - stwierdził Wesley.

– Czy komuś takiemu chciałoby się męczyć i prznosić ciało do samochodu, żeby upozorować samobójstwo? - zapytałam.

– Nie można tego wykluczyć. Pamiętaj, że siedział w więzieniu. Nie zamierza dać się złapać, a poza tym przypuszczalnie traktuje to jako wyzwanie.

Usunął ślady po ugryzieniach z ciała Eddiego Heatha. Jeśli nawet przeszukał dom Jennifer Deighton, nie ma na to dowodów. Tylko w sprawie Susan pozostawił dwa pociski kaliber dwadzieścia dwa i pióro. Nie wspominając już o tym, że zmienił swoje odciski palców.

– Sądzisz, że to był jego pomysł?

– Prawdopodobnie to sprawka dyrektora. Wybranie do tego celu Waddella to chyba kwestia wygody. Waddell niedługo miał być stracony. Gdybym chciał zamienić odciski palców jakiegoś więźnia na inne, wybrałbym Waddella. Jeśli mój mały pomocnik trochę by się zapomniał i czegoś nieostrożnie dotknął, jego odciski albo by zidentyfikowano jako odciski zmarłego, albo - co bardziej prawdopodobne - w ogóle by ich nie zidentyfikowano, ponieważ dane dotyczące zmarłych zostają wkrótce po śmierci usunięte z baz danych policji stanowej.

Wpatrywałam się w niego oszołomiona.

– Co jest? - spytał zaskoczony.

– Zdajesz sobie sprawę z sensu swoich słów, Bentonie? Siedzimy tu sobie i rozmawiamy o zmianach dokonanych w komputerze, zanim Waddella stracono. Mówimy o włamaniu i morderstwie małego chłopca,

które popełniono, kiedy Waddell jeszcze żył. Innymi słowy, pomocnik dyrektora, jak go nazywasz, został uwolniony przed egzekucją Waddella.

– W tej kwestii chyba nie ma wątpliwości.

– W takim razie u podstaw całej sprawy tkwi założenie, że Waddell umrze - zauważyłam.

– Chryste. - Wesley wzdrygnął się. - Skąd mogli mieć pewność? Przecież gubernator choćby w ostatniej chwili mógł interweniować.

– Najwyraźniej ktoś wiedział, że tego nie zrobi.

– A jedyną osobą, która wiedziała to na pewno, jest sam gubernator - skończył za mnie.

Podniosłam się z krzesła i stanęłam przy kuchennym oknie. Kardynał, pożywiwszy się ziarnami słonecznika, które wysypałam w karmniku, odleciał niczym krwistoczerwony obłoczek.

– Dlaczego? - zapytałam. - Dlaczego gubernator miałby szczególnie interesować się Waddellem?

– Nie mam pojęcia.

– Jeśli to prawda, nie chce, by złapano mordercę. Ludzie po aresztowaniu zaczynają mówić.

Wesley milczał.

– Ktokolwiek za tym stoi, nie chce, by tego osobnika złapano. I nie chce mnie widzieć na scenie. Byłoby o wiele lepiej, gdybym zrezygnowała albo została wyrzucona, gdyby dzięki temu śledztwo zostało możliwie najbardziej spieprzone. Patterson jest blisko z Norringiem.

– Kay, nie wiemy na razie dwóch rzeczy. Pierwsza to motyw. Druga to cele zabójcy. Ten człowiek realizuje własny plan, poczynawszy od Eddiego Heatha.

Odwróciłam się twarzą do Bentona.

– Według mnie zaczął od Robyn Naismith. Jestem przekonana, że ten potwór oglądał fotografie policyjne z miejsca zabójstwa i albo świadomie, albo podświadomie odtworzył jedną z nich, kiedy zaatakował chłopca, a potem jego ciało oparł o śmietnik.

– To bardzo prawdopodobne - rzekł Wesley.

– Skąd jednak więzień miał policyjne zdjęcia? Przecież Waddell nie nosił ich w kieszeni więziennego ubrania.

– To może być jeszcze jedna sprawa, w której pomocny okazał się Ben Stevens. Pamiętasz, mówiłam ci, że to on poszedł po zdjęcia do archiwum.

Mógł wtedy zrobić odbitki. Pytanie brzmi, dlaczego te zdjęcia miałyby być ważne? Dlaczego Donahue czy ktoś inny o nie poprosił?

– Może chciał je zobaczyć więzień. Może ich zażądał. Może to była nagroda za specjalne usługi.

– To jest chore - rzekłam z cichą furią.

– Masz rację. - Wesley spojrzał mi w oczy. - To kieruje nas z powrotem ku celom, pragnieniom i potrzebom zabójcy. Najprawdopodobniej wiele słyszał o Robyn Naismith. Mógł wiele wiedzieć o Waddellu i podniecało go rozmyślanie o tym, co Waddell zrobił ze swoją ofiarą. Zdjęcia byłyby afrodyzjakiem dla osobnika, którego życie zdominowane jest przez agresywne, pełne przemocy fantazje na tematy seksualne. Można przypuścić, że taki osobnik włączył zdjęcie lub zdjęcia z miejsca zbrodni w swoje fantazje. A potem nagle znajduje się na wolności i widzi małego chłopca idącego o zmroku do sklepu. Fantazja staje się rzeczywistością i człowiek ten przystępuje do działania.

– Odtworzył zabójstwo Robyn Naismith?

– Tak.

– A jak sądzisz, czego dotyczą teraz jego fantazje?

– Bycia ściganym.

– Przez nas?

– Przez ludzi takich jak my. Obawiam się, że on sobie wyobraża, że jest sprytniejszy od wszystkich i nikt nie zdoła go powstrzymać. Fantazjuje o zabawach, w które może się pobawić, i morderstwach, które może popełnić.

A dla niego fantazja nie jest substytutem działania, lecz przygotowaniem do niego.

– Donahue nie mógłby przeprowadzić zwolnienia takiego potwora ani dokonać zmian w bazach danych i reszty bez pomocy - rzekłam.

– Nie mógłby. Jestem przekonany, że namówił do współpracy kluczowe osoby w komendzie policji stanowej, może kogoś od archiwów, a nawet kogoś z FBI. Ludzi można do wielu rzeczy namówić, jeśli coś na nich się ma. Można też ich kupić za gotówkę.

– Jak Susan.

– Nie przypuszczam, że Susan była tą kluczową osobą. Już prędzej stawiałbym na Bena Stevensa. Odwiedza często bary, chodzi na przyjęcia.

Wiedziałaś, że od czasu do czasu lubi sobie wziąć kokę?

– Nic mnie już nie może zdziwić.

– Mam kilku ciekawskich ludzi. Twój administrator prowadzi życie ponad stan. A kiedy zaczynasz z narkotykami, kończysz w złym towarzystwie.

Przez swoje niedobre skłonności Stevens mógł łatwo wpaść w oko draniowi pokroju Donahue, który przypuszczalnie wysłał jednego ze swoich ludzi, żeby niby przypadkiem wpadł na Stevensa w barze i nawiązał z nim rozmowę. Następnie Stevens dostał propozycję zarobienia niezłej sumki.

– Ale jaką propozycję?

– Po pierwsze, miał dopilnować, żeby w kostnicy nie zdjęto odcisków palców Waddella, a z archiwum zniknęło zdjęcie jego krwawego kciuka. To

prawdopodobnie był tylko początek.

– A Stevens wciągnął w to Susan.

– Która nie bardzo chciała, ale miała poważne kłopoty finansowe.

– Kto według ciebie płacił?

– Wszelkie sprawy załatwiała moim zdaniem ta sama osoba, która nawiązała znajomość ze Stevensem. Jeden z ludzi Donahue, może któryś ze strażników.

Przypomniał mi się strażnik nazwiskiem Roberts, który oprowadzał mnie i Marino po więzieniu. Pamiętałam jego zimne jak stal oczy.

– Załóżmy, że kontaktował się z nimi strażnik - rzekłam. - To z kim według ciebie się spotykał? Z Susan czy Stevensem?

– Raczej ze Stevensem. Nie sądzę, by Stevens powierzył Susan większą gotówkę. Pewnie wolał jako pierwszy zabierać swoją działkę. Nieuczciwi ludzie uważają, że inni są tacy sami.

– Ben spotyka się z kontaktem i dostaje gotówkę - powiedziałam. - Następnie umawia się z Susan, by wręczyć jej część?

– Tak przypuszczalnie to się odbyło w pierwszy dzień świąt, kiedy Susan wyszła z domu rodziców pod pozorem wizyty u przyjaciółki. W rzeczywistości miała spotkać się ze Stevensem, tylko że zabójca pierwszy zjawił się na umówionym miejscu.

Pomyślałam o wodzie kolońskiej, którą wyczułam na jej kołnierzu i szalu, oraz o zachowaniu Stevensa owego wieczoru, kiedy przeszukiwałam jego biurko.

– Nie - rzekłam. - To nie tak się odbyło.

Wesley bez słowa patrzył na mnie.

– Stevens - ciągnęłam - jest potwornym egoistą i tchórzem. Kiedy robi się gorąco, nie zamierza nadstawić karku. Jego pierwszym impulsem jest skierować podejrzenia na kogoś innego.

- Tak robi względem ciebie, obmawiając cię i kradnąc dokumenty.
 - Doskonały przykład - stwierdziłam.
 - Susan złożyła w banku trzy tysiące pięćset dolarów na początku grudnia, kilka tygodni przed śmiercią Jennifer Deighton.
 - Masz rację.
 - Dobra, Kay. Cofnijmy się nieco w czasie. Susan lub Stevens - albo oboje - próbują włamać się do twojego komputera parę dni po egzekucji Waddella.
- Zastanawialiśmy się, czego szukali w raporcie z sekcji zwłok, a czego Susan, jako osoba biorąca w niej udział, nie wiedziała.
- Koperta, z którą życzył sobie być pochowany.
 - Dalej tego nie rozumiem. Paragony nie potwierdzają naszych wcześniejszych przypuszczeń, że restauracje i roгатki na autostradach powinny znajdować się na trasie pomiędzy Richmond a Mecklenburgiem i że miałyby pochodzić z konwojowania Waddella z więzienia w Mecklenburgu do Richmond na piętnaście dni przed egzekucją. Daty na rachunkach się zgadzają, ale miejsca nie. Kody na paragonach odpowiadają miejscowościom położonym przy drodze 1-95 z Richmond do Petersburga.
 - Wytłumaczenie może być tak proste, że zupełnie nie przyszło nam do głowy.
 - Zamieniam się w słuch.
 - Podejrzewam, że w czasie podróży służbowych postępujesz tak samo jak ja. Dokumentujesz wszystkie wydatki i zachowujesz rachunki. Jeśli jeździsz często, wolisz poczekać, aż uda ci się zebrać kilka delegacji na jednym formularzu, żeby oszczędzić sobie papierkowej roboty. Rachunki gdzieś przechowujesz.
 - To rzeczywiście wyjaśniałoby tę kwestię - rzekł Wesley. - Ktoś z personelu więzienia musiał jechać do Petersburga. Ale w jaki sposób

rachunki znalazły się w kieszeni Waddella?

Pomyślałam o błagalnej prośbie, którą Waddell umieścił na kopercie. I wówczas przypomniał mi się pewien szczegół, równie wzruszający, co istotny. Na kilka godzin przed egzekucją Waddellowi zezwolono na dwugodzinne spotkanie z matką.

– Bentonie, rozmawiałeś z matką Ronniego Waddella?

– Kilka dni temu Pete pojechał do Suffolk, żeby się z nią zobaczyć. Nie jest szczególnie przyjacielska ani nie okazuje chęci do współpracy z ludźmi reprezentującymi wymiar sprawiedliwości. W końcu to my posłaliśmy jej syna na krzesło elektryczne.

– Tak więc nie powiedziała niczego istotnego na temat zachowania syna, kiedy widziała go w dzień egzekucji?

– Z jej skąpych wypowiedzi wynikało, że był spokojny, choć przerażony.

Dowiedzieliśmy się jednak jednej ciekawej rzeczy. Pete zapytał ją, co stało się z osobistymi rzeczami Waddella. Odparła, że strażnicy dali jej jego zegarek i obrączkę i wyjaśnili, że swoje książki, poezje i tak dalej przekazał w darze Amerykańskiemu Stowarzyszeniu na Rzecz Edukacji Ludności Kolorowej.

– Nie miała w tej kwestii żadnych wątpliwości? - zapytałam.

– Najwyraźniej uznała to za rozsądne ze strony syna.

– Dlaczego?

– Jest analfabetką. Istotne jest to, że okłamano ją, tak jak nas, kiedy Vander próbował znaleźć jakieś przedmioty należące do Waddella myśląc, że będą na nich odciski palców. A źródłem tego kłamstwa najprawdopodobniej jest Donahue.

– Waddell coś wiedział - rzekłam. - Bo Donahue gotów był na wszystko, żeby tylko położyć łapę na każdym skrawku papieru, który Waddell zapisał,

na każdym liście, który otrzymał. Waddell musiał wiedzieć o czymś, co pewni ludzie chcieli za wszelką cenę utrzymać w tajemnicy.

Wesley milczał. Po chwili zapytał:

– Jak nazywa się ta woda kolońska, której używa Stevens?

– *Red*.

– I jesteś pewna, że właśnie ją wyczułaś na kołnierzu i szalu Susan?

– Nie zeznałabym tego pod przysięgą, ale to dość charakterystyczny zapach.

– Chyba najwyższy czas, żebyśmy z Pete'em pogadali sobie z twoim administratorem.

– To dobrze. A ja sądzę, że uda mi się wprowadzić go w odpowiedni nastrój, jeśli dasz mi czas do jutra do dwunastej.

– Co chcesz zrobić?

– Zmienić go w kłębek nerwów.



Pracowałam właśnie przy kuchennym stole, kiedy usłyszałam, jak Lucy wjeżdża do garażu. Wstałam, żeby się z nią przywitać. Ubrana była w granatowy dres i jedną z moich narciarskich kurtek, w ręku niosła worek gimnastyczny.

– Jestem brudna - stwierdziła, uwalniając się z moich objęć, zdążyłam jednak wyczuć zapach prochu w jej włosach. Na prawej dłoni Lucy dostrzegłam tyle sadzy, że specjalista od śladów wpadłby na ten widok w ekstazę.

– Hola! - powiedziałam, kiedy ruszyła do drzwi. - Gdzie go masz?

– Gdzie co mam? - zapytała niewinnie.

– Rewolwer.

Z ociąganiem wyjęła z kieszeni kurtki mojego smitha.

– Nie wiedziałam, że masz pozwolenie na noszenie ukrytej broni - rzekłam, biorąc od niej rewolwer, by upewnić się, że nie jest naładowany.

– Nie muszę mieć pozwolenia na noszenie ukrytej broni po domu. W samochodzie trzymałam go na siedzeniu, gdzie każdy mógł go zobaczyć.

– To dobrze, ale nie bardzo dobrze - rzekłam cicho. - Chodź.

Bez słowa poszła za mną i usiadłyśmy przy kuchennym stole.

– Powiedziałaś, że jedziesz do klubu w Westwood poćwiczyć - zaczęłam.

– Wiem, co mówiłam.

– Gdzie byłaś, Lucy?

– Na strzelnicy przy Midlothian Turnpike. To strzelnica pod dachem.

– Znam ją. Ile razy tam byłaś?

– Cztery - odparła patrząc mi prosto w oczy.

– Dobry Boże, Lucy.

– No a co według ciebie miałam zrobić? Pete więcej nie będzie mnie zabierał.

– Porucznik Marino jest obecnie bardzo, bardzo zajęty. - Uwaga ta zabrzmiała tak protekcyjnie, że poczułam się zakłopotana. - Wiesz przecież - dodałam.

– Jasne. Teraz nie może się tu pokazywać. A skoro nie kontaktuje się z tobą, nie kontaktuje się też ze mną. Musi śledzić maniaka, który zabija ludzi w rodzaju kierowniczkę kostnicy i dyrektora więzienia. Ale Pete przynajmniej umie o sobie zadbać. A ja? Jeden raz pokazano mi, jak się strzela.

Dziękuję uprzejmie. To jak po jednej lekcji tenisa zgłosić mnie na turniej w Wimbledonie.

– Przesadzasz.

– Nie, problem polega na tym, że to ty umniejszasz powagę sytuacji.

– Lucy...

– Jak byś się czuła, gdybym ci powiedziała, że za każdym razem, kiedy cię odwiedzam, nie umiem przestać myśleć o tamtej nocy?

Wiedziałam dokładnie, o czym mówi, choć przez lata udawało nam się zachowywać tak, jak gdyby nic się nie stało.

– Nie czułabym się dobrze, gdybym wiedziała, że denerwujesz się jakąkolwiek sprawą, która mnie dotyczy.

– Jakąkolwiek? Według ciebie to jakaś tam sprawa?

– Naturalnie że nie.

– Czasami budzę się w nocy, bo mi się śni, że słyszę strzał. Nasłuchuję tej okropnej ciszy i przypominam sobie, jak wtedy leżałam, wpatrując się w ciemność. Byłam tak przerażona, że nie mogłam się poruszyć i zmoczyłam łóżko. Wyły syreny, błyskały czerwone światła, a sąsiedzi wychodzili na ganki i wyglądali z okien. Nie pozwoliłaś mi patrzeć, kiedy go wynosili, nie pozwoliłaś mi pójść na górę. Szkoda, bo wyobrażanie sobie tego jest jeszcze gorsze.

– Ten człowiek nie żyje, Lucy. Nikogo już nie skrzywdzi.

– Są inni równie źli, może nawet gorsi.

– Nie zamierzam cię przekonywać, że jest inaczej.

– Co w takim razie z tym robisz?

– Każdą chwilę mojego życia poświęcam na zbieranie kawałków istnień, które źli ludzie zniszczyli. Co więcej mam robić?

– Jeśli pozwolisz, by cokolwiek ci się przydarzyło, przyrzekam, że cię znienawidzę - oznajmiła Lucy.

– Jeśli coś mi się stanie, niewiele mnie będzie obchodziło, kto mnie nienawidzi.

Nie chcę jednak, byś kogokolwiek nienawidziła, bo zaszkodzi to przede wszystkim tobie.

– I tak cię znienawidzę, przysięgam.

– Obiecay mi, Lucy, że więcej mnie nie okłamiesz.

Milczała.

– Nie chcę, byś kiedykolwiek czuła, że musisz coś przede mną ukrywać - mówiłam dalej.

– A gdybym ci powiedziała, że chcę iść na strzelnicę, to byś mi pozwoliła?

– Pod warunkiem, że szłabyś ze mną albo z porucznikiem Marino.

– Ciociu, co będzie, jeśli Pete go nie złapie?

– Porucznik Marino nie jest jedyną osobą, która prowadzi śledztwo.

– Wiesz, współczuję Pete'owi.

– A to dlaczego?

– Musi powstrzymać tego człowieka, kimkolwiek on jest, a nawet nie może z tobą porozmawiać.

– Pewna jestem, że doskonale sobie radzi, Lucy. W końcu jest profesjonalistą.

– Michele mówi co innego.

Spojrzałam na nią, zaintrygowana.

– Rozmawiałam z nią dzisiaj rano. Mówiła, że Pete niedawno przyszedł do nich zobaczyć się z jej ojcem. Wyglądał okropnie, był czerwony na twarzy jak wóz strażacki i w strasznym nastroju. Pan Wesley próbował go przekonać, żeby poszedł do lekarza albo wziął parę dni wolnego, ale mu się nie udało.

Ogarnęła mnie rozpacz. Chciałam natychmiast zadzwonić do Marino, lecz zdawałam sobie sprawę, że nie byłoby to rozsądne. Wołałam zmienić temat.

– Macie coś nowego w kwestii komputerów policji stanowej?

– Nic. Próbowaliśmy wszystkiego, żeby ustalić, komu zamieniono numery z Waddellem, ale na wszystkich rekordach zaznaczonych do usunięcia już dawno wpisano zupełnie nowe dane. A nasz manipulator był na tyle sprytny, że po zmianie dokonał pełnego backupu, co oznacza, że nie możemy sprawdzić numerów SID we wcześniejszej wersji CCRE i przekonać się, co wyjdzie. Zwykle backupy mają od trzech do sześciu miesięcy. Nie w tym wypadku jednak.

– To mi wygląda na robotę kogoś z wewnątrz.

Pomyślałam, jak swobodnie czuję się w towarzystwie Lucy. To nie był już gość czy irytująca mała dziewczynka.

– Trzeba zadzwonić do twojej mamy i babci - rzekłam.

– Musimy dziś wieczorem?

– Nie, ale najwyższy czas, żebyśmy porozmawiały o twoim powrocie do Miami.

– Lekcje zaczynają się siódmego i świat się nie zawali, jeśli opuszczę kilka pierwszych dni.

– Szkoła jest bardzo ważna.

– A także bardzo łatwa.

– Powinnaś sama coś zrobić, żeby było trudniej.

– Nieobecność na paru lekcjach sprawi, że będzie trudniej - odparła.



Następnego dnia zadzwoniłam do Rose o wpół do dziewiątej rano. Wiedziałam, że o tej porze personel ma zebranie w sali po drugiej stronie korytarza, co znaczyło, że Ben Stevens jest zajęty i nie dowie się o moim telefonie.

– Jak wyglądają sprawy? - zapytałam moją sekretarkę.

– Fatalnie. Doktor Wyatt nie mógł dotrzeć do nas z Roanoke, ponieważ w górach pada śnieg i drogi są nieprzejezdne. W rezultacie wczoraj Fielding miał cztery sprawy i nikogo do pomocy. Poza tym musiał iść do sądu, a potem wezwano go na miejsce zbrodni. Rozmawiała z nim pani?

– Spróbuję, jak biedaczek znajdzie wolną chwilę, żeby podejść do telefonu.

Może powinniśmy zwrócić się o pomoc do naszych byłych kolegów.

Jansen ma prywatną praktykę w Charlottesville. Zadzwoń do niego i zapytaj, czy mógłby się ze mną skontaktować, dobrze?

– Pewnie, to doskonały pomysł.

– A teraz opowiedz mi o Stevensie - rzekłam.

– Rzadko go widzimy. Wypisuje się w tak mętny sposób, że nikt nigdy nie wie, dokąd właściwie poszedł. Podejrzewam, że szuka pracy.

– Przypomnij mu, żeby nie prosił mnie o referencje.

– Wolałabym, żeby dała mu pani wspaniałe referencje, bo wtedy na pewno ktoś się na niego skusi.

– Zadzwoń do laboratorium DNA i poproś Donnę, żeby zrobiła mi przysługę.

Powinna mieć zlecenie na analizę tkanki płodu ze sprawy Susan.

Rose milczała. Wyczuwałam wyraźnie, że jest zdenerwowana.

– Przykro mi, że o tym mówię - rzekłam łagodnie.

Wzięła głęboki oddech.

– Kiedy oddała pani to zlecenie?

– Właściwie wypisał je doktor Wright, ponieważ to on przeprowadzał sekcję. Na pewno ma kopię zlecenia w biurze w Norfolk, razem z resztą dokumentów.

– Ale nie mam dzwonić do Norfolk?

– Nie. To nie może czekać, a ja nie chcę, by ktokolwiek wiedział, że prosiłam o to zlecenie. To ma tak wyglądać, jak gdyby kopia przypadkiem trafiła do naszego biura. Dlatego załatwisz wszystko bezpośrednio z Donna. Poprosisz, żeby wyjęła to zlecenie, a ty osobiście je odbierzesz.

– I co dalej?

– Umieścisz je jako pierwsze w skrzynce, gdzie trafiają zlecenia laboratoryjne i raporty do sortowania.

– Jest pani pewna?

– Całkowicie.

Odłożyłam słuchawkę i wzięłam książkę telefoniczną. Przerzucałam kartki, kiedy do kuchni weszła Lucy, bosa i w dresie, który służył jej jako piżama. Zaspanym głosem przywitała się ze mną, po czym zaczęła buszować w lodówce. Tymczasem ja przesuwałam palec wzdłuż kolumny nazwisk.

Znalazłam może czterdzieści numerów telefonów przy nazwisku Grimes, ale żadnej Helen. Oczywiście, kiedy Marino mówił o strażniczce „Helen Hun”, żartował. Może wcale nie miała na imię Helen. Zauważyłam, że tylko przy trzech nazwiskach znajdował się inicjał H., dwa razy dla pierwszego imienia, raz dla drugiego.

– Co robisz? - zapytała Lucy, stawiając na stole szklankę soku pomarańczowego i wysuwając krzesło.

– Usiłuję kogoś znaleźć.

Sięgnęłam po telefon. Nie miałam jednak szczęścia z żadnymi Grimesami, do których zadzwoniłam.

– Może wyszła za mąż - zasugerowała Lucy.

– Nie sędzę.

Zadzwoniłam do informacji i poprosiłam o numer nowego więzienia w Greenville.

– Na jakiej podstawie przypuszczasz, że tam ją znajdziesz? - zapytała Lucy.

– Intuicja. - Wystukałam numer, a kiedy w słuchawce odezwał się kobiecy głos, powiedziałam: - Próbuję znaleźć Helen Grimes...

– Chodzi pani o osadzoną?

– Nie, to jedna z waszych strażniczek.

– Proszę poczekać.

Przełączyła i po chwili usłyszałam głos mężczyzny, który dość niewyraźnie się przedstawił, chyba jako Watkins.

– Proszę z Helen Grimes - powiedziałam.

– Z kim?

– Strażniczką Helen Grimes.

– Ach... Ona już tu nie pracuje.

– Mógłby mi pan powiedzieć, jak mogę się z nią skontaktować, panie Watkins? To bardzo ważne.

– Proszę poczekać. - Słuchawka stuknęła o drewno. W tle śpiewał Randy Travis. Po kilku minutach mężczyzna wrócił. - Przykro mi, ale nie wolno nam udzielać takich informacji.

– Rozumiem, panie Watkins. Proszę podać mi swoje imię, a ja prześlę wszystko do pana i pan jej to przekaże.

– To znaczy co?

– Jej zamówienie. Dzwonię, żeby się dowiedzieć, jaką pocztą mam jej to przesłać.

– Jakie zamówienie?

Z tonu jego głosu wywnioskowałam, że nie jest zadowolony.

– Komplet encyklopedii, sześć pudeł po osiemnaście funtów każde.

– Nie może pani przysłać do nas żadnych encyklopedii.

– A co według pana mam z nimi zrobić? Zapłaciła już, ale podała tylko adres służbowy.

– Proszę poczekać.

Usłyszałam szelest papieru, później stukanie w klawisze.

– Mogę pani dać tylko numer skrzynki pocztowej - rzekł mężczyzna pośpiesznie.

– Niech pani tam wyśle książki. Do mnie proszę niczego nie przysyłać.

Podał mi adres, po czym odłożył słuchawkę. Urząd pocztowy, na który Helen Grimes otrzymywała korespondencję, znajdował się w hrabstwie Goochland. Zadzwoiłam więc do znajomego pracownika tamtejszego sądu.

Po godzinie wyszukał adres domowy Helen Grimes, numer telefonu miała jednak zastrzeżony. O jedenastej wzięłam notatnik i płaszcz. Lucy znalazłam w gabinecie.

– Muszę wyjść na kilka godzin - powiedziałam.

– Kłamałaś przez telefon. - Nie odrywała wzroku od ekranu. - Przecież nie handlujesz encyklopediami.

– Masz rację. Kłamałam.

– Czyli czasami kłamstwo jest w porządku, a czasami nie.

– Nigdy nie jest w porządku, Lucy.

Zostawiłam ją przed mrugającymi światełkami modemu i komputerowymi podręcznikami rozrzuconymi po biurku i podłodze. Na ekranie pulsował kursor. Kiedy nie mogła mnie widzieć, wsunęłam do torebki rugera.

Mimo że miałam pozwolenie na noszenie ukrytej broni, rzadko to robiłam.

Włączyłam alarm, po czym wyszłam z domu do garażu, wsiadłam do samochodu i ruszyłam na zachód. Niebo okryło się różnymi odcieniami

szarości, kiedy wreszcie dotarłam do River Road. Myślałam o tym, że pewnie lada dzień zadzwoni do mnie Nicholas Grueman. W dokumentach, które mu dałam, bezdźwięcznie tykała bomba, a ja nie cieszyłam się na to, co od niego usłyszę.

Helen Grimes mieszkała przy błotnistej drodze na zachód od restauracji North Pole. Jej niewielkie podwórko, na którym rosło kilka drzew, z drugiej strony graniczyło z farmą. Dom przypominał niewielką stodołę, z doniczek na oknach sterczały zeschnięte badyle geranium, jak mi się wydawało.

Na drzwiach frontowych nie dostrzegłam żadnej wizytówki, ale parkujący tuż przy ganku stary chrysler świadczył, że w domu jednak ktoś mieszka.

Kiedy Helen Grimes otworzyła drzwi, z wyrazu jej twarzy domyśliłam się, że moja osoba jest dla niej równie obca, jak mój niemiecki samochód.

Ubrana w dżinsy i luźną koszulę, ujęła się pod obfite boki, nieruchomo stojąc w progu. Ani zimno, ani moje nazwisko najwyraźniej nie robiły na niej żadnego wrażenia. Dopiero kiedy przypomniałam jej o wizycie w więzieniu, w małych czujnych oczkach błysnęło zrozumienie.

– Kto pani powiedział, gdzie mieszkam?

– Pani adres znajduje się w dokumentach sądowych hrabstwa Goochland.

– Nie powinna była go pani szukać. Ciekawe, jak pani by się czuła, gdybym wykopała skądś pani adres?

– Nie miałabym pretensji, gdyby pani potrzebowała mojej pomocy, tak jak teraz ja potrzebuję pani - odparłam.

Tylko na mnie patrzyła. Włosy miała wilgotne, a na uchu smugę czarnej farby.

– Człowiek, dla którego pani pracowała, został zamordowany - rzekłam.
- Osoba, która pracowała dla mnie, także została zamordowana. To nie

jedyne ofiary. Jestem pewna, że orientuje się pani w sytuacji. Są powody, by przypuszczać, że sprawca był więźniem na Spring Street i został zwolniony mniej więcej w czasie, kiedy stracono Ronniego Joe Waddella.

– Nic nie wiem o żadnym zwolnionym.

– A czy wiedziałyby pani o więźniu, który zniknął? Którego być może zwolniono nie całkiem zgodnie z prawem? Wydaje się, że ze względu na rodzaj pracy powinna pani wiedzieć, kto wchodził do więzienia, a kto wychodził.

– Nie słyszałam, żeby ktoś zniknął.

– Dlaczego już pani nie pracuje? - zapytałam.

– Względy zdrowotne.

Z wnętrza domu, do którego wejście całkiem sobą zagradszała, dobiegło coś jak trzask zamykanych drzwiczek kredensu. Nie ustępowałam.

– Czy pamięta pani, jak matka Ronniego Waddella przyszła do więzienia w dzień jego egzekucji?

– Miałam wtedy służbę.

– Musiała poddać ją pani rewizji osobistej oraz sprawdzić przedmioty, które ze sobą przyniosła, prawda?

– Tak.

– Próbuje ustalić, czy pani Waddell przyniosła coś dla syna. Wiem, że regulamin zabrania przynosić cokolwiek skazanym...

– Można dostać zezwolenie. Ona dostała.

– Pani Waddell uzyskała zezwolenie na wręczenie czegoś synowi?

– Helen, wypuszczasz całe ciepło - zawołał ktoś słodko zza jej pleców.

W przestrzeni między lewym ramieniem Helen Grimes a framugą drzwi pojawiły się nagle utkwione we mnie błękitne oczy, blady policzek, zarys orlego nosa. Po ułamku sekundy zniknęły, a drzwi z cichym trzaskiem

zamknęły się za niegdysiejszą więzienną strażniczką. Oparła się o nie, nie odrywając ode mnie wzroku. Powtórzyłam pytanie.

– Przyniosła coś dla Ronniego, drobnostkę - odparła. - Zwróciłam się do dyrektora o pozwolenie.

– Do Franka Donahue?

Skinęła głową.

– I udzielił pozwolenia?

– Jak mówiłam, to była drobnostka.

– A dokładnie co to było?

– Obrazek z Jezusem, wielkości kartki pocztowej. Na odwrocie było coś napisane, nie pamiętam dokładnie... Coś jak „Będę z tobą w raju”, tylko że z samymi błędami ortograficznymi - rzekła Helen Grimes bez śladu uśmiechu.

– I to wszystko? - zapytałam. - Tylko to chciała dać synowi przed śmiercią?

– Powiedziałam już. Teraz muszę wracać do domu i nie chcę, żeby pani znowu mnie nachodziła. - Położyła dłoń na klamce w chwili, kiedy pierwsze krople deszczu spadły z nieba, pozostawiając na cementowej posadzce ganku mokre ślady wielkości pięciocentówki.



Kiedy później tego dnia Wesley zapukał do moich drzwi, miał na sobie czarną skórzaną kurtkę lotnika, granatową czapkę i ślad uśmiechu na twarzy.

– Co się dzieje? - zapytałam, prowadząc go do kuchni.

– Nie złamaliśmy Stevensa, ale nieźle go nastraszyliśmy. Ta sztuczka ze zleceniem dla laboratorium, które kazałaś położyć w widocznym miejscu,

odniosła skutek. Miał powody obawiać się rezultatów badań DNA tkanki płodu pobranego ze zwłok Susan.

– Miał z nią romans - powiedziałam. To dziwne: nie oburzało mnie jej prowadzenie się, lecz rozczarowywał gust.

– Stevens przyznał się do romansu i zaprzeczył całej reszcie.

– Jak na przykład, skąd Susan wzięła trzy tysiące pięćset dolarów? - zapytałam.

– Twierdzi, że nic o tym nie wie. Ale jeszcze z nim nie skończyliśmy. Jeden z informatorów Marino mówi, że widział czarnego jeepa z naklejką niedaleko miejsca, gdzie zastrzelono Susan, mniej więcej w tym czasie, kiedy sądzimy, że to się stało. Stevens ma czarnego jeepa z naklejką „14 Me”.

– Ben jej nie zabił - wtrąciłam.

– To prawda. Według mnie Stevens zaczął trząść portkami, kiedy jego kontakt zażądał informacji ze sprawy Jennifer Deighton.

– Wnioski nasuwały się same - zgodziłam się. - Wiedział, że Jennifer Deighton została zamordowana.

– A ponieważ jest tchórzem, zdecydował, że po następną ratę wyśle Susan, po czym się z nią spotka, by odebrać swoją działkę.

– Ale kiedy przyszedł na miejsce, Susan już nie żyła.

Wesley skinął głową.

– Myślę, że ten ktoś zastrzelił ją, a pieniądze zatrzymał dla siebie. Później, może ledwo kilka minut później, Stevens zjawił się na umówionym miejscu w zaułku przy Strawberry Street.

– Musiała siedzieć z głową na kierownicy, ponieważ zabójca strzelił jej w potylicę - powiedziałam. - Znalaziono ją jednak opartą o siedzenie.

– Zrobił to Stevens.

– No tak. Podchodząc do samochodu nie mógł wiedzieć, co stało się Susan. Nie mógł widzieć jej twarzy, jeśli głowę miała na kierownicy. Więc odchylił ją na oparcie.

– I w te pędy uciekł.

– A jeśli przed wyjściem na spotkanie z Susan skropił się wodą kolońską, musiał mieć ją na dłoniach. Kiedy chwycił Susan za ramiona, zapach pozostał na płaszczu. Dlatego go poczułam.

– W końcu go złamiemy.

– Na razie są ważniejsze sprawy, Bentonie.

Opowiedziałam mu o Helen Grimes i powtórzyłam, co powiedziała o ostatniej wizycie pani Waddell u syna.

– Moja teoria - ciągnęłam - jest następująca: Ronnie Waddell chciał, żeby pochowano go ze świętym obrazkiem, może to była jego ostatnia prośba.

Włożył go do koperty i napisał: „Pilne, poufne” i tak dalej.

– Nie mógł tego zrobić bez pozwolenia Donahue - rzekł Wesley. - Zgodnie z regulaminem ostatnia prośba skazańca musi zostać przekazana dyrektorowi.

– Właśnie, a bez względu na to, co mu mówili podwładni, za wielką ogarnęła go paranoja, żeby pozwolił na wyniesienie ciała Waddella z zapieczetowaną kopertą w kieszeni. Zgodził się więc na spełnienie prośby Waddella, ale obmyślił sposób na czyste i ciche sprawdzenie zawartości koperty.

Postanowił, że po śmierci Waddella zamieni koperty, i kazał jednemu ze swoich zbirów zająć się tym. Stąd właśnie wzięły się rachunki.

– Liczyłem, że do tego dojdiesz - powiedział Wesley.

–Tylko że ten człowiek popełnił błąd. Powiedzmy, że miał na biurku białą kopertę z rachunkami z niedawnej delegacji do Petersburga.

Powiedzmy, że bierze podobną białą kopertę i do środka wkłada coś nieistotnego, po czym pisze na niej to samo, co Waddell napisał na swojej.

– Tylko że myli koperty.

– Tak, pisze na kopercie z rachunkami.

– Przekonuje się o swoim błędzie później, kiedy szuka rachunków, i zamiast nich znajduje to coś nieistotnego.

– Właśnie - powiedziałam. - I tu na scenę wchodzi Susan. Gdybym ja była tym strażnikiem, bardzo bym się martwiła. Palącą kwestią byłoby dla mnie pytanie, czy kryminolodzy otworzyli w kostnicy kopertę, czy też zostawili ją zapieczętowaną. A jeśli tak się składa, że jestem także tym człowiekiem, który ubił ze Stevenssem interes w sprawie odcisków palców Waddella, od razu bym wiedziała, do kogo się zwrócić.

– Zwróciłabyś się do niego i kazała mu się dowiedzieć, czy koperta została otwarta. A jeśli tak, to czy jej zawartość wzbudziła czyjeś podejrzenia, czy ktoś zamierza drążyć tę sprawę. To się nazywa wpaść w pułapkę własnej paranoi i skończyć z większą liczbą problemów, niżby się miało, gdyby człowiek zachował zimną krew. Wydaje się jednak, że Ben Stevens potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie bez trudu.

– Niezupełnie - zaprzeczyłam. - Mógł zapytać Susan, ale ona nie była przy otwieraniu koperty. Fielding otworzył ją na górze, zrobił fotokopię zawartości, po czym odesłał oryginał z innymi przedmiotami osobistymi Waddella.

– A Stevens nie mógł po prostu zajrzeć do teczek Waddella?

– Nie mógł, chyba żeby się włamał do mojego kredensu - wyjaśniłam.

– W takim razie rzeczywiście pozostał mu tylko komputer.

– Mógł jeszcze zapytać Fieldinga albo mnie, ale wiedział, że to nic nie da.

Żadne z nas nie udzieliłoby informacji o tak poufnym szczególe ani Susan, ani jemu, ani nikomu innemu.

– Czy jego wiedza komputerowa jest na tyle duża, że umiałby włamać się do twojej kartoteki?

– O ile wiem, nie. Za to Susan skończyła kilka kursów i miała w gabinecie książki o Uniksie.

Zadzwoił telefon. Poczekałam, aż Lucy odbierze. Kiedy weszła do kuchni, wzrok miała niespokojny.

– To twój adwokat, ciociu.

Podawała mi telefon. Nicholas Grueman nie tracił czasu na powitania, tylko od razu przeszedł do sedna.

– Pani doktor, dwunastego listopada wypisała pani czek na dziesięć tysięcy dolarów w gotówce. W pani oświadczeniach bankowych nie znalazłem żadnego, które mogłoby wskazywać, że złożyła pani tę sumę na któreś ze swoich rozlicznych kont.

– Nie złożyłam tych pieniędzy.

– Wyszła pani z banku z dziesięcioma tysiącami dolarów w kieszeni?

– Nie. Wypisałam czek w banku *Signet* w centrum miasta, po czym nabyłam czek kasowy w funtach szterlingach.

– Dla kogo ten czek był przeznaczony? - pytał mój dawny profesor, a Benton Wesley przyglądał mi się w napięciu.

– Panie Grueman, to była transakcja natury prywatnej, nie mająca żadnego związku z moją pracą.

– Ależ pani doktor, dobrze pani wie, że takie oświadczenie nie wystarczy.

Wzięłam głęboki oddech.

– Wie pani, że będą o to pytać. Musi pani zdawać sobie sprawę, że sytuacja nie wygląda dobrze, jeśli na kilka tygodni przed złożeniem w

banku przez pani podwładną większej sumy niejasnego pochodzenia pani wypisuje taki czek.

Zamknęłam oczy. Wesley wstał i podszedł do mnie. Poczułam jego dłonie na ramionach.

– Kay, na litość boską, musisz mu powiedzieć.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gdyby Grueman był tylko teoretykiem, nie oddałabym swojej sprawy w jego ręce, jednakże przed podjęciem pracy na uczelni zajmował się prawami obywatelskimi i w czasach Roberta Kennedy'ego oskarżał członków mafii. Obecnie reprezentował biednych klientów, którym groził wyrok śmierci. Podobała mi się powaga Gruemana i potrzebowałam jego cynizmu.

Nie próbował negocjacji, nie utrzymywał, że jestem niewinna. Odmówił okazania najmniejszego skrawka dowodów Marino i wszystkim pozostałym.

Nie wspomniał nikomu o czeku na dziesięć tysięcy dolarów, który - jak mi powiedział - stanowił najpoważniejszy dowód przeciwko mnie.

Przypomniało mi się, czego uczył swoich studentów na pierwszych zajęciach z prawa kryminalnego: „Mów nie. Po prostu mów nie”. Mój były profesor bezwzględnie stosował się do tej zasady, paraliżując wysiłki Pattersona.

W czwartek szóstego stycznia Patterson zadzwonił do mnie do domu i zażądał, bym przyszła do jego biura na rozmowę.

– Jestem przekonany, że uda się nam tę sprawę wyjaśnić - rzekł przyjacielsko.

– Muszę tylko zadać pani kilka pytań.

Wynikało z tego, że jeśli zacznę współpracować, uda się może uniknąć czegoś o wiele gorszego. Dziwiłam się, jak Pattersonowi mogło w ogóle przyjść do głowy, że tak banalna sztuczka na mnie wystarczy. Jeśli prokurator stanowy chce pogadać, oznacza to, że zastawił sieci, przez które

mysz się nie prześliznie. To samo dotyczy policji. W najlepszym gruemanowskim stylu powiedziałam „nie”, po czym następnego ranka otrzymałam wezwanie do stawienia się dwudziestego stycznia przed specjalną wielką ławą przysięgłych. Po tym nastąpiło wezwanie do ujawnienia stanu moich finansów. Najpierw Greuman powołał się na Piątą Poprawkę, później napisał prośbę o unieważnienie wezwania. Tydzień później nie mieliśmy innego wyjścia jak je przyjąć, w przeciwnym razie groziło mi oskarżenie o utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Mniej więcej w tym samym czasie gubernator Norring mianował Fieldinga głównym patologiem stanu Wirginia.

– Właśnie przejechała kolejna furgonetka telewizyjna - zawołała Lucy z jadalni, gdzie stała przy oknie.

– Chodź wreszcie jeść - odrzyknęłam z kuchni. - Zupa stygnie.

Nastąpiła chwila ciszy, później rozległ się podniecony głos Lucy:

– Ciociu Kay!

– O co chodzi?

– Nigdy nie zgadniesz, kto zaraz tu wejdzie.

Z okna nad zlewem popatrzyłam na białego forda parkującego na podjeździe.

Otworzyły się drzwiczki i wysiadł Marino. Podciągnął spodnie, poprawił krawat, rozglądając się przy tym uważnie dokoła. Kiedy go obserwowałam, poczułam tak silne wzruszenie, że aż mnie to przestraszyło.

– Nie jestem pewna, czy powinnam się cieszyć na twój widok - powitałam go w progu.

– Nie martw się, doktorko, nie przyszedłem cię aresztować.

– Proszę, wejdź.

– Cześć, Pete! - zawołała Lucy wesoło.

– A ty co, nie masz przypadkiem być w szkole?

– Nie.

– Coś takiego. Czyżby na południu dawali wam cały styczeń wolnego?

– Właśnie, z powodu złej pogody - odparła. - Kiedy temperatura spada poniżej siedemdziesięciu stopni Farenheita, wszystko zamykają.

Marino się uśmiechnął. W tak okropnym stanie jeszcze go nie widziałam.

Kilka minut później rozpałałam ogień w kominku. Lucy wyszła załatwić sprawunki.

– Jak się miewasz? - zapytałam.

– Chcesz, żebym wyszedł zapalić na dwór?

Popchnęłam popielniczkę w jego stronę.

– Marino, pod oczyma masz wory, jesteś czerwony i pocisz się, choć w pokoju nie jest ciepło.

– Widzę, że za mną tęskniłeś.

Wyciągnął z tylnej kieszeni wymiętą chusteczkę i wytarł czoło, później zapalił papierosa.

– Patterson to kawał gnoja - odezwał się, wpatrzony w kominek. - Chce cię żywcem spalić.

– Niech spróbuje.

– Na pewno spróbuje, a ty się lepiej na to przygotuj.

– On nic przeciwko mnie nie ma, Marino.

– Ma odcisk palca znaleziony na kopercie w domu Susan.

– Mogę to wyjaśnić.

– Ale nie możesz niczym swoich słów poprzeć. Poza tym ma asa w rękawie.

Nie powinienem ci o tym mówić, ale powiem.

– Jakiego ma asa?

– Pamiętasz Toma Lucero?

– Wiem, kto to jest - odparłam.

– Potrafi być uroczy i jest cholernie dobrym gliną. Okazało się, że węszył koło banku *Signet*. Tak długo zagadywał jedną z kasjerek, aż w końcu opowiedziała mu o tobie. No wiesz, on nie powinien pytać, ona nie powinna odpowiadać. Ale powiedziała mu, że pamięta, jak koło Święta Dziękczynienia wypisałaś czek na wielką sumę w gotówce. Według niej było tego dziesięć tysięcy dolców.

Wpatrywałam się w niego nieruchomym wzrokiem.

– Wiesz, nie można winić Lucero. Robił, co do niego należało. Za to Patterson wie, czego szukać w twoich dokumentach finansowych. Ma zamiar nieźle cię przygwoździć przed specjalną wielką ławą.

Nie odezwałam się ani słowem.

– Doktorko - Marino pochylił się i spojrzał mi w oczy - nie uważasz, że powinniśmy o tym porozmawiać?

– Nie - rzekłam krótko.

Wstał, podszedł do kominka i lekko uchyliwszy ekran, wrzucił niedopałek do ognia.

– Cholera, doktorko - rzekł cicho. - Nie chcę, żeby postawiono cię w stan oskarżenia.

– Dla żadnego z nas kawa nie jest wskazana, ale czegoś bym się napiła.

Lubisz gorącą czekoladę?

– Wolałbym kawę.

Poszłam do kuchni. W głowie mi huczało. Nie miałam gdzie skierować mojej wściekłości. Zaparzyłam kawę bezkofeinową licząc, że Marino się na tym nie pozna.

– Jakie masz ciśnienie? - zapytałam.

– Chcesz wiedzieć prawdę? Są dni, kiedy mam wrażenie, że gdybym był czajnikiem, to bym gwizdał.

– Nie wiem doprawdy, co z tobą zrobić.

Przysiadł na obmurowaniu kominka. Ogień huczał niczym wiatr, refleksy płomieni tańczyły na mosiężnym ekranie.

– Po pierwsze - ciągnęłam - przypuszczalnie nie powinieneś w ogóle tu być. Nie chcę, żebyś miał problemy.

– Pieprzyć prokuratora, miasto, gubernatora i całą resztę - rzekł z nagłym gniewem.

– Marino, nie możemy się poddać. Ktoś wie, kim jest zabójca. Rozmawiałeś z funkcjonariuszem, który oprowadzał nas po więzieniu? Jak on się nazywał, Roberts?

– Tak. Rozmowa zaprowadziła nas donikąd.

– Ha, mnie też nie powiodło się lepiej z twoją przyjaciółką Helen Grimes.

– To dopiero musiała być przyjemność.

– Wiesz, że ona już nie pracuje w więzieniu?

– O ile wiem, nigdy nie pracowała. Helen Hun była leniwa jak diabli, chyba że poklepywała którąś z odwiedzających kobiet. Wtedy przykładała się do roboty. Donahue ją lubił, nie pytaj dlaczego. Po jego śmierci przeniesiono ją do służby na wieży strażniczej w Greenville i nagle się okazało, że ma problemy z kolanem czy coś w tym rodzaju.

– Wydaje mi się, że ona wie o wiele więcej, niż mówi - stwierdziłam. - Zwłaszcza jeśli rzeczywiście była blisko z Donahue.

Marino sączył kawę, wpatrując się w balkonowe drzwi. Śnieg białą warstwą okrywał ziemię, śnieg zdawał się szybciej spadać z nieba. Pomyślałam o tamtej śnieżnej nocy, kiedy wezwano mnie do domu Jennifer Deighton.

Przed oczyma mignęła mi postać otyłej kobiety w papilotach, siedzącej na krześle na środku pokoju. Jeśli morderca ją przesłuchiwał, musiał mieć

jakiś powód. Co kazano mu u niej znaleźć?

– Jak myślisz, czy mordercy chodziło o listy Jennifer Deighton? - spytałam Marino.

– Moim zdaniem chodziło mu o coś związanego z Waddellem, listy, wiersze, które posyłał jej w ciągu tych kilku lat.

– A czy według ciebie znalazł to, czego szukał?

– Powiedzmy, że może i szukał, ale tak dokładnie po sobie posprzątał, że trudno cokolwiek stwierdzić.

– A ja uważam, że nie znalazł rzeczy, o którą mu chodziło.

Marino, zapalając kolejnego papierosa, przyjrzał mi się sceptycznie.

– Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

– Wystarczy pomyśleć. Jennifer Deighton miała na sobie szlafrok i papiloty.

Wszystko wskazuje na to, że czytała w łóżku. Tak nie zachowuje się osoba spodziewająca się gości.

– Zgadzam się.

– A potem ktoś dzwoni do jej drzwi. Musiała go wpuścić, ponieważ nie było śladu włamania ani walki. Przypuszczam, że następnie człowiek ten zażądał, by dała mu to, czego szukał, a ona odmówiła. Więc się rozgniewał, z jadalni przyniósł krzesło i postawił na środku salonu. Kazał jej usiąść i zaczął ją torturować. Zadawał pytania, a kiedy mówiła nie to, co chciał usłyszeć, zaciskał mocniej uchwyt na jej gardle. Tak to szło, aż poszło za daleko. Wyniósł ją i wsadził do samochodu.

– Jeśli wchodził i wychodził przez kuchnię, to wyjaśnia, czemu drzwi nie były zamknięte na klucz, kiedyśmy przyjechali - stwierdził Marino.

– Może. Nie uważam, że chciał ją w ten sposób zabić. Później, kiedy już upozorował samobójstwo, prawdopodobnie nie został długo. Może się przestraszył, a może po prostu stracił zainteresowanie swoim zadaniem.

Wątpię, by w ogóle przeszukał jej dom, wątpię też, by cokolwiek znalazł, gdyby to zrobił.

– My na pewno nic nie znaleźliśmy - rzekł Marino.

– Jennifer Deighton była neurotyczką - mówiłam dalej. - W faksie do Gruemana napisała, że coś było poważnie nie w porządku w sposobie, w jaki potraktowano Waddella. Nie ulega też wątpliwości, że widziała mnie w telewizji i próbowała się ze mną skontaktować, ale odkładała słuchawkę, kiedy odzywała się automatyczna sekretarka.

– Sądysz, że mogła mieć jakieś papiery czy coś w tym rodzaju, co wyjaśniłoby, o co w tej cholерnej sprawie chodzi?

– Jeśli je miała - rzekłam - to prawdopodobnie przeraziła się na tyle, żeby pozbyć się ich z domu.

– I gdzie je ukryła?

– Nie wiem, ale może jej były mąż wie. Czy nie spędziła u niego drugiej połowy listopada?

– Tak. - Na twarzy Marino pojawiło się zainteresowanie. - Rzeczywiście.



Willie Travers odezwał się w słuchawce energicznym miłym głosem, kiedy zadzwoniłam do niego do Fort Myers Beach na Florydzie, jednakże wszystkie moje pytania zbył wymijającymi i niejasnymi stwierdzeniami.

– Panie Travers, co mam zrobić, by mi pan zaufał? - zapytałam, ogarnięta rozpaczą.

– Proszę tu przyjechać.

– To nie będzie łatwe.

– Muszę panią zobaczyć.

– Słucham?

– Taki jestem. Jeśli panią zobaczę, będę mógł panią odczytać i przekonać się, czy jest pani w porządku. Jenny tak samo odnosiła się do ludzi.

– Gdybym więc przyjechała do Fort Myers Beach i pozwoliła panu sobie „odczytać”, pan by mi pomógł?

– To zależy, czego się dowiem.

Tak więc dokonałam rezerwacji na lot o szóstej pięćdziesiąt następnego dnia rano dla siebie i Lucy. Na lotnisku miałam przekazać ją jej matce, a następnie pojechać do Fort Myers Beach, gdzie prawdopodobnie spędzę noc zastanawiając się, czy nie postradałam przypadkiem zmysłów.

Wszystko wskazywało na to, że spotkanie z byłym mężem Jennifer Deighton, zajmującym się holistyczną medycyną, okaże się stratą czasu.

Kiedy w sobotę wstałam o czwartej rano, śnieg już nie padał. Poszłam do pokoju Lucy, żeby ją obudzić. Przez chwilę nasłuchiwałam jej oddechu, później lekko dotknęłam jej ramienia i cicho zawołałam po imieniu. Poruszyła się, po czym usiadła wyprostowana. W samolocie spała aż do Charlotte, a przez resztę drogi siedziała ogarnięta najbardziej nieznośnym ze swych humorów.

– Wolałabym wziąć taksówkę - rzekła, wyglądając przez okno.

– Nie możesz, Lucy. Twoja mama z przyjacielem będą cię szukać.

– No i dobrze. Niech jeżdżą naokoło lotniska przez cały dzień. Dlaczego nie mogę pojechać z tobą?

– Ty musisz wracać do domu, a ja muszę jechać prosto do Fort Myers Beach, gdzie jutro rano wsiadam do samolotu do Richmond. Wierz mi, to wcale nie będzie zabawne.

– Przebywanie w towarzystwie mamy i jej ostatniego idioty też nie jest zabawne.

– Przecież go nie znasz, na oczy go nie widziałas. Czemu nie dasz mu szansy?

- Chciałabym, żeby mama złapała AIDS.
- Lucy, nie opowiadaj takich rzeczy.
- Zasługuje na to. Nie rozumiem, jak może iść do łóżka z każdym kutasem, który zaprasza ją na obiad i do kina. Nie rozumiem, jak to możliwe, że jesteście siostrami.
- Mów ciszej - szepnęłam.
- Gdyby tak bardzo za mną tęskniła, przyjechałaby po mnie sama. Towarzystwo innych by jej przeszkadzało.
- To niezupełnie prawda - sprzeciwiłam się. - Kiedy sama się zakochasz, lepiej to zrozumiesz.
- Dlaczego myślisz, że jeszcze się nie zakochałam?
- Bo gdybyś się zakochała, wiedziałabyś, że miłość wydobywa z nas najgorsze i najlepsze cechy. Jednego dnia jesteśmy wrażliwi i szczodrzy, następnego do niczego się nie nadajemy. Życie staje się pełne kontrastów...
- Żeby mama się pośpieszyła i przeszła wreszcie menopauzę...



Po południu jechałam Tamiami Trail na przemian w słońcu i w cieniu, walcząc z wyrzutami sumienia. Zawsze, kiedy miałam do czynienia z rodziną, czułam irytację i zdenerwowanie. Zawsze, kiedy nie zgadzałam się mieć z nią do czynienia, czułam się tak samo jak w dzieciństwie, gdy nauczyłam się sztuki uciekania bez opuszczania domu. W pewnym sensie po śmierci ojca stałam się nim. Byłam tą rozsądną, która zawsze dostawała najlepsze stopnie, umiała gotować i radziła sobie z pieniędzmi. Byłam tą, która rzadko płakała i która na zmienne nastroje panujące w naszym rozpadającym się domu reagowała spokojem, po czym rozwiewała się niczym mgła. W rezultacie matka i siostra oskarżały mnie o obojętność, a ja wyrastałam pielęgnując w duchu wstyd, że to, co mówią, jest prawdą.

Do Fort Myers Beach przyjechałam z włączoną klimatyzacją i opuszczonymi przeciwsłonecznymi zasłonami na szybach. Woda spotykała się z niebem w bezmiarze intensywnego błękitu, palmy przywodziły na myśl wiązki piór zatknięte na pniach mocnych jak nogi strusia. Willie Travers mieszkał w kurorcie Pink Shell, gdzie z balkonów hoteli i domów roztaczał się widok na Zatokę Meksykańską. Miałam spotkać się z nim dopiero o ósmej wieczorem, więc wynajęłam jednoosobowy pokój, gdzie dosłownie zerwałam z siebie zimową sukienkę i przebrałam się w szorty i koszulę.

Nie minęło siedem minut, a ja byłam już na plaży.

Nie miałam pojęcia, ile mil przeszłam, straciłam bowiem poczucie czasu, a piasek i woda ciągle wydawały mi się jednakowe. Patrzyłam, jak pelikany podskakują na falach i odrzucając głowy do tyłu, łykają ryby. Wśród plażowiczów przeważali ludzie starsi, tylko od czasu do czasu ponad szum fal wybijał się piskliwy dziecięcy głosik niczym kawałek jaskrawego papieru niesionego przez wiatr. Zbierałam szkarłupnie wygładzone przez wodę i słońce muszelki przypominające wyspany miętowy drops. Pomyślałam o Lucy i znowu za nią zatęskniłam.

Kiedy cienie na plaży się wydłużyły, wróciłam do hotelu. Wzięłam prysznic, przebrałam się, po czym wsiadłam do samochodu i ruszyłam Estero Boulevard. Głód jak różdżka zaprowadził mnie na parking przy Skipper's Galley. Zjadłam rybę z rusztu i popiłam białym winem. Niebo z wolna zaczynało ciemnieć, światła łodzi płynęły przez mrok i nie widać już było wody.

Zanim znalazłam domek numer 182 - niedaleko sklepu wędkarskiego i mola - czułam się naprawdę zrelaksowana, co od dawna mi się nie zdarzyło.

Willie Travers otworzył drzwi i od razu ogarnęło mnie wrażenie, że znamy się od zawsze.

– Pierwsza sprawa, to się odświeżyć. Założę się, że nic pani nie jadła.

Z żalem powiedziałam, że jestem już po kolacji.

– W takim razie zje pani drugą.

– Po prostu nie mogę.

– Za godzinę udowodnię, że jest pani w błędzie. Posiłek będzie lekki. Ryba smażona w maśle i soku cytrynowym ze świeżo zmielonym pieprzem, chleb z siedmiu ziaren mojego wypieku, którego smaku do końca życia pani nie zapomni i... a tak: sałatka i meksykańskie piwo.

Mówiąc to otworzył dwie butelki *Dos Equis*. Były mąż Jennifer Deighton zbliżał się do osiemdziesiątki, jego twarz przywodziła na myśl popękane pod wpływem słońca błoto, za to niebieskie oczy tryskały młodzieńczą energią. Dużo się uśmiechał i był szczupły.

– Jak to się stało, że pan tu zamieszkał? - zapytałam, rozglądając się po zniszczonych meblach i wiszących na ścianach trofeach wędkarskich.

– Kilka lat temu zdecydowałem się przejść na emeryturę i zająć łowieniem ryb, więc zawarłem umowę z Pink Shell. Zgodziłem się prowadzić sklep wędkarski, jeśli wynajmą mi domek za rozsądną cenę.

– A jaki zawód pan uprawiał?

– Ten sam co teraz - odparł z uśmiechem. - Praktykowałem medycynę holistyczną, a od niej nie można się uwolnić, idąc po prostu na emeryturę;

tak samo jak od religii. Różnica polega na tym, że teraz pracuję z tymi ludźmi, z którymi chcę, i nie muszę mieć gabinetu w mieście.

– Jaka jest pańska definicja medycyny holistycznej?

– Leczę całego człowieka, po prostu. Chodzi o to, by przywrócić danej osobie równowagę. - Spojrzał na mnie badawczo, odstawił szklankę z

piwem, p o c zym p odszedł d o k rzesła, n a k tórym siedziałam. - Może pani wstać?

Byłam w zgodnym nastroju, posłuchałam bez sprzeciwu.

– Proszę wyciągnąć jedną rękę, nieważne którą, byle trzymała ją pani równoległe do podłogi. Doskonale. Teraz zadam pani pytanie, a kiedy mi pani odpowie, będę ściągał ją w dół, a pani będzie się opierać. Czy uważa się pani za bohatera w rodzinie?

– Nie - odparłam; moja ręka natychmiast poddała się naciskowi i opadła niczym zwodzony most.

– No cóż, jednak uważa się pani za bohatera rodziny. Wnoszę z tego, że od dzieciństwa wiele pani od siebie wymaga. Dobrze. Proszę podnieść rękę, a ja zadam pani następne pytanie. Czy jest pani dobra w swoim zawodzie?

– Tak.

– Widzi pani? Popycham z całej siły, a ręka ani drgnie. Czyli jest pani dobra w swoim zawodzie.

Wrócił na kanapę, ja usiadłam w fotelu.

– Muszę przyznać, że medyczne wykształcenie każe mi podchodzić do tego ze sceptycyzmem.

– Niesłusznie. Ciało nie kłamie. Bez względu na to, co pani sobie wmawia, poziom energii reaguje na to, co jest prawdą. Jeśli mówi sobie pani, że nie jest pani bohaterem w rodzinie albo że kocha samą siebie, choć wcale pani tak nie czuje, poziom energii spada. Czy to wydaje się pani logiczne?

– Tak.

– Dlatego między innymi Jenny przyjeżdżała do mnie raz czy dwa w roku:

żebym przywrócił jej równowagę. Kiedy tu była po raz ostatni, w okolicy Święta Dziękczynienia, była tak roztrzęsiona, że musiałem

pracować z nią po kilka godzin dziennie.

– Mówiła panu, co złego się dzieje?

– Wiele było takich rzeczy. Niedawno się przeprowadziła i nie lubiła sąsiadów, zwłaszcza tych z naprzeciwka.

– Clarysowie - wtrąciłam.

– Chyba tak się nazywali. Kobieta była wścibska, a mężczyzna lubił flirtować, dopóki nie miał wylewu. Poza tym stawianie horoskopów przychodziło jej z coraz większym trudem.

– Jaka była pańska opinia na temat jej firmy?

– Jenny miała dar, ale za bardzo nim szastała.

– Czy określiłby ją pan jako nie zrównoważoną psychicznie?

– W żadnym razie. Nawet nie próbowałbym jej określać. Zajmowała się wieloma rzeczami.

Nagle przypomniałam sobie czystą kartkę papieru z kryształem na łóżku i zapytałam Traversa, czy przypadkiem nie wie, co to może znaczyć.

– Koncentrowała się.

– Na czym? - spytałam zdziwiona.

– Jenny, kiedy medytowała, brała czystą kartkę papieru i stawiała na niej kryształ. Potem siadała nieruchomo, bardzo wolno obracała kryształem i wpatrywała się w refleksy światła na papierze. Ja wolę patrzeć w wodę.

– Czy coś ją niepokoiło, kiedy do pana przyjechała, panie Travers?

– Proszę nazywać mnie Willie. Tak, niepokoiło, a pani dobrze wie, o czym zaraz będę mówił. Martwiła się o więźnia, który niedługo miał być stracony, Ronniego Waddella. Jenny i Ronnie korespondowali ze sobą przez wiele lat, nie mogła znieść myśli, że on wkrótce umrze.

– Czy Waddell zwierzył się jej z czegoś, co mogłoby narazić ją na niebezpieczeństwo?

– Dał jej pewien przedmiot.

Sięgnęłam po piwo, ani na moment nie odrywając od niego wzroku.

– Kiedy przyjechała tu na Święto Dziękczynienia, przywiozła wszystkie listy i inne przedmioty, które od niego dostała. Chciała, żebym je przechował.

– Dlaczego?

– Żeby były bezpieczne.

– Bała się, że ktoś może jej to zabrać?

– Wiem tylko, że była przerażona. W pierwszym tygodniu listopada Waddell zadzwonił do niej i powiedział, że jest gotowy na śmierć i nie chce dłużej walczyć. Najwyraźniej był przekonany, że nic już nie może go uratować.

Poprosił Jenny, żeby pojechała do jego matki do Suffolk i zabrała od niej jego rzeczy. Powiedział, że chce, żeby miała je Jenny i że nie powinna się martwić, bo jego matka na pewno to zrozumie.

– Gdzie są te rzeczy? - zapytałam.

– Jeszcze jedno. - Podniósł się z miejsca. - Nie jestem pewny, jakie one mają znaczenie, co więcej, nie jestem przekonany, że w ogóle chcę wiedzieć.

Więc dam je pani, pani doktor. Może je pani zabrać do Wirginii, przekazać policji, zrobić z nimi, co tylko przyjdzie pani do głowy.

– Dlaczego teraz chce nam pan pomóc? - zapytałam. - Dlaczego nie kilka tygodni temu?

– Bo nikt nie zadał sobie trudu, żeby mnie odwiedzić - odparł głośno z sąsiedniego pokoju. - Mówiłem już pani, że nie załatwiam spraw przez telefon.

Po powrocie postawił u moich stóp czarną aktówkę. Mosiężny zamek był wyłamany, skóra porysowana.

– Prawdę mówiąc, oddaje mi pani wielką przysługę, zabierając to z mojego życia - rzekł, a ja wiedziałam, że mówi szczerze. - Sama myśl o tym zmienia moją energię w złą.

Setki listów, które Ronnie Waddell napisał do Jennifer Deighton z celi śmierci, spięto gumowymi opaskami i poukładano chronologicznie. W pokoju hotelowym przejrzałam zaledwie kilka, o wiele ważniejsza bowiem okazała się zawartość teczki.

Były tam notatniki, wypełnione ręcznie pisanymi uwagami, z których niewiele zrozumiałam, odnosiły się bowiem do śledztw i spraw sprzed dziesięciu lat. Były pióra i ołówki, mapa Wirginii, puszka tabletek na gardło, inhalator i tubka Chapstick. Był EpiPen w żółtym pudełku, zastrzyki epinefryny, z którymi nie rozstają się osoby uczulone na jad pszczoł lub jedzenie. Kartka na pudełku informowała o nazwisku pacjenta, dacie oraz liczbie zastrzyków. Nie ulegało wątpliwości, że Waddell ukradł aktówkę z domu Robyn Naismith owego fatalnego poranka, kiedy ją zamordował.

Niewykluczone, że nie miał pojęcia, kto jest właścicielem, dopóki nie wyłamał zamka. Przekonał się wówczas, że napadł na miejscową gwiazdę, której kochanek, Joe Norring, był wówczas prokuratorem generalnym stanu Wirginia.



– Waddell nie miał szans - rzekłam. - Nie znaczy to wcale, że zasługiwał na łaskę, jeśli weźmie się pod uwagę okrucieństwo jego zbrodni. Ale od chwili jego aresztowania Norring bardzo się martwił. Wiedział, że zostawił aktówkę w domu Robyn Naismith, i wiedział, że policja jej nie znalazła.

Powody, dla których zostawił teczkę, nie były jasne; może po prostu zapomniał jej owego wieczoru, o którym żadne z kochanków nie wiedziało, że będzie ich ostatnim.

– Nawet nie próbuję sobie wyobrazić reakcji Norringa, kiedy o tym usłyszał - dodałam.

Wesley zerknął na mnie znad okularów.

– Nie sędzę, byśmy zdołali. Już i tak było źle, musiał się martwić ujawnieniem romansu; jego związek z Robyn uczyniłby go natychmiast głównym podejrzanym.

– W pewnym sensie - odezwał się Marino - miał cholerne szczęście, że Waddell ukradł aktówkę.

– Jestem pewny, że dla niego z każdej strony wyglądało to na wielki pech - powiedziałam. - Gdyby policja znalazła aktówkę, miałby kłopoty. Skoro jednak została ukradziona, musiał się martwić, że powie o niej światu ktoś inny.

Marino poszedł po dzbanek z kawą i dolał wszystkim do pełna.

– Trzeba było coś zrobić, żeby zapewnić milczenie Waddella.

– Niewykluczone. - Wesley sięgnął po śmietankę. - Ale istniała też możliwość, że Waddell słówka nie piśnie. Podejrzewam, że od początku się bał, że to tylko pogorszy jego sytuację. Aktówka mogła zostać użyta jako broń, lecz kogo by zniszczyła? Norringa czy Waddella? Czy Waddell na tyle ufał systemowi, by zarzucić cokolwiek prokuratorowi stanu? Czy po latach spędzonych w więzieniu nabrał do systemu tyle zaufania, by zwrócić się przeciwko gubernatorowi, jedynemu człowiekowi, który mógł ocalić mu życie?

– Tak więc Waddell milczał. Wiedział, że matka przechowa to, co ukrył na farmie, aż on zdecyduje, komu to przekazać.

– Norring miał dziesięć cholernych lat na znalezienie aktówki - powiedział Marino. - Dlaczego tak z tym zwlekał?

– Przypuszczam, że Norring od samego początku miał Waddella pod obserwacją - odparł Wesley - a w ciągu ostatnich kilku miesięcy pewnie na

moment nie spuszczano go z oka. Im bliżej było do egzekucji, tym mniej Waddell miał do stracenia i zwiększało się prawdopodobieństwo, że zacznie mówić. Jak sądzę, ktoś podsłuchał jego listopadową rozmowę telefoniczną z Jennifer Deighton. A kiedy Noring się o tym dowiedział, wpadł w panikę.

– Nie dziwię się - rzekł Marino. - Osobiście przeprowadzałem rewizję u Waddella, kiedy Noring prowadził tamto śledztwo. Facet nie miał nic, a jeśli nawet coś ukrył na farmie, to my tego nie znaleźliśmy.

– I Noring dobrze o tym wiedział - stwierdziłam.

– Jasne - potwierdził Marino. - Musiał się więc domyślić, że było coś dziwnego w tych rzeczach z farmy przekazanych przyjaciółce. Od nowa zaczęły mu się śnić koszmary z aktówką w roli głównej, a co gorsza, nie mógł nikomu kazać włamać się do Jennifer Deighton, póki Waddell żył.

Gdyby cokolwiek jej się przydarzyło, Waddell mógł okazać się zdolny do wszystkiego. A najgorsza możliwość była taka, że wypowieda się Gruemanowi.

– Bentonie - odezwałam się - czy przypadkiem nie wiesz, dlaczego Noring miał przy sobie epinefrynę? Na co jest uczulony?

– Na skorupiaki. Nie rusza się bez tego na krok.

Oni dalej rozmawiali, ja tymczasem zerknęłam do piecyka na lasagnię i otworzyłam butelkę wina. Śledztwo przeciwko Noringowi będzie trwać długo, nie wiadomo, czy cokolwiek zdołamy mu udowodnić. Do pewnego stopnia zrozumiałam, jak musiał się czuć Waddell.



Dochodziła jedenasta wieczorem, kiedy zadzwoniłam do Nicholasa Gruemana do domu.

– W Wirginii jestem skończona - rzekłam. - Dopóki Norring będzie gubernatorem, zrobi wszystko, żebym nie wróciła do biura. Zabrali mi życie, ale duszy im nie oddam. Zamierzam przy każdej okazji powoływać się na Piątą Poprawkę.

– Co oznacza, że zostanie pani postawiona w stan oskarżenia.

– Biorąc pod uwagę to, jakich drani mam przeciwko sobie, to i tak jest pewne.

– Ależ droga pani doktor. Zapomniała pani o draniu, który panią reprezentuje?

Nie wiem, jak pani spędziła weekend, ale ja byłem w Londynie.

Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy.

– Nie ma żadnej gwarancji, że uda nam się to przeprowadzić z Pattersonem - ciągnął mężczyzna, o którym zawsze myślałam, że go nienawidzę - ale poruszę niebo i ziemię, żeby Charlie Hale stanął na miejscu dla świadków.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dwudziestego stycznia wiał porywisty wiatr jak w marcu, lecz było o wiele zimniej. W oślepiających promieniach słońca jechałam Broad Street do sądu Johna Marshalla.

– Powiem teraz pani coś, co i tak pani wie - rzekł Nicholas Grueman. - Dziennikarze będą burzyć wodę niczym rzucające się na zdobycz rekiny.

Jeśli pofrunie pani zbyt nisko, straci nogę. Pójdziemy ramię w ramię ze spuszczonymi oczyma i nie będziemy się odwracać ani odzywać bez względu na to, kto co powie.

– Nie znajdziemy miejsca do parkowania - stwierdziłam, kiedy skręciłam w Dziewiątą Ulicę. - Wiedziałam, że tak będzie.

– Niech pani zwolni. Ta dobra niewiasta z prawej coś chyba zamierza. Cudownie. Wyjedzie, o ile uda jej się odpowiednio skręcić koła.

Za mną rozległ się klakson.

Zerknęłam na zegarek, po czym zwróciłam się do Gruemana niczym sportowiec oczekujący ostatnich instrukcji od trenera. Ubrany był w długi płaszcz z granatowego kaszmiru i czarne skórzane rękawiczki, na kolanach trzymał zniszczoną aktówkę; laskę ze srebrną rączką oparł o siedzenie.

– Musi pani pamiętać, że to pani przyjaciel Patterson decyduje, kto będzie świadkiem, a kto nie, tak więc nam pozostaje zdać się na interwencję przysięgłych. To zależy będzie tylko od pani. Musi się pani zaprzyjaźnić z dziesięcioma nieznanymi osobami od chwili, kiedy przejdzie pani przez próg. Bez względu na to, o czym będą chcieli z panią poplotkować, proszę nie odgradzać się od nich murem, ale być przystępną.

– Rozumiem - powiedziałam.

– Idziemy na całego. Umowa stoi?

– Stoi.

W holu sądu zatrzymał nas strażnik z elektrycznym przeszukiwaczem.

Sprawdził moją torebkę i aktówkę, jak robił to setki razy, kiedy przychodziłam tu składać zeznania w charakterze biegłego. Teraz wszakże nic nie mówił i unikał mojego wzroku. Skaner zareagował gwałtownie na laskę Gruemana. Mój adwokat okazał się wcieleniem cierpliwości i uprzejmości, kiedy tłumaczył, że srebrnej rączki nie da się odkręcić, a w środku naprawdę nic nie ma.

– Co on myślał, że mam tam pistolet pneumatyczny? - skomentował w drodze do windy.

W chwili gdy drzwi rozsunęły się na drugim piętrze, otoczyli nas dziennikarze z normalnym w tej sytuacji wigorem drapieżników. Grueman poruszał się szybko jak na chorego na podagrę, postukując laską. Czułam się dziwnie roztargniona i daleka od tego miejsca, aż znaleźliśmy się w niemal pustej sali sądowej. W kącie siedział Benton Wesley w towarzystwie młodego szczupłego mężczyzny, o którym wiedziałam, że nazywa się Charlie Hale. Prawą część jego twarzy pokrywała mapa wyraźnych różowych blizn. Kiedy chował prawą dłoń do kieszeni, zauważyłam, że brakuje mu w niej kilku palców. Ubrany był w niedopasowany ciemny garnitur. Podczas gdy on rozglądał się dokoła, ja zajęłam się zawartością mojej aktówki. Nie potrafiłabym z nim rozmawiać, a trzech mężczyźni okazali się na tyle przytomni, że udawali, iż nie dostrzegają mojego zakłopotania.

– Powtórzmy, co oni mają - rzekł Grueman. - Możemy chyba liczyć na zeznania Jasona Story i Lucero, a także Marino. Nie wiem, kogo jeszcze Patterson włączy w tę swoją pokazówkę.

– A tak dla ścisłości - zwrócił się do mnie Wesley. - Rozmawiałem z Pattersonem.

Powiedziałem mu, że nie ma żadnych dowodów i że to samo zeznam w czasie rozprawy.

– Zakładamy, że rozprawy nie będzie - oznajmił Grueman. - Od pierwszej chwili musi pan powtarzać przysięgłym, że rozmawiał pan z Pattersonem i mówił mu, że nie ma żadnych dowodów, ale on się upierał przy kontynuowaniu postępowania. Odpowiedzi na jego pytania dotyczące kwestii, które wcześniej panowie poruszali, proszę zaczynać od podkreślania tego faktu. Niech pan używa sformułowań w rodzaju: „Jak mówiłem panu w jego gabinecie” lub: „Jak już stwierdziłem, kiedy wtedy a wtedy rozmawialiśmy”

i tak dalej. Ważne jest, by przysięgli dowiedzieli się, że jest pan nie tylko agentem specjalnym FBI, ale też szefem Wydziału Behawioralnego Akademii w Quantico, który to wydział zajmuje się analizą morderstw popełnionych ze szczególnym okrucieństwem oraz tworzeniem portretów psychologicznych sprawców. Może pan wspomnieć, że doktor Scarpetta pod absolutnie żadnym względem nie odpowiada portretowi psychologicznemu sprawcy omawianych zbrodni i że samą myśl uważa pan za absurdalną. Ważne jest też, by uświadomił pan przysięgłym, że był pan nauczycielem i bliskim przyjacielem Marka Jamesa. Proszę w miarę możliwości powiedzieć jak najwięcej, bo nie ulega wątpliwości, że Patterson o nic nie zapyta. Przysięgli muszą się dowiedzieć, że Charlie Hale jest tutaj.

– A jeśli nie zechcą mnie poprosić? - zapytał Hale.

– Wówczas mamy związane ręce - odrzekł Grueman. - Jak już wyjaśniłem panu w trakcie naszego spotkania w Londynie, ten show w całości należy do prokuratora. Doktor Scarpetta nie ma prawa do

przedstawiania dowodów przemawiających na jej korzyść, tak więc musimy przekonać przynajmniej jednego przysięgłego, by wpuścił nas bocznymi drzwiami.

– To rzeczywiście coś - zauważył Hale.

– Ma pan dokumenty świadczące o złożeniu pieniędzy w banku i kopie rachunków?

– Tak, proszę pana.

– Doskonale. Proszę nie czekać, aż o nie poproszą, tylko położyć je od razu na stole. A stan pańskiej żony nie uległ zmianie?

– Nie. Jak już mówiłem, została zapłodniona *in vitro*. Jak na razie wszystko idzie dobrze.

– Proszę pamiętać, by także o tym wspomnieć - powiedział Grueman.

Kilka minut później wezwano mnie do sali.

– Naturalnie, chce pierwszą panią. - Grueman wstał razem ze mną. - Potem wezwie tych, co świadczą przeciwko pani, tak że przysięgłym pozostanie przykre wrażenie. - Odprowadził mnie do drzwi. - Jestem tuż obok, gdyby mnie pani potrzebowała.

Skinęłam głową i weszłam do sali, po czym usiadłam na pustym krześle u szczytu stołu. Pattersona nie było; wiedziałam, że to jedna z jego typowych sztuczek. Chciał, bym musiała znosić w ciszy badawcze spojrzenia dziesięciu obcych osób, w których rękach leżała moja przyszłość. Każdemu kolejno popatrzyłam w oczy, z niektórymi nawet wymieniałam uśmiechy.

Poważna młoda kobieta z jaskrawą szminką na ustach postanowiła, że nie będzie czekać na generalnego prokuratora.

– Co sprawiło, że zdecydowała się pani zajmować umarłymi zamiast żywymi?

– zapytała. - Wydaje się, że to dla lekarza dość dziwny wybór.

– Zajął się nimi z troski o żywych - odparłam. - To, czego uczymy się dzięki umarłym, służy żywym, a sprawiedliwość jest dla tych, którzy pozostali.

– A czy to na panią jakoś nie wpływa? - zapytał stary mężczyzna z wielkimi zniszczonymi dłońmi. Wyraz jego twarzy był tak szczery, że wydawało się, iż głęboko cierpi.

– Naturalnie, że tak.

– Ile lat musiała się pani kształcić po skończeniu średniej szkoły? - odezwała się mocno zbudowana Murzynka.

– Siedemnaście, jeśli włączyć różnego typu staże.

– Boże, miej litość.

– Gdzie pani chodziła?

– Pyta pan o szkoły? - zwróciłam się do szczupłego młodzieńca w okularach.

– Tak, proszę pani.

– Uniwersytety Saint Michael, Johns Hopkins, Georgetown i Our Lady of Lourdes Academy.

– Czy pani tatuś był lekarzem?

– Mój ojciec miał niewielki sklep spożywczy w Miami.

– No, nie chciałbym płacić za wszystkie te szkoły.

Kilku przysięgłych cicho się roześmiało.

– Miałam to szczęście, że począwszy od szkoły średniej otrzymywałam stypendia - wyjaśniłam.

– Mam wujka, który pracuje w domu pogrzebowym *Zmierzch* w Norfolk - odezwał się ktoś inny.

– Przestań, Barry. Żaden dom pogrzebowy tak się nie nazywa.

– A właśnie że tak.

– To i tak nic. W Fayetteville mieliśmy dom, którego właścicielami była rodzina Stiffów. Niech pani zgadnie, jak się nazywał.

– Nie mam pojęcia.

– Nie jest pani stąd?

– Urodziłam się w Miami - wyjaśniłam.

– W takim razie pani nazwisko jest hiszpańskie?

– Nie, włoskie.

– To ciekawe. Myślałam, że wszyscy Włosi są ciemni.

– Moi przodkowie pochodzą z Werony w północnych Włoszech, gdzie miesza się krew Sabaudczyków, Austriaków i Szwajcarów - tłumaczyłam cierpliwie. - Wielu mieszkańców tego regionu ma niebieskie oczy i blond włosy.

– Założę się, że umie pani gotować.

– To jedno z moich ulubionych zajęć.

– Pani doktor, nie wiem dokładnie, jaką funkcję pani pełni - odezwał się dobrze ubrany mężczyzna, na oko mój rówieśnik. - Jest pani głównym patologiem dla Richmond?

– Dla całego stanu. Mamy cztery biura okręgowe. Biuro Centralne znajduje się tutaj, w Richmond, biuro Tidewater w Norfolk, Zachodnie w Roanoke i Północne w Aleksandrii.

– Tak więc siedziba głównego patologa mieści się w Richmond?

– Tak. To wydaje się logiczne, skoro medycyna sądowa stanowi część administracji stanu, a w Richmond ulokowane są wszystkie organy wymiaru sprawiedliwości - odrzekłam.

Drzwi się otworzyły i wszedł Roy Patterson, barczysty, przystojny Murzyn z krótko obciętymi, siwiejącymi włosami. Ubrany był w granatowy dwurzędowy garnitur, na mankietach jasnożółtej koszuli wyhaftowane miał

inicjały. Słyszał z krawatów; dzisiejszy sprawiał wrażenie malowanego ręcznie. Powitał przysięgłych, mnie potraktował chłodno.

Okazało się, że jaskrawo uszmkowana kobieta jest przewodniczącą ławy. Odchrząknęła i poinformowała mnie, że nie muszę składać zeznań i że wszystko, co powiem, może być użyte przeciwko mnie.

– Rozumiem - rzekłam i złożyłam przysięgę.

Patterson, krążąc za moimi plecami, niewiele czasu poświęcił scharakteryzowaniu mojej osoby, za to długo rozwodził się na temat pełnionej przeze mnie funkcji, która wiąże się z wielką władzą, oraz łatwości, z jaką tej władzy można nadużyć.

– A kto byłby tego świadkiem? - zapytał. - Wielokrotnie jedynym świadkiem pracy doktor Scarpetty była osoba, która dosłownie jej nie odstępowała, Susan Story. Nie usłyszą dziś państwo jej zeznań, ponieważ Susan Story i jej nienarodzone dziecko nie żyją. Jednakże na tej sali pojawią się inni, a z ich słów wyłoni się portret zimnej, ambitnej kobiety, twórczyni imperium, która popełniała poważne pomyłki w pracy. Najpierw płaciła za milczenie Susan Story. Później na zawsze ją uciszyła.

Kiedy słuchamy opowieści o zbrodni doskonałej, nasuwa się pytanie, któż lepiej potrafiłby ją popełnić niż ekspert od tropienia przestępców?

Ekspert wiedziałby, że jeśli chce się zastrzelić kogoś w samochodzie, rozsądnie będzie wybrać broń o małym kalibrze, by uniknąć ryzyka rykoszetu.

Ekspert wiedziałby, że nie można na miejscu zbrodni pozostawić żadnych dowodów, choćby łusek. Ekspert nie użyłby własnej broni, zarejestrowanej na jego nazwisko, lecz skorzystałby z takiej, której nie da się z jego osobą połączyć.

Cóż, rewolwer pani patolog mogła pożyczyć z laboratorium, proszę państwa, co roku bowiem sądy konfiskują setki sztuk broni użytych w

przestępstwach, a część ich przekazywana jest do stanowego laboratorium balistycznego. Z tego, co wiemy, rewolwer kaliber dwadzieścia dwa, który przytknięto do potylicy Susan Story, może w tej właśnie chwili wisi sobie na haku w laboratorium balistycznym lub znajduje się w mieszczącej się w piwnicy strzelnicy, gdzie testowana jest broń i gdzie doktor Scarpetta ćwiczy strzelanie. A przy okazji: jest w tym tak dobra, że bez wahania przyjęto by ją do pracy w policji w całym kraju. Wcześniej już raz zabiła, aczkolwiek trzeba oddać jej sprawiedliwość, iż w tamtym wypadku uznano to za samoobronę.

Wpatrywałam się w swoje dłonie złożone na stole, podczas gdy stenografka cicho stuknęła w klawisze, zapisując przemowę Pattersona. Zawsze był elokwentny, choć zwykle nie wiedział, kiedy skończyć. Zapytał mnie o odciski palców zdjęte z koperty w domu Susan, po czym z taką werwą i tak długo przekonywał przysięgłych o niewiarygodności mojego wyjaśnienia, że zaczęłam podejrzewać, iż przynajmniej kilkoro z nich zaczęło się zastanawiać, dlaczego nie może to być prawdą. Następnie zajęła się kwestią pieniędzy.

– Czy nie jest prawdą, pani doktor, że dwunastego listopada zjawiała się pani w oddziale banku *Signet* w centrum miasta, gdzie wypisała pani czek na kwotę dziesięciu tysięcy dolarów?

– To jest prawda.

Patterson zawahał się, wyraźnie zaskoczony. Liczył, że powołam się na Piątą Poprawkę.

– A czy jest prawdą, że nie zdeponowała pani tych pieniędzy na żadnym z należących do niej kont?

– To także jest prawdą - rzekłam.

– Tak więc na kilka tygodni przed tym, jak podległa pani pracownica złożyła w banku sumę trzech tysięcy pięciuset dolarów, której pochodzenia

dotąd nie wyjaśniono, pani wyszła z banku *Signet* z dziesięcioma tysiącami w kieszeni?

– Nie, nie wyszłam. W dokumentach finansowych na pewno znalazł pan kopię czeku kasowego na sumę siedmiu tysięcy trzystu osiemdziesięciu funtów szterlingów. Mam ją tutaj.

Patterson ledwo zerknął na czek, po czym kazał stenografce zaprotokołować go jako dowód.

– To bardzo zajmujące - rzekł. - Wypisała pani czek kasowy na nazwisko niejakiego Charlesa Hale'a. Czy był to pomysłowy sposób na ukrycie płatności, których dokonywała pani wobec kierowniczkę kostnicy, a może także innych? Czy osobnik o nazwisku Charles Hale w innym banku zamienił funty z powrotem na dolary i przekazał je na przykład Susan Story?

– Nie - zaprzeczyłam. - Nie dostarczyłam czeku Charlesowi Hale'owi.

– Nie? - Sprawiał wrażenie zmieszanego. - Więc co pani z nim zrobiła?

– Dałam go Bentonowi Wesleyowi, który z kolei przekazał go Charlesowi Hale'owi. Benton Wesley...

– Ta historia robi się coraz dziwniejsza - przerwał mi w pół słowa.

– Panie Patterson...

– Kim jest Charles Hale?

– Pragnęłabym skończyć poprzednie zdanie - rzekłam.

– Kim jest Charles Hale?

– Chciałbym usłyszeć, co pani doktor próbuje nam powiedzieć - odezwał się mężczyzna w swetrze.

– Proszę - zezwolił z zimnym uśmiechem Patterson.

– Dałam czek kasowy Bentonowi Wesleyowi. Jest agentem specjalnym FBI i zajmuje się portretami psychologicznymi podejrzanych na Wydziale Behawioralnym w Quantico.

Jedna z kobiet nieśmiało podniosła rękę.

– Czy to ten, o którym kiedyś czytałam w gazecie? Wzywają go do najgorszych morderstw, jak na przykład te w Gainsville, prawda?

– Tak, to on - potwierdziłam. - Jest moim współpracownikiem. Był także najlepszym przyjacielem mojego przyjaciela, Marka Jamesa, również agenta specjalnego FBI.

– Pani doktor, ustalmy fakty - rzekł Patterson niecierpliwie. - Mark James był kimś więcej niż, cytuję: „pani przyjacielem”...

– Czy to pytanie, panie Patterson?

– Poza faktem, że oczywistym konfliktem interesów jest sytuacja, kiedy główny patolog sypia z agentem specjalnym FBI, ta kwestia jest nieistotna dla sprawy. Nie będę więc pytał...

– Mój związek z Markiem Jamesem - przerwałam mu - rozpoczął się na studiach. Nie było w nim żadnego konfliktu interesów. Proszę zapisać do protokołu, że protestuję przeciwko aluzjom prokuratora generalnego do moich rzekomych romansów.

Stenografka pisała nieprzerwanie.

Palce miałam tak zaciśnięte, że kciuki mi zbieleły.

– Kim jest Charles Hale? - zapytał ponownie Patterson. - I dlaczego dała mu pani sumę równą dziesięciu tysiącom dolarów?

Przed oczyma mignęły mi różowe blizny, wyobraziłam sobie dwa palce na lśniącym od ran kikucie.

– Był sprzedawcą biletów na Victoria Station w Londynie - odparłam.

– Był?

– Tak, w poniedziałek osiemnastego lutego, kiedy wybuchła bomba.



Nikt mi nie powiedział. Przez cały dzień słuchałam dziennikarzy omawiających ten wypadek w wiadomościach i nawet przez myśl mi to nie przeszło, aż o drugiej czterdzieści jeden w nocy dziewiętnastego lutego zadzwonił telefon. W Londynie była szósta czterdzieści jeden, Mark nie żył prawie od dwudziestu czterech godzin. Osłupiała słuchałam Bentona Wesleya, jego słowa wydawały mi się bez sensu.

– Przecież to było wczoraj. Czytałam o tym wczoraj. Dzisiaj znowu był zamach?

– Nie. Bomba wybuchła wczoraj rano w godzinie szczytu, ale ja dopiero teraz dowiedziałem się o Marku. Powiadomił mnie attache z Londynu.

– Jesteś pewny? Całkowicie pewny?

– Chryste, tak mi przykro, Kay.

– Zidentyfikowano go bez żadnych wątpliwości?

– Tak.

– Jesteś pewny, to znaczy...

– Kay, jestem w domu. Mogę za godzinę być u ciebie.

– Nie, nie.

Trzęśłam się cała, lecz nie potrafiłam płakać. Snułam się po domu, cicho jęcząc i wyłamując palce.



Patterson przetarł czoło chusteczką.

– Ale nie znała pani Charlesa Hale’a przed tym zamachem bombowym, w trakcie którego został ranny, pani doktor. Dlaczego więc dała mu pani dziesięć tysięcy dolarów?

– On i jego żona pragnęli mieć dziecko, lecz nie mogli.

– A skąd pani zna tak intymne szczegóły z życia obcych ludzi?

– Powiedział mi Benton Wesley. Zasugerowałam, by udali się do Bourne Hall, wiodącego ośrodka badawczego zajmującego się zapłodnieniami *in vitro*. Kosztów wykonywania tych zabiegów ubezpieczenie zdrowotne jednak nie pokrywa.

– Zamach miał miejsce w lutym, a czek wypisała pani dopiero w listopadzie?

– Wcześniej nie wiedziałam nic o problemach państwa Hale’ow. Jesienią FBI zwróciło się do pana Hale’a, by obejrzał fotografie podejrzanych, i w trakcie właśnie tej sesji agenci dowiedzieli się o jego kłopotach.

– Postanowiła więc pani sfinansować zapłodnienie *in vitro* nieznanym?

– zapytał Patterson takim tonem, jak gdybym właśnie mu oznajmiła, że wierzę w krasnoludki.

– Tak.

– Czy pani jest świętą, pani doktor?

– Nie.

– Proszę więc wyjaśnić motywy, jakie panią kierowały.

– Charles Hale próbował pomóc Markowi.

– Próbował mu pomóc? - Patterson krążył po sali. - Próbował pomóc mu kupić bilet, złapać pociąg czy znaleźć męską toaletę? Co pani przez to rozumie?

– Mark przez krótki okres był przytomny, a Charles Hale znalazł się na ziemi obok niego. Choć sam poraniony, próbował zdjąć gruz z Marka, mówił do niego, okrył marynarką... Próbował... zatrzymać krwotok. Nie mógł go uratować, lecz dzięki niemu Mark przynajmniej nie był sam. Jestem mu za to głęboko wdzięczna. Teraz na świecie pojawi się nowe życie, a ja tak się cieszę, że mogłam coś dla niego uczynić. To pomaga. Jest

w tym jakiś sens. Nie jestem świętą. Zrobiłam to także dla siebie. Pomagając państwu Hale'om, pomagałam sobie.

W sali panowała taka cisza, jak gdyby nie było w niej żywego ducha.

– Jak sądzę, Charlie Hale przebywa w Anglii - odezwała się w końcu przewodnicząca. - Zastanawiam się jednak, czy nie powinniśmy wezwać na świadka Bentona Wesleya?

– Nie ma potrzeby wzywać żadnego z nich - odparłam, choć pytanie nie do mnie było skierowane. - Obaj są tutaj.



Kiedy przewodnicząca poinformowała Pattersona, że przysięgli nie znaleźli podstaw do oskarżenia mnie, nie było mnie przy tym. Nie byłam też obecna wówczas, kiedy o werdykcie dowiedział się Grueman. Skończywszy zeznawać, wyruszyłam natychmiast na poszukiwania Marino.

– Jakies pół godziny temu widziałem, jak wychodził z toalety - oznajmił policjant w mundurze, palący papierosa koło fontanny.

– Może go pan złapać przez radio? - zapytałam.

Odpiął krótkofalówkę od paska i poprosił dyspozytorkę, żeby wezwała Marino. Bez rezultatu.

Wybiegłam na parking. Wsiadłam do samochodu, zamknęłam drzwi i włączyłam silnik, po czym złapałam telefon. Najpierw zadzwoniłam do komendy głównej, mieszczącej się naprzeciw sądu. Dowiedziałam się, że Marino tam nie ma. Objechałam cały parking, ale nigdzie nie dostrzegłam jego białego forda. Zatrzymałam się i zadzwoniłam do Neilsa Vandera.

– Pamiętasz to włamanie na Franklina, z którego odciski zgadzały się z odciskami Waddella?

– To tam, gdzie ukradziono puchową kamizelkę?

– Właśnie.

- Pamiętam, a co?
- Czy zdjęto odciski palców pokrzywdzonego?
- Nie dostałem ich. Tylko odciski zdjęte z miejsca włamania.
- Dziękuję, Neils.

Ponownie zadzwoniłam do dyspozytorki.

- Czy porucznik Marino jest na służbie?

Sprawdziła i po chwili odpowiedziała twierdząco.

- Proszę go poszukać i powiedzieć mu, że w pilnej sprawie musi się z nim skontaktować doktor Scarpetta.

Nie minęła minuta i w słuchawce znowu rozległ się głos dyspozytorki:

- Jest na stacji benzynowej.
- Proszę mu powiedzieć, że za dwie minuty tam będę.

Policyjna stacja benzynowa usytuowana była na ponurym asfaltowym placu otoczonym łańcuchami. Panowała tam zasada całkowitej samoobsługi, nie było żadnych pracowników, toalet ani automatów z kawą czy słodyczami, a szyby można było wyczyścić pod warunkiem, że przywiozło się własną ścierkę i płyn. Kiedy tam przyjechałam, Marino chował kartę benzynową do bocznej kieszeni. Wsiadł i podszedł do mnie.

- Właśnie dowiedziałem się z radia - rzekł z szerokim uśmiechem. - Gdzie jest Grueman? Chcę mu uścisnąć rękę.

- Zostawiłam go w sądzie z Wesleyem. Co się stało?

– Nie wiesz? - zapytał z niedowierzaniem. - Cholera, doktorko, dali ci spokój, to się stało. W całej mojej karierze pamiętam może dwa wypadki, kiedy specjalna wielka ława nie wydała sprawiedliwego werdyktu.

Wzięłam głęboki oddech i potrząsnęłam głową.

- Powinnam chyba tańczyć z radości, ale jakoś nie mam ochoty.
- Ja chyba bym też nie miał.

– Marino, jak się nazywał ten człowiek, który zgłosił kradzież puchowej kamizelki?

– Sullivan. Hilton Sullivan. Dlaczego pytasz?

– Podczas składania wyjaśnień Patterson wysunął przypuszczenie, że mogłam skorzystać z rewolweru z laboratorium balistycznego do zamordowania Susan. Miałoby to sens, użycie własnej broni zawsze wiąże się z ryzykiem, ponieważ jeśli w trakcie badania zostanie udowodnione, że to z niej wystrzelono pocisk, właściciel musi gęsto się tłumaczyć.

– Co to ma wspólnego z Sullivanem?

– Kiedy wprowadził się do tego mieszkania?

– Nie wiem.

– Gdybym chciała zastrzelić kogoś z mojego rugera, zgłoszenie na policję jego kradzieży byłoby sprytnym posunięciem. Bo jeśli z jakichś powodów policja by go znalazła - dajmy na to zrobiliby się gorąco i zdecydowałabym się go pozbyć - po numerze trafiliby do mnie, ale ja na swoją obronę miałabym zgłoszenie kradzieży, która miała miejsce wcześniej.

– Sugerujesz, że Sullivan upozorował włamanie?

– Sugeruję, że powinniśmy taką ewentualność rozważyć - odparłam. - Tak się dziwnie składa, że w mieszkaniu nie było alarmu, a okno nie było zamknięte. Wobec policjantów zachowywał się strasznie. Jestem przekonana, że z radością patrzyli, jak wychodzi z mieszkania, i nie mieli zamiaru zadawać sobie dodatkowego trudu, by zdjąć mu odciski palców. Zwłaszcza że Sullivan ubrany był w biały sweter i okropnie narzekał, że wszystko obsypują czarnym proszkiem. Chodzi mi o to, że skąd wiemy, że odciski zdjęte w jego mieszkaniu nie zostały zostawione przez niego? Przecież tam mieszka. Jego odciski są na każdym sprzęcie.

– W AFIS-ie pasowały do odcisków Waddella.

– Właśnie.

– Jeśli to prawda, po co by dzwonił na policję w odpowiedzi na apel dotyczący puchu edredona?

– Jak powiedział Benton, ten facet uwielbia gry. I uwielbia grać z ludźmi.

Chodzi po krawędzi, bo to go podnieca.

– Cholera, daj mi swój telefon.

Wsiadł od strony pasażera i zadzwonił na informację; poprosił o numer administracji budynku, w którym mieszkał Sullivan. Połączywszy się z administratorem, zapytał, kiedy Hilton Sullivan kupił mieszkanie.

– No to kto w takim razie? - zapytał po chwili, gryzmołąc w notatniku. - Jaki jest numer mieszkania i na jaką ulicę wychodzą okna? Dobra. A jaki ma samochód? Tak, jeśli by pan mógł.

Po skończonej rozmowie Marino zwrócił się do mnie:

– To nie jest mieszkanie tego świra. Właścicielem jest jakiś biznesmen, który je wynajmuje. Sullivan wprowadził się w pierwszym tygodniu grudnia, cholera jasna. Zapłacił kaucję szóstego, mówiąc dokładnie. - Otworzył drzwi i dodał: - Ma ciemnoniebieską furgonetkę. Stary typ, bez okien.

Pojechaliśmy najpierw na komendę główną, gdzie na parkingu zostawiłam swój samochód, a potem fordem Marino ruszyliśmy na Franklina.

Zaparkowaliśmy przed siedmiopiętrową ceglana kamienicą.

– Jego mieszkanie jest od tyłu - wyjaśnił Marino rozglądając się uważnie.

– Nie może nas zobaczyć.

Spod fotela wyjął pistolet kaliber dziewięć i choć w kaburze pod lewym ramieniem trzymał trzysta pięćdziesiątkę siódemkę, wsadził i ten do

kieszeni.

– Jeśli przewidujesz wojnę, wolałabym zostać w samochodzie - powiedziałam.

– Jeśli wojna wybuchnie, rzucę ci moją trzysta pięćdziesiątkę siódemkę i ładunki, a ty okażesz się tak dobrym strzelcem, jak twierdzi Patterson.

Trzymaj się za moimi plecami.

Weszliśmy na schody; w tym momencie szczękniętą zamek i drzwi się otworzyły. Starszy mężczyzna z krzaczastymi siwymi brwiami przedstawił się jako administrator, z którym Marino rozmawiał przez telefon.

– Jest w domu? - zapytał Marino.

– Nie mam pojęcia.

– Idziemy na górę sprawdzić.

– Nie pójdziecie na górę, bo on mieszka na parterze. - Administrator wskazał korytarz. - Tędy prosto, potem na lewo. Mieszkanie narożne na samym końcu. Numer siedemnaście.

W budynku panowała atmosfera przywodząca na myśl stare hotele, w których już nikt właściwie nie chce się zatrzymywać, bo pokoje są za małe, a wystrój nazbyt ciemny i podniszczony. Zauważyłam sporo dziur po papierosach w ciemnoczerwonym dywanie, rozległa plama na boazerii była niemal czarna. Na drzwiach narożnego mieszkania widniała mała mosiężna liczba. Nie było w nich wizjera. Kiedy Marino zadzwonił, usłyszeliśmy odgłos kroków, a później pytanie:

– Kto tam?

– Administracja - odparł Marino. - Mamy zmienić filtr w grzejniku.

Drzwi otworzyły się. W tej samej chwili, w której ja zobaczyłam przenikliwe niebieskie oczy, one też mnie dostrzegły. Zaparło mi dech z wrażenia.

Hilton Sullivan usiłował zatrzasać drzwi, lecz Marino błyskawicznie wsunął nogę za próg.

– Odsuń się! - wrzasnął do mnie, po czym wyszarpnął rewolwer.

Przywarłam do ściany. Marino kopnął w drzwi, a one nieoczekiwanie otworzyły się na oścież, uderzając z rozmachem w ścianę. Z rewolwerem w dłoni wskoczył do mieszkania. Czekałam na odgłosy strzałów czy walki, tymczasem mijały minuty i nic się nie działo, tylko Marino mówił coś do krótkofalówki. Kiedy wyszedł na korytarz, był spocony i purpurowy ze złości.

– Nie mogę w to uwierzyć. Wskoczył przez okno i zniknął bez śladu.

Przeklęty skurwysyn. Jego furgonetka stoi na parkingu. Uciekł na piechotę.

Zaalarmowałem wszystkie jednostki w okolicy.

Wytarł czoło rękawem, z trudem łapiąc oddech.

– Myślałam, że to kobieta - powiedziałam oszołomiona.

Marino spojrzał na mnie zdziwiony.

– Co takiego?

– Kiedy poszłam porozmawiać z Helen Grimes, był u niej w domu. Wyjrzał przez drzwi, kiedy rozmawiałyśmy na ganku. Byłam przekonana, że to kobieta.

– Sullivan był w domu Helen Hun?

– Jestem o tym przekonana.

– Jezu Chryste, to bez sensu.

Jednakże okazało się, że to ma sens, kiedy rozejrzeliśmy się po mieszkaniu Sullivana. Umeblowane było elegancko antykami i dywanami, które według administratora należały do właściciela. W sypialni znaleźliśmy na łóżku niebieską puchową kurtkę, beżową sztruksową koszulę i porządnie złożone spłowiałe dzinsy; na dywanie stały buty i leżały

skarpetki. Na mahoniowej komodzie zobaczyliśmy zieloną czapkę, okulary słoneczne oraz niebieską koszulę od munduru, do której nad kieszenią na piersi wciąż przypięta była plakietka z nazwiskiem Helen Grimes. Pod koszulą leżała wielka koperta, z której Marino wyjął plik fotografii. Przyglądałam się im w milczeniu, natomiast mój partner powtarzał co chwila:

– Cholera jasna!

Kilkanaście zdjęć przedstawiało Hiltona Sullivana nagiego i skrepowanego, a Helen Grimes była jego sadystyczną strażniczką. Wyglądało na to, że nad inne przedkładali następujący scenariusz: Sullivan siedzi na krześle, a ona gra rolę przesłuchującego, dusi go od tyłu lub znęca się w inny sposób. Znaleźliśmy też zdjęcia skrwawionego ciała Robyn Naismith opartego o telewizor oraz leżącego na stalowym stole w kostnicy. Najbardziej jednak wstrząsnęła mną twarz Sullivana, wyprana z wszelkich emocji, o zimnych oczach. Wyobrażałam sobie, że tak musiał patrzeć na swoje ofiary, kiedy je zabijał.

– Chyba wiemy, dlaczego Donahue tak go lubił - rzekł Marino, chowając fotografie do koperty. - Ktoś robił te zdjęcia. Żona Donahue powiedziała mi, że fotografia była jego hobby.

– Helen Grimes musi wiedzieć, kim naprawdę jest Hilton Sullivan - rzekłam przy wtórze zbliżających się syren.

Marino wyjrzał przez okno.

– Dobrze, Lucero już tu jest.

Obejrzałam dokładnie puchową kamizelkę i odkryłam małe puchowe piórko wystające z maleńkiej szpary w szwie.

– Wychodzimy - rzekł Marino do Lucero. - Nie zapomnij odholować jego niebieskiej furgonetki. - Doktorko - zwrócił się do mnie - pamiętasz, jak dojechać do domu Helen Grimes?

– Tak.

– No to w drogę. Porozmawiamy sobie z nią.



Helen Grimes nie miała wiele do powiedzenia.

Kiedy jakieś trzy kwadranse później dotarliśmy do jej domu, zastaliśmy drzwi otwarte. Weszliśmy więc do środka. Ogrzewanie włączone było na cały regulator, a ten zapach rozpoznałabym wszędzie, w najdalszym zakątku świata.

– Dobry Boże - westchnął Marino, kiedy stanął na progu sypialni.

Bezgłowe ciało ubrane było w mundur i siedziało na krześle pod ścianą.

Dopiero trzy dni później farmer z drugiej strony ulicy odnalazł resztę. Zaciekawilo go, dlaczego ktoś zostawił torbę do kręgli na jego polu. Bardzo żałował, że zajrzał do środka.

EPILOG

Podwórko za domem mojej matki w Miami na pół skrywał cień, na pół oświetlały łagodne promienie słońca; po obu stronach drzwi płonęły czerwienią krzewy hibiskusa. Rosnąca koło płotu cytryna ugiwała się od owoców, podczas gdy wszystkie pozostałe w okolicy nie miały ani jednego lub wręcz usychały. Nie potrafiłam tego pojąć, nie wiedziałam, że krytyka może tak dobrze wpływać na rośliny. Zawsze mi się zdawało, że trzeba miło do nich przemawiać, jeśli się chce mieć efekty.

– Katie! - zawołała matka z kuchennego okna. Usłyszałam wodę spływającą do zlewu. Nie miało sensu odpowiadać.

Lucy zbiła moją królową wieżą.

– Wiesz - powiedziałam - naprawdę nie cierpię grać z tobą w szachy.

– To czemu ciągle mnie o to prosisz?

– Ja cię proszę? To ty mnie zmuszasz i nigdy nie chcesz poprzestać na jednej partii.

– Bo chcę ci dać drugą szansę. Ale ty nie umiesz jej wykorzystać.

Siedziałyśmy naprzeciw siebie przy stoliku na patio. Lód w szklankach z lemoniadą dawno się roztopił, ja miałam wrażenie, że trochę się opaliłam.

– Katie? Poszłybyście z Lucy do sklepu i kupiły wino? - spytała matka z okna.

Widziałam ciemny kształt jej głowy i okrągły zarys twarzy. Trzasnęły drzwiczki kredensu, później przeraźliwie zadzwonił telefon. Był do mnie.

Matka podała mi przenośny aparat.

– Tu Benton - rozległ się znajomy głos. - Wiem z gazet, że pogodę macie wspaniałą. U nas leje i temperatura wynosi miłe czterdzieści pięć stopni.

– Nie mów, bo ogarnia mnie nostalgia.

– Kay, chyba wiemy, kto to jest. A przy okazji, ktoś nieźle się namęczył.

Fałszywe dokumenty tożsamości, doskonałe. Mógł kupić broń, wynająć mieszkanie i nikt go o nic nie pytał.

– Skąd miał pieniądze?

– Od rodziny. Prawdopodobnie gdzieś je ukrył. Tak czy owak, po przejrzaniu dokumentów więziennych oraz przeprowadzeniu wielu rozmów doszliśmy do wniosku, że Hilton Sullivan to trzydziestojednoletni mężczyzna, którego prawdziwe nazwisko brzmi Temple Brooks Gault; pochodzi z Albany w Georgii. Jego ojciec jest właścicielem plantacji orzeszków, bardzo bogatym człowiekiem. Gault pod wieloma względami jest typowy: skłonność do broni, noży, sztuki wojennej, ostrej pornografii. Jest antyspołeczny i tak dalej.

– A pod jakimi względami jest nietypowy? - zapytałam.

– Z tego, co o nim wiemy, wynika, że jest całkowicie nieprzewidywalny.

W gruncie rzeczy nie pasuje do żadnego typu psychologicznego, nie można go sklasyfikować. Jeśli coś mu się podoba, po prostu to robi. Jest nieprzeciętnie narcystyczny i próżny; weźmy dla przykładu jego włosy. Sam robi sobie pasemka. Znaleźliśmy w jego mieszkaniu farby, płukanki i tak dalej.

Trzeba jednak przyznać, że pewne niekonsekwencje w jego charakterze budzą dreszcze.

– Jakie niekonsekwencje?

– Jeździł tą starą furgonetką, która dawniej należała do malarza. Wszystko wskazuje na to, że Gault w ogóle jej nie czyścił, nawet po morderstwie Eddiego Heatha. Mamy obiecujące ślady... Przy okazji: grupa krwi zgodna z krwią Eddiego. A mimo to Gault starannie usunął ślady po

ugryzieniach, zmieniono mu też odciski palców. To akurat było aż za dokładnie zorganizowane.

– Jakie przestępstwa ma na sumieniu?

– Wyrok za zabójstwo. Dwa i pół roku temu wściekł się na jakiegoś człowieka w barze i kopnął go w głowę. Zajście miało miejsce w Abingdon w Wirginii. Nawiasem mówiąc, Gault ma czarny pas karate.

– Są jakieś postępy w próbach zlokalizowania go? - spytałam, obserwując Lucy, rozstawiającą figury na szachownicy.

– Żadnych. Powtórzę to, co mówiłem już wcześniej, a co wszystkie osoby zaangażowane w tę sprawę powinny pamiętać: ten facet nie zna strachu.

Działa pod wpływem impulsu, trudno więc przewidzieć, co zrobi.

– Rozumiem.

– Przez cały czas musisz być czujna.

Nie ma ochrony przed takim człowiekiem, pomyślałam.

– Wszyscy musimy być czujni.

– Rozumiem - powtórzyłam.

– Donahue nie miał pojęcia, kogo spuścił ze smyczy. Ściśle mówiąc, Norring nie miał pojęcia. Chociaż nie przypuszczam, by nasz kochany gubernator osobiście brał w tym udział. Chciał tylko odzyskać tę swoją przeklętą aktówkę. Prawdopodobnie wręczył Donahue potrzebne fundusze i kazał się wszystkim zająć. Nie będziemy z nim mieć żadnych kłopotów. Był zbyt ostrożny, niewielu ludzi będzie miało ochotę o tym mówić. - Przerwał, po czym dodał: - Naturalnie jest twój adwokat, no i ja.

– Co przez to rozumiesz?

– Dałem mu do zrozumienia, oczywiście w bardzo delikatny sposób, że źle by się stało, gdyby do prasy przeciekła jakakolwiek informacja o aktówce ukradzonej z domu Robyn Naismith. Grueman też spotkał się z

nim na małym *tête-à-tête*. Norring trochę się zaniepokoił, kiedy Grueman wspomniał, że tamten wieczór przed śmiercią Robyn musiał być dla niego strasznym przeżyciem. W końcu sam siebie zawiózł do szpitala.

Ze starych gazet i rozmów w izbach przyjęć szpitali w całym mieście dowiedziałam się już wcześniej, że w wieczór poprzedzający zabójstwo Robyn Norring zgłosił się do szpitala Henrico, wcześniej zaaplikowawszy sobie zastrzyk z epinefryny w lewe udo. Jego organizm ciężko odreagował chińskie potrawy, po których kartony policja znalazła w śmieciach w domu Robyn. Przypuszczałam, że krewetka lub inny skorupiak przypadkiem znalazł się w daniach, które owego wieczoru jedli. Norring przy pierwszych objawach anafilaktycznego szoku zrobił sobie zastrzyk - być może lekarstwo na wszelki wypadek trzymał także w domu kochanki - po czym wsiadł w samochód i pojechał do szpitala. Przygnębiony i chory, zapomniał o aktówce.

– Mam tylko jedno życzenie - powiedziałam. - Żeby Norring trzymał się ode mnie tak daleko, jak to tylko możliwe.

– Wygląda na to, że ma problemy zdrowotne. Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jak poda się do dymisji i poszuka sobie mniej stresującego zajęcia, na przykład na Zachodnim Wybrzeżu. Jestem przekonany, że nie będzie cię niepokoił. Podobnie jak Ben Stevens. Przede wszystkim obaj zbyt są pochłonięci sprawą Gaulta. Ostatnio słyszałem o Stevensie, że jest w Detroit. Wiesz o tym?

– Jemu też groziłeś?

– Kay, nigdy nikomu nie grozę.

– Ależ Bentonie, jesteś jednym z najgroźniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałam.

– Czy to znaczy, że nie będziesz ze mną pracować?

Lucy siedziała z policzkiem opartym na jednej ręce, palcami drugiej bębniła po stole.

– Pracować z tobą?

– Właściwie to z tego powodu dzwonię. Wiem, że będziesz musiała to przemyśleć, ale chcemy, żebyś została konsultantem na Wydziale Nauk Behawioralnych.

Z reguły spotykamy się kilka razy w miesiącu, choć naturalnie bywają też bardziej intensywne okresy. Analizowałabyś medyczne i kryminalistyczne szczegóły śledztw i pomagała nam w tworzeniu portretów psychologicznych. Twoje interpretacje byłyby niezwykle użyteczne.

Poza tym chyba już wiesz, że doktor Elsevier, który od pięciu lat jest naszym konsultantem, w czerwcu odchodzi na emeryturę.

Lucy wylała lemoniadę na trawę, po czym zaczęła się przeciągać.

– Muszę się zastanowić, Bentonie. Moje biuro jest w rozsypce. Daj mi czas na znalezienie technika do kostnicy i administratora. Kiedy spodziewasz się odpowiedzi?

– Powiedzmy do marca.

– Dobrze. Lucy cię pozdrawia.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, Lucy spojrzała na mnie prowokująco.

– Czemu mówisz takie rzeczy, skoro to nieprawda? Wcale nie kazałam go pozdrowić.

– Ale rozpaczliwie tego chciałaś. - Podniosłam się z miejsca. - Widziałam wyraźnie.

– Katie! - W oknie znowu pojawiła się matka. - Powinnyście już wrócić do domu. Całe popołudnie siedzicie na dworze. Posmarowałyście się chociaż kremem?

– Siedzimy w cieniu, babciu! - zawołała Lucy. - Pamiętasz, że rośnie tu ogromny fikus?

– Lucy, kiedy mama powiedziała, że przyjdzie?

– Jak tylko ona i ten jej jak mu tam skończą się pieprzyć.

Matka zniknęła, z kuchni znów dobiegł szum wody spływającej do zlewu.

– Lucy! - szepnęłam.

Ziewnęła i podeszła ku granicy cienia. Uniosła twarz ku słońcu i zamknęła oczy.

– Zgodzisz się, prawda, ciociu?

– Na co?

– Na to, o co cię prosi pan Wesley.

Zgarnęłam figury szachowe do pudełka.

– Twoje milczenie jest tak wymowne, jak głośna odpowiedź - rzekła Lucy.

– Wiem, że się zgodzisz.

– Chodźmy - powiedziałam. - Trzeba kupić wino.

– Pod warunkiem, że też będę mogła się napić.

– Pod warunkiem, że wieczorem nigdzie nie pojedziesz samochodem.

KONIEC

Tomu czwartego